

KATHRYN ORMSBEE



MILION ODSEŁON TASH

Utrzymana w duchu „Fangirl”
powieść o internetowej sławie, vlogowaniu
i życiu, które zna każdy nastolatek

moondrive

KATHRYN ORMSBEE

MILION
ODSEŁON
TASH

TŁUMACZENIE ZUZANNA BYCZEK

moondrive
Kraków 2017

*Dla Virginii Sebastian,
najwspanialszej ciotecznej babci na świecie*

„Jeśli prawdziwe jest powiedzenie: ile głów, tyle rozumów,
to również prawdziwe: ile serc, tyle rodzajów miłości”.

Lew Tołstoj, *Anna Karenina*, tłum. Kazimiera Hłakowiczówna

Właśnie obejrzeliście kolejny nieszczęsny odcinek *Nieszczęśliwych rodzin*, serialu internetowego, który stworzyli dla was Lew Tołstoj i Studio Filmowe Nowalijki.

OBSADA

Anna

Serena Bishop *Aleksiej*

Jay Prasad *Dolly*

Klaudie Zelenka *Kitty*

Eva Honeycutt *Lewin*

George Connor *Stiwa*

Brooks Long *Wroński*

Tony Davis TWÓRCY

Produkcja

Jack Harlow i Tash Zelenka *Reżyseria*

Tash Zelenka *Montaż*

Jack Harlow *Scenariusz*

Jack Harlow i Tash Zelenka *Projekt graficzny*

Paul Harlow *Muzyka*

Tony Davis Kolejne odcinki w każdy wtorek i czwartek o 11.00!

Czy to nie zabawne, że czasem coś bardzo długo uchodzi za żart, aż wreszcie pewnego dnia przestaje nim być?

Śmiejesz się z nowej koszmarnej piosenki, ale nadchodzi dzień, gdy grasz ją dwadzieścia razy z rzędu, bez cienia ironii. Wyśmiewasz pomysł jedzenia okry smażonej w głębokim tłuszczu, ale oto któregoś popołudnia lądujesz z rodziną w przydrożnej restauracji gdzieś na zadupiu, w ramach żartu zamawiasz okrę smażoną w głębokim tłuszczu i odtąd staje się ona twoją ulubioną przekąską. Śmiejesz się z klaunów, aż pewnej pamiętnej nocy zamiast położyć się o zwykłej porze, oglądasz film *To* i doznajesz trwałego urazu.

Jestem przekonana, że ten mechanizm istniał już w czasach starożytnych. Wyobrażam sobie, jak rzymscy arystokraci zażywają relaksu w termach, aż tu jeden rzuca: „Ej, Gajuszu, nie sądzisz, że byłoby przezabawnie, gdyby pewnego dnia rozwścieczeni barbarzyńcy zaatakowali nasze miasto?” „El o el, Tytusie Flawiuszu, masz bogatą wyobraźnię”.

Przez długi czas razem z dwójką przyjaciół żartowaliśmy, że pewnego dnia będziemy sławni. Ten idiotyczny refren powtarzał się za każdym razem, gdy snuliśmy marzycielskie wizje. „Jak będę sławna, kupię sobie całą Nową Szkocję”. „Jak będę sławna, kupię suknię Kate Hudson z *Jak stracić chłopaka w 10 dni*”. „Jak będę sławny, kupię deLoreana i będę jeździć dokładnie sto czterdzieści kilometrów na godzinę”. Tak sobie fantazjowaliśmy, śmiejąc się z naszych napuszonych i absurdalnych pomysłów. Żart.

I nagle już nie.

Oto pierwsze, co powinniście wiedzieć na mój temat: ja, Tash Zelenka, jestem zakochana w hrabim Lwie Nikołajewiczu Tołstoju. Tak oficjalnie brzmi jego nazwisko, ale ponieważ łączą nas bliskie więzi, mówię na niego po prostu Lew.

Poznałam go w księgarni, miałam wówczas czternaście lat. Był początek roku szkolnego, a ja wyznaczyłam sobie ambitne cele. Zajęcia z angielskiego okazały się stanowczo zbyt łatwe. Minęły tylko dwa tygodnie, a ja zdążyłam się zanudzić na śmierć. Wyszukałam więc w internecie ranking słynnych powieści i sporządziłam skróconą listę lektur na nadchodzący rok. Na pierwszym miejscu znajdowała się *Anna Karenina* Lwa Tołstoja. Można powiedzieć, że to Anna Arkadiwna Karenina nas sobie przedstawiła.

To była miłość od pierwszej linijki. Jeśli was to ciekawi, oto jak ona brzmiała: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”*.

Czyż nie jest to doskonałe? Lew potrafi zawrócić dziewczynie w głowie. Tamtej nocy nie spałam do trzeciej, pochłonęłam pierwsze dwadzieścia rozdziałów *Anny Kareniny*. Zakochałam się i tak już zostało.

Lew i ja jesteśmy trochę jak Romeo i Julia. To, można powiedzieć, miłość tragiczna. Po pierwsze, mój tata nie przepada za Lwem, ponieważ jest on rosyjski do szpiku kości. Tata wolałby, żebym zakochała się w jakimś miłym czeskim pisarzu, takim jak Václav Havel czy Milan Kundera. Owszem, to bardzo porządni chłopcy i w ogóle, ale próbowaliście czytać *Nieznośną lekkość bytu*? Raczej *Nieznośną pretensję pretensjonalności*, prawda?

Kolejna przeszkoda: Lew nie żyje. Ostatecznie i nieodwołalnie. Już od stu siedmiu lat wacha kwiatki od spodu.

Nigdy jeszcze strumień wiernej miłości nie płynął spokojnie**.

Oto druga rzecz, którą powinniście wiedzieć na mój temat: jestem filmowcem. Czy raczej adeptką sztuki filmowej. I nie, nie próbuję stworzyć kolejnego *Obywatela Kane’a*, za to wraz z najlepszą przyjaciółką, Jacklyn Harlow zwaną krótko Jack, prowadzę kanał na YouTube i właśnie jesteśmy w trakcie kręcenia serialu internetowego. I nie byle jakiego serialu – to współczesna adaptacja *Anny Kareniny*. Widzicie? Zatoczyliśmy pełne koło, a w razie gdybym nie zaznaczyła tego dość wyraźnie, to teraz już wiecie: mężczyzna o nazwisku Tołstoj stanowi niezwykle istotną część mojego życia.

– Możemy to powtórzyć? Od momentu, jak Eva mówi: „Wiem, co to znaczy”.

Jest późne piątkowe popołudnie, znajdujemy się u mnie w domu i kręcimy scenę kulminacyjną. Ja stoję za lustrzanką cyfrową, a Jack monitoruje poziom dźwięku. Paul, starszy brat Jack i mój drugi najlepszy przyjaciel, stoi tuż obok, trzymając mikrofon na tyczce nad głowami naszych gwiazd – George’a i Evy.

Scena, którą dzisiaj kręcimy, nie należy do zbyt skomplikowanych i wymaga jedynie dwojga aktorów z siedmioosobowej obsady. Mimo to bardzo nam zależy, by wszystko poszło idealnie, ponieważ w tej scenie następuje spektakularny zwrot akcji, do którego prowadziło kilkanaście poprzednich odcinków.

A jest to scena pocałunku.

Filmowanie sceny pocałunku nie jest tak żenujące, jak się wam wydaje. Nie, jest dziesięć razy bardziej żenujące. Po pierwsze, trzeba poprosić dwie osoby, które nie są w sobie zakochane, by zachowywały się tak, jakby były. Po drugie, siedzi się po drugiej stronie kamery i filmuje wszystko jak szurnięty podglądacz. Co w moim przypadku jest szczególnie zabawne, ponieważ tego rodzaju widok nie wydaje mi się ani trochę pociągający. I wreszcie, trzeba prosić te dwie osoby, żeby całowały się wiele razy. „Och, przepraszam, ale nie poruszyłeś ustami dokładnie tak, jak trzeba”. Albo: „Ups, widać trochę śliny, trzeba powtórzyć ujęcie”.

W tym konkretnym przypadku jesteśmy przy czwartej próbie. Czuję się nieswojo, ale staram się zachowywać profesjonalnie. To moje artystyczne credo: profesjonalna niezależnie od okoliczności. Byłoby jednak prościej, gdyby George i Eva akurat się nie kłócili.

– Zaczekajcie – mówi George, kiedy daję kolejną wskazówkę. – Minuta.

– O Boże – wzdycha Eva i chowa głowę w dłoniach, a George zaczyna ćwiczenie oddechowe, a potem przechodzi do ćwiczenia dykcji.

– Ba bo by be – powtarza raz po raz, wydymając wargi.

W pewnym momencie Eva krzyczy:

– Przecież nic nie mówimy, całujemy się!

Paul zaczyna chichotać. W efekcie tyczka z mikrofonem się trzęsie i mikrofon zjeżdża na kamerę.

Powoli pogrążam się w rozpacz. W takim tempie nigdy nie nakręcimy złotej sceny – kiedy wszystkie elementy tworzą idealną całość, a gra aktorów wydaje się najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Zwykle George i Eva dobrze się dogadują. Wybuch nastąpił godzinę temu, kiedy to George obraził Evę, mówiąc, że brzydko pachnie jej z ust i powinna possać trochę miętotówek, zanim zacznie kręcić z nim scenę pocałunku. I chociaż zachował się jak ostatni palant, wołałabym, żeby Eva odpuściła. W normalnych okolicznościach jest dobrą aktorką, lecz teraz zamiast mgiełki zauroczenia w jej oczach widać żądzę mordu.

– Może zrobimy przerwę? – proponuje Jack, ściągając słuchawki.

Kiwam głową.

– Aha. Dobra, przerwa. Wy dwoje, przejdźcie się na spacer czy coś. Wyrzućcie z siebie te emocje.

Evie nie trzeba powtarzać. Zrywa się i wypada z pokoju. Chwilę później słychać wodę płynącą z kranu w kuchni. George nie rusza się z miejsca i jak gdyby nigdy nic powtarza ćwiczenie dykcji.

Obracam się w stronę Jack z miną mówiącą „zabij mnie”. Jack wzrusza ramionami. Jej spokój potrafi czasem doprowadzić do szału. Wiem, że też czuje się sfrustrowana.

Nasz serial, *Nieszczęśliwe rodziny*, nie najlepiej sobie radzi. Nie mówię o finansach, nie dostajemy za niego ani centa. Mam na myśli to, że nie zyskał tylu fanów, na ilu liczyliśmy, kiedy w grudniu zeszłego roku startowałyśmy z tym projektem. Postawiłyśmy sobie za cel zdobyć tysiąc subskrybentów – plan ambitny, lecz realny. Teraz jest koniec maja i dociągnęłyśmy do marnych czterystu. Mniej niż połowa założonego planu.

Nie jest tak, że spodziewaliśmy się z Jack zostać sensacją internetu *à la* Justin Bieber, ale naprawdę wierzyliśmy, że wzbudzimy większe zainteresowanie. W tym momencie mamy trochę wiernych widzów, zostawiających komentarze pod kolejnymi odcinkami, które wrzucamy na kanał dwa razy w tygodniu, ale to wszystko. Żadnej sieci fanów. Zero natarczywych próśb o następny odcinek. Nie ma mowy o tysiącu subskrybentów. Żadna z nas głośno tego nie mówi, ale chyba obie pokładamy resztki nadziei właśnie w tym odcinku, w scenie między George'em i Evą. Jeśli istnieje coś, co może dać naszemu serialowi kopa, to tylko scena pocałunku. Jak raz ujęła to Jack: „Publiczność kocha pocałunki”. Ja akurat tego nie rozumiem, ale dobra, gram zgodnie z regułami.

George właśnie ćwiczy łamańce językowe („stół z powyłamywanymi nogami”), a ja pochylam się do przodu i stukam go w kolano.

– Hej.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby poczuł się śmiertelnie urażony, że śmiem zakłócać jego aktorski rytuał, ale przerywa i pytająco unosi brwi.

– Mmm, myślisz, że mógłbyś przeprosić Evę?

Robi jeszcze bardziej urażoną minę.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ byłeś dla niej niemiły, a ona jest na ciebie wściekła i wasze pocałunki nie wyglądają wiarygodnie.

– Ale mnie nie jest przykro.

Wzdycham, starając się zachować spokój. Czasami reżyserowanie przypomina niańczenie przedszkolaków – wymaga wielkich pokładów cierpliwości, mocnych płuc i talentu do przekonywania bandy egomaniaków, by robiła to, co sobie zamierzyłeś.

– Wiem, że nie – odpowiadam. – I doskonale rozumiem. Ale wyświadczyłbyś mi wielką przysługę, gdybyś przynajmniej poudawał, że jest ci przykro. Nie uda nam się nakręcić dobrze tej sceny, jeśli się nie pogodzicie, i zwracam się do ciebie, ponieważ zawsze dajesz popis wybitnej gry aktorskiej.

Czuję, że Jack mnie obserwuje – zapewne jest pod wrażeniem, choć jak ją znam, musi być zde gustowana tym bezwstydnym pochlebstwem. To żadna tajemnica, że George uważa się za najlepszego aktora z całej obsady, i chociaż zwykle określam jego wyczyny „zachowaniem godnym primadonny”, dla dobra sprawy mogę zmienić tę opinię na „popis wybitnej gry aktorskiej”.

George chwyta przynętę. Jeszcze tylko „proszę” na końcu zdania i oto w milczeniu kiwa głową, po czym rusza do kuchni jak żołnierz maszerujący na front.

Kiedy znika, Jack nagradza mnie owacją w dramatycznie zwolnionym tempie.

Paul mówi:

– Mistrzowskie posunięcie.

– Robię, co do mnie należy – odpowiadam. – Paul, nie musisz przez cały czas trzymać tyczki.

– Serio? Co za ulga. – Opuszcza mikrofon i ostrożnie opiera go o sofę, na której chwilę wcześniej George i Eva tak nieprzekonująco się całowali.

– Taa, lepiej oszczędzaj siły na jutro – mówi Jack.

Jutro Paul, podobnie jak moja starsza siostra Klaudie, odbiera świadectwo ukończenia liceum, do którego ja też uczęszczam, Calhoun High. Próbuję o tym nie myśleć. Nie potrafię sobie wyobrazić Calhoun bez Paula. Dobrze, że przynajmniej idzie na miejscową uczelnię.

Za moimi plecami rozlega się ciche „ehem”. Odwracam się. George i Eva stoją w drzwiach. On nieco rozdrażniony, lecz zadowolony, ona nieco rozdrażniona, lecz udobruchana. To już jakiś postęp. Z odrobiną rozdrażnienia dam sobie radę.

– Dobra – mówię. – Gotowi?

Siadają na brzegu sofy, nad grą w scrabble. Paul bierze mikrofon i zajmuje odpowiednią pozycję. Jack zakłada słuchawki i podnosi klaps do kamery.

Tym razem będzie lepiej. Tym razem nakręcimy złotą scenę. Już to wiem. Energia między nimi się zmieniła. Z oczu Ewy znikł gniew, nasi aktorzy wreszcie są gotowi. Teraz trzeba to tylko nakręcić.

– Od początku – mówię. Naciskam przycisk nagrywania i kiwam głową w stronę Jack, która uderza górną częścią klapsa o dolną, po czym wyciąga tablicę z ramy.

– I... akcja!

* L. Tołstoj, *Anna Karenina*, tłum. K. Iłakowiczówna, Kraków 2012, s. 9.

** W. Szekspir, *Sen nocy letniej*, tłum. L. Ulrich. Tekst należy do domeny publicznej.

Chyba dostanę udaru, zanim doczekam chwili, kiedy moja siostra odbierze świadectwo.

Słońce nagrzewa trybuny boiska futbolowego przy Calhoun High. Siedzę wciśnięta między tatę i Jack. Dopiero wywołano nazwisko Paula, co oznacza sporo czekania – zanim dojdą od litery H do Z, miną wieki. Temperatura wynosi trzydzieści stopni, a wilgotność powietrza jest tak wysoka, że można by wziąć słomkę i wciągać je jak napój. Rano sądziłam, że bardzo sprytnie robię, wkładając na tę okazję lniany kombinezon w kolorze limonki. Myślałam, że len mnie schłodzi. Nie przypuszczałam, że tyłek tak mi się spoci, że na siedzeniu powstaną żenujące mokre ślady. Nie widziałam się w lustrze, ale czuję rozmiar katastrofy. W kwestii potu i okresu dziewczyna po prostu wie.

I tak oto siedzę, koszmarnie zgrzana i zapewne odwodniona, zastanawiając się, czy istnieje sposób, by wydostać się ze stadionu, nie wstając z miejsca. Nagle Jack pochyla się w moją stronę.

– Sprawdź telefon.

Dotarli dopiero do M, więc chyba nie przeoczę żadnych fajerwerków.

– Jedenasta trzydzieści – mówię.

– Nie, zajrzyj na stronę. – Jack podsuwa mi własną komórkę.

Mrużę oczy.

– Nic nie widzę w tym słońcu.

Jack rzuca mi telefon na kolana.

– Popatrz.

Oślaniam go dłońmi. Robi się ciemny i odbija światło, ale da się coś odczytać. Nasza strona na YouTube wygląda tak samo jak zwykle. Banner w kolorze łososiowym z napisem „Studio Filmowe Nowalijki” ułożonym z cienkich liter, logo przedstawiające arbuz, a pod nim słoneczko oraz aktualne playlisty: jedna dotycząca mojego prywatnego vloga i druga, z odcinkami serialu. Nie widzę nic niezwykłego.

Twarz Jack jest poważna, więc spodziewam się najgorszego.

– No co? – Wytrzeszczam oczy, jakbym dzięki temu mogła zobaczyć to, czego akurat nie widzę. – Co jest, ktoś zhakował stronę? Nie rozumiem...

– Subskrypcje. Spójrz na subskrypcje.

Zwykle sprawdzam je raz w tygodniu, w niedzielę, kiedy umieszczam nowy filmik na vlogu. Ostatniej niedzieli było ich czterysta dziewięć. Pamiętam dokładnie, ponieważ potem przez cały dzień nuciłam piosenkę Beach Boysów, aż Klaudie wrzasnęła, żebym się wreszcie zamknęła i że Jezu, jak ona się cieszy, że w sierpniu już jej tu nie będzie.

Mój vlog zbiera średnio około stu odwiedzin tygodniowo, a *Nieszczęśliwe rodziny* trochę więcej. Niewielka, lecz lojalna grupa. Przypuszczam, że nie można oczekiwać nic ponad to, kiedy jest się siedemnastoletnią vlogerką amatorką uczęszczającą do szkoły w pełnym wymiarze godzin. W każdym razie ja więcej nie oczekuję, spoglądając w tym momencie na czerwone okienko subskrypcji.

Czterdzieści trzy dwieście osiemdziesiąt siedem.

Nowalijki subskrybuje ponad czterdzieści tysięcy osób.

– O rany – szepczę.

Tata wali mnie w kolano zwiniętym programem, obdarza mnie spojrzeniem, które ma udawać surowe, i ruchem głowy pokazuje scenę. Odpowiadam spojrzeniem, które ma wyrażać skruchę, ale nie odkładam telefonu Jack. Spoglądam jeszcze raz. Odświeżam stronę, pewna, że to jednorazowy ślepy traf. Czterdzieści trzy dwieście dziewięćdziesiąt trzy.

Jack ma rozszerzone źrenice, a jej jaskrawofioletowe włosy wyglądają jeszcze bardziej elektrycznie niż zwykle. Na policzkach wykwitły jej rumieńce, częściowo zapewne wywołane poparzeniem słonecznym – co za idiota wpadł na pomysł wręczania świadectw na tak zwanym świeżym powietrzu – ale jej reakcja jest przede wszystkim wynikiem ogromnego zdumienia.

– O rany – powtarzam. – To chyba nie może być prawda?

– Coś się wydarzyło – mówi Jack. – Musiała o nas wspomnieć jakaś gruba ryba. To jedyne wytłumaczenie.

Wciąż gapię się w ekran, gdy nagle przed moimi oczami pojawia się ręka. Gdy podnoszę wzrok, okazuje się, że to mama sięga ramieniem ponad kolanami taty i mierzy mnie spojrzeniem, które tym razem jest autentycznie surowe. Zaciskając palce na telefonie, unosi brwi z miną, która mówi: „Natasho Zelenko, czy zbyt wiele wymagam, prosząc, byś poświęciła jedną godzinę swego życia na ten doniosły rytuał przejścia?”

Kręcę głową, na co ona, uspokojona, puszcza telefon. Taka już jest: surowa, lecz szybko odpuszcza i jej strofowanie nie odnosi żadnego skutku. Oddaję telefon Jack i kieruję spojrzenie na scenę, jak na wzorową córkę przystało. Taki żart – wiadomo, że ta rola przypada Klaudie.

Klaudie jest ładniejsza, wyższa i mądrzejsza ode mnie. Nikt nigdy nie musiał mi tego tłumaczyć. Jest to oczywiste, tak boleśnie oczywiste jak amputacja bez znieczulenia. Jesienią Klaudie rozpocznie naukę na uniwersytecie Vanderbilta, potem zaś zamierza zrobić doktorat z inżynierii chemicznej. Później będzie sobie inżynierowała chemię, wyjdzie za męża i urodzi siedmioro dzieci, a przy okazji może zostanie prezydentem.

Szczerze mówiąc, nie zazdroszczę jej idealnej przyszłości, ponieważ dzięki temu istnieje mniejsza presja na mnie, bym wyszła za męża i wydała na świat potomstwo. Moja teoria brzmi następująco: jeśli starsze rodzeństwo robi wszystko, jak należy, młodsze może szaleć do woli. Weźmy na przykład Williama i Harry’ego. Ja to księżę Harry, tyle że jestem potomkinią czeskich dysydentów i handlarzy ryb z Nowej Zelandii, a nie produktem królewskiego chowu wsobnego. I nie jestem tą najseksowniejszą z rodzeństwa, co już zresztą ustaliliśmy.

Klaudie może sobie zatrzymać perfekcję i prokreację, ja z radością pokibicuję jej z trybun – w przenośni, a dzisiaj również dosłownie. Ale rany, ponad czterdzieści tysięcy subskrypcji. A jeszcze nie sprawdziłam liczby odsłon.

Kiedy na scenę wchodzi uczniowie z nazwiskami na P, mój umysł dryfuje daleko od szkolnego stadionu w środkowym Kentucky i błąka się po dzikich ostępach internetu. Jack ma rację: musiał o nas wspomnieć ktoś naprawdę wielki. Tylko kto? I czy to, co o nas powiedział, było... miłe?

Żołądek podchodzi mi do gardła. W pierwszej chwili na widok magicznych pięciu

cyfr w okienku subskrypcji poczułam zachwyt, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę jest się z czego cieszyć. Może ktoś nas zjechał? Ale nie, ludzie nie subskrybowaliby przecież skrytykowanego kanału. A może? Kto w ogóle zna się na tych sprawach – eksperci od PR-u? Czy istnieje filmik z instruktażem, co robić, kiedy zdobędziesz nagłą popularność w sieci? Kiedy to, co robisz, staje się wiralem?

Viral. Nie lubię tego słowa. Jak wirus czy choroba. Jakby społeczność internetowa tworzyła jedno przewlekle chore ciało niszczone kolejnymi dolegliwościami. Nie ma przyjemniejszego określenia? Na przykład „wybuchnąć jak supernowa”. Znacznie bardziej obrazowe i zapewne trafniejsze jako analogia: potężna eksplozja, po której następuje stopniowe znikanie z ludzkiej pamięci.

Wszystko wskazuje na to, że Nowalijki wybuchły jak supernowa. Ekspłodowały w szalonej feerii kolorów i świateł właśnie w tym momencie, kiedy powinnam oddawać się refleksji nad przemową z okazji wręczenia świadectw i walczyć ze łzami, patrząc, jak moja siostra przesuwa frędzel przy czapce z prawej w lewą. Czy to nie mogło się zdarzyć w środku stycznia, kiedy wszystko było martwe i zimne, czas płynął o połowę wolniej niż zwykle, a ja nie miałam do roboty nic lepszego niż oglądanie na Netflixie wszystkich dziesięciu sezonów *Przyjaciół* z rzędu? Czemu dzieje się to teraz, gdy w moim życiu wydarza się coś tak ważnego?

Kątem oka widzę, jak kolana Jack podskakują, a jej palce poruszają się niespokojnie po ekranie telefonu.

Jeszcze tylko godzina, mówię sobie. Wytrzymasz godzinę.

Moje ciało jest innego zdania. Żołądek intensywnie produkuje kwas, a mózg wiruje od potencjalnych możliwości. Hashtagi, fanarty, entuzjastyczne recenzje na blogach – wszystko w hołdzie dla Nowalijek. A może nawet... Złota Tuba.

Prrr, Tash, karcę się w myślach. Spokojnie.

Dotarli do T. W kierunku sceny rusza rząd Klaudie – ostatni. Widzę ją, jej czapkę w kolorze zgniłej zieleni zdobi napis MUSIC CITY BOUND.

Może kiedy Klaudie usłyszy wieści, zdecyduje się jednak zostać w Lexington i dalej kręcić z nami filmy. Może jeszcze raz przeczyta artykuły, które jej kiedyś wysłałam. Mówiły o tym, że osoby, które zrobiły sobie roczne wakacje między liceum a studiami, są znacznie lepiej wykształcone i spełnione.

„Byłoby świetnie, o ile wybierałabym się do szkoły teatralnej czy filmowej – odparła wtedy Klaudie – ale specjalistom od inżynierii raczej nie zaimponuje fakt, że spędziłam rok na zabawach z kamerą”.

Ten komentarz wywołał w marcu gigantyczną kłótnię, po której ciągle jeszcze liżę rany. Nie przeszkadza mi, że Klaudie jest idealna i że ma plan na życie, ale nie musi wyrażać się tak protekcyjnie. Trudno powiedzieć, czy szczerze ucieszy się z naszego nagłego sukcesu czy też ściągnie wargi i wycedzi, rzucając mi znużone spojrzenie: „To miło, Tash, wiem, ile ten drobny projekt dla ciebie znaczy”.

Od kiedy dostała się na Vanderbilt, często można u niej zaobserwować to ściągnięcie wargi i znużone spojrzenia. Na okrągło powtarza, że już nie może się doczekać sierpnia.

– Klaudie Marie Zelenka.

Kiedy Klaudie wchodzi na scenę, wszyscy w moim rzędzie, głównie rodzina

i znajomi, w napięciu pochylają się do przodu. Klaudie spokojnym krokiem przemierza podwyższenie, idealnie wyprostowana, z szerokim-ale-nie-durnym uśmiechem ściska dłoń dyrektora Hewitta, który podaje jej świadectwo. Z miejsca, gdzie siedzą absolwenci, dobiega chórek cienkich głosów wiwatujących na jej cześć – to zapewne przyjaciółki Klaudie, Ally i Jenna. Potem Klaudie znika, a na scenę wkracza ostatni z absolwentów, Charlie Zhang, by również przeżyć swoją chwilę chwały. I koniec.

Jakie to... rozczarowujące.

Pewnie za rok, kiedy przyjdzie kolej na mnie, Jack i resztę naszego rocznika, będzie to wyglądało podobnie. Przygnębiające. Chociaż kto wie? W końcu Nowalijki mają już ponad czterdzieści trzy tysiące subskrybentów (a liczba wciąż rośnie!), więc może wcale nie będę musiała kończyć szkoły. Przez ten czas zdążę zarobić fortunę i będę sobie siedzieć w pięknej posiadłości gdzieś w Kalifornii.

Tym razem nie każę wyobraźni się uspokoić. To, co tak długo uważałam za żart, już nim nie jest. Stało się rzeczywistością.

Zapewne nie będzie dla was zaskoczeniem, jeśli powiem, że w moim pokoju jest mnóstwo przedmiotów związanych z Tołstojem. Nad komodą wisi ogromny plakat z jego portretem. Na ścianach poprzyklejałam kolorowe kartki z cytatami. Co kilka miesięcy szukam nowych, zapisuję je i wymieniam.

Oto jeden z aktualnych: „Nie ma silniejszych nad tych dwóch wojaków: cierpliwość i czas”***.

Jakie to prawdziwe. Na przykład po ceremonii wręczenia świadectw czas płynie tak. Tak. Tak powoli, jakby chciał wypróbować moją cierpliwość. Marzę, by zamknąć się w swoim pokoju, otworzyć laptop i odnaleźć przyczyny niespodziewanej eksplozji, dlaczego, kto i jak. Ale koniec uroczystości wręczenia świadectw nie oznacza jeszcze, że obchody tego uroczystego dnia dobiegły końca. Najpierw w planie są fotografowie i uściski – trzymam ręce rozłożone na tyłku jak wachlarze, niczym skrzydła kaczki, próbując w ten sposób zakryć plamy potu – a potem przyjęcie u Harlowów.

Lubię sobie wyobrażać, że nawet gdyby Paul i Jack nie mieszkali przy tej samej ulicy, to i tak połączyłaby nas przyjaźń na śmierć i życie. I nawet gdyby ich dom znajdował się na drugim krańcu miasta, i tak zdarzyłyby się te wszystkie wyścigi rowerowe, walki na pistolety wodne i biwaki na podwórzu za domem. Nasza przyjaźń jest mocna jak stal, zahartowała się podczas upalnych dni lata i zbyt długich zim. Histeryczne, spontaniczne ataki śmiechu, połamane kostki, pierwsze przekleństwa... Taka przyjaźń z pewnością jest zapisana w gwiazdach. Moja więź z Paulem i Jack wyrasta z czegoś więcej niż tylko dogodna lokalizacja i decyzje rodziców w kwestii zakupu nieruchomości. Nikt mi nie wmówi, że jest inaczej.

Oczywiście bliska lokalizacja okazuje się wielką zaletą w takie dni jak dzisiaj. Paul i Klaudie wydają wspólne przyjęcie z okazji zakończenia szkoły. Harlowowie oddają do dyspozycji swój ogród, ponieważ mają basen i lepszy grill. Zelenkowie dostarczają jedzenie, ponieważ mój tata to prawdziwy master chef w skali całego Lexington w hrabstwie Kentucky. Ten symbiotyczny układ wymaga jedynie piętnastosekundowej podróży samochodem po Edgell Drive spod numeru dwunastego pod dwudziesty czwarty. Wyprawiliśmy w ten sposób już niejedno przyjęcie. Paul i ja obchodzimy

urodziny w odstępie kilku dni, w sierpniu, i łączymy siły od lat. Założę się, że każdego pobiliabym na głowę w liczbie imprez urządzonych przy basenie. Każdego, nie licząc Paula, rzecz jasna.

To pierwsze przyjęcie u Harlowów, z którym nie mam nic wspólnego; nawet trochę się zdziwiłam, że Klaudie przystała na ten pomysł. Nigdy nie należała do naszej grupki. Nie chciała. Jest ode mnie zaledwie półtora roku starsza, lecz już od niemowlęctwa traktowała mnie protekcyjnie. Kiedy zaprzyjaźniłam się z Paulem i Jack, Klaudie uznała całą naszą trójkę za bandę dziecinnych potworków. Nigdy nie była dla nas niemiła, lecz trzymała się na dystans.

Tak więc, biorąc pod uwagę naszą przeszłość, wiadomość, że zamierza wydać przyjęcie wspólnie z Paulem, wywołała u mnie lekkie zdziwienie. Chociaż z drugiej strony świętują razem chyba nie tyle Klaudie i Paul, co rodziny Harlowów i Zelenków, a to z kolei jest najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

W tym momencie jedna z Zelenków koniecznie pragnie spotkać swoich Harlowów. Muszę natychmiast zobaczyć się z Paulem i pogratulować mu z całego serca, że zdołał przeżyć dziesięć lat szkoły publicznej. Muszę też porozmawiać z Jack, wspólnie z nią określić, co właściwie dzieje się z Nowalijkami. Podczas jazdy jeszcze raz sprawdziłam stronę, liczba subskrypcji przekroczyła czterdzieści pięć tysięcy. Z jakiegoś powodu oczy zasły mi łzami. Nie jestem pewna, czy moje ciało będzie w stanie poradzić sobie z następną falą emocji, nieważne, jakiego rodzaju.

Z chwilą przybycia na przyjęcie jestem narażona na ataki ze strony znajomych i kuzynów, którzy uznają za stosowne pogratulować mi świadectwa siostry, tak jakby była w tym jakaś moja zasługa. Udaje mi się zbiec przed kolejną parą sąsiedzkich szponów i nagle dostrzegam Jaya Prasada, który stoi samotnie – a raczej kiwa się – nad brzegiem basenu. Jay zawsze się kiwa, kiedy czuje się nieswojo.

– Jay! – wołam, zarzucając mu ramiona na szyję.

Robi chwiejny krok w tył, pociągając mnie za sobą. Przez chwilę oboje się kiwamy, ale w końcu odzyskujemy równowagę.

Jay jest przyjacielem Paula i moim, czyli, rzecz jasna, nie jest przyjacielem Klaudie. Ten niski i drobny chłopak to niezastąpiony członek ekipy Nowalijek.

– Nie znam tu nikogo – mówi, poprawiając przekrzywione okulary.

Rozglądam się.

– Taa. Naprawdę miło z twojej strony, że przyszedłeś. Paul się ucieszy.

Chwytam go za rękę i prowadzę wzdłuż basenu. Paul siedzi na trampolinie, ma na sobie koszulkę bez rękawów i czapkę absolwenta. Wygląda na to, że przyjął wyzwanie ze strony grupy chłopaków stojących na drabince.

– Paul! – wołam. – Zobacz, kto przyszedł.

– JAY! – wrzeszczy Paul, po czym wstaje i zmusza chłopaków do zrobienia mu miejsca, gdy schodzi z trampoliny. Wygląda jak kroczący po schodach król, przed którym rozstępują się dworzanie.

Klepią się na powitanie po plecach, po czym Paul obraca się w moją stronę i lekko szczypie mnie w policzek.

– A ty gdzie się ukrywałaś? – pyta.

– Chciałam ci pogratulować, ale ciągle ktoś mi stawał na drodze.

Paul przygląda mi się uważnie. Wskazuje na moje oczy, nadal błyszczące od łez.

– Płakałaś, Tash? Już za mną tęsknisz? Już nie będziesz zgarniać punktów za to, że się znamy.

– Ty nigdy nie przysporzyłeś mi żadnych punktów, dupku – mówię. – Jeśli ktoś ma zasługi na tym polu, to tylko Tony.

Tony skończył przedostatnią klasę w liceum Calhoun i również kręci z nami serial. Ma siedmiocentymetrowego irokeza i bez wątpienia jest najbardziej stylową osobą, jaką znam. Oraz eksem Jack.

– TONY! – Paul nigdy nie traci okazji, by wywrzeszczyć czyjeś imię na cały regulator. – Jest tutaj?

Jay znów zaczyna się kiwać. Niektórzy ludzie mają serce na dłoni. Jay nosi swoje jak wielką naszywkę na piersi, jak tandetny sweterek z bożonarodzeniowym motywem.

– Pewnie robi obchód po imprezach u wszystkich swoich znajomych – odpowiadam.

– Nie wiem, jaka impreza miałaby być ważniejsza od mojej – dąsa się Paul. Ale nie tak na serio. Nie jest małostkowy.

– A, tu jesteście – odzywa się ostry głos za moimi plecami. Jack. Przesuwam się, robiąc jej miejsce w tworzącym się kręgu. – Już wiem – rzuca.

– Co wiesz? – pyta Jay.

Paul krzyżuje ramiona na piersi i unosi brwi tak wysoko, że znikają pod ciemną czupryną.

Jack odpowiada głębokim niskim głosem:

– Dlaczego Nowalijki... stały się sławne.

Faceci reagują chóralnym „cooo?”.

– No, może nie do końca sławne. Ellen DeGeneres na razie nie dzwoni. Ale liczby wyświetleń i subskrypcji skoczyły jak szalone. Mamy szansę osiągnąć dzisiaj pięćdziesiąt tysięcy subskrybentów.

Jak echo odzywa się kolejne „cooo?”, tyle że przepełnione jeszcze większym niedowierzaniem.

– A teraz najlepsze – ciągnie Jack, a ja nie mogę wyjść z podziwu, jak ona może mówić to wszystko bez cienia uśmiechu. – Wiecie, kto za tym stoi? Taylor Mears.

– CO? – Tym razem dołączam do chóru zdumionych skrzeków.

Paul ma minę winowajcy, z którą zdążyłam dobrze się zapoznać w ciągu paru ostatnich lat. Mój przyjaciel w ogóle nie interesuje się tym tematem – seriale internetowe, gra aktorska, ogólnie teatr i kino są mu obojętne. W niektórych rozmowach po prostu nie może brać udziału. Przez te kilka miesięcy filmowania pojawiło się tyle terminów, opowieści i nazwisk. Taylor Mears jest jednym z nich.

– To bardzo sławna osobowość w internecie – wyjaśniam, żeby nie musiał pytać. – W gruncie rzeczy to ona wymyśliła seriale internetowe. Wpadła na to lata temu, kiedy jeszcze nie każdy, kto ma kamerę, musiał coś nakręcić.

– *Zwichrowane Wzgórza*, człowieku. – Jay jest zdumiony ignorancją Paula. – Nigdy nie słyszałeś o *Zwichrowanych Wzgórzach*? Te dziewczyny nigdy cię nie zmusiły, żebyś

obejrzał choćby jeden odcinek?

– Słyszałem – mówi Paul. Czubki jego uszu robią się różowe. – Tylko nie znałem... nazwiska. Taylor Spears?

– Mears – poprawia Jack. – Pomagała przy scenariuszu i produkcji, a także zagrała rolę Cathy. Jest boska. No i prowadzi vlog, i wspomniała o nas. Powiedziała, że *Nieszczęśliwe rodziny* to jeden z najlepszych amatorskich seriali, jakie widziała.

– Tak powiedziała?! – niemal krzyczę.

Podekscytowana chwytam dłonie Jack, ściskam je i nimi potrząsam. Jack pozostaje obojętna – nie jest typem przyjaciółki, z którą można piszczeć i skakać. Jest chłodna, na granicy temperatury zamarzania, i stale ma ponury wyraz twarzy. Ale chociaż nigdy nie poniżyłaby się piskami i podskokami, jest równie podekscytowana jak ja, widzę to po lekkim drganiu pomalowanych fioletową szminką warg.

– Pokaż mi – mówię. – Natychmiast.

– Spokojnie, mam to na ekranie.

Jack wyciąga komórkę i pokazuje mi stronę z YouTube'a. W oknie wyświetlenia widnieje uśmiechnięta od ucha do ucha Taylor Mears. Jack ustawia maksymalną głośność i wciska „play”.

Nagranie nosi tytuł *Nowe i interesujące!*. Na początku Taylor opowiada, że ostatnio przejrzała kilkanaście mało znanych seriali sieciowych produkowanych przez amatorów z niskim budżetem. Potem dodaje, że chciałyby podzielić się odkryciami, które określa mianem prawdziwych perełek, stanowczo zasługujących na większe zainteresowanie. Pierwsze miejsce na liście zajmują *Nieszczęśliwe rodziny*.

– Słuchajcie – mówi Taylor, patrząc prosto na nas, a jej oczy są wielkie i pełne żaru. – Musicie natychmiast to zobaczyć. Jest już czterdzieści odcinków, więc zarezerwujcie odpowiednio dużo czasu na maraton. Nie mam pojęcia, jak tym dziewczynom udało się sprawić, że klasyczna rosyjska powieść nagle stała się taka przystępna, ale uwierzcie, dokonały tego. Podjęły bardzo sprytną decyzję, redukując liczbę postaci do siedmiu głównych bohaterów. Są to: Anna, Aleksiej, Wroński, Dolly, Stiwa, Lewin i Kitty. O rany, strasznie mi się podoba, co zrobiły z historią Lewina/Kitty. Oboje aktorzy są niezwykle utalentowani, wspaniale przekazują nastrój i uczucia. A więc niezależnie od tego, czy szukacie alternatywy dla bryka na lekcje literatury czy po prostu chcecie obejrzeć świetnie zrobiony serial, z całego serca polecam *Nieszczęśliwe rodziny*.

Reakcja Jaya jest całkowicie zrozumiała.

– O w mordę.

Moją jest milczenie. Milczenie, które się przedłuża, aż wreszcie Jack pyta:

– Czy twoje funkcje życiowe zamierają? Jeśli wciąż jesteś z nami, mrugnij dwa razy.

Nie jestem z nimi. Jestem oszołomiona i milczę do końca przyjęcia. Nawet nie czuję smaku ciasta. Ludzkie głosy brzmią w moich uszach jak zakłócenia.

– Wyglądasz, jakbyś całkiem odleciała – stwierdza Paul po chwili.

– Nie mogę uwierzyć... – zaczynam, ale nie kończę.

Paul poklepuje mnie po policzku i mówi:

– Idź do domu, Tash. Nikt się nie obrazi. I tak nie ma teraz z ciebie żadnego

pożytku.

Brutalne słowa, wiem jednak, że Paul nie ma na myśli nic złego. Patrzy na mnie łagodnie i troskliwie.

– Paul ma rację – mówi Jack. – Idź do domu, otrząśnij się.

Moja najlepsza przyjaciółka dobrze mnie zna. Marzę, by znaleźć się w domu, zwinąć na łóżku i sprawdzić wszystko, co tylko się da, na temat statusu strony i szumu w mediach społecznościowych. Marzę o wygodnych spodenkach od piżamy, gigantycznym kubku herbaty earl grey i nowym albumie St. Vincent na pełen regulator. Wszystko, co stoi między mną a tą idealną scenografią, jest tylko białym szumem, bezsensowną paradą obrazów.

– Dzięki – mówię. Na koniec rzucam do Paula: – Ciesz się swoim wielkim dniem. Odpowiada, unosząc dwa palce i robiąc z nich literę V.

Gdy biegnę do domu, w mojej głowie pojawia się pewna myśl, być może niewybaczalnie egoistyczna: to wielki dzień Paula i Klaudie, ale być może również mój.

*** L. Tołstoj, *Wojna i pokój*, t. 3, tłum. A. Stawar, Wrocław 1999, s. 148.

Nacisnęłam „repeat”. Ponownie. Już dziewiąty raz oglądałam vlog Taylor Mears.

Po powrocie do domu przede wszystkim włączyłam czajnik elektryczny. Potem ściągnęłam przeпоony kombinezon, włożyłam szorty od piżamy i za duży T-shirt. Nalałam wrzątku do największego kubka, wrzuciłam torebkę earl greya i pomknęłam na górę do swojego pokoju. Włączyłam płytę St. Vincent i podkręciłam głośność na maksa. Potem jednak uświadomiłam sobie, że nie mogę słuchać płyty oraz oglądać vloga jednocześnie, więc wyłączyłam St. Vincent i obejrzałam *Nowe i interesujące!* jeszcze osiem razy.

Po ostatnim mówię sobie, że muszę się skupić na czymś innym albo doznam trwałego uszkodzenia mózgu. Robię więc to, czego od chwili powrotu do domu bardzo pragnęłam, a zarazem bardzo się bałam: wchodzę na stronę Nowalijek. Czterdzieści osiem tysięcy sześćdziesięciu trzech subskrybentów. Klikam na pierwszy odcinek *Nieszczęśliwych rodzin* zatytułowany *Stiwa Jones to wstrętny zdrajca*. Ponad osiemdziesiąt tysięcy odsłon. Osiemdziesiąt tysięcy. Jasne, taka liczba jest kroplą w morzu dla kogoś takiego jak, powiedzmy, Beyoncé, ale dla twórcy skromnego serialu internetowego to naprawdę coś. Przeglądam pozostałe odcinki. Liczba wyświetleń drastycznie spada przy drugim i trzecim, czego zresztą można się było spodziewać, ale utrzymuje się na podobnym poziomie do samego końca, krążąc w okolicach trzydziestu czterech tysięcy.

Trzydzieści cztery tysiące ludzi oglądały *Nieszczęśliwe rodziny* aż do najnowszego odcinka. No dobra, może nie dokładnie trzydzieści cztery. Pierwsze pięćset wyświetleń przy wszystkich tych nagraniach to rezultat wytężonej pracy Jack i mojej. Przez pół godziny naciskałyśmy „odśwież”. Ale i tak: nasz serial widziały tysiące ludzi. Serial, na który składają się nasz scenariusz, nasza reżyseria i nasza praca kamery, czasem zresztą strasznie słaba. Tysiące ludzi, których nigdy nie spotkałam. Tysiące ludzi w ogóle ze mną niezwiązanych. Ludzi z całego kraju. Może nawet z całego świata.

Nie mogę opanować chichotu. Chwytam brzeg T-shirtu i unoszę do twarzy w dziecinnym zachwycie. Czy to jest stan, który określa się mianem „pijany sławą”? A może to było „pijany władzą”? Nieważne, czuję się konkretnie wstawiona.

Nadal popiskując z zachwytu, sprawdzam pozostałe playlisty – mojego osobistego vloga, *Herbatkę z Tash*, oraz kanał będący owocem muzycznej współpracy Jack i Tony’ego, *The Echo Boomers*. Był najpopularniejszym z naszych projektów, ale od zerwania w lutym nie umieszczali żadnych nowych treści, a Jack po cichu zdjęła playlistę z głównej strony. Vlog i *The Echo Boomers* są daleko za *Nieszczęśliwymi rodzinami*, ale i tak liczba odsłon znacznie wzrosła. Pojawiły się też komentarze. Więcej niż zwyczajowe pięć–sześć, które zostawia grupka wiernych fanów. Na moim vlogu, pod filmikiem, na którym sączę herbatę i niespójnie bredzę o filmowej wersji *Małych kobietek* z Winoną Ryder, widnieją pięćdziesiąt dwa komentarze. *OMG, ona jest prześliczna!!!!*

Ktoś uważa, że jestem prześliczna. PRZEśliczna (!!!).

Widzę plakat St. Vincent. Dobry gust. <3

Wreszcie ktoś podziela moje uwielbienie dla St. Vincent. (Jack twierdzi, że St.

Vincent jest pretensjonalna. Paul uważa, że jej teksty są zbyt zagadkowe).

A potem dostrzegam licznik lubi/nie lubi. Czteryście trzydzieści dwie osoby polubiły nagranie. Dziewięć osób dało kciuk w dół.

Dziewięć?

Żołądek lekko ściska się w panice. Nie jeden przypadkowy hejter, ale aż dziewięćciu? Co im się nie podoba? Czy mój głos brzmi irytująco? Może nie są fanami *Małych kobietek*? I dlaczego podjęli wysiłek, by okazać niechęć mojemu vlogowi? Ten odcinek to tylko chaotyczna paplanina. Kto traci czas na klikanie „nie lubię” pod głupimi, nieskładnymi filmikami?

Może przesadzam.

Postanawiam skupić się na komentarzach. A jest ich... masa. Zaczynam od pierwszego odcinka *Nieszczęśliwych rodzin* i przeglądam wszystkie chronologicznie.

Kitty/Lewin to naprawdę COŚ, nie? Aaaaaa, teraz muszę przeczytać książkę.

Omig, spojrzenie, które Dolly rzuca Stiwie w 3:11. Wiem, że powinno mi być smutno z jej powodu, ale buachachacha.

chcę bluzkę Anny. CHCĘ. Gdzie można to kupić?

Stiwa to dupek ale go kocham. Chyba właśnie o to chodzi.

kogo obchodzi Wroński, dajcie Kevina, więcej Kevina.

Kolejne, kolejne, kolejne. Nie mogę się nasycić. Czy czytanie komentarzy to rodzaj uzależnienia? Czy przeglądanie ich w ten sposób, jeden za drugim, w szalonym tempie, jest godną potępienia formą narcyzmu?

Chociaż one wcale nie mówią o mnie. Mówią o aktorach i o książce mojego martwego rosyjskiego chłopaka. Książce, której adaptacji dokonałyśmy wraz z Jack – całkiem inteligentnie, według niektórych komentujących, w tym Taylor Mears we własnej osobie. Komentarze mówią też o tej właśnie adaptacji, którą również wyreżyserowałyśmy. O projekcie będącym w całości naszym dziełem.

Dzwoni telefon. To Jack.

– Widzisz to, co ja widzę? – pytam.

– Tak, jeśli jesteś na Tumblrze.

– Nie, na stronie głównej. Czytałaś komentarze?

– Jeszcze nie, a sprawdzałaś nasze hashtagi na Tumblrze? Ludzie już robią GIF-y. Bardzo fajne GIF-y. I jest mnóstwo nowych followersów i wiadomości. Ludzie pytają, jak długo potrwa serial, czy będą dodatkowe materiały, czy będzie drugi sezon i czy zamierzamy umieścić projekt na Kickstarterze. Rozumiesz? Ktoś zapytał, czy zamierzamy umieścić projekt na Kickstarterze.

– O rany.

– Jest też mnóstwo wzmianek i retweetów na Twitterze. Jeszcze nie sprawdzałam poczty Nowalijek, ale jestem pewna, że przyszła masa maili. Może powinnyśmy kogoś zatrudnić, skoro to przybiera takie rozmiary? Trochę panikuję.

– Jeszcze nie aż takie.

– Ee, pięćdziesiąt tysięcy subskrybentów to naprawdę coś. W każdym razie dla takich ludzi jak my.

– Czy to aby na pewno nie jest zbiorowa halucynacja?

– Paul jest beznadziejny. Zapytał: „Czekaj, a kto to jest Kevin?” i musiałam mu udzielić przyspieszonego kursu shippingu. Uwierzysz? Jak to możliwe, że spędza z nami tyle czasu i nic nie wie o sztuce kojarzenia shipów?

– Cały Paul.

– Żenua – zgadza się Jack.

– Ale musisz przyznać, „Kevin” jest dość słabe.

– I tak lepsze niż „Litty”. „Litty” brzmi jakoś tak... obleśnie.

– Hm. No. To co robimy? – pytam. – Powinniśmy obmyślić plan działania. Taylor umieściła nagranie wczoraj wieczorem, musimy wkrótce zareagować.

– Jutro do ciebie wpadnę i coś wymyślimy. I tak chciałam przejrzeć twoje poprawki do materiału na przyszły tydzień.

– Ale powinniśmy przynajmniej wysłać dzisiaj maile do aktorów. W razie gdyby jeszcze się nie zorientowali.

– Jasne, dobry pomysł. O rany, wyobrażasz sobie reakcję George’a? – Głos Jack przybiera niskie groźne tony. – Ten zakichany palant pomyśli, że jest nowym Laurence’em Olivierem.

Zapewniam Jack, że zajmę się mailami, i się rozłączam. Czeka na mnie wiadomość. Od taty.

Hej tam, obiad o 7, gdybyś postanowiła wypełznąć z jaskini.

Sprawdzam czas. Tuż po szóstej. Może do siódmej zdążę się trochę uspokoić. W tym momencie czuję, że nie mam ochoty wypełzać z jaskini przez kolejne czterdzieści osiem godzin.

Otwieram prywatną skrzynkę i wciskam „napisz wiadomość”. Jak to ująć? „Gratulacje, drogie gwiazdy!”?

Nagle dostrzegam nowe maile w skrzynce odbiorczej. Moje oczy natychmiast zatrzymują się na tym z adresu Thomnado007@gmail.com. Moja pierś gwałtownie faluje i wybucha, po chwili rozsypane kawałki znów składają się w całość. Thom.

Otwieram wiadomość.

Tash,

okej, wiem, że jeszcze nie odpowiedziałem na twój poprzedni mail, ale kurczę, właśnie zobaczyłem i musiałem przesłać GRATULACJE. OBŁĘD. Jestem z ciebie niesamowicie dumny.

Btw, tak sobie myślałem... Oczywiście możesz się nie zgodzić. Ale może chciałabyś wymienić się numerami telefonu? Byłoby fajnie popisać na messengerze. Ale jeśli uważasz, że to dziwne, nie ma sprawy.

Tak czy inaczej, jeszcze raz wielkie gratulacje. Jeśli ktoś na to zasłużył, to na pewno ty.

Thom

Ledwo zdążyłam się odrobinę uspokoić, a znów mam wrażenie, że moja klatka piersiowa zaraz eksploduje. Na mojej twarzy pojawia się szeroki uśmiech, unieruchamiając policzki. Niesamowicie dumny. Takie słowa naprawdę wiele znaczą, jeśli wypowiada je Thom Causer, wschodząca sława vlogosfery we własnej osobie. I chce

mój numer telefonu. Thom Causer prosi mnie o numer telefonu.

Thom jest w moim wieku, ale udziela się w sieci znacznie dłużej. Zdobył popularność w wieku czternastu lat, kiedy wraz z kumplem, Wesem Bridgesem, nagrali serię filmików przedstawiających śmieszne scenki w szkole. Potem zajął się trochę poważniejszymi sprawami i założył vlog *Laboratorium filmowe*. Jest to seria dziesięciominutowych, które ukazują się raz w tygodniu i w których Thom opowiada o wątkach naukowych w sławnych filmach. Zaczął mniej więcej rok temu, w tym samym czasie, kiedy ja założyłam *Herbatkę z Tash*. Jest to seria dziesięciominutowych odcinków, w których za każdym razem piję nowy rodzaj herbaty i opowiadam o adaptacjach klasycznych powieści.

Vlog Thoma jest znacznie popularniejszy niż mój, w końcu zdążył zdobyć widownię, gdy był poświęcony szkolnym zgrywom. Ale któregoś dnia, parę miesięcy temu, ktoś otagował i Thoma, i mnie w jednym tweecie na temat vlogów filmowych. Bardzo się ucieszyłam, że ktoś nas razem wymienił. I nie spodziewałam się, że Thom przysłał mi wiadomość, w której powie, że lubi moje nagrania, i zapyta, od jak dawna interesuję się kręceniem filmów. Wymieniliśmy maile i od tej pory, czyli od sześciu tygodni, pisujemy do siebie regularnie. Nic specjalnego, takie tam uwagi na temat ulubionych filmów i fandomów, ale moja klatka piersiowa ulega autodestrukcji za każdym razem, gdy w skrzynce odbiorczej pojawia się mail od Thoma.

Nikomui o nim nie mówiłam. W każdym razie nie wszystko. Powiedziałam Jack, kiedy przysłał mi pierwszą wiadomość, które to wyznanie nagrodziła wzruszeniem ramion. Nie wspominałam o korespondencji, która nastąpiła później – o długich akapitach skrzących się dowcipem, wypełnionych dygresjami, a nawet, od czasu do czasu, zaopatrzonych w przypisy. O mailach, które ostatnio zaczęły balansować między przyjaźnią a flirtem.

Sama nie wiem, czemu nigdy o nim nie mówiłam. Nie wstydzę się. Nie robię niczego zakazanego. Może czuję się dziwnie, bo nigdy nie spotkałam go w realu, nawet nigdy nie słyszałam jego głosu. No okej, to nie do końca prawda. Słyszę jego głos co tydzień, kiedy umieszcza nowy odcinek *Laboratorium filmowego*. Ale nigdy nie słyszałam jego głosu mówiącego bezpośrednio do mnie. Nigdy nie słyszałam, jak wypowiada moje imię.

A teraz chce się wymienić numerami telefonu, a ja – nic nie mogę na to poradzić – czuję, że to coś wielkiego. Coś znaczącego. Krok w bardzo konkretnym kierunku. Esemesowanie wydaje się bardziej bezpośrednie i znacznie intymniejsze niż pisanie maili. Jeśli do tej pory balansowaliśmy między przyjaźnią a flirtem, to na którą stronę spycha nas jego propozycja...?

Może jednak przesadzam.

Napisanie odpowiedzi zajmuje mi okropnie dużo czasu. Zastanawiam się nad każdym słowem, nawet nad przecinkami. Nie chcę, by Thom pomyślał, że jego propozycja mnie zdziwiła, nie chcę też jednak wyjść na zdesperowaną. W końcu odpowiadam wesołym podziękowaniem za mail z gratulacjami i zapewniam, że chętnie... – nie, skreślić – że czemu nie mielibyśmy się wymienić numerami. Podaję swój. I wciskam „wyślij”. I chowam twarz w poduszce, wydając żalosne pojękiwania.

Muszę zająć się czymś innym. Na szczęście jest czym. Wylogowuję się z poczty – mail do aktorów napiszę później – i loguję się na konto Twittera Nowalijek. Przeglądam wiadomości, dodaję do ulubionych te, które wymagają jedynie dodania do ulubionych (*o rany, właśnie obejrzałam z rzędu wszystkie odcinki @Nieszczęśliwe_rodziny, musicie to zobaczyć*), a te, które wymagają odpowiedzi (*@Nieszczęśliwe_rodziny BŁAGAM powiedzcie, czy zamierzacie zrobić adaptację Dostojewskiego?*), zostawiam na później, kiedy Jack i ja zdecydujemy, jaką strategię przyjmujemy wobec niespodziewanej sławy.

Wydaje mi się, że minęło zaledwie kilka minut, ale nagle tata woła z dołu, że kolacja gotowa. Mrugając, jeszcze raz spoglądam na ekran laptopa. Niewątpliwie jestem głodna, na przyjęciu byłam zbyt przejęta, żeby zjeść coś porządnego, wmusiłam w siebie tylko odrobinę ciasta. Za to moja dusza jest głodna komentarzy (więcej, więcej komentarzy proszę!), pytań i wszelkich wyrazów uwielbienia.

Co znaczy, że być może jednak mam problem.

Co znaczy, że chyba powinnam zejść na kolację z rodzicami.

Spoglądam na ścianę naprzeciw łóżka, gdzie wisi plakat z Lwem Tołstojem w formacie dziewięćdziesiąt na sto dwadzieścia. Jest to ziarnista czarno-biała fotografia pisarza w wieku lat dwudziestu. Lew siedzi z łokciem niedbale ułożonym na wygiętym oparciu eleganckiego fotela. Ma na sobie ciężki płaszcz z klapami i gruby szalik. Wzrok kieruje prosto w obiektyw. Patrzy wilkiem, jakby mówił: „Dlaczego muszę pozować do fotografii? Jestem taki zajęty, taki inteligentny i skomplikowany”.

Opieram podbródek na dłoniach i pytam Lwa:

– Czy ja mam problem?

Lew patrzy wilkiem spod ciemnych brwi.

– Powinnam zjeść kolację z rodzicami jak normalny śmiertelnik, tak?

Lew dalej patrzy wilkiem.

I jak tu go nie kochać.

– Tak myślałam.

W niespodziewanym akcie samokontroli zamykam laptop i zeskakuję z łóżka. Kieruję się w stronę schodów i nawet nie zabieram ze sobą telefonu.

Przerwa zapewne dobrze mi zrobiła, lecz godzinę później jestem z powrotem w swoim pokoju. Nie śpię do czwartej nad ranem, przeglądam nagrania, komentarze i hashtagi. Około pierwszej zaczynam obmyślać plan. Zasypiam z ręką na trackpadzie.

Jack i Paul zjawiają się zaraz po śniadaniu. Jack, aby opracować schemat działania. Paul, ponieważ, jak sam twierdzi, obserwowanie, jak planujemy, jest znacznie bardziej interesujące niż samotne siedzenie w domu.

Siadamy z Jack na łóżku, a Paul kładzie się na podłodze, rozrzucając nogi i ramiona w taki sposób, że wygląda, jakby leżał na łożu tortur, czekając na kata. Lew oczywiście też nam towarzyszy – patrzy wilkiem z plakatu.

– Wygodnie ci? – pytam Paula.

– Medytuję – odpowiada.

– To nie...

Paul unosi palec do ust i mówi:

– Ty masz swoje metody, ja mam swoje.

Nie dyskutuję. Tak, medytuję, ale nie jestem zdeklarowaną buddystką jak mama. Nie szczycę się tym, ale kwestie religii trochę olewam. To pewnie dlatego, że mam prawosławnego tatę i mamę buddystkę zen. Mówię sobie w ramach usprawiedliwienia, że jestem zdezorientowana, i w dzieciństwie rzeczywiście byłam. Każde dziecko by było, gdyby jego tata jadł steki, a mama nie, w salonie wisiały ikony, a obok stał posążek Buddy rozmiarów sporego niemowlaka, i gdyby w okresie Bożego Narodzenia chodziło do pełnej świec cerkwi oraz na wieczorne medytacje do ośrodka zen.

A więc tak, byłam zdezorientowanym dzieckiem, ale teraz mam siedemnaście lat i jedyne wytłumaczenie mojej postawy to lenistwo. Powtarzam sobie, że powinnam się ogarnąć, ponieważ przynajmniej co do jednej rzeczy wszystkie religie są zgodne: olewanie zasługuje na potępienie. W ten sposób z pewnością nie osiągnę oświecenia. I kiedyś podczas nabożeństwa w czasie Świąt Wielkanocnych usłyszałam wers z Biblii, który od tamtej pory napełnia mnie panicznym przerażeniem: „A tak, skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust”.

Tak więc w temacie religii daję ciała na całej linii i dlatego nie mam prawa pouczać Paula, w jaki sposób powinien medytować.

– Coś napisałam – zwracam się do Jack, obracając ekran w jej stronę. – Dzisiaj w nocy wszystko obmyślałam.

Jack omiata wzrokiem dokument w Wordzie, unosi brew.

– Spałaś w ogóle?

– Pięć godzin.

– Mhm. – Jack stuka paznokciem w ekran i zaczyna czytać.

Jack: odpowiedzieć na pytania na Twitterze i YouTube.

Tash: odpowiedzieć na Tumblr i maile.

Jack: umieścić posty na wszystkich platformach z podziękowaniami dla fanów za ich zaangażowanie.

Tash: wysłać mail z podziękowaniami do Taylor Mears.

Jack prychnął.

– Poważnie? Myślisz, że ją to w ogóle interesuje?

– Zainteresowało na tyle, że wspomniała o nas na swoim vlogu.

– No tak, ale ona właśnie tym się zajmuje: wynajdywaniem nowych treści i opowiadaniem o nich. Nie oczekuje za każdym razem listu z podziękowaniami wypisanymi złotymi literami. Pewnie już o nas zapomniała. Poza tym to trochę...

Moja twarz ciemnieje.

– Co?

– Jak byśmy lizały jej tyłek.

– Nawet nie musisz nic robić. To moje zadanie.

– Ale bez sensu. Opuść to sobie.

– Nie.

– Aaaargh, niech będzie.

Paul oznajmia:

– Kartki z podziękowaniami są bardzo słodkie.

– Widzisz? Paul uważa, że kartki z podziękowaniami są słodkie.

– Paul smaruje pizzę dżemem winogronowym, co odbiera wiarygodność jego opiniom – mówi Jack.

Wracamy do listy, na której napisałam dalej: *Razem: dokończyć scenariusz, ustalić daty kręcenia na całe lato, pomyśleć nad nowym projektem, by wykorzystać koniunkturę.*

Jack się śmieje i jak zwykle, gdy to robi, nie jest to śmiech zaraźliwy. Brzmi raczej złowieszczo, jakby cieszyła się z cierpienia wrogów. Związuje fioletowe włosy w niedbały koczek na czubku głowy. Wciąż rechocze.

– Wykorzystać koniunkturę – powtarza. – Jezus, Tash. To nie jest przedsięwzięcie handlowe.

– A właśnie że tak – odpowiadam z irytacją. – Film to sztuka, lecz również biznes. Możemy na tym zarobić. Nie tylko dzięki Kickstarterowi. Mogłybyśmy ciągnąć zyski z reklam. I musimy podtrzymać zainteresowanie. W przeciwnym wypadku będzie gorzej, niż gdyby nigdy nas nie odkryto. Klapa.

Jack opiera się o ścianę, oczy ma zamglone i nieruchome. Ziewa.

– Za bardzo się przejmujesz. Stałyśmy się sławne z dnia na dzień, dosłownie. Chyba mamy prawo trochę się zastanowić.

– Już się zastanowiłyśmy – mówię podniesionym głosem. Nie cierpię, kiedy Jack jest taka: apatyczna i niedostępna. – Zastanawiałam się do czwartej nad ranem.

– Cóż, ja cię o to nie prosiłam. Myślałam, że razem się zastanowimy.

W sumie ma rację, więc mogę zareagować tylko w ten sposób:

– Jesteś bardzo negatywnie nastawiona.

Jack unosi brew z kolczykiem.

– Znasz mnie nie od dzisiaj.

– Nie masz prawa odrzucać moich pomysłów, skoro nie proponujesz alternatywy.

– Okej. Jako alternatywę dla wysłania podziękowań Taylor Mears proponuję nie wysyłać podziękowań Taylor Mears. Moja alternatywa dla akcji w stylu chorobliwie ambitnego histeryka to wyluzować.

Nie tak wyobrażałam sobie naszą rozmowę. Sądziłam, że Jack ucieszy się z mojego planu i zgodzi się ze mną, że jest on bardzo sprytny i słuszny. Spodziewałam się, że mnie wesprze. No właśnie, czy ja ją w ogóle znam? Jack – prawdziwa Jack – na pewno nie

zachowałyby się w ten sposób. Niezależnie od tego, ile podobnych kłótni odbyłyśmy – ja, ciągnąc w stronę porządku, Jack, ciągnąc w stronę chaosu – za każdym razem jest dla mnie nie do pojęcia, jak ona może być tak wkurzająco... chłodna.

Nie chcę się sprzeczać w niedzielny poranek, chowam pazury, ale nie ustępuję.

– Spisałyśmy proponowane daty filmowania do końca lata – mówię, przewijając dokument do kolejnej strony – ale uważam, że powinnyśmy ustalić je ostatecznie. Musimy mieć gwarancję od wszystkich członków obsady. Przy większej publiczności nie możemy sobie pozwolić na żadne opóźnienia.

Jack zamyka oczy, opiera głowę o ścianę.

– Możemy sobie pozwolić na wszystko, co tylko nam się spodoba. Ludzie czasem robią sobie przerwy, nawet w środku sezonu. Czasem występują problemy techniczne. Będzie dobrze.

Pazury znów się wysuwają, tym razem tracę nad nimi kontrolę. Jestem wilkołakiem w blasku pełni księżyca.

– Jasne, zawsze powtarzasz „będzie dobrze”, ale wiesz, dzięki komu jest dobrze? Dzięki mnie. Jest dobrze, ponieważ zawsze mam plan. Myślę logistycznie. Wiem, że jesteś beznadziejna, jeśli chodzi o zarządzanie, ale nie krytykuj mnie, kiedy sama wszystko ogarniam.

Jack otwiera oczy. Prostuje się.

– Sama wszystko ogarniasz? Aha, w takim razie cały materiał sam się zmontował. A w przyszłym tygodniu pewnie powiesz, że to ty, nie Tołstoj, napisałaś największą powieść wszech czasów, co?

– Nie to miałam na myśli. Daj spokój.

– Nieważne. – Jack spełza z łóżka. – Zostawiam cię, żebyś mogła wszystko sobie w spokoju ogarnąć.

I trzaska drzwiami.

– Hmm – mówi Paul.

Podnoszę się z poduszką w rękę. Lekko stukam Paula w bok.

– Przesuń się. Ja też medytuję.

Paul przekręca się na brzuch, robiąc mi miejsce. Rzucam poduszkę na podłogę, siadam na niej skrajem tyłka, krzyżuję nogi i przybieram odpowiednią postawę.

– Mam wyjść? – pyta Paul.

Potrząsam głową i obracam dłonie wnętrzem do góry, łącząc kciuki z palcami wskazującymi.

– Dobra – mówi Paul. – Będę cicho.

Paul jest cicho, a ja zaczynam medytację miłującej dobroci pod adresem Jack, ponieważ w tym momencie najbardziej na świecie pragnę ją walnąć w mordę, mocno. Przechodzę kolejne kroki, tak jak nauczyła mnie mama, kiedy miałam dziesięć lat. Najpierw uspokajam oddech – wdech przez nos, wydech ustami. Potem przywołuję w umyśle najśłodsze zwierzątko, jakie znam: szczeniaka cocker-spaniela. Wypełniają mnie miłość i bezwarunkowa czułość. Potem skupiam się na tych uczuciach i przenoszę je na Jack, powoli i uparcie. Życzę jej wyłącznie dobra. Życzę jej pokoju.

Mija ponad pięć minut, a ja nadal jestem wkurzona, ale już nie kipię, raczej

delikatnie gotuję się na wolnym ogniu.

– Znów wyobrażałaś sobie Jack jako szczeniaka? – pyta szeptem Paul.

Raz popełniłam błąd i opowiedziałam Paulowi i Jack o tym, jak uprawiam medytację miłującej dobroci, a Paul stwierdził, że nigdy w życiu nie słyszał niczego równie śmiesznego. Nadal tak uważa, całkiem niesłusznie.

– Podobno nie należy robić interesów z przyjaciółmi – mówię.

– Bez sensu. Przyjaciele często robią razem interesy. Lewis i Clark. Bracia Wright. Eee... Siegfried i Roy.

– Trochę to naciągane.

– Może. Ale wy dwie tak naprawdę nawet nie prowadzicie razem interesów. Tworzycie sztukę. W sztuce chodzi o współpracę.

– Doprowadza mnie do szału.

– A ty ją doprowadzasz do szału. I dlatego to działa.

Opadam na plecy. Obracam się w stronę Paula, który wciska twarz w dywan.

– My nie doprowadzamy się nawzajem do szału – stwierdzam.

– O czym ty mówisz, Zelenka? Szczerze cię nie znoszę.

– Cha.

Opada na nas cisza, wraz z drobinkami kurzu widocznymi w świetle wlewającym się do środka przez otwarte okno. Przesuwam dłoń po dywanie i chwytam dłoń Paula. Nasze palce odnajdują się nawzajem i splatają. Robiliśmy tak jeszcze jako dzieci, zanim któremukolwiek z nas mogłoby się to wydać dziwne czy krępujące. Jednak nawet teraz nie jest dziwne. Byłoby z każdym innym chłopakiem. Ale nie z Paulem.

Pytam:

– Kiedy zapisujesz się na zajęcia?

– Za parę tygodni.

– Już się zdecydowałaś?

– W pierwszym semestrze są głównie zajęcia wprowadzające. Najpierw chcą się upewnić, czy potrafię czytać i liczyć, co jest... mocno dyskusyjne.

– Hej, przestań. – Stukam kostką w jego kostkę.

Jeśli chodzi o szkołę, Paul zawsze umniejsza swoje dokonania. Jasne, dwa razy nie przeszedł do następnej klasy, w pierwszej i w piątej. I nie, nie ma wzorowych ocen, a na egzaminie nie osiągnął wyników gwarantujących mu stypendium. Złożył papiery do BCTC, dwuletniego college'u w Lexington, jakby nie było innej opcji. Nawet nie rozważał aplikowania na Uniwersytet Kentucky, nie wspominając o studiowaniu w innym stanie.

Paul nie chce wyjeżdżać z Lexington ze względu na tatę. Cztery lata temu pan Harlow napędził wszystkim stracha. Podczas rutynowych badań lekarze stwierdzili u niego początki raka prostaty. Powiedzieli, że na szczęście wykryli go bardzo szybko, i natychmiast objęli pana Harlowa odpowiednim leczeniem.

Wszystko działało się jak na filmach: pan Harlow zmizerniał i wychudł, i długo nie wychodził z domu. Wszyscy znajomi Harlowów zadeklarowali gotowość pomocy: zbierali się w grupy modlitwne i na zmianę przynosili jedzenie. Pani Harlow kilka razy płakała mojej mamie do słuchawki. Tata przygotował tony posiłków. I nagle pewnego

dnia lekarze oznajmili radosną nowinę: rak ustąpił.

Filmy nie przygotowały mnie na jedno: jaki ta choroba będzie miała wpływ na Paula i Jack. Szczególnie Jack. Zawsze była posepną, czasem naprawdę nie potrafiłam stwierdzić, kiedy rzeczywiście jest smutna. Zdarzało się, że siedziałam obok niej na łóżku i dopiero po dziesięciu minutach dostrzegałam łzy ciekące jej po twarzy. Tamtego roku Jack po raz pierwszy ufarbowała włosy – część na różowo, a część na pomarańczowo. Jej reakcja mnie zaskoczyła. Była taka... przewidywalna. Jednak Jack najwyraźniej nie dbała o to, że wpisuje się w schemat. Nigdy nie przejmowała się cudzym zdaniem, do tego stopnia, że kiedy jakiś nauczyciel miał na jej temat dobrą opinię, sabotowała samą siebie i przeklinała w klasie czy specjalnie oblewała test. Ten wzór zachowania powtarzał się wiele razy, jeszcze w podstawówce, ale szczególnie często od czasu, gdy pan Harlow zachorował.

Reakcja Paula była bardziej oczywista – strach i niepewność. Brat Jack nie należy do facetów, którzy wstydzą się płakać czy przytulać publicznie. W jego przypadku wiedziałam więc, jak cierpi.

Pan Harlow został poddany wielomiesięcznej terapii hormonalnej. Widziałam, jak wpływa to na Paula, jak wywraca go na nice – te zanikające uśmiechy, momenty rozkojarzenia stanowiły wyraźne oznaki, że w środku krwawi z rozpacz. Tamtego roku często go przytulałam. Ale nawet kiedy próbowałam go pocieszać, odwzajemniał uścisk w taki sposób, jakby to on próbował pocieszyć mnie.

A kiedy ogłoszono dobre wieści, Paul nie potrafił się z nami cieszyć. Powiedział mi później, kiedy Jack nie było w pobliżu, że ma złe przeczucia.

– Wróci – zawyrokował.

Byłam tak zszokowana, że zdołałam tylko wydusić mechanicznie:

– Lekarze mówią, że wasz tata ma duże szanse.

– Wiem, ale nie potrafię się pozbyć wrażenia, że to znów się wydarzy, w najmniej odpowiednim momencie. W dniu jego urodzin, w dniu ślubu Jack, podczas ferii świątecznych. Zawsze zdarza się dokładnie wtedy, kiedy nie powinno.

I chociaż trudno mi było wyobrazić sobie Jack biorącą tradycyjny ślub, z resztą nie mogłam dyskutować. Pan Harlow dowiedział się o chorobie w bardzo niekorzystnym momencie, tydzień po tym, jak awansował na bardzo odpowiedzialne stanowisko i trzy dni przed Świętem Dziękczynienia. Ale z drugiej strony czy w ogóle istnieje właściwy moment na tego rodzaju wydarzenia? Odpowiedni czas na złe wieści?

– Nigdy nie myślałem o wyjeździe z Lexington – powiedział mi Paul. – Nigdy nie czułem potrzeby, żeby się stąd wyrwać, choć pewnie wszyscy inni o tym marzą. A teraz już wiem, że nie wyjadę. Nie mogę.

Nie zgadzałam się z jego argumentacją, ale uznałam, że nie mam prawa tego powiedzieć.

Mam jednak prawo poprosić, żeby przestał się zadreć. Nie odpowiada na moje upomnienie, więc wbijam w niego wzrok i jeszcze raz uderzam kostką w jego kostkę, tym razem mocniej.

– Wykładowcy będą cię uwielbiać – mówię, zaciskając dłoń splecioną z jego dłonią. – Marzą o takich studentach jak ty. Zawsze uważasz. Zawsze zadajesz pytania.

– Głupie pytania. Co ty w ogóle wygadujesz? Nie ma znaczenia, że zawalam testy i prace domowe, dopóki nauczyciele są mną olśnieni?

– Nie. Ale stopnie często są subiektywne. Czasem nauczyciele dają lepsze oceny, bo kogoś lubią.

– A ty wiesz o tym, ponieważ...?

– Ponieważ wiem – odpowiadam dramatycznym szeptem, który miał zabrzmieć tajemniczo, ale wyszedł niepokojąco.

– Czasem bywasz naprawdę przerażająca – stwierdza Paul. – Bardziej niż Jack.

– Jak będziesz duży i zostaniesz artystą grafikiem pracującym jako wolny strzelec – mówię, bo wiem, że taki ma plan – kupię cały worek telefonów na kartę i będę cię zadrezczać niewykonalnymi zleceniami. I szeptać przerażająco.

– Nie mogę się doczekać.

Siadam. Czuję się bardziej jak szmaciana lalka niż siedemnastoletnia konstrukcja z mięsa i kości.

– Poszukam Jack – mówię.

Paul kiwa głową z nosem w dywanie.

– Słusznie. Poszukajmy Jack.

Podnosi się, podaje mi rękę, tę, którą przed chwilą ścisnęłam, i pociąga mnie do góry tak energicznie, że przelatuję prawie pod same drzwi.

Poszukiwania szybko kończą się sukcesem. Jack siedzi przy kuchennej wyspie i pochłania pierwszą z dwóch kanapek z miodem i masłem orzechowym. Paul ma ciężką alergię na orzechy arachidowe i w domu Harlowów nie sposób uświadczyc żadnych arachidowych produktów, na skutek czego Jack nieustannie podżera nam masło orzechowe.

– Mój kryptonit – mówi Paul, zerkając na kanapki i zatrzymując się koło lodówki.

Przysuwam sobie stołek i siadam obok Jack. Biorę drugą kanapkę, gryzę, żuję i przełykam.

– Przepraszam – mówię. – Wiem, że ty też bardzo dużo robisz.

– Wiem, że wiesz – prychna Jack i dodaje: – Wyobrażałaś mnie sobie jako puszystego szczeniaczka?

Ocieram masło z dolnej wargi.

– Bardzo puszystego.

– Hej – mówi Jack – nie mam nic przeciwko temu, jak podzieliłaś zadania. Zrobię swoją część, a jeśli tak bardzo pragniesz napisać lizusowski list do Taylor Mears, bardzo proszę, droga wolna. Ja po prostu... – stuka w brzeg talerza i obraca go o czterdzieści pięć stopni – nie pozwolę, żeby to zdominowało moje życie. Tak właśnie działa sztuka: dominuje nad życiem ludzi, którzy się nią zajmują. Może tobie to nie przeszkadza, lecz historia pokazuje, że niektórzy najwięksi artyści byli totalnymi palantami w stosunku do swojego otoczenia. Jak Tołstoj. A ja nie chcę stać się taka. Nie porzucę rodziny, by wyjechać na rosyjską wieś i żyć z uprawy ziemi.

– Co za ulga, ta myśl nie dawała mi spać: czy Jack zwieje na Syberię?

Puszczam mimo uszu zniewagę wobec mojego Lwa, bo nie o tym ta rozmowa.

Jack rzuca mi zde gustowane spojrzenie. Odwzajemniam. Koniec kłótni.

– Jest coś jeszcze – podejmuję. – Powinniśmy omówić sprawy z aktorami.

W następną niedzielę mamy wszystkich na planie, będzie dobra okazja.

Jack prycha.

– Dziesięć dolców, że George już napisał przemowę na rozdanie Złotych Tub.

Paul mówi:

– Chyba dostałem wysypki.

Tego wieczoru przy kolacji siedzimy tylko we trójkę. Klaudie wyszła z Ally i Jenną, zamierza imprezować przez całą noc, by uczcić zakończenie szkoły. Wiem, że tata ciężko to znosi. Nie faworyzuje Klaudie, ale łączy ich wyjątkowa więź. Zabawne, bo wydawałoby się, że to mnie powinien bardziej lubić. Ogólnie rzecz biorąc, jestem głośna i ekstrawertyczna, tak jak on, a Klaudie bardziej zdystansowana, jak mama. Zastanawiam się, czy to dlatego lubi Klaudie bardziej, że – choć różni się ona od niego typem osobowości – podziela jego zainteresowania. Moja siostra lubi gotować, ja nie potrafię ze stuprocentową trafnością określić oficjalnego przeznaczenia łopatki kuchennej. Klaudie lubi godzinami omawiać statystyki dotyczące szkolnej koszykówki, ja, owszem, drę się co sił w płucach podczas zawodów, ale nie widzę sensu zapamiętywania takich rzeczy jak procent rzutów wolnych, skoro za rok gracze i tak przejdą na zawodowstwo. Klaudie zamierza studiować inżynierię tak jak kiedyś dziadek od strony taty, ja dobrze sobie radzę z matematyką, ale wolę teatr i fikcję, i brak jedynie słusznych odpowiedzi.

Pewnie bardziej martwiłabym się tą ich szczególną więzią, gdyby nie pewność, że ja z kolei jestem ulubienicą mamy. Nie okazuje tego jakoś ostentacyjnie, jak w powieściach Steinbecka – tak raczej dyskretnie i milcząco. Może duża część tej sympatii – rozluźnienie reguł, które w przypadku Klaudie były znacznie surowsze, dodatkowe uśmiechy i puszczenie oczka – to po prostu norma w przypadku młodszego z dzieci. Może przychylność mamy zawdzięczam temu, że regularnie medytuję, a Klaudie już w drugiej klasie oznajmiła, że jest ateistką, nie buddystką.

Tak czy inaczej, nawet gdybym nie dostrzegła Straszego Smutku, który ogarnął tatę, domyśliłabym się jego stanu na podstawie posiłku. Ugotował bowiem gulasz, a gulasz – najlepsze jedzenie na pocieszenie – gotuje, tylko kiedy jest przygnębiony. Powietrze w salonie jest przesycone głębokim mięsnym zapachem. Tata układa na talerzach grube plastry knedlików.

Ściśle rzecz biorąc, mięsny zapach unosi się wyłącznie z talerza taty, ponieważ mama i ja nie jemy przecież mięsa. To norma w naszym domu: tata kucharzy i zawsze przygotowuje mięsne danie dla siebie i Klaudie oraz wersję wegetariańską dla mamy i dla mnie. Przeważnie ta metoda doskonale się sprawdza, lecz nie w przypadku gulaszu, jako że głównym składnikiem tego dania jest wołowina.

Przepis pochodzi od babci Zelenki i w związku z tym potrawa wymaga konsumpcji w miejscu, gdzie obecny jest duch babci – w salonie, pośród zdobionej kwiatowym motywem porcelany i kryształowych karafek, których zbiory rozrastały się przez pięćdziesiąt lat – od czasu, kiedy moi dziadkowie przeprowadzili się z Pragi do Lexington.

Dziadek i babcia Zelenkowie zginęli w wypadku samochodowym, gdy miałam dziewięć lat. Śmierć w wypadku samochodowym jest zawsze okropna, ale przypadek moich dziadków budzi szczególne poczucie niesprawiedliwości, ponieważ mieli niezwykle i barwne życie, a ich koniec był potwornie banalny – wypadli z drogi w środku nocy.

Dziadek i babcia mieszkali w Pradze w czasach zimnej wojny. Na początku 1968 roku mieli po dwadzieścia kilka lat. W razie gdybyście nie znali zbyt dobrze historii

Czech: tamtego roku rząd wprowadził mnóstwo reform dających więcej praw czeskim obywatelom, a ci oszaleli z powodu wolności i zaczęli robić mnóstwo świetnych i odważnych rzeczy, jak na przykład dystrybucja nielegalnych gazet i eksperymenty z rock and rollem. Babcia Zelenka powiadała: „To był przerażający czas. Przeróżający i wspaniały”. Powtarzała to tak często, że stworzyłyśmy z Klaudie nowe słowo – „przewspaniający”. Zdziwilibyście się, jak często się przydaje.

Nieważne, w każdym razie w lipcu 1968 roku mój dziadek dostał z Uniwersytetu Kentucky propozycję pracy na stanowisku profesora wizytującego. I tak przenieśli się do Stanów, a trzy tygodnie później Sowietci oznajmili: CO TO ZA ZAMIESZANIE W TEJ PRADZE? ZARAZ ZROBIMY PORZĄDEK. MAMY CZOŁGI. JESTEŚMY BORG. OPÓR JEST DAREMNY, BĘDZIECIE ZASYMILOWANI. Tego moja babcia nie powiedziała, to trochę ja, a trochę *Star Trek: Następne pokolenie*. Babcia miała zwyczaj przedstawiać te wydarzenia w bardziej elokwentnej formie, mianowicie: „A potem przyszły te ruskie skurwysyny i zrobiły to, co potrafią najlepiej: wszystko równo rozpirzyły”.

Jak by nie ująć tej historii, dla Czechów oznaczała bardzo złe wieści, a moi dziadkowie uznali się za szczęściarzy, którzy w odpowiednim momencie dostali wizy i zwiali na drugą stronę Atlantyku. Wkrótce dziadek dostał stałą posadę i tak oto dwoje młodych Czechów zamieszkało w środku Kentucky. Właśnie dlatego my, ich potomkowie, jemy teraz gulasz w podupadłym domu z połowy stulecia gdzieś na typowych amerykańskich przedmieściach na zachód od Apallachów. Życie bywa zaskakujące.

Nadziewam knedlik na widelec i zanurzam w gulaszu. Przyglądam się, jak miękkie ciasto nasącza się sosem i zabarwia na brązowo.

– Jesteś bardzo cicha, Tasho – stwierdza mama.

Żartujemy z Klaudie, że mama nieustannie próbuje skłonić ludzi do mówienia. A jest to żart, ponieważ mama pracuje jako logopeda. Lecz jednocześnie jest w tym trochę prawdy: mama potrafi wydobyć z ludzi słowa w ten swój cichy, przewrotny sposób. Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z jej nowozelandzkim akcentem, którego nie porzuciła, mimo że mieszka w Stanach już dwadzieścia lat. Mówię „porzuciła”, nie „straciła”, ponieważ w temacie akcentów jest ekspertką. Gdyby chciała, mogłaby uchodzić za szkocką góralkę i na pewno potrafiłaby też mówić jak mieszkanka Środkowego Zachodu. Ale wybrała inaczej.

– Myślę o babci i dziadku – odpowiadam szczerze i dopiero po fakcie przychodzi mi do głowy, że może nie powinnam się z tym wrywać, skoro tata i tak jest przygnębiony. Zerkam w jego stronę. Uderza mnie smutek w jego oczach. Po chwili tata podchwytuje moje spojrzenie, otrząsa się i szeroko uśmiecha.

– No! – mówi, waląc pięścią w stół. – Byliby z was dumni! Klaudie wybiera się na Vandy, a z ciebie chyba będzie nowy Woody Allen.

Krzywię się.

– Tato, mówiłam, że go nie cierpię. Jeśli chcesz mnie do kogoś porównać, to lepiej do Orsona Wellesa albo Elii Kazana.

Tata nabiera sporą porcję wołowiny i mówi z pełnymi ustami:

– Ktoś tu jest bardzo ambitny.

Posyła mi wesołe mrugnięcie, a ja w odpowiedzi teatralnie wywracam oczami.

– Właściwie... – zaczynam i nagle uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, w jaki sposób oznajmić nowinę.

Ale już za późno, żeby się wycofać. Rodzice patrzą na mnie z zaciekawieniem.

– Właściwie? – powtarza mama.

– Yyy... No cóż, wczoraj nasz serial zyskał ogromną popularność. Wspomniał o nas ktoś sławny i liczba odsłon poszybowała w górę.

– Tasho, to wspaniale – mówi ciepło mama.

– Świetna wiadomość – dorzuca tata. – Chodzi o to z herbatą?

Przypomina mi się, że rodzice są ode mnie trzydzieści lat starsi i nie muszą się orientować.

– Z herbatą to mój vlog. Serial internetowy to współczesna adaptacja *Anny Kareniny*.

– Ambitnie – stwierdza tata. – Dzielna dziewczyna.

Szczerze się cieszę, że tata jest ze mnie dumny. Sama też jestem z siebie dumna, bo oderwałam go od ponurych myśli. Ale okazuje się, że to tylko chwilowe, bo zaraz potem tata mówi:

– Trudno uwierzyć, ale wkrótce już zawsze tak będą wyglądały nasze kolacje. Lepiej przywyknij, że jesteś jedynaczką. Teraz skupimy na tobie całą uwagę, więc zapomnij o randkowaniu, inaczej skończy się płaczem.

– Dzięki, tato – odpowiadam oschle.

Postanawiam nie prostować, że kolacje nie zawsze będą tak wyglądały. Jeszcze tylko przez rok. Potem ja też wyjadę na studia. Na szczycie mojej listy również znajduje się Vanderbilt. A właściwie jest to jedyna uczelnia, na jaką chcę aplikować, koniec kropka. Uwielbiam Nashville, a w Vandy mają genialne zajęcia z filmu. Jednak pani Deter, moja szkolna doradczyni zawodowa, raz za razem podkreśla, że z moimi stopniami nie mam co marzyć o Vanderbilt, a film jako studia pierwszego stopnia to nie jest mądry wybór.

– Nie decyduj się na specjalizację na samym początku – powiedziała w marcu. – Potrzebna ci uczelnia, która da ci jakąś furtkę. Dzięki temu, jeśli uznasz, że filmoznawstwo czy realizacja jednak nie jest dla ciebie, będziesz miała mnóstwo innych opcji. A jeśli rzeczywiście zechcesz się zająć właśnie tym, to z bardziej uniwersalnym licencjatem możesz wyjechać do Los Angeles czy Nowego Jorku na praktyki albo studia magisterskie.

Pani Deter nie tylko uważa, że nie powinnam specjalizować się w filmie, ale również, że powinnam zapomnieć o Vandy i aplikować na Uniwersytet Kentucky.

– Zdobędziesz solidne podstawy w dziedzinie komunikacji społecznej, sztuki, może angielskiego – powiedziała w ramach śmiałej próby, sama nie wiem, doradzenia mi? – I nie poniesiesz dużych wydatków, bo mieszkasz w tym samym stanie i uczęszczasz do Stanowej Szkoły Artystycznej. Przemyśl to, Tash.

Przemyślałam. I myślę tak: jeśli za chwilę nie wyrwę się z Lexington, utknę tutaj na zawsze. Będę wynajdywała wciąż nowe usprawiedliwienia dla faktu, że zmarnowałam

życie, i zostanę pijaczką, przegranym człowiekiem rodem z piosenki Bruce'a Springsteena.

Dobrze wiem, że nie jestem Klaudie. Nie jestem na tyle zdolna, by dostać stypendium na prywatnej uczelni w rodzaju Vanderbilt. Będę miała szczęście, wielkie szczęście, jeśli w ogóle mnie przyjmą. I tak, to będzie mnóstwo kosztowało, ale czy nie wszyscy tak mają w dzisiejszych czasach? Czyż dwudziestolatkowie nie borykają się z kredytami studenckimi? A chodzi o Vanderbilt. Kamienne elewacje, okna z małymi szybami, majestatyczna wieża... Z kolei Uniwersytet Kentucky wygląda jak z horroru o stowarzyszeniach studenckich. Przysadziste budynki z lat siedemdziesiątych, korytarze, w których zawsze wieje wiatr, i koszarne korki w sezonie zawodów futbolowych. No i jest taki... znajomy. Przez całe dzieciństwo jeździłam po tych ulicach, uczęszczałam na lekcje pianina w Szkole Artystycznej i chodziłam na przedstawienia do Singletary Center. Potrzebuję odmiany. Czegóż innego niż Kentucky. Miejsca, w którym nie wylądaje połowa absolwentów Calhoun.

I wcale nie jestem całkowicie nieodpowiedzialna. Mam plan. Sprawdziłam możliwości w zakresie kredytów i stypendiów, poza tym tego lata pracuję na pół etatu w sklepie z ubraniami Old Navy. Okej, wiem, że całość moich dochodów nie pokryje nawet kosztów podręczników na jeden semestr, ale coś robię. Konsekwentnie realizuję marzenie. Bo tak właśnie realizuje się marzenia, prawda?

– Zamierzamy z tatą obejrzyć film – mówi mama, przecinając knedlik widelcem. – Chcesz się przyłączyć? Moglibyśmy skoczyć do centrum handlowego, sprawdzić, co mają w wypożyczalni.

Powoli przeżuwać jedzenie. Ostatnio mama i tata częściej proponują wspólne spędzanie czasu. Koniec szkoły to dla rodziców spore obciążenie psychiczne, moi bez wątpienia chcą wcisnąć mnie między siebie na kanapie w ramach kojenia bólu z powodu zbliżającego się wyjazdu drugiej córki. Propozycja nie wydałaby mi się zachęcająca, nawet gdyby nie czekał na mnie laptop, w który zamierzam gapić się przez resztę wieczoru.

– Właściwie jestem trochę zmęczona – mówię ostrożnie.

Tata ma nieco zawiedzioną minę.

– To może innym razem, hmm? Cała nasza czwórka. Pozwolimy wam wybrać film.

Co oznacza w praktyce, że to wybierze Klaudie, bo w kwestii filmów nasz gust diametralnie się różni, a Klaudie będzie miała fory przez całe lato, ponieważ to jej „ostatnie lato”.

– Aha, fajnie – mówię. – A dzisiaj czeka was miły romantyczny wieczór.

Mama się śmieje – lekko i migotliwie.

– Ja, tata, Tom Cruise i butelka chardonnay. Bardzo romantycznie.

– Cóż, wiedziemy światowe życie – mówi tata, sięgając przez stół po dłoń mamy.

– Wynajmijcie pokój – rzucam żartobliwie, po czym zabieram talerz i szklankę do kuchni.

Zmywam naczynia, posyłam rodzicom całusa i ruszam na górę, by sprawdzić, co się dzieje na stronie Nowalijek. Wyrzuty sumienia, że olałam rodziców, nie dają mi się przesadnie we znaki.

Jest niedziela, ostatni dzień maja, i znów się pocę. Zawsze mi się wydaje, że odpowiednio ustawiłam klimatyzację na spotkanie naszej ekipy, ale za każdym razem się mylę. Przerazające, jak szybko ciepło dziewięciu ciał potrafi zmienić pokój w saunę. A jeszcze nie włączyliśmy światel.

Są już wszyscy z wyjątkiem Evy, która przysłała mi esemes, że spóźni się dziesięć minut.

Siedzę na łóżku obok Jack wyprostowana jak struna, na nosie mam okulary, a na kolanach gruby żółty segregator. Jay Prasad zajmuje miejsce po drugiej stronie Jack i wprawia całe łóżko w drżenie, tak głośno śmieje się z żartu, który właśnie opowiedziała Serena Bishop. Ona z kolei siedzi przy moim biurku, z nogą założoną na nogę, i dalej udaje postać z jakiejś sprośnej kreskówki dla dorosłych. Serena potrafi naśladować różne znane postaci z łatwością, która wprawiłaby w zawstydzenie wszystkich komików z *Saturday Night Live*. Jest niesamowicie utalentowana. Oczywiście dlatego zaangażowałyśmy ją do roli Anny Kareniny.

Poznałam ją dosłownie kilka dni po rozpoczęciu nauki w Stanowej Szkole Artystycznej. Na kursie wstępnym zaprzyjaźniłam się z Jayem, który zapytał, czy może usiąść obok mnie, bo mam koszulkę z pokémonem, a według niego „osoba, która jest fanem Charmandera, na pewno jest fajna”. Uczęszczaliśmy do innych grup – Jay na teatr, a ja na nowe media – co znaczyło, że nie mamy żadnych wspólnych zajęć, ale spotykaliśmy się podczas przerw. Serena była w grupie z Jayem i kiedy Jay zaprzyjaźnił się z Sereną, zaprzyjaźniłam się z nią również ja.

Tak już było w SSA: przyjaźń z automatu. A to dzięki temu, jak mi się wydaje, że wszyscy uczniowie pochodzili mniej więcej z tej samej warstwy społecznej. Byliśmy bandą dziwacznych, trochę hipsterskich, artystowskich dzieciaków. Dzieciaków, które poświęcały wolny czas na zajęcia dodatkowe. Które spędzały weekendy na próbach i koncertach. Jedyna prawdziwa granica przebiegała między dzieciakami uczęszczającymi do szkół publicznych i dzieciakami ze szkół artystycznych. Oto moje zdanie w tym temacie: nie wszyscy uczniowie szkół artystycznych są pretensjonalnymi dupkami, ale wszystkie pretensjonalne dupki chodzą do szkół artystycznych. Dupki kosmicznych rozmiarów.

Serena chodzi do SCAPA, artystycznej szkoły w Lexington. Jest wysoka i przepiękna, sprawia wrażenie, jakby była już dorosła. Na początku strasznie mnie onieśmiała. Tak było aż do dnia, gdy na stołówce nagle stanęła na krześle i w ramach wyzwania wypila duszkiem dwulitrową fantę. Pod koniec napój sływał jej po brodzie i szyi – pomarańczowe strumyki znaczyły ciemną skórę. Patrzyłam w zachwycie i nagle dotarło do mnie, że Serena Bishop jest szalona i zabawna i ani trochę nie zadziera nosa.

Przez kolejne dwa tygodnie Jay, Serena i ja byliśmy nierozłączni. Ostatniego dnia żegnaliśmy się we łzach – szczególnie imponujących w przypadku tych dwojga. (Typowe. Aktorzy). Ale pocieszaliśmy się, że mieszkamy w promieniu pięćdziesięciu kilometrów – Serena i ja w Lexington, a Jay tuż pod miastem, w wiejskim Nicholasville. Obiecaliśmy sobie, że pozostaniemy w kontakcie. Okazało się, że trudno będzie złamać tę obietnicę,

kiedy w grudniu rozpoczęliśmy z Jack przesłuchania do *Nieszczęśliwych rodzin*.

Serena i Jay byli naszymi faworytami do ról Anny i Aleksieja, jednakże Jack dziwnie zwlekała z decyzją. Powtarzała zdania w rodzaju: „Tak, ale może nie są wcale najlepsi” i „Nie powinniśmy od razu podejmować ostatecznej decyzji. Anna i Aleksiej to bardzo ważne role, a wciąż napływają nagrania”.

W końcu przyparłam ją do ściany.

– To dlatego, że znam ich z SSA, tak?

Nie odpowiedziała, co znaczyło „tak”.

Jack nie dostała się do SSA, ale wcale nie dlatego, że się nie nadawała. Wysłała podanie na zajęcia ze sztuk wizualnych wraz z portfolio, pismami polecającymi od nauczycieli i listem motywacyjnym. I właśnie list o wszystkim zdecydował. A brzmiał następująco:

Szanowne Pretensjonalne Ćwoki,

chyba zdajecie sobie sprawę, że jesteście odpowiednikiem uczelnianego bractwa w świecie sztuki, prawda? Siedzicie na tyłkach, wielce z siebie zadowoleni, z zapleczem w postaci muzeów, szkół muzycznych i czego tam jeszcze i wybieracie ludzi na kurs letni, jakby chodziło o konkurs na najpopularniejszego ucznia. Znam bardzo wielu utalentowanych artystów, którzy próbowali się dostać do waszego programu i zostali odrzuceni. A wiecie dlaczego? Ponieważ sztuka jest subiektywna i w ostatecznym rozrachunku chodzi tylko o to, co spodoba się sędziom. Ale wy zachowujecie się, jakby dostanie się na wasz gówniany kurs równało się ze zdobyciem medalu. Jakby wasi absolwenci przeszli jakiś magiczny test, który reszta oblała.

To nie działa w ten sposób.

Sądycie, że Van Gogh, Clapton czy Tarantino wzięliby udział w waszym programie? Nie. Byliby zajęci, tworząc sztukę, podejmując kolejne próby, błędząc i ponosząc porażki bez asysty jakiegoś Sztucznego Autorytetu, który powie im, czy są wystarczająco dobrzy.

Załączam portfolio. Uważam, że jest świetne, nie potrzebuję dodatkowej opinii na ten temat.

Kij wam w oko

Jacklyn P. Harlow

Przez kilka dni rozpaczliwie błagałam Jack, by przemyślała, czy naprawdę chce wysłać taki list. Za każdym razem niewzruszenie odpowiadała: „Nie zamierzam zmieniać swojej ideologii, więc dlaczego miałabym cokolwiek w nim zmienić?”.

Rzecz w tym, że całkowicie rozumiem jej stanowisko. Znam wielu zdolnych ludzi z naszego liceum, którzy nie dostali się do SSA. I tak, rzeczywiście proces rekrutacji przypomina konkurs piękności i jest niesprawiedliwy. Ale skoro dostałam szansę, by nauczyć się czegoś o robieniu filmów i pisaniu scenariuszy od prawdziwych profesjonalistów, spotkać artystów w moim wieku pochodzących z całego stanu i otrzymać stypendium na studia, to czemu miałabym nie skorzystać? Czasem trzeba grać według niesprawiedliwych reguł rządzących światem. Chyba że nazywasz się Jack

Harlow. Wtedy grasz według własnych zasad i czasem musisz zrezygnować z różnych szans w imię „ideologii”.

Nie lubię, kiedy Jack zachowuje się w ten sposób. Szczerze mówiąc, przeraża mnie to, bo kiedy przybiera tak nieprzejednaną postawę, to znaczy, że ktoś ma rację, a ktoś inny się myli. I chociaż lubię oceniać jej zdanie na temat SSA jako zbyt surowe, gdzieś w ciemnych zakątkach mojego umysłu czai się myśl, że może jednak to ja nie mam racji. Może jestem słaba i sprzedajna, może jestem człowiekiem tego rodzaju, przed którymi ostrzegali starożytni greccy filozofowie. Może Jack jest ode mnie silniejsza.

Nie wyrzucała mi jednak, kiedy aplikowałam do SSA. I powstrzymała się od złośliwych uwag, kiedy się dostałam. Podczas mojego trzytygodniowego obozu na Uniwersytecie Transylwania przysyłała mi listy i paczki. Zero wyniosłych kazań, zero potępiających spojrzeń, zero wywracania oczami. Kiedy wróciłam do domu z cyfrową kopią filmu krótkometrażowego, który nakręciliśmy całą grupą, Jack obejrzała go ze stosownym entuzjazmem. Powiedziała nawet, że Serena ma talent. Ale kiedy przyszło co do czego, kiedy siedziałyśmy na moim łóżku pośród stosów CV, fotek i niepełnych list z różnymi kombinacjami obsady, nie chciała poprzeć Jaya i Sereny, a ja znałam przyczynę: byli po SSA. Byli nadętymi sprzedajnymi ćwokami. A zatem ja również taka byłam. Bolało.

– Nie jesteś lepsza tylko dlatego, że nie uczęszczałaś do SSA – powiedziałam.

– Wcale nie o to chodzi – odparła.

– Czyżby?

– Posłuchaj. Boję się, że wasza trójka stworzy coś w rodzaju wewnętrznej grupy, rozumiesz? Bo spędzicie razem trzy tygodnie. Będziecie gadać i opowiadać sobie żarty zrozumiałe tylko dla was.

Obawy Jack tak mnie zaskoczyły, że nawet nie mogłam jej winić.

– Tak nie będzie – odparłam. – Przysięgam. Wszyscy jesteśmy bardzo zajęci, każdy ma własne projekty, którymi musi się zajmować. Nie będziemy gadać o przeszłości, tylko o przyszłości.

To ją przekonało. Może nie całkiem, ale wystarczająco, by zaakceptowała ostateczną obsadę, z Sereną i Jayem w rolach głównych. I zgodnie z obietnicą żadne z nas nigdy nie wspominało o SSA. W każdym razie nie robiło tego na tyle często, żeby wkurzyć Jack.

Ewę, George’a, Tony’ego i Brooksa znalazłyśmy na improwizowanych przesłuchaniach zorganizowanych w audytorium naszego liceum dzięki pomocy pana Vargasa, nauczyciela od teatru. Eva Honeycutt była dopiero w drugiej klasie, ale znałam ją ze szkolnych przedstawień, które reżyserowałam. Dostawała role w rodzaju Dziewczyny z Kwiatami Numer 3 bądź Członkini Chóru, jakie tradycyjnie musieli odbębnić wszyscy uczniowie młodszych klas, nim staż pracy pozwolił im przejść na poziom gwiazd. Odbyłam jednak z Ewą sporo ćwiczeń na improwizację i wiedziałam, że ma talent na miarę głównej roli. Poza tym jest obdarzona idealną twarzą do roli Kitty – ma delikatne rysy, różane policzki i boski nosek. Pracuje jako modelka w reklamach lokalnych firm i to widać. Wie, jak ustawić podbródek i opuścić rzęsy, by uzyskać efekt maksymalnej słodyczy. Do tego ma uroczy wysoki głos. Żadna z pozostałych dziewczyn,

które wzięły udział w przesłuchaniu, nie potrafiła tak skutecznie uchwycić ujmującej naiwności Kitty Szczerbackiej.

George Connor to jeden z tych pretensjonalnych artystowskich dupków, o których wcześniej wspominałam, ale niech mnie, jest naprawdę profesjonalnym aktorem. Należy do znajomych Sereny ze SCAPA i już dwa razy poleciał do Londynu, by odwiedzić Królewską Akademię Sztuki. Przez cały czas zachowuje się niezwykle poważnie i ciągle pyta, czy może zmienić „linijkę lub dwie” w swojej roli, co oznacza, że naprawdę bardzo dużo improwizuje. Problem polega na tym, że nie mogę się na niego wściekać, ponieważ jego pomysły są naprawdę dobre. Nawet, muszę przyznać, lepsze niż oryginalny scenariusz. Kiedy włącza się kamera, George natychmiast zmienia się w dobrotliwego szczerego Lewina. Między nim i Evą jest idealna chemia. Wszyscy to widzimy. I dlatego wszyscy staramy się przymykać oko, kiedy zachowuje się jak palant, i śmiejemy się z niego tylko wtedy, kiedy nie ma go w pokoju.

Brooks Long jest na drugim roku studiów aktorskich na Uniwersytecie Kentucky. Jack i ja mocno się zdziwiłyśmy, kiedy przyszedł na przesłuchanie. Jasne, zostawiłyśmy ulotki w kampusie, ale nie wierzyłyśmy, że jakiś student zdecyduje się pójść na przesłuchania do szkolnego audytorium i potraktuje nasz projekt poważnie. Wiem, jak młodo wyglądamy i jak – by ukraść słowo z książek taty – ambitny wydaje się nasz projekt. Komicznie ambitny, gdyby tak spytać Jack i mnie, ile klasycznych powieści zdążyłyśmy adaptować na potrzeby filmu (zero), ile seriali internetowych wyreżyserowałyśmy (zero) i jakie mamy doświadczenie z lustrzanką cyfrową (bardzo mało).

Na szczęście Brooks dał nam kredyt zaufania. I na jeszcze większe szczęście, jest idealny do roli Stiwy. Zrobił z niego postać zmęczoną życiem, ale serdeczną, pełną wad, ale sympatyczną. Również poza kamerą Brooks jest profesjonalistą. Nigdy nie zostaje na imprezy po pracy, ale nie zachowuje się nieprzystępnie. Jest po prostu... starszy. Znajduje się po drugiej stronie dla nas na razie nieprzekraczalnej otchłani dzielącej ostatni semestr liceum od pierwszego semestru studiów.

W tym momencie Brooks stoi oparty o moją szafę i gawędzi z Klaudie. Pyta ją oczywiście o Vanderbilt, bo właśnie o tym rozmawiają studenci: o studiach. Przeglądam zapisane czerwonym flamastrem uwagi na dzisiejszym scenopisie – wskazówki na temat ustawienia postaci, kąta kamery, doboru świateł – i od czasu do czasu chwytam fragmenty ich rozmowy. Brooks pyta Klaudie, czy nie zastanawiała się nad studiowaniem aktorstwa jako kierunku dodatkowego, bo tak dobrze jej idzie. Klaudie odpowiada, że chce poświęcić całą energię studiom inżynierskim, ponieważ jest tak doskonała, że po prostu ma zbyt wiele talentów, w których może przebierać do woli.

W każdym razie to mniej więcej wynika ze słów Klaudie.

Czasem żałuję, że zaproponowałam ją do roli Dolly. Rok temu Klaudie nie była taką nudziarą. Rok temu, kiedy opowiedziałyśmy jej o naszym wspólnym pomysle, była autentycznie podekscytowana, poradziła, byśmy nie zastanawiały się za długo i nakręciły ten serial, zanim ktoś nas ubiegnie. A ja odparłam, że patrząc na nią, widzę Dolly, pełną poświęcenia i złamaną bólem żonę niewiernego Stiwy (który w wersji współczesnej nie jest niewiernym mężem, tylko niewiernym chłopakiem). Klaudie stwierdziła, że to

mogłaby być niezła zabawa, więc zajrzy na przesłuchania. I zaskoczyło. Ma dobry kontakt z Brooksem i pamięć jak komputer, wiem, że wyrecytuje swoje kwestie co do przecinka. Tak właśnie Klaudie dołączyła do naszej obsady.

Został jeszcze Tony Davis, nasz Wroński, którego *Nieszczęśliwe rodziny* obchodzą mniej więcej tyle, co fizyka jądrowa profesjonalnego gracza w golfa. Czyli raczej nie spędzają mu snu z powiek. Tony ma już wypełniony kalendarz. Chodzi na imprezy. Gra w zespole – który brzmi, jakby ktoś wrzucił gwoździe do robota kuchennego, ale jednak to zespół. Nigdy nie uczęszczał na zajęcia szkolnego kółka teatralnego, nie występował w szkolnych przedstawieniach. Nawet nie wiedziałam, że potrafi grać. Ale potem niespodzianie zjawiał się na przesłuchaniu w całym blasku, irokezie i skórzanej kurtce, i po prostu był hrabią Aleksym Kiryłowiczem Wrońskim. Idealny przykład obsadzenia roli po warunkach.

Tak oto powstał nasz wesoły zespół: siedmioro aktorów, dwie twórczynie. Dziewięcioro kompanów. Dokładnie jak Drużyna Pierścienia. No dobra, nie całkiem – tylko w moim umyśle. Sobie przyznałam rolę Gimlego, bo wiadomo: kto może równać się z Gimlim?

– Nie sądzisz, że powinniśmy zaczynać? Ktoś może zastąpić Evę.

Podnoszę wzrok znad scenopisu. Nade mną stoi George, ramiona skrzyżował na piersi.

– Będzie tu za chwilę – odpowiadam, zatykając flamaster.

– No tak, ale to nie fair, kiedy inni przychodzą na czas jak profesjoniści, a ona wszystko opóźnia.

To typowe zachowanie George’a – zawsze gada o profesjonalizmie i podkreśla, jak to nikt prócz niego nie ma o tym pojęcia. Zwykle mi to zwisa. Jak już wspominałam, to niewielka cena za jego dobre aktorstwo. Ale dzisiaj moje pokłady cierpliwości wyczerpują się szybciej. Umysł zajmuje w połowie scenariusz, a w połowie komentarze z mediów społecznościowych. W nocy śniło mi się, że czytam komentarze.

– George – mówię, przyciskając nadgarstki do czoła. – Po prostu...

– Dobra. Zaczynamy.

Rzucam Jack zdumione spojrzenie. Jack nigdy nie ustępuje George’owi. Ale sądząc po jej minie, tego ranka jej zasoby cierpliwości też są ograniczone.

– Okej, słuchajcie. – Jack nie krzyczy. Krzyczy tylko wtedy, kiedy się wścieka, nie w chwilach, gdy jest zadowolona czy podekscytowana, i na pewno nie wtedy, kiedy chce skupić na sobie uwagę zebranych. Jej głos zlewa się z innymi dźwiękami, brzmi jak monotonna recytacja książki telefonicznej. Nikt jej nie słyszy.

Ja nie mam takich problemów.

– Ludzie! – Wstaję i macham ramionami. – Hej, zaczynamy.

George siada na moim krześle przy biurku, z zadowolonym uśmiechem na twarzy, która aż się prosi o piąchę.

W pokoju zapada cisza, nie licząc jęklanych tonów dobiegających ze słuchawek Tony’ego, który unosi wzrok dotychczas wbity w podłogę i wyciąga słuchawki z pospiesznym „sorry”. Przez tę krótką chwilę udaje mi się rozpoznać piosenkę. Tony słuchał samego siebie. Własnej kapeli. Litości. Gdyby ludzkie ego mogło zmienić się

w balony napełnione helem, ten pokój oderwałby się od reszty domu i poszybował prosto na Księżyc.

Wszyscy na mnie patrzą. Odchrząkuję, szarpnię przeupoconą koszulkę. Żałuję, że nie zdążyłam wyskoczyć na korytarz i podkreślić klimatyzacji przed rozpoczęciem tej przemowy. Ale teraz już za późno, aktywowałam tryb publicznych wystąpień.

– Okej – zaczynam. – Zakładam, że wszyscy przeczytali mój mail i widzieli, co dzieje się w sieci. Tego ranka dobijamy do sześćdziesięciu pięciu tysięcy subskrybentów, prawdziwy obłęd. Właśnie do tego dążyliśmy: większa popularność, większe zaangażowanie fanów. Poza tym wygląda na to, że będziemy w stanie sfinansować kolejne projekty. Oczywiście jeśli zrobimy zbiórkę na Kickstarterze, pewną sumę przeznaczymy na wynagrodzenia za waszą dotychczasową pracę. Chcemy, żeby każdy coś z tego miał, ponieważ wiemy, jak to jest być splukanym artystą, i obie uważamy, że jeśli to tylko możliwe, należy płacić ludziom za poświęcony czas.

– Amen – mówi Brooks, puszczając do mnie oczko.

– Właśnie – podejmuję. – A więc będziemy dalej nagrywać, tak jak do tej pory. Wydrukowałyśmy ostateczny grafik pozostałych dni zdjęciowych. Przejrzyjcie go i porównajcie ze swoimi kalendarzami. Staraliśmy się uwzględnić wasze wyjazdy i dni wolne, co jednak oznacza kilka zajętych weekendów.

Przesuwam wzrokiem wzdłuż listy, którą stworzyłam dzisiaj rano.

– Przede wszystkim pamiętajcie, że Jack i ja zajmujemy się wszelkimi kontaktami w mediach społecznościowych. Nie chcemy, byście zawracali sobie tym głowę, poza tym łatwiej będzie kontrolować sytuację, odpowiadając na wszystkie pytania z konta Nowalijek. A więc gdyby ktoś przyczepił się do któregoś z was osobiście czy prosił o odpowiedź w jakiejś sprawie, odeślijcie go do nas.

Otwierają się drzwi i do środka wślizguje się Eva, posyłając nam skruszony uśmiech.

– Przepaaaaszam – mówi scenicznym szeptem, w ostentacyjny sposób przemyka na paluszkach i z rozkosznym wdziękiem przeskakuje przez Tony’ego.

– Powiedzmy to krótko i jasno – mówi Tony. – Twierdzicie, że mamy nie utrzymywać kontaktów z naszymi fankami? – Szczerzy się w ten sam sposób co na zajęciach z wiedzy o społeczeństwie, kiedy uda mu się rzucić jakąś niezwykle mądrą uwagę.

– Tak byśmy wołały – odpowiadam. – Nie chodzi o to, że wam nie ufamy czy coś w tym stylu, ale uwierzcie, zajmowanie się takimi rzeczami jest bardzo wyczerpujące. I wszyscy wiemy, jak łatwo o dziwne sytuacje w necie. Jeden źle zinterpretowany komentarz czy niepotrzebny szczegół zdradzający treść nadchodzących odcinków i mamy katastrofę.

– Brzmi sensownie – stwierdza Serena. – Cieszę się, że poruszyłaś ten temat. Znalazłam kilka wpisów na Twitterze, same miłe rzeczy. Ale wolę nie odpowiadać na pytania.

– Słusznie – odpowiadam. – I nie będziesz musiała. A propos pytań, macie jakieś? Serena podnosi rękę i mówi:

– To w sumie nie jest pytanie, ale czy widzieliście GIF-y krążące w sieci? Są

niesamowite! George i Eva, wszyscy mają obsesję na waszym punkcie. A może powinnam powiedzieć: na punkcie Kevina?

Zadowolony uśmieszek George'a objął również oczy. George odchyła się na krześle, które stoi teraz tylko na tylnych nogach, i wzrusza ramionami, jakby mówił: „Cóż ja poradzę, że jestem taki wspaniały?”.

Eva chichocze z zadowoleniem i oznajmia:

– Jestem fanką numer jeden Kevina.

– Idealnie się złożyło – stwierdza Jay. – Tuż przed sceną ze scrablami? Ludzie oszaleją.

Jay ma na myśli jeden z najbliższych odcinków, który nakręciliśmy w zeszłym tygodniu. Chodzi o scenę, w której początkowo odrzucony przez Kitty Lewin wraca i po raz drugi proponuje małżeństwo – tym razem ze szczęśliwym skutkiem. To scena pocałunku. I zgodnie z moimi oczekiwaniami, dzięki naszym wielkim wysiłkom, wyszła po prostu doskonale.

W *Nieszczęśliwych rodzinach* Lewin nie żyje z uprawy roli – jest studentem pierwszego roku rolnictwa. Kitty zaś nie jest bywalczynią salonów, czekającą na propozycję małżeństwa, tylko przyjaciółką Lewina z dzieciństwa i profesjonalną baletnicą. A Lewin, rzecz jasna, nie prosi jej o rękę, lecz zaprasza na randkę. W książce godzą się za pomocą gry słownej, z użyciem tabliczki i kredy. Wymyśliłam, żeby zastąpić użycie tych akcesoriów nieporadną grą w scrabble. Jack pokazała mi obrobione nagranie, wypadło po prostu uroczo. Jak zauważył Jay, złożyło się idealnie. Nic tak nie cieszy tłumów jak scena miłosna między parą ulubionych bohaterów.

I nagle mówię coś, czego wcześniej sobie nie zapisałam:

– Ludzie. Jestem naprawdę, szczerze podekscytowana.

Odpowiadają mi szerokie uśmiechy i uniesione kciuki. Ten pokój jest naładowany energią. Dosłownie ją widzę – błyskawice neonowego różu, zieleni i błękitu. Poczucie, że coś się dzieje. Coś wielkiego, niewiadomego i pozostającego poza kontrolą. Wspaniałego i przerażającego – przewspaniającego. Tak pewnie zawsze wygląda kręcenie filmów. Ekscytująca niepewność castingów. To niesamowite uczucie, kiedy napisane przez nas dialogi wychodzą z ust aktorów, a potem zmieniają się w spójny szereg nagrań. Nic nie może się z tym równać.

– Nie wolno nam pójść drogą zespołów rockowych – stwierdza Tony ze swojego miejsca na podłodze. – Nie możemy pozwolić, by sława nas poróżniła czy wtrąciła do piekła uzależnień. Nie wolno nam też sprzedawać się wzajemnie do tabletołów.

Wszyscy chichoczą. Wszyscy prócz George'a, który pyta:

– Możemy wreszcie zacząć?

– Aha – odpowiadam. – Do pierwszej sceny potrzebni nam są Lewin, Kitty, Dolly i Stiwa. Będziemy w salonie. Reszta może poprzeglądać scenariusz albo przekąsić coś w kuchni. O dwunastej trzydzieści robimy przerwę na pizzę.

Zwracam się do Jack:

– Światła gotowe?

Niepotrzebnie pytam. Ona zawsze jest przygotowana.

Jack w skupieniu ustawia reflektor, kierując go na aktorów. Wykonujemy

wszystkie rutynowe czynności związane z przygotowaniem: sprawdzić balans bieli, sprawdzić poziom dźwięku, sprawdzić kadr. Potem Jack podnosi klaps i pac, scena ożywa.

Oficjalnie jestem reżyserką *Nieszczęśliwych rodzin*, ponieważ uznałyśmy z Jack, że lepiej wyznaczyć jedną osobę, do której aktorzy będą się zwracać z pytaniami o interpretację czy ruchy. Decyzja ta oznacza również, że Jack może montować materiał z dużą dozą obiektywizmu, ponieważ to nie ona odpowiada za całość. Dzisiaj się nie przepracuje. Żadnych zapomnianych linijek, żadnych fałszywych intonacji, żadnych wpadek. Nasi aktorzy radzą sobie znakomicie od pierwszego podejścia.

Po upływie godziny Jack proponuje krótką przerwę, by sprawdzić nagranie dźwięku. Idę do kuchni, gdzie znajduje się punkt z przekąskami, by przygotować talerz krojonych marchewek. Zastaję Tony'ego i Jaya w środku zaciętej kłótni.

Jay potrząsa plastikowym widelcem przed nosem Tony'ego i wrzeszczy:

– Jeśli ona umrze, to będzie twoja wina! Nie zapominaj o tym: to ty jesteś, kurwa, winien.

– Nie umrze – odpowiada Tony, blady jak ściana. – Nie umrze.

Zastygam w drzwiach. Tony i Jay stoją obok lodówki naprzeciw siebie, bardzo blisko, spięci i gotowi do walki. Tony wyciąga ramiona w stronę Jaya. Wiem, że tylko powtarzają role, nie mogę jednak otrząsnąć się z wrażenia, że w ich zachowaniu jest coś autentycznego.

– Tylko się nie pozabijajcie, zanim zaczniemy kręcić – mówię, podchodząc do blatu.

Podskakują w miejscu. Jay opuszcza widelec i robi krok do tyłu. Tony się śmieje. Ma wspaniały śmiech – chrypliwy, swobodny i zawsze nieco autoironiczny.

– Nie mogę niczego obiecać – mówi. Wyciąga rękę i zanurza palec wskazujący w misce z dressingiem stojącym na tacy z warzywami.

– Jezu, Tony! – drę się, dając mu po łapie. – To obrzydliwe.

Wiem, że reaguję dokładnie tak, jak on chce, ale poważnie, obowiązują pewne zasady higieny, których się nie łamię. Jak tego rodzaju zachowania uchodzą mu na tych wszystkich eleganckich przyjęciach? Może wszyscy są tak pijani, że tego nie dostrzegają?

Biorę garść marchewek, a Tony mówi:

– Wszystkie oblizałem.

Rzucam mu spojrzenie pod tytułem: „Wiem, że cię na to nie stać”, i przegryzam jedną z marchewek na pół.

– Wchodzicie za dziesięć minut. Gdzie Serena? – pytam.

– W twoim pokoju – odpowiada Jay. – Stwierdziła, że ją rozpraszamy, i poszła na górę.

Nietrudno uwierzyć. Nawet gdyby nie przeszkadzały jej wrzaski, to napięcie między Jayem i Tonym z pewnością tak. Jakaś część mnie pragnie popchnąć ich ku sobie z okrzykiem: „Natychmiast się pocałujcie!”. Ale inna część nie zapomniała, że Tony i Jack zaledwie kilka miesięcy temu byli parą.

Przypuszczam, że nawet teraz, po ich zerwaniu, Jay nie zdobędzie się na odwagę. I wcale nie dlatego, że Tony jest poza zasięgiem – na szkolny bal przyszedł z facetem –

ale ponieważ Tony chodził z Jack, a wszyscy troje współtworzą nasz serial. To się chyba nazywa „rozdźwięk w szeregach”. Czuję się jak w dziewiątym sezonie opery mydlanej – twórcom skończyły się świeże pomysły i zaczynają łączyć w pary każdego z każdym.

Idę na górę. Drzwi są uchylone, lekko pukam i je popycham. Serena siedzi nad scenariuszem, ma zamknięte oczy i w skupieniu przyciska palce do skroni.

– Hej – mówię cicho. – Za dziesięć minut twoja scena.

Serena unosi głowę, nieco roztargniona, i uśmiecha się szeroko.

– Dzięki.

Już zamykam drzwi, kiedy słyszę:

– Tash?

– Tak?

– Zabrzmi to pewnie trochę kiczowato, zapomnij, jeśli chcesz, ale, yyy... naprawdę strasznie się cieszę, że się poznałyśmy.

– Ja też.

Serena wzrusza ramionami, wciąż szeroko wyszczerzona.

– Mam poczucie, że robimy coś naprawdę niepowtarzalnego, wiesz?

Kiwam głową.

Tak. Jasne, że wiem.

Kręcimy do jedenastej – godzinę dłużej, niż zamierzaliśmy, ale nikt z nas nie miał innych planów na ten wieczór, poza tym panuje atmosfera ogromnej ekscytacji. Rodzice posłusznie wycofali się do swojego pokoju z pudełkami chińszczyzny na wynos, więc mamy przestrzeń do działania. Dzisiaj był wyjątkowy dzień, wszyscy aktorzy na planie, kręciliśmy sceny z całą lub niemal całą obsadą. Udało nam się zrobić cztery ważne odcinki.

W ciągu nadchodzących tygodni wrócimy do zwykłego grafiku, który zwykle wymaga obecności jedynie Lewina i Kitty wymiennie z Anną i Wrońskim, czyli czterech głównych postaci. Przeważnie kręcimy z Jack dwa tygodnie wcześniej, co znaczy, że teraz Jack umieszcza w sieci odcinki nakręcone w połowie maja. Grafik jest napięty, musi uwzględniać wakacje aktorów, szkolne przedstawienia i inne zobowiązania, ale zaplanowałam wszystko szczegółowo w Excelu, co Jack określiła „pokazem czystej paranoi”. Zgodnie z grafikiem, już dopiętym na ostatni guzik, kręcenie serialu potrwa do pierwszego weekendu sierpnia.

Budzę się o pierwszej w nocy, w żołądku mam kwaśnego potwora. Zjadam miskę znalezionej w lodówce ryżu kokosowego i oglądam Netflixa, w nadziei, że jaskrawe światło zmęczy mi oczy. Nic z tego. Dopiero godzinę później udaje mi się wyłączyć mózg, a kiedy budzę się rano, czuję mdłości i boli mnie głowa, skóra jest napięta i mrowi.

To mój pierwszy dzień w pracy. Z wysiłkiem zwlekam się z łóżka, stoję przed lustrem w łazience i stwierdzam, że moje włosy nie są aż tak znowu tłuste, więc wystarczy, jeśli zwiążę je w koczek, co oznacza, że wolno mi jeszcze trochę pospać. Wracam do łóżka na dziesięć minut. Jedenaście. Dwanaście. W końcu dochodzę do bardzo smutnego wniosku, że jeśli chcę zebrać oszczędności na prywatne studia, nie mogę zrezygnować z pracy.

To już moje trzecie lato w Old Navy w centrum handlowym. Nudna praca, ale dostajemy niezłe zniżki i lubię większość współpracowników.

– Hej, Ethan – rzucam w stronę Ethana Shorta, studenta Uniwersytetu Kentucky, który pracuje tutaj od sierpnia zeszłego roku. Zwykle milczy, ale jakoś się dogadujemy.

Kieruję się na zaplecze, żeby zostawić plecak w kanciapie. Sprawdzam telefon ostatni raz przed siedmiogodzinnym całkowitym brakiem kontaktu ze światem zewnętrznym. Przyszła wiadomość od Thoma. Nie, dwie wiadomości od Thoma.

Pozostałości tostów, które zjadłam na śniadanie, rozkładają skrzydła i zaczynają fruwać po moich wnętrznościach.

Chociaż wymieniliśmy się numerami ponad tydzień temu, żadne z nas do tej pory nic nie napisało. Pewnie oboje staraliśmy się zachować obojętność i dowieść, że nie jesteśmy natrętami, którzy nieustannie muszą pisać do siebie na najbanalniejsze tematy. Ale w ostatni weekend zaczęłam się trochę martwić. Czyżby Thom zmienił zdanie? Może jednak nie przejdziemy na kolejny poziom – czymkolwiek on jest. Może właśnie skomplikowaliśmy sytuację. Może jednak będziemy tylko pisać maile, jakby wymiana numerów nigdy nie miała miejsca.

Ale nie. W dwóch krótkich wiadomościach Thom skutecznie uspokoił mój

wzburzony umysł.

Raz dwa raz dwa trzy, próba mikrofonu.

(Tu Thom. W razie gdybyś jeszcze mnie nie dodała).

W razie gdybym go nie dodała. Cha. Nie, nie musi zaraz wiedzieć, że dodałam go do kontaktów w chwili, kiedy przysłał mi swój numer. Gapię się na wiadomości i próbuję wymyślić odpowiedź. Piszę:

HEJ! Tu Tash, czytam cię głośno i wyraźnie.

Marszczę brwi i kasuję wykrzyknik. Wykrzyknik po wersalikach to zbyt wiele entuzjazmu naraz. Potem zaczynam się zastanawiać nad drugim zdaniem. Zbyt oczywiste. Jasne, że to ja, że widzę wiadomości od niego. Może powinnam skrócić. Może wystarczy samo „hej”. Wersalikami. Bez wykrzyknika. Uderzam w ekran, by wprowadzić zmiany, ale niechący wysyłam wiadomość.

Niech to.

Mam nadzieję, że będzie dzisiaj mnóstwo koszul do złożenia. Potrzebuję zająć umysł jakąś mechaniczną czynnością.

Kiedy wchodzę do domu, Klaudie ogląda na DVD *Taniec z gwiazdami*. Zatrzymuje płytę i spogląda w moją stronę.

– Hej – mówi.

– Co tam? – pytam, wchodząc do pokoju z torebką groszku o smaku wasabi. Opadam na sofę obok siostry i podsuwam jej otwartą torebkę.

Klaudie kręci głową. Ma tę swoją śmieszna minę, jakby chciała kichnąć.

– Dlaczego tak wyglądasz? – pytam.

– Jak?

Wydaje się urażona, co mnie wkurza, więc mówię:

– Jakbyś miała zatwardzenie.

Mina Klaudie zmienia się z zabawnej na totalnie wstrętą.

– Musimy porozmawiać.

– Okej. – Rozgryzam groszek. – Mów.

– O Boże, Tash, czy mogłabyś przez chwilę nie jeść. To chrupanie jest obrzydliwe.

Mrużę oczy. Umieszczam drugą połówkę groszku w ustach i rozgryzam tak ohydnie, jak tylko potrafię. Nie jestem z siebie szczególnie dumna, lecz takie są zasady siostrzeństwa. Jeśli Siostra Numer Jeden mówi coś niemiłego, Siostra Numer Dwa musi się odwdzięczyć jeszcze bardziej niemiłą repliką i tak aż do chwili, gdy obie strony poczują się okropnie i stan ten potrwa do następnego dnia, kiedy to będą zachowywać się tak, jakby ów incydent nigdy się nie wydarzył.

Ale ponieważ nie chcę zmieniać naszej dyskusji w kłótnię, zwijam torebkę i kładę ją na podłodze. Splatając ramiona na piersi, pytam:

– Zadowolona?

– Ależ to niedojrzałe – odpowiada Klaudie.

– To miałaś mi do powiedzenia?

– Nie... Sama nie wiem, jak to powiedzieć.

– Po prostu powiedz. No co?

I Klaudie wyrzuca z siebie bardzo szybko:

– Nie mogę dalej grać w *Nieszczęśliwych rodzinach*.

Wlepiam w nią wzrok. Moja twarz jest obojętna i nieruchoma. Właściwie chyba jej nie czuję. Torba z groszkiem rozwija się, wydając przenikliwy szelest.

– Że co? – pytam.

– Już od jakiegoś czasu chciałam ci to powiedzieć. Jeszcze przed Taylor Mears. Myślałam o tym i... nie mogę poświęcić tylu godzin na kręcenie serialu. Zgłosiłam się jako wolontariuszka na obóz dla studentów inżynierii na Uniwersytecie Kentucky, a to wymaga sporo czasu, więc gdybym miała się jeszcze zajmować serialem... Chcę mieć trochę wolnego, pobyć z przyjaciółmi. To moje ostatnie lato w Lexington. Chciałabym się nim nacieszyć.

Powoli kręcę głową.

– Ale lubisz pracę na planie.

Klaudie wypuszcza powietrze.

– Nie twierdzę, że nie. Tak, lubię. Ale inne rzeczy lubię... bardziej.

– O. Jasne. Na przykład Ally i Jennę.

– Tak, na przykład Ally i Jennę. To moje najlepsze przyjaciółki, a wkrótce się rozejdziemy i chciałabym przeżyć to lato bez zbyt wielu stresów i terminów. Bardzo mi przykro, wiem, że ten projekt wiele dla ciebie znaczy, ale moja rola i tak jest przecież niewielka, więc...

– Właśnie – wtrącam. – Niewielka. I niewiele dni zdjęciowych. W sumie tylko dziewięć. Praktycznie tyle co nic.

– To pełne trzy weekendy. Jedna trzecia mojego lata. Decyzja nie przyszła mi łatwo, ale muszę odejść, teraz. Muszę zrobić to, co dla mnie najlepsze.

Nie mogę na nią spojrzeć. W tym momencie nie mogę spojrzeć na moją siostrę. Zamiast tego wbijam wzrok w telewizor. Na ekranie blondynka w migotliwej różowej sukni tańczy z mężczyzną przystrojonym w stosowną różową muchę. Z wściekłością stwierdzam, że mam łzy w oczach.

– A więc to jest dla ciebie ważniejsze. Głupi obóz i durne Ally i Jenna. Ja się nie liczę.

– Chodzi tylko o serial, nie o ciebie, Tash. – Głos Klaudie brzmi zaskakująco łagodnie. – Wiem, że w tym momencie uważasz mnie za ostatnią sucz, ale naprawdę jest mi przykro. Przejrzałam wszystkie sceny z moim udziałem. Nie będzie tak trudno mnie wyciąć.

W odpowiedzi ciskam jej w twarz:

– Nie masz pojęcia, ile pracy trzeba poświęcić na zaplanowanie dni zdjęciowych. Ile pracy włożyłyśmy w scenariusz. To wszystko nie jest takie proste. Nie możemy ot, tak cię wyciąć. Z Dolly wiąże się mnóstwo rzeczy. Mnóstwo kwestii. Rozwój postaci. A co z Brooksem? Pomyślałaś o nim? Większość jego scen odbywa się z twoim udziałem. Co teraz mamy z nimi zrobić, też je wywalić? To by znaczyło, że Brooks będzie występował o połowę krócej.

– Nie musisz na mnie krzyczeć. – Klaudie obejmuje kolana, przyciska je do klatki piersiowej, a mnie potwornie wkurza, że robi z siebie ofiarę. – Powiedziałam, że mi przykro. Po prostu nie mogę teraz w tym uczestniczyć.

– Po prostu nie chcesz. Jesteś potwornie samolubna, wiesz o tym? Nawet nie potrafisz podać sensownych argumentów za swoim odejściem.

– Mam...

– A, jasne, wybaczone. Masz poważne powody. Chcesz „nacieszyć się latem” – mówię z odrazą. – Jakby kręcenie z nami filmu było jakimś koszmarem.

– Cóż, czasem jest.

– Że co proszę?

Utkwione w oddali spojrzenie Klaudie robi się ostre.

– Powiedziałam: „czasem jest”. Czasem robisz z tego prawdziwy koszmar. Stajesz się nerwowa, skupiasz się na szczegółach technicznych, chcesz koniecznie zrobić jak najlepsze ujęcie i zapominasz, że niektórzy z nas są twoimi przyjaciółmi. Zapominasz, że jestem twoją siostrą.

– Chodzi ci o niedzielę? O to, że poprawiłam twoją kwestię? Poprawiałam wszystkich.

– Nie, nie o to mi chodzi. To... – Klaudie potrząsa głową i wydaje jęk rozpaczony. – Już ci mówiłam. Widocznie według ciebie nigdy nie dostarczę odpowiednich argumentów, więc po prostu się z tym pogódź, okej? Odchodzę.

Kręcę głową. Kręcę i kręcę, i kręcę.

– Jesteś naprawdę niemożliwa.

Ale Klaudie co do jednego ma rację: nigdy nie dostarczy odpowiednich argumentów, które mogłyby usprawiedliwić tę zdradę. Nie zniosę nawet sekundy dłużej w jednym pomieszczeniu z tą osobą. Chwytam torbę z groszkiem i wybiegam.

– Jeśli chce odejść, to nic nie poradzimy.

Głos Jack w telefonie brzmi spokojnie, na granicy znudzenia. Próbuję się nie denerwować. Jack zawsze wydaje się znudzona, nawet kiedy opowiada o chłopakach, którzy jej się podobają, czy ulubionych kapelach.

– Zobowiązała się – mówię. – Złożyła obietnicę!

– Aha, a teraz ją złamała. Takie jest życie. Zdarza się. Musimy pomyśleć, jak wyciąć ją ze scenariusza, a jednocześnie zostawić Brookswi przyzwoitą ilość tekstu.

Wbijam wzrok w światełka zawieszane na ramie od łóżka, aż moje oczy robią się wilgotne i zamglone.

– Ale jestem wkurzona – mówię.

– Cóż, masz prawo. Ale to Klaudie. Nie zmieni zdania, więc musimy się z tym pogodzić.

– Nie sądzisz... – zaczynam, ale nie kończę.

– Co?

– Że to będzie miało zły wpływ na resztę? Jak jedna odejdzie, to może zaraz wszyscy się ulotnią?

– Na pewno nie. Widziałaś ich wczoraj? Są tak samo podrajani jak my. Serial stał się głośny, to coś konkretnego, co można umieścić w CV. Klaudie nie jest aktorką, więc tego nie rozumie. Ale nikt więcej nie odejdzie, zapewniam. Byliby idiotami.

Przypominam sobie wczorajsze słowa Sereny: „Mam poczucie, że robimy coś naprawdę niepowtarzalnego”.

- Aha – mówię. – Może i tak.
- Co tam sływać w twojej części internetu?

Jack ma na myśli naszą listę zadań do wykonania. Od postu Taylor Mears minął ponad tydzień, liczba subskrypcji i odsłon nadal rośnie, ale w znacznie wolniejszym tempie. To samo w mediach społecznościowych. Ludzie wspominają o nas, fani są aktywni, ale już łatwiej to wszystko ogarnąć. Na wypełnienie obowiązków z mojej części listy codziennie poświęcam około godziny.

– W porządku – odpowiadam. – Mnóstwo miłych komentarzy. W nocy retweetowałam trochę rzeczy.

Nie wspominam o liczącym pięć akapitów mailu z podziękowaniami, który wysłałam do Taylor Mears. Z perspektywy czasu stwierdzam, że może trochę przesadziłam. Chyba zbyt wiele razy użyłam słowa „wspaniale”.

– Żałuję, że nie możemy zatrudnić asystenta, poważnie – mówi Jack. – Zająłam się taką, a nie inną dziedziną, bo myślałam, że uniknę interakcji z ludźmi. A to jest interakcja. Z ludźmi. Nie przepadam.

Uśmiecham się do telefonu. Jack często odczuwa potrzebę, by mi przypomnieć, że jest mizantropką.

– Skoro mowa o zakończeniach i porzucaniu pracy – mówię – muszę ci coś powiedzieć.

– Tash. Jeśli teraz mnie zostawisz, to przysięgam...

– Zamknij się i posłuchaj, dobra? Postanowiłam zawiesić vlog. Chyba nie dam rady kręcić serialu, zajmować się mediami społecznościowymi, chodzić do pracy i jeszcze przygotowywać materiału na vlog. Z czegoś trzeba zrezygnować.

– Cha. No tak, to chyba sensowna decyzja. Zawsze możesz do niego wrócić, kiedy sprawy się uspokoją.

– Tak właśnie zamierzam – odpowiadam, chociaż czuję bolesne ukłucie pod żebrami. Miałam nadzieję, że Jack będzie mi to odradzać, przynajmniej trochę. Że powie coś w rodzaju: „Och, ale wszyscy uwielbiają *Herbatkę z Tash!*”.

Ale zawieszenie vloga to jedyne rozwiązanie i nie zmieniałabym zdania, nawet gdyby Jack protestowała.

– Dobra – mówi. – Wracam do twarzy Sally.

Może dziwnie to brzmi, ale w ustach Jack nie jest niczym zaskakującym. Kilka lat temu Jack zaczęła tworzyć gliniane figurki inspirowane filmami Tima Burtona i sprzedawać je w sieci. Jest w tym naprawdę dobra i sprzedaje ponad dziesięć tygodniowo. A odkąd już nie śpiewa z Tonym na kanale *Echo Boomers*, poświęca swojemu sklepowi na Etsy naprawdę dużo czasu.

Również reaguję zgodnie z normą i serwuję Jack wyjątkowo słabe wykonanie *Piosenki Sally z Miasteczka Halloween*.

– „W powietrzu drżącym czuję coś...”

– Jezu, Tash.

– „Co łamie serce, dusi głos...”

– Rozłączam się.

I się rozłącza.

Nie chcę powtórki z poprzedniej niespokojnej nocy, więc schodzę do kuchni, by przyrządzić sobie herbatę rumiankową – w specjalnej sypanej wersji, przysłaną z Auckland przez babcię Young przed ostatnią Gwiazdką. Gra telewizor, rzadkość po dziesiątej wieczorem. Włączam czajnik elektryczny i zaglądam do pokoju. Światła są wyłączone, na ekranie leci czarno-biały film z Bette Davis, głos jest przyciszony. W migoczącym blasku widzę mamę, która siedzi skulona na sofie. Nie patrzy w telewizor, tylko gdzieś w lewo, na ścianę. I płacze.

Zasycha mi w gardle. Jestem przyzwyczajona, że płacze zawsze określonego dnia w roku – czternastego stycznia, czyli w dniu, kiedy opuściła Nową Zelandię i przyjechała do Stanów. Ale taki widok zupełnie zwyczajnego wieczoru jest niespodziewany i... niepokojący.

Woda zaczyna się gotować. Mama podnosi wzrok, dostrzega mnie stojącą w drzwiach. Uśmiecham się słabo i próbuję wymyślić, co by tu powiedzieć.

– Tasha. – Ociera oczy i przywołuje uśmiech na twarz. – Nie zauważyłam cię.

– Robię herbatę.

– Mmm. Mhmm.

– Chcesz też? – proponuję. Pierwsza rozsądna rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Mija długa chwila. Mama odzyskuje normalny głos i w końcu odpowiada:

– Chętnie, dziękuję.

Kiwam głową i przemykam do kuchni. Czajnik się wyłącza. Odmierzam herbatę do dwóch sitek, wlewam wrzątek do kubków i wracam do pokoju. Jeden kubek podaję mamie i moszczę się obok niej na sofie.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć, więc po prostu siedzę obok niej. Obie sączymy herbatę, a Bette Davis wypełnia ekran swymi wielkimi oczami i niezachwianą pewnością siebie. Kilka minut później, kiedy zdążyłam wysączyć rumianek do dna, mama mówi bardzo cicho:

– Tęsknię za nimi.

Wiem, że to nie jest proste stwierdzenie faktu, ale wyznanie. Nawet teraz, dwadzieścia lat później, mama czuje ból równie żywo jak tamtego dnia, kiedy opuściła dom rodzinny, by zamieszkać na drugiej półkuli. Zdaję sobie sprawę, że jest na siebie zła. Uważa swoje uczucia za oznakę słabości. Ja jednak nie myślę, że są wynikiem niewystarczająco intensywnej medytacji czy zbytniego przywiązania do świata materialnego. Moja matka jest także córką. Jest człowiekiem i ma uczucia, i różne głębokie rany, które nigdy się nie zagoją.

Mama była – i jest nadal – mocno związana z rodzicami. Nie ma rodzeństwa, ją i dziadków łączyły więzi tak silne, jak to tylko możliwe w rodzinie. Na studiach zdobyła semestralne stypendium na zagranicznej uczelni. Pisała pracę na temat dialektów używanych na południu Stanów Zjednoczonych, nie mogła nie skorzystać z tak wspaniałej okazji. I wyjechała, a potem spotkała mojego tatę i nagle okazało się, że zostanie dłużej. I jeszcze trochę dłużej, i jeszcze... Żeby studiować. Żeby zrobić doktorat. Poślubić Jana Zelenkę. Założyć rodzinę. Z tego, co mówi, nie żałuje swojej decyzji. Kocha tatę i nasze życie w Lexington. Ale kochała też swoje życie w Auckland. A wyjeżdżając, nie wiedziała, że nie wróci tam przez kolejnych osiem lat. To było trudne

dla jej rodziców i trudne dla niej, i chociaż co tydzień rozmawiają na Skype, to jednak nie to samo.

Rozumiem. Mnie też byłoby trudno, gdybym musiała zostawić to wszystko – mamę, tatę, Jack, Paula, wszystkie ulubione miejsca. I będzie mi trudno, kiedy wyjadę na studia.

Mama opiera głowę o moją. W tym momencie nie jesteśmy matką i córką, raczej jedną nienazwaną całością. Zwierzyła mi się jakiś rok temu, że wie, iż nie osiągnie oświecenia w tym życiu. Nie ma takiej możliwości, ponieważ wyjazd z Auckland i rozstanie z rodziną zostawiły w jej wnętrzu ból, którego nigdy nie zdoła się pozbyć i nad który nigdy nie zdoła się wznieść. Nie zgadzam się. Przeciwnie, uważam, że ponieważ tyle wycierpiała w obecnym życiu, zasłużyła na coś lepszego w przyszłym. Wiem, że ta perspektywa nie do końca jest zgodna z naukami, które słyszałam w miejscowym ośrodku zen, ale nie mogę zaakceptować, że moją mamę miałyby spotkać duchowy regres tylko dlatego, że znalazła się kilka tysięcy kilometrów od domu rodzinnego.

Milczę. Moje palce są ciepłe od kubka z herbatą. Nagle czuję, że po moich włosach spływa coś ciepłego. Dotykam ich. Mama płacze niezwykle cicho.

– Kocham cię, mamó – mówię.

Bette Davis zstępuje po schodach w oszałamiającej satynowej sukni i diamentach.

Kolejna porcja gorących łez moczy mi włosy. Zasypiam i budzę się znacznie później, zwinięta na sofie, mama przykrywa mi nogi kocem. Udaję, że śpię, i po chwili staje się to prawdą.

Rano idę na górę i zamykam się w swoim pokoju. Włączam laptop i klikam w dokument z ostateczną wersją scenariusza zatytułowany *NR 15.2*. Spokojnie i skutecznie wycinam wszystkie kwestie Klaudie.

Następnego dnia znów jestem w pracy. Mijają kolejne godziny, czasem wpadnie jakiś klient, dla zabicia czasu rzucamy z Ethanem piłką. W tle leci przyjemna składanka remiksów piosenek popowych i pogodnych starych przebojów w rodzaju *Walking on Sunshine* i *Ain't No Mountains High Enough*. Poranek raczej nudny, ale wychodzę z pracy w dobrym humorze, po drodze zatrzymuję się w części restauracyjnej i kupuję niebieski mrożony napój o smaku malinowym. Potem siadam na ławce i czytam kolejną porcję wiadomości, które przysłał Thom podczas mojej zmiany.

Okazuje się, że mój tekst „czytam cię głośno i wyraźnie” wcale nie przyniósł mi hańby i potępienia. Thom odpowiedział niewinnym ŚWIETNIE i jakoś tak się złożyło, że zaczęliśmy pisać na temat jedzenia. Thom właśnie odkrywa zalety bubble tea i bardzo się dziwi, że nigdy nie próbowałam tego napoju.

Jestem w szoku, Tash. Totalnie w szoku.

Póki tapiokowa kuleczka nie wybuchnie ci w ustach, nie jesteś w pełni człowiekiem.

Nie wiedziałem, że Kentucky jest AŻ TAK zacofane.

Ostatnia wiadomość sprawia, że czuję się urażona. Wiem, że Thom żartuje (a może flirtuje?), ale nie lubię, kiedy ktoś wygłasza pogardliwe uwagi na temat mojego miejsca zamieszkania. Jakbym żyła w głębi lasu, nosiła czapkę z futra szopa pracza i gadała jak jeden z tych walniętych myśliwych z *Dynastii Kaczorów*. Tak, Thom pochodzi z L.A., czyli jest fajniejszy, ale nie żyjemy na początku dziewiętnastego wieku, kiedy to wszelkie nowinki docierały w głąb kraju z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem. Żyjemy we wspaniałym wieku dwudziestym pierwszym, trendy panujące w Lexington są zaledwie o sezon do tyłu w stosunku do dużych miast i wszyscy uczą się mówić ze standardowym akcentem ze Środkowego Zachodu, którym posługują się spikerzy w wiadomościach.

Odpisuję: *Bubble tea istnieje na rynku od dawna, i WIEM, CO TO JEST. Po prostu nigdy jej nie zamawiam.*

Potem dodaję: *Wolę frappe.*

To tak w razie gdyby Thom chciał mnie gdzieś zaprosić, kiedy wreszcie się spotkamy. I wcale nie piszę w myślach scenariusza. Wcale sobie nie wyobrażam, jak zabiera mnie do Starbucks, gdzie zatapiamy się w rozmowie na całe pięć godzin. Jak wysiorbuje resztki mrożonej kawy, ale w taki uroczy sposób. Albo jak, kiedy w końcu wychodzimy, ponieważ zamykają, od niechcienia obejmuje moje plecy ramieniem i szepcze: „Ale się cieszę, że tu jesteś”.

Tak jakbym mogła sobie wyobrażać. Cha.

Moje serce podskakuje, bo Thom przysyła kolejną wiadomość: *Leee. Poważnie? Frappe? To jak appletini świata kawy.*

Odpisuję: *A ty co zamawiasz? Pewnie jesteś purystą. Wyłącznie potrójne espresso.*

Thom odpowiada: *Gust trzeba wyrabiać. Nie martw się, dojrzejesz do tego.*

Marszczę brwi, zarówno z powodu jego tekstu, jak i zbyt dużego łyku, od którego zamarza mi mózg.

Może Thom flirtuje, ale jeśli to ma być flirt, to ja raczej podziękuję. Nie mam ochoty bronić swoich upodobań w dziedzinie napojów i nie podoba mi się, że Thom

traktuje mnie jak naiwną dziewczuszkę. To nie jest fajne, tak zachowują się wstrętnei starsi bracia.

Chociaż nie tacy jak Paul. Owszem, kłóci się z Jack, ale nigdy nie słyszałam, żeby jej dokuczał. Przypuszczam, że ma to związek z tym, że w podstawówce dzieciaki strasznie go dręczyły. W końcu zrobiło się tak źle, że rodzice zatrzymali go w piątej klasie – złe wyniki miały na to wpływ tylko częściowo.

Paul.

Chciałabym z nim porozmawiać o Klaudie. Zadzwoiłam do Jack w nadziei na współczucie. Bardzo niemądrze z mojej strony. Jack nie obdarza współczuciem, ale Paul tak. I doskonale mu to wychodzi. Postanawiam, że później wpadnę do Harlowów, jak tylko nakręcę na vlog materiał, w którym ogłoszę przerwę. Jack pracuje wtedy w Petco, więc na kilka godzin będę miała Paula wyłącznie dla siebie. Dawno nie spotykaliśmy się tylko we dwoje.

Postanawiam również, że nie odpowiem na kolejny esemes Thoma. Ewentualnie później.

– Hej wszystkim! Wiem, że to nagranie pojawia się dość późno, za co bardzo przepraszam. Jak zapewne większość z was wie, nasz serial internetowy *Nieszczęśliwe rodziny* zyskał w zeszłym tygodniu ogromną popularność i nagle sprawy nabrały szalonego tempa. Ale w dobrym znaczeniu! Ponieważ razem z Jack pragniemy dostarczać wam materiał najwyższej jakości, postanowiłam na jakiś czas zawiesić *Herbatkę z Tash* i skupić całą energię na *Nieszczęśliwych rodzinach*. Będzie mi brakowało dzielenia się z wami herbatą i rozmów, ale mam nadzieję, że powrócę z serią całkiem nowych odcinków jesienią, kiedy zakończymy zdjęcia do...

Krzywię się. Czuję, że zbyt wiele razy powtórzyłam tytuł *Nieszczęśliwe rodziny* jak na tak krótki filmik. Sięgam za kamerę i przerywam nagrywanie. Może mogłabym powiedzieć: „Kiedy zakończymy zdjęcia do naszego serialu”. Brzmi jakoś czyściej.

To nagranie jest potrzebne. Nie mogę porzucić vloga bez słowa wyjaśnienia, inaczej subskrybenci pomyśleliby, że Jack i ja nie poświęcamy się wystarczająco naszym projektom. Ale właściwie zastanawiam się, czy kogoś to w ogóle obchodzi. Ostatnio wszystkich interesują tylko *Nieszczęśliwe rodziny* oraz idealna para Kitty plus Lewin. Przypuszczam, że jutro, kiedy Jack zamieści odcinek ze sceną pocałunku, rozpęta się szaleństwo. A moje obwieszczenie zaginie w wielkim zamieszaniu.

Wcale nie jestem zazdrosna o własny serial. Po prostu bardzo lubię kręcić *Herbatkę z Tash*. Mój vlog jest prosty i może nieco powierzchowny, zgadza się, ale właśnie dlatego taki zabawny. Nie muszę kręcić sceny piętnaście razy, by wydobyć z aktorów odpowiedni ton czy uzyskać idealne oświetlenie i kąt ustawienia kamery. Muszę tylko siedzieć przy biurku na tle pudrowo-błękitnej tkaniny, w towarzystwie stosu książek, i mówić. Wypić nowy rodzaj sypanej herbaty. Rozpływać się nad JJ Fieldem w roli pana Tilneya w niedocenianej adaptacji *Opactwa Northanger* wyprodukowanej przez ITV. To najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Jestem sobą i opowiadam o tym, co kocham.

Nieszczęśliwe rodziny wymagają znacznie więcej czasu, wysiłku i planowania. Nie boję się planowania, uwielbiam to i jestem profesjonalistką. Po prostu czasami lubię też zrobić coś łatwiejszego.

Przypominam samej sobie, że istnieje przynajmniej kilka osób, które lubią mój vlog. Zostawiały pełne zachęty komentarze na długo przed nagraniem Taylor Mears. Co najmniej kilku widzów będzie za mną tęsknić. Kilku widzów ucieszy się, kiedy wrócę do vloga. A zrobię to. Jak tylko przycichnie ten wybuch nagłej sławy.

Sprawdzam swoje odbicie w lusterku. Ścieram rozmazaną kreskę na powiece i wtykam nieposłuszny kosmyk w niedbały kok. Biorę kilka głębokich oddechów, po czym wprawiam usta w wibrowanie, tak jak to robią Serena i Jay przed rozpoczęciem zdjęć.

Znów przyjmuję odpowiednią pozycję i wciskam „play”.

– Hej wszystkim! Wiem, że to nagranie pojawia się dość późno...

Po wyłączeniu kamery piszę do Paula: *Mogę wpaść?*

Odpowiada natychmiast: *Myślałem, że nigdy nie spytasz.*

Szczerząc się od ucha do ucha, wsuwam stopy w balerinki i wychodzę przez kuchnię, po drodze zgarniając pudełko małych ciasteczek z białą czekoladą i orzechami makadamia. Paulowi pewnie przyda się porcja pożywnego jedzenia. Jack zawsze narzeka, że jej tata i brat pewnie by się zagłodzili, gdyby nie zmuszała ich do zjedzenia obiadu, gdy pani Harlow wyjeżdża służbowo – czyli mniej więcej połowę dni w miesiącu. Obaj zawsze są tak pochłonięci tym, co akurat robią, że zapominają o jedzeniu. W przypadku pana Harlowa można to jeszcze zrozumieć, ale nastoletni chłopcy są przecież zdolni pochłonąć pizzę XXL i poprawić deserem. Paul twierdzi, że osiągnął swój ostateczny wzrost w wieku lat siedemnastu, co być może jest prawdą. Pamiętam, że zaczęłam rok szkolny kilka centymetrów wyższa od niego, a zakończyłam niższa o dobre trzydzieści. Żartowałyśmy z Jack, że skóra mu popękała, bo nie nadążyła się naciągać w tym tempie.

Dotarłszy do Harlowów, skręcam do tylnego wejścia. Dom ma dwie kondygnacje. Zwykle wchodzę przez przesuwne drzwi do suterenu. Widzę z patio, że Paul siedzi na wielkim workowatym pufie, zajęty grą wideo. Zatrzymuję się kilka kroków od wejścia i przez chwilę go obserwuję.

Nigdy mu tego nie powiem, bo nie da się tego ująć tak, żeby nie wyszło bardzo dziwnie, ale lubię jego twarz, kiedy gra. Napięte mięśnie i wyraźnie zarysowaną szczękę. Jego błyszczące skupione oczy wyglądają niezwykle intrygująco. W takich chwilach Paul znajduje się poza czasem – równie dobrze mógłby być żołnierzem walczącym na wojnie trojańskiej czy na polach Gettysburga. Jego twarz sprawia, że czuję się z niego dziwnie dumna i mam ochotę krzyknąć: „To mój przyjaciel, tak bardzo ludzki i pełen życia, zasłużył na poemat epicki lub przynajmniej mural”.

Ta twarz również trochę mnie przeraża. Może z tych samych powodów: ponieważ Paul jest tak pełen życia.

Przesuwam drzwi. Dziki jazgot płynący z głośników rozsadza mi czaszkę. Paul spogląda w moją stronę, zatrzymuje grę i rzuca gamepada na bok.

– Super, że przyszedłś – mówi. – Jest fatalnie. Chyba wykrwawię się na śmierć.

– Zaraz postawię cię na nogi, żołnierzu – odpowiadam, potrząsając pudełkiem z ciasteczkami.

Przysiadam na poduszce, rozdieram karton i aluminiową folię w środku. Paul

prędko wyciąga garść ciasteczek, wsuwa je do ust, głośno przeżuwa. Wywracam oczami. W ciągu minuty zmienił się z bóstwa w zwykłego prostaka. Jaki dziwny i zmienny. Pełen życia.

Paul wyciąga pilota spod uda i wyłącza telewizor.

– Nie musisz przerywać – mówię i obejmuję go ramieniem, a on robi to samo.

– I tak prawie zginąłem.

– Akurat, starasz się być kulturalny.

Wciąga kolejną garść ciasteczek.

– Kulturalny? – powtarza z pełnymi ustami. I szczerzy się, zadowolony ze swojej jakże bystrej odpowiedzi.

– No wiesz, jak przystało na gospodarza. Nigdy nie oglądasz telewizji, kiedy przychodzę.

– To byłoby bardzo niegrzeczne.

– Co znaczy, że jesteś kulturalny.

Paul usiłuje zrobić urażoną minę i z jego policzkami dzieją się dziwne rzeczy.

– Hej, nie rzucaj takimi słowami na lewo i prawo. Muszę dbać o reputację.

– Hmf – odpowiadam.

– Muszę odzyskać złą sławę. – Wstaje, otrzepując T-shirt z okruchów. – Chodź, zagramy w ping-ponga.

– To ma ci pomóc w jej odzyskaniu? – pytam, ruszając za nim z pokoju rozrywki do pokoju gier. (Pomieszczenia w suterenie u Harlowów noszą ekscytujące nazwy. My nawet nie mamy suterenu, tylko maciupką piwniczkę, w której chowamy się podczas alarmów ostrzegających przed tornadami).

– Tak, ponieważ zamierzam złoić ci tyłek – odpowiada Paul – a gospodarze zwykle pozwalają gościom wygrywać.

– Głupia zasada. Ale nie złoisz mi tyłka.

Jednak łoi, i to mocno. Jest znacznie lepszy ode mnie we wszelkich czynnościach wymagających koordynacji ręka-oko. Ale i tak lubię grać z nim w ping-ponga, ponieważ radzę sobie wystarczająco dobrze, by gra była ciekawa, a nie upokarzająca.

Stół do ping-ponga u Harlowów jest w odcieniu niebieskiego przypisanego Uniwersytetowi Kentucky. Rakiетки są biało-niebieskie, a piłeczki białe, z logo uczelni. Ściany pokrywają stare plakaty z zawodów na szczeblu krajowym i wytarte slogany. (Na przykład „UK2K!” – czyli dwa tysiące zwycięstw dla drużyny baseballowej należącej do międzyuczelnianej ligi sportowej. Owszem, fani Uniwersytetu Kentucky są aż tak beznadziejni).

– Gotowa? – pyta Paul. Bierze rakiетkę, a drugą rzuca mnie. Łapię ją za rączkę, a Paul uśmiecha się szeroko. Najwyraźniej mu zaimponowałam. Też się uśmiecham, bardzo z siebie dumna.

Mówię:

– No to zaczynamy.

Paul otwiera rozgrywkę nieludzko szybkim serwem, piłeczka przelatuje obok mnie, zanim zdążę zebrać myśli i wykonać jakikolwiek ruch. Ale za bardzo się nie martwię. Paul niewątpliwie mnie pokona, lecz na końcu zdołam zdobyć trochę punktów – po kilku

rundach zawsze się rozleniwia. W ciągu kolejnych minut w pokoju rozbrzmiewają okrzyki zwycięstwa, jęki porażki, współczujący śmiech, a w tle nieustanne pykanie piłeczek. Po kilku rundach Paul pozostaje niezwykłym mistrzem.

Tracę ostatni punkt, unoszę raketkę nad głową i wrzeszczę:

– Jesteś okropnym gospodarzem, zupełnie brak ci kultury!

Paul kłania się nisko. A potem, sama nie wiem, może pijana adrenaliną, włąkę na stół i kładę się na nim w poprzek. Paul uznaje, że to świetny pomysł, i robi to samo na swojej połowie. Zerkam na niego i chichocę, bo wygląda strasznie niezgrabnie – nogi sterczą mu na dobre pół metra od brzegu. Kręci się, próbując odnaleźć wygodną pozycję, w końcu podciąga kolana.

Zapada cisza. Jeszcze raz obracam się w jego stronę, mrużę oczy, żeby dojrzeć przez siatkę jego twarz.

– Wszystko w porządku?

Paul się śmieje.

Podpieram się na łokciu.

– Paul?

– Nic mi nie jest. Jezu, Tash, wystarczy, że nic nie mówię przez więcej niż piętnaście sekund, a tobie od razu odbija.

– To nieprawda.

Cisza.

Więcej ciszy.

– No dobra – przyznaję.

– Porozmawiajmy zatem o tobie – proponuje Paul. – Tash Zelenko, jak sobie radzisz z nagłą sławą?

Krzywię się.

– To bardzo nierzeczywiste i trochę denerwujące.

– Taak? Myślałem, że jesteś zachwycona.

– Owszem. Jest wspaniale. Te wszystkie komentarze i, o Boże, wczoraj ktoś umieścił we wpisie fanowski portret Kevina, dosłownie mnie zatkało.

– Kto to jest Kevin?

– Za późno. Jack uprzedzała, że już z nią tego próbowałeś. Wiedziałeś wcześniej, co to jest ship, prawda? Błagam. Powiedz, że tak, to dla mnie bardzo ważne.

– Tak, tak, wiedziałem. Musiałbym być bardzo tępy, żeby się nie zorientować, tyle czasu z wami spędzam. W każdym razie bardziej tępy niż zwykle.

Ciskam piłeczką w jego twarz.

– Au! Za co?

– Znowu to robisz – mówię.

– Co?

– Umniejszasz swoją wartość. Przestań.

– A ty co jesteś, psycholog szkolny?

– Jesteś zdolny, Paul. Naprawdę zdolny i bystry.

Paul nie odpowiada. Zamiast tego mówi:

– Jack powiedziała, że Klaudie rezygnuje. Przykro mi. Fatalna sprawa.

Nie lubię, kiedy Paul zmienia temat, ale akurat na ten naprawdę chętnie z nim porozmawiam.

– Totalnie mnie zaskoczyła – wyznaję. – Całe to zainteresowanie widzów jest wystarczająco stresujące, a teraz jeszcze muszę zmienić scenariusz.

– Chyba nie istnieje podręcznik, jak radzić sobie ze sławą i związanymi z nią komplikacjami?

– Nie. – Po namyśle dodaję: – Może Thom mógłby coś doradzić...

Paul milczy, wreszcie pyta:

– Kto to jest Thom?

– Już o nim wspominałam.

– Nie wydaje mi się.

– Hm. Widocznie tylko Jack o nim mówiłam.

– A więc, kto to jest Thom?

– Przede wszystkim, by dać ci odpowiedni obraz, Thom z „h” w środku.

Paul parska śmiechem.

– Okropność. Imię dla pretensjonalnego dupka.

– Nieprawda – protestuję. – To skrót od Thomasa, więc jest to forma bardziej... odpowiednia. Thom jest vlogerem, tak jak ja. Tak się poznaliśmy. Już od pewnego czasu jesteśmy znajomymi.

– Internetowymi?

– Tak, Paul. Internetowymi. Prawdziwymi znajomymi, którzy akurat posługują się internetem. To chyba nie takie znowu rzadkie.

– Spotkałaś go w realu?

– Nie.

– Rozmawialiście przez telefon?

– Nie – odpowiadam i prędko dodaję: – Ale piszemy do siebie i wiem, że nie jest wymyślonym tworem ani seryjnym mordercą, ponieważ co tydzień oglądam jego vlog. Jest całkowicie normalny.

– Jak atrakcyjny?

Cisza. Brakuje mi słów.

– Kurde – mówi Paul. – Nie chciałem...

– Nie, w porządku. Miło się na niego patrzy.

– Poważnie?

Stół trzeszczy. Nad siatką pokazuje się zaciekawiona twarz Paula.

Patrzę mu prosto w oczy.

– Uważam różne osoby za atrakcyjne, co nie znaczy, że od razu chciałabym oglądać je nago.

Paul powoli kiwa głową.

– Sorry. Nie wiedziałem. To znaczy po tym, co... Przepraszam. Tak założyłem.

Zawisa nad nami wspomnienie – rozmowa sprzed kilku miesięcy, która wydaje się tak świeża i niezręczna, jakby odbyła się godzinę temu. Ale ja nie chcę jej pamiętać i nie chcę teraz do niej wracać. Dlatego odpowiadam:

– Nie musisz przeproszać.

– Mhm. Przepraszam, ale czy on ci się podoba?

Jestem niemal pewna, że pod skórą na moich policzkach krąży wrząca magma, nie krew.

– Ee, chyba tak. Ale... ale nie tak...

– Jasne, jasne. Okej.

– Nieważne. – Krzywię się. w moim głosie słychać ogromne napięcie.

– Hmm, Thom. – Paul wypróbował imię, wyraźnie wypowiadając „h”. Słyszę, że na jego twarzy maluje się uśmiech.

Żałuję, że nie mam jeszcze jednej piłeczki, chętnie bym w niego cisnęła.

– Twoje imię wcale nie jest lepsze.

– Nigdy nie twierdziłem, że jest.

Czuję, że coś naciska na moją głowę i zaraz ustępuje. To Paul klepie mnie raketką.

– Czego? – pytam.

– Wyzywam cię na kolejny pojedynek. Mało brakowało, a poprzedni byś wygrała.

– Tylko dlatego, że łagodnie mnie potraktowałeś.

– Nie obrażaj mnie. Dałem z siebie wszystko.

Podnoszę się i siadam, potrząsając głową.

– Po prostu chcesz podbudować sobie ego.

– Możliwe.

– Żałosne – stwierdzam, zsuwając nogi ze stołu.

Nagle rozlega się ogłuszający trzask. Tracę równowagę, niespodziewanie i niewytłumaczalnie. Zjeżdżam wzdłuż blatu, ale pod kątem, który wydaje mi się niepojęty. Paul krzyczy, a ja wpadam na niego, ostry ból przeszywa moją nogę.

Dopiero po dłuższej chwili dociera do nas, co się wydarzyło.

Wybucham śmiechem pełnym łez.

– O szlag – mówię – połamaliśmy stół do ping-ponga.

Oceniamy z Paułem rozmiar zniszczeń. Paul ma teorię, że źle rozłożyliśmy ciężar, co tłumaczy, dlaczego środkowe nogi się złamały, stół trzasnął, a jego połowy zderzyły się z takim impetem, że dokoła posypały się odłamki drewna.

– Widać konstrukcja pozostawiała wiele do życzenia – stwierdza Paul. – A może śruby nie były porządnie dokręcone.

– A może dwie dorosłe osoby nie powinny na nim siadać? – wysuwam śmiałą hipotezę.

Paul wyraźnie powątpiewa. Proponuję, że podzielimy się kosztami, ale się nie zgadza.

– Jestem facetem – odpowiada – i jeśli to była kwestia wagi, to wina spada głównie na mnie.

Rzucam mu surowe spojrzenie, ale nie protestuję. Nie mam ochoty omawiać różnic w naszej wadze. Doskonale zdaję sobie sprawę, że o dobre trzysta kilo przekraczam normy, według których „Cosmopolitan” definiuje kobiecą urodę.

Dopiero kiedy wychodzimy z pomieszczenia, dostrzegam plamę krwi na stopie. Na mojej łydce widnieje długie cienkie skaleczenie, idą na nie aż trzy plastry.

– Rodzice nie pozwolą mi się więcej z tobą bawić – oznajmiam bardzo poważnym tonem. A skoro już mowa o rodzicach, dodaję: – Powinieneś powiedzieć tacie.

Paul kiwa głową i mówi:

– Nie ma go. Poszedł na spotkanie w związku z pracą.

– Nie powinieneś zostawać z tym sam.

– Tash, mam dziewiętnaście lat. Nie boję się.

– Dobra – stwierdzam, jednakże bez przekonania. – Ale gdybyś chciał, żebym przy tym była, to przyjdę. Możesz też zwalić winę na mnie.

– Mogłabyś zostać na noc. Jack zaraz wróci.

– Powiedziałam rodzicom, że będę na kolacji. Chociaż czuję się okropnie, bo zrobiłam ci demolkę, a teraz uciekam.

Paul wzrusza ramionami.

– Ja jestem kiepskim gospodarzem, ty jesteś kiepskim gościem. Remis.

Na kolację tata podaje gigantyczną miskę sałatki szpinakowej z serem kozim, kawałkami śliwek, karmelizowaną cebulą i prażonymi migdałami. Dla siebie upiekł dodatkowo pierś kurczaka. Nie bardzo wiem, co sądzić o drugiej pierśi leżącej w folii aluminiowej na kuchennym blacie.

– Klaudie nie ma?

– Przysłała esemes, że siedzi z Jenną na mieście – mówi mama.

Jasne, myślę. W końcu musi się nacieszyć latem.

Od tamtej kłótni nie rozmawiamy. Nasza komunikacja ogranicza się do lodowatych spojrzeń i przypadkowego muśnięcia ramionami, kiedy mijamy się na schodach. Nasza prywatna zimna wojna została oficjalnie ogłoszona i ja na pewno nie zamierzam pierwsza podnieść temperatury. To Klaudie zawiniła. Poświęciłam kilka godzin na wprowadzenie zmian do scenariusza, z pomocą Jack i sama, usiłując naprawić bałagan, którego narobiła

moja samolubna siostra.

Dolly nie jest tak istotną postacią jak Anna Karenina czy nawet Kitty, ale stworzyłyśmy z Jack bardzo skondensowany scenariusz, w którym każdy kolejny odcinek wiąże się z poprzednimi, a żaden dialog nie jest zbędny. Wycięcie kwestii Klaudie było łatwe – i nawet podziałało terapeutycznie – ale po dokonanym zniszczeniu nie tak łatwo było zrekonstruować całą historię. Najbardziej martwię się, jak z powrotem osadzić w scenariuszu postać Stiwy granego przez Brooksa. Dolly występowała w niemal wszystkich scenach z jego udziałem, a ja nie chciałabym zabierać Brooksowi czasu ekranowego, szczególnie teraz, kiedy staliśmy się tacy znani.

Wiem, że nie powinnam gniewać się na Klaudie. Gdybym poszła na zajęcia z medytacji dla nastolatków w ośrodku zen i porozmawiała z Deidre, która prowadzi moją grupę, usłyszałabym, że mój gniew rani wyłącznie mnie, a Klaudie musi kroczyć własną drogą. Ale nie chodzę do ośrodka już od kilku miesięcy. Jestem bardzo zajęta filmowaniem i egzaminami wstępnymi na uczelnię i chociaż powtarzam sobie, że tam wrócę, jak tylko wszystko się uspokoi, to jednak nic nie zapowiada, by cokolwiek miało się uspokoić – zwłaszcza teraz, kiedy jestem „trochę sławna”, jak to lubi ujmować Jack. Przeważnie udaje mi się odbyć wieczorem dziesięciominutową medytację oddechu, ale czasem zwijam się na łóżku z laptopem, tracę poczucie czasu i w końcu robię się zbyt śpiąca, żeby choćby wstać i umyć zęby, o ćwiczeniu uważności nawet nie wspominając.

Rano następnego dnia mam w pracy problemy z koncentracją. Odcinek ze scrablami pojawia się w sieci w środku mojej zmiany, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę reakcję fanów. Dwa dni temu Jack zasugerowała na Twitterze, czego można się spodziewać w kolejnym odcinku, a nasi followersi natychmiast stworzyli hashtag #KevinCzwartek, co wywołało u mnie euforię połączoną z paniką. W pewnym sensie wolałabym, żeby Jack nic nie pisała, bo teraz wszyscy mają ogromne oczekiwania, więc co będzie, jeśli się rozczarują? Ja oczywiście uważam, że odcinek jest świetny. Ale nie mam w sobie ani krzty obiektywizmu – nie mogę wiedzieć, czy naprawdę jest dobry, ponieważ w jego powstanie włożyliśmy masę pracy i straciłam do niego dystans.

Postanowiłam, że nie sprawdzę telefonu podczas dziesięciominutowej przerwy. Niezależnie od tego, jak zareagowali widzowie, nie zdążę przeczytać wszystkiego w tak krótkim czasie i praca zacznie mi iść jeszcze gorzej niż do tej pory. Już dwa razy dałam ciała przy kasie – zeskanowałam podwójnie cenę przy kostiumie kąpielowym, a potem źle wpisałam kod kuponu urodzinowego. Głupie pomyłki. Może byłoby lepiej, gdybym powiedziała, że źle się czuję, i poszła do domu.

– Wszystko w porządku? – pyta Ethan, kiedy tracę czujność i nie łapię piłki, którą mi rzucił.

Odpowiadam przeproszającym tonem:

– Powinnam być gdzieś indziej.

Ethan śmieje się i stwierdza:

– Ja też.

Mój Lew powiedział raz: „Niczego bardziej nie potrzeba młodemu człowiekowi niż towarzystwa rozumnych kobiet”****. Można to uznać za przejaw seksizmu. Albo wręcz przeciwnie. A może jednak trochę. Czasem trudno stwierdzić, co mieli na myśli ci

wszyscy faceci żyjący ponad sto lat temu, kiedy seksizm był obowiązującą postawą. W każdym razie ja wolę parafrazować jego słowa w ten sposób: „Niczego bardziej nie potrzeba każdemu człowiekowi niż towarzystwa rozumnych ludzi”. Bo pozbawieni przynajmniej sporadycznego towarzystwa mądrych osób – zwłaszcza mądrzejszych od nas – prawdopodobnie zmienilibyśmy się z powrotem w jednokomórkowce pływające w mętnej wodzie.

Jack jest mądrzejsza ode mnie. Zapewne również dziwniejsza i bardziej złośliwa, lecz zdecydowanie mądrzejsza. Bardzo mi pomogło jej towarzystwo w ciągu ostatnich tygodni, po wybuchu naszej niespodziewanej sławy, ponieważ Jack potrafi ustawić wszystko we właściwej perspektywie. Często powtarza: „Tak, to bardzo miłe, ale jutro pewnie wszyscy nas znienawidzą”. Dlatego w tym momencie również jej potrzebuję, w związku z hashtagem #KevinCzwartek – by zdystansować się od reakcji fanów.

Kiedy docieram na miejsce, pan Harlow właśnie podlewa ogród. Przez chwilę zastanawiam się, czy postąpiłabym bardzo niegrzecznie, gdybym rzuciła się w krzaki i przeczołgała jak żołnierz na tył domu, ukryta przed wzrokiem otoczenia. Nie zrozumcie mnie źle – przeważnie lubię gawędzić z panem Harlowem. Jest zabawny w ten sam śmiertelnie poważny sarkastyczny sposób, co Jack. A także bardziej przystępny niż pani Harlow, która zwykle albo jeździ gdzieś w sprawach służbowych, albo siedzi w domowym gabinecie. Ale dzisiaj mam świeżo w pamięci obraz połamanego stołu do ping-ponga. Paul na pewno już wyznał prawdę, a ja nie jestem pewna, czy akurat w tej kwestii mam ochotę na konfrontację z miażdżącym poczuciem humoru pana Harlowa.

– Hej, Tash.

Podnoszę wzrok, przerażona. Pan Harlow jedną ręką osłania oczy przed słońcem, a w drugiej trzyma konewkę. Przy każdym ruchu wylatują z niej strumienie wody. Chyba za późno na ćwiczenia wojskowe.

Podchodzę bliżej.

– Dzień dobry. Piękne dalie.

Mówię tak tylko w celu nawiązania konwersacji. Nie mam pojęcia, co decyduje o urodzie dalii, jestem z siebie dumna, że w ogóle potrafię rozpoznać te kwiaty. Pan Harlow poświęcił się ogrodnictwu, kiedy rak odpuścił. Jego onkolog polecił mu to zajęcie w ramach walki ze stresem.

Pan Harlow prycha.

– Chyba nie przyszłaś rozmawiać o kwiatkach. – Ruchem głowy wskazuje dom. Z konewki płyną kolejne strugi wody. – Jack jest w środku.

– Em, dziękuję.

To wszystko? Żadnych aluzji do incydentu ze stołem? Może Paul jednak mu nie powiedział. Teraz czuję się jeszcze bardziej nieswojo, ponieważ to znaczy, że przy następnym spotkaniu z panem Harlowem muszę się spodziewać złośliwych żarcików.

– Mówiłam szczerze – wołam, otwierając drzwi. – To najładniejszy ogród na całej ulicy.

Pan Harlow zachowuje kamienną twarz i odprawia mnie machnięciem ręki. Wchodzę do środka i kieruję się do pokoju Jack. Nie podnosi głowy, tylko klepie miejsce na łóżku obok siebie. Wpatruje się w ekran laptopa, w skupieniu marszcząc brwi.

– Widziałaś już coś? – Klika, po czym zaczyna jak szalona walić w klawiaturę.

– Nie – odpowiadam głosem drżącym ze zniecierpliwienia.

Wyciągam swój laptop z plecaka, nie tracę czasu na podłączanie kabla. Wszystko dzieje się stanowczo zbyt wolno. Wpisywanie nazwy użytkownika i hasła zajmuje całą wieczność, wi-fi muli niemiłosiernie, wyszukiwarka nie otwiera stron w kolejnych kartach odpowiednio szybko.

Ale wreszcie, wreszcie zyskuję dostęp do wszystkiego na temat #KevinCzwartek.

– Przeglądam Twittera – mówi Jack. – Ludzie retweetują jak szaleni. Przybyło nam kilkuset followersów.

– I jakie są reakcje? Dobre czy złe?

– Przytłaczająco pozytywne. Komentarze pod nagraniem to głównie fangirling. W nomenklaturze Rotten Tomatoes przyznałabym temu odcinkowi certyfikat świeżości... Nie rób tak z twarzą, bo w wieku osiemdziesięciu lat nie będziesz w stanie wcisnąć do ust nawet łyżeczki z galaretką.

Ale nie mogę przestać się szczerzyć, nawet po kilku minutach przeglądania masy zrzutów ekranu, GIF-ów i entuzjastycznych reblogów. Mija prawie godzina, gdy w końcu odrywam wzrok od ekranu, rozglądam się dokoła i pytam:

– Gdzie Paul?

– Gra w kosza z jakimiś facetami – odpowiada Jack, po czym znów zaczyna walić w klawiaturę. – Wróci za parę godzin. – Stuka coraz wolniej i obraca głowę w moją stronę. – Słyszałam o ping-pongu.

A więc komuś powiedział.

– Cha – brzmi moja odpowiedź. Przyjemny biały blask ekranu przyciąga mnie z powrotem do siebie.

– Gdybym nie znała sytuacji, pomyślałabym, że stało się to na skutek dzikiego seksu.

To wystarczy, by wytrącić mnie z internetowego oszołomienia.

– Przepraszam, że co?

– Ale znam sytuację, rzecz jasna.

– Taaa. – Rzucam Jack mordercze spojrzenie. – Znasz. Coś okropnego, Jack. Jak mogłaś to w ogóle powiedzieć?

– O Boże, żartowałam. To jest śmieszne, ponieważ całkowicie wykluczone.

– To nie... To nie jest... – Wydaję z siebie coś między jękiem a rykiem. – Co to ma niby znaczyć? Dlaczego w ogóle powiedziałaś coś takiego?

– Jakiego? – Jack już nie żartuje. Zamknęła laptop i wpatruje się we mnie dziwnie poważnym wzrokiem. – Co powiedziałam nie tak?

– Paul jest facetem, a ja... a ja dziewczyną. Podobają mi się faceci.

Jack milczy.

– Paul ci się podoba?

– Nie. Tego nie powiedziałam. Chodzi mi o to, że nie musisz wyrażać się o mnie w taki sposób, jakbym była... robotem.

– Jezu, Tash. Wcale nie miałam tego na myśli.

Przyciskam dłonie do twarzy.

– Wiem. Ale to jeszcze gorzej. Jakbyś automatycznie widziała we mnie kogoś, kto nie może nic poczuć do drugiej osoby.

– Nie uważam tak – mówi Jack dziesięć razy bardziej emocjonalnie niż zwykle sobie na to pozwala. – Przepraszam. Wcale tak nie uważam. Po prostu... nie wytłumaczyłaś wszystkiego dokładnie, kiedy nam powiedziałaś... – Urywa i zaraz dodaje, mamrocząc: – Nie wiedziałam, że czujesz w ten sposób.

Opuszczam ręce, by pokazać Jack, że nie jestem na nią zła. Nie obwiniam jej za własne zdezorientowanie. Po prostu właśnie w ten sposób czuję się, kiedy próbuję to opisać, ubrać w słowa tak, by nie brzmiało obcesowo czy sensacyjnie. I nie jestem zadowolona z tego, w jaki sposób opowiedziałam o tym we wrześnie Jack i Paulowi, gdy owinięci ręcznikami siedzieliśmy nad brzegiem basenu, sącząc napoje. Właśnie zerwałam z Justinem Rahnem, moim pierwszym chłopakiem. Jack tłumaczyła, że na świecie jest mnóstwo nie-bez nadziejnych facetów, i że teraz, kiedy się dowiedzą, że jestem do wzięcia, na pewno wszyscy się ujawnią, a mnie się wyrwało:

– Nie chcę.

– Czego nie chcesz? – spytała Jack. – Umawiać się z facetami?

Nie odpowiedziałam. Pod obstrzałem spojrzeń Jack i Paula oznajmiłam:

– Chyba nigdy tak naprawdę nie chciałam... robić tych rzeczy. Tych, które robią ludzie, kiedy się ze sobą umawiają.

Jack i Paul milczeli, co tylko dobrze o nich świadczy.

– To znaczy nigdy nie chciałam – ciągnęłam. – W ogóle. I kiedy Justin chciał się ze mną umówić, pomyślałam, że to dobry pomysł, bo może po prostu muszę, no wiecie, to zrobić.

Jack wydała z siebie dziwny zduszony dźwięk, a ja pospiesznie dodałam:

– No nie tak do końca. Po prostu wolę zwyczajnie spędzać czas z facetem, ale nic poza tym.

Cała płonęłam. Od słońca i od środka. Skupiając uwagę na pomarszczonych palcach stóp, powiedziałam:

– To żenujące, niepotrzebnie poruszyłam ten temat.

Jack podniosła się ze swojego leżaka i przeniosła się na mój. Objęła mnie i powiedziała:

– Wiesz, że to niczego nie zmienia. Nieważne, co lubisz, a czego nie. Wszystko jest okej.

Stopiłam się z jej ramieniem, nagle okropnie zmęczona, jakbym zaraz miała zasnąć. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam Paula, patrzącego na mnie w taki sposób jak zwykle – z czułością.

– Zgadza się z Jack – powiedział. – Wszystko w porządku.

I od tamtej pory więcej o tym nie rozmawialiśmy.

To znaczy Jack i Paul pewnie tak, kiedy byli sami (na tę myśl dosłownie cierpnę z zażenowania), nigdy jednak nie poruszali tego tematu przy mnie. Co nie znaczy, że nic się nie zmieniło. Zauważyłam pewne objawy. Drobiazgi. Jack przestała komentować tyłki facetów na szkolnej stołówce. Paul już nie rzuca tak często nieprzyzwoitymi żarcikami. Chyba czują się z tym równie zażenowani jak ja i pewnie czekają, aż sama poruszę temat.

A ja powtarzam sobie, że to zrobię, kiedy nadejdzie odpowiedni moment i nabiorę pewności co do tego, jak sama siebie widzę.

W drugiej klasie, wiosną, postanowiłam, że muszę dokonać wyboru: albo podobają mi się faceci, w pełnym sensie tego słowa, albo wcale nie mogą mi się podobać. I tak, kiedy Justin Rahn zaprosił mnie na szkolny bal, uznałam to za znak. Lubiłam Justina. Był zabawny, nieźle wyglądał i potem na każdej randce prawił mi komplementy. Nawet nie miałam nic przeciwko, żebyśmy się całowali. Aż do czasu, gdy całowanie zaczęło się zmieniać w coś innego. Coś związanego z rozluźnieniem ciała, szybko przemykającymi palcami i płytkim oddechem. A ja nie mogłam, po prostu nie mogłam. Nie bałam się, po prostu nie chciałam.

W tygodniu przed rozpoczęciem roku szkolnego powiedziałam Justinowi, że muszę się skupić na nauce. W końcu to przedostatnia klasa, najbardziej stresująca. To nie było bolesne rozstanie. Justin poczuł się zraniony, ale stwierdził, że powinnam robić to, co dla mnie najlepsze – przez co tylko poczułam się jeszcze bardziej winna. Rozważałam przez chwilę, bardzo krótką, czy może powiedzieć mu prawdę. Ale jak niby miałyby zrozumieć, skoro ja sama wciąż próbowałam to wszystko rozkminić? Nie mogłam nic poradzić na to, jak zachowuje się moje ciało. Z drugiej strony nie mogłam zapanować nad tym, co czuje serce.

Tej jesieni, kiedy nie pracowałam z Jack nad planami związanymi z Nowalijkami, leżałam zwinięta na łóżku, przeglądając fora utrzymane we fioletach, zaglądając do kolejnych wątków, klikając na każdy temat, w którym występowały takie słowa jak „heteroromantyczny”, „podobają się jej faceci”. Ale niezależnie od tego, ile postów i odpowiedzi bym nie przeczytała, ile bym się nie dowiedziała na temat takich terminów jak „asy”, „szaroseksualny” i „alloseksualny”, niezależnie od tego, jak mocno wspierali się nawzajem użytkownicy tych forów, nie potrafiłam przekonać samej siebie, że to jest w porządku. Że to, co czuję, jest normalne i trwałe. Że naprawdę stanowi część mnie. No bo jak to możliwe, że podobają mi się faceci – że chcę się z nimi umawiać, chcę, by mnie obejmowali i mówili, że im się podobam, może nawet wyznawali miłość – a nie chcę uprawiać z nimi seksu? A jeśli wszyscy na tych forach są tak samo... zdezorientowani jak ja?

Podczas ferii zimowych nabrałam okropnego zwyczaju: codziennie siedziałam do późna i zapisywałam wszystkie fakty w Wordzie na swoim laptopie. Że faceci bywają dla mnie piękni jak dzieło sztuki. Że chciałabym, by któryś pocałował mnie w czoło, ale nic poza tym. Że nigdy nie rozumiałam, o co chodzi z tym seksem – na przykład kiedy Jack zaczęła gadać o tym w gimnazjum albo kiedy oglądałyśmy *Titanica* na trzynastych urodzinach mojej przyjaciółki Maggie i dziewczyny, wachlując się, rozprawiały, jaka gorąca jest scena w samochodzie, podczas gdy mnie podobała się najmniej z całego filmu. Pochyliłam głowę, czekając, aż się skończy, i dopiero wtedy podniosłam wzrok. A już na pewno nie rozumiałam, o co chodzi z tym seksem, kiedy podczas lekcji wychowania seksualnego pani Vance powiedziała: „Seks to normalna część życia. Wszyscy jesteśmy istotami seksualnymi”. A ja pomyślałam tylko: ja nie, czemu ja nie?

Co noc przed zaśnięciem zamykałam dokument, nie zapisując zmian i nie czując się ani odrobinę mądrzejsza.

Tak było od września. Tak było przez niemal dziewięć miesięcy. Jak jakaś dziwna ciąża, rozwój tożsamości seksualnej, zakończony... czym? To dziewczynka! Tak jakby... Bo jak mogę być dziewczynką, skoro najwyraźniej wszystkie dziewczynki są istotami seksualnymi?

Pod koniec semestru wiosennego zaczęłam spędzać znacznie więcej czasu na forach. Tym razem nie tylko podglądałam cudze posty. Zarejestrowałam się pod nickiem videofuriosa i zaczęłam brać udział w dyskusjach, a nawet rozpoczynać własne wątki. Zaprzyjaźniłam się bliżej z kilkoma użytkownikami, wymieniałam się z nimi prywatnymi wiadomościami, a z paroma nawet mailami. A potem, w kwietniu, postanowiłam zrobić coming out. Uznałam, że to dobre miejsce – w końcu spędziłam tam masę czasu, próbując odkryć, kim jestem, próbując zaakceptować tę część siebie. Tam mogłam się określić jako heteroromantyczny as i wszyscy zrozumieli, i nie uważali mnie za dziwadło.

Ale mimo że doświadczenie było oczyszczające, wciąż nie mogę pozbyć się poczucia winy, że wyznałam prawdę ludziom, których w życiu na oczy nie widziałam, a nie potrafiłam powiedzieć Jack i Paulowi. Tak naprawdę, nie tak na pół gwizdka jak wtedy, we wrześniu. Nie przeszkadza mi, że rodzina nie wie. Na co im to? Jeśli jeszcze kiedyś zacznę się z kimś umawiać, to z facetami, zapewne zgodnie z oczekiwaniami najbliższych. Jak by wyglądała taka rozmowa? Siedzimy sobie przy obiedzie, a ja nagle wyskakuję: „Hej, mam, tato, pamiętacie, co robiliście, żeby mnie wyprodukować? No więc osobiście nie jestem fanką. Właściwie wydaje mi się to nawet nieco odpychające”.

Ale z Jack i Paul to inna sprawa. Rozmawiamy ze sobą na temat randek i zauroczeń od samego początku, kiedy tylko pojawiły się w naszym życiu. A nawet więcej: Jack i Paul mnie znają. W taki sposób, w jaki nigdy nie poznają mnie rodzice i Klaudie. Nie chcę mieć przed nimi tajemnic. To nie jest dobre ani dla nich, ani dla mnie. Od wielu tygodni chciałam poruszyć ten temat, chciałam powiedzieć im jednocześnie, w odpowiedni sposób. Ale słowa same się wymknęły, chaotyczne i przypadkowe. Na stole do ping-ponga. Na łóżku Jack.

Tak więc teraz, gdy Jack przeprosza i ma szczerze zażenowaną minę – oba te zjawiska należą do rzadkości – mogę powiedzieć tylko:

– W porządku. Nie wyjaśniłam wszystkiego do końca.

Jack wciąż wygląda nieswojo.

– Czy... ee, chcesz o tym porozmawiać?

– Paul mówił coś jeszcze o wczorajszym wieczorze? Oprócz tego, że połamaliśmy stół do ping-ponga?

Jack ma taką minę, jakby zamierzała udzielić prostej odpowiedzi. Ale potem zmienia zdanie.

– Mówił, że podoba ci się jakiś facet.

Czuję rumieniec na policzkach.

– Jasne. No tak. Dupa. Naprawdę chciałam wam powiedzieć jak należy. W... odpowiedni sposób.

– Prawdopodobnie jest to niemożliwe. Po prostu to powiedz, Tash. Już ci tłumaczyłam. Mnie nic nie przeszkadza.

Kiwam głową. Robię głęboki wdech i mówię:

– Podobają mi się faceci, ale nie lubię seksu. Co sprawia, hm... Takie osoby nazywa się romantycznymi aseksualnymi. Nie żebym lubiła etykietki. I wiem, że to brzmi jak oksymoron, ale...

– Nie. Nieprawda. Wiem, co to jest.

Mrugam.

– Aha.

Jack kiwa głową.

– A... skąd?

Jack patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Błagam. Myślisz, że nie zrobiłam gigantycznego researchu, po tym jak nam powiedziałaś jesienią?

Nagle czuję się potwornie głupio. Oczywiście, że Jack sprawdziła. Tylko ja akurat tej możliwości nie wzięłam pod uwagę. Rozważałam dziesiątki możliwych sposobów powiedzenia Paulowi i Jack, układałam wszelkie linie obrony. Tak jakbym potrzebowała obrony. Jakby Jack nie stała po mojej stronie.

Bo tak właśnie jest – Jack stoi po mojej stronie.

Ogarnia mnie ulga, nagła i przytłaczająca. Zaczynam płakać.

– O Boże – mówi Jack. – Mam cię przytulić czy udawać, że nie beczysz?

Parskam śmiechem zmieszonym ze szlochem.

– Zaraz się uspokoję, daj mi sekundę.

Jack kiwa głową i znów otwiera laptop. Udaje, że pochłaniają ją obowiązki w mediach społecznościowych, ale widzę, że od czasu do czasu zerka w moją stronę. Ja zaś ocieram łzy i zastygam w bezruchu.

– Chcesz chusteczkę? – proponuje.

– Nie trzeba. Przepraszam.

– Hej, nie przepraszaj. – Dalej klika, wpatrzona w ekran ze zmarszczonymi brwiami. W końcu kieruje wzrok na mnie. – A więc Thom? Z „h” w środku?

– Wiem na pewno, że ci o nim wspominałam.

– Taa, Thom Causer. Gość od bloga o tematyce science fiction.

– A także o prawdziwej nauce.

Jack rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Okeeej. No i co? Podoba ci się? W sensie, podoba ci się?

Drapię się po czole, żeby zająć czymś ręce.

– No, sporo rozmawiamy, piszemy maile i esemesy.

– Ale to coś więcej?

Znów się rumienię.

– Nie wiem.

– Rozumiem. A on wie o...?

– Nie. Tylko ty i Paul wiecie.

Jack milczy. Po długiej chwili pyta:

– Poważnie? Klaudie nic nie powiedziałaś?

– Czemu miałabym jej mówić?

– Po prostu... nie wiedziałam, że tylko my wiemy.

– Ale tak jest. I nie czuję, że powinnam robić z tego wielkie halo, wychodzić z szafy i tak dalej. Nie chcę.

– Rozumiem. Ja też nigdy nie czułam potrzeby, żeby stanąć pośrodku ulicy i oznajmić: chcę robić brzydkie rzeczy z facetami.

– No właśnie.

– Hmm.

I tyle. Powiedziałyśmy to, co należało powiedzieć. Nie ma potrzeby dalej się nad tym rozwodzić. Wracam do swojego laptopa, Jack do swojego, zatapiamy się w wygodnej ciszy wypełnionej tylko klikaniem. Aż do chwili, gdy Jack wydaje z siebie pisk i mówi:

– Tash, potrzebuję twojej pomocy.

– Co jest? – pytam, marszcząc brwi i spoglądając na mail, który otworzyła Jack.

– Czy ja mam przywidzenia... czy naprawdę nominowano nas do Złotej Tuby?

**** L. Tołstoj, *Wojna i pokój*, t. 1, tłum. A. Stawar, Wrocław 1999, s. 20.

Hrabia Lew Nikołajewicz Tołstoj prowadził niezwykle imponujące życie. Urodził się w znanej zamożnej rodzinie, należał do rosyjskiej arystokracji. Był typowym rozpuszczonym bogatym chłopczykiem, aż do czasu, gdy wstąpił do armii, zaczął podróżować po Europie i poznawać prawdziwy świat. Przemyślał całe swoje życie i zajął się pisarstwem. Stworzył *Wojnę i pokój* oraz *Annę Kareninę*, dwie najlepsze i najsłynniejsze powieści wszech czasów. Kumplował się z Victorem Hugo. Zapuścił niekontrolowaną brodę. A w późniejszym okresie życia został pacyfistą i chrześcijańskim anarchistą (taa, równie zwariowane, jak się wydaje) i wielkim orędownikiem biernego oporu. Zmarł na zapalenie płuc na stacji kolejowej. Tysiące chłopów przyszły oglądać jego kondukt pogrzebowy.

Moje życie nie jest tak imponujące. Urodziłam się w typowej rodzinie z klasy średniej, mieszkającej w domku na przedmieściach. Dobrze radzę sobie w szkole. Jestem beznadziejna w sportach. Chciałabym kręcić ważne filmy dokumentalne, które będą odmieniać ludzkie umysły, ale w tym momencie na mój dorobek składają się zaledwie nagrania będące kopią dzieł Lwa oraz seria niezredagowanych programów, w których sączę herbatę i bredzę o tym, jak bardzo kocham *Dumę i uprzedzenie* w wersji BBC z 1995 roku. Widzicie? Niezbyt imponujące.

Jednak teraz być może nastąpił punkt zwrotny, *Nieszczęśliwe rodziny* dostały nominację do Złotej Tuby, a to najbardziej imponująca rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła.

Złote Tuby istnieją od trzech lat i przez ten czas zdążyły w moich oczach osiągnąć status równy Oscarom i Emmy. Trzy lata temu w sieci pojawił się ostatni odcinek *Zwichrowanych Wzgórz* – bardzo popularnego serialu Taylor Mears, będącego uwspółcześnioną wersją i zarazem parodią gotyckich romansów – i społeczność internetowa uznała, że należy coś zrobić w kwestii tych wszystkich wspaniałych niskobudżetowych niezależnych seriali, w większości powstałych z bezpośredniej inspiracji *Zwichrowanymi Wzgórzami*. Jasne, istnieją nagrody Streamy i Webby, ale są one przeznaczone dla większych nazwisk i naprawdę profesjonalnych produkcji. Niektórzy chcieli skromniejszej opcji. I postanowili stworzyć dwudniowy konwent połączony z ceremonią wręczenia nagród – święto amatorskich vlogów, seriali internetowych i innych kreatywnych projektów. Zarówno wydarzenie, jak i sama nagroda noszą nazwę Złoty Tub. Nazwa zapewne jest żarcikiem dla wtajemniczonych bądź lepszą wersją Złoty YouTub, co nie brzmiałoby najszcześliwiej. Tak czy inaczej, pierwszego roku wydarzenie odniosło porażający sukces. Ceremonia odbyła się w uroczystości przystrojonej sali balowej hotelu Embassy Suites w Orlando. Oczywiście przeważającą część nagród zgarnęła ekipa produkcyjna Taylor Mears, Latte Love League, oraz obsada *Zwichrowanych Wzgórz*.

W ciągu tego weekendu śledziłam media społecznościowe z zazdrością przygotowującą o zawroty głowy. Ludzie, którzy do tej pory byli jedynie nazwiskami i funkcjami wymienionymi w opisie wideo, nagle dostali twarze – rozradowane twarze. Wszyscy wyglądali, jakby właśnie nastąpił kulminacyjny moment w ich życiu. Najgorsza

i zarazem najlepsza część – zdjęcia obsady *Zwichrowanych Wzgórz* w parku rozrywki Harry’ego Pottera. Najlepsza, ponieważ czy istnieje wspanialsze połączenie wspaniałych rzeczy od widoku Taylor Mears, Joego Samsona i Kate Palomo wznoszących toast kremowym piwem? A najgorsza, ponieważ nie było na tym zdjęciu mnie.

A teraz mam w głowie żywy obraz: ja, Taylor Mears i Thom Causer stoimy u podnóża Zamku Hogwart, prawymi dłońmi pokazujemy symbol pokoju, a w lewych trzymamy butelki z sokiem dyniowym. Widzę też idealny filtr z Instagrama. No bo dlaczego nie? Na tym etapie, dlaczego niby nie? Wszystko jest możliwe.

Tak sobie rozmyślałam, podczas gdy Jack czyta na głos mail, który tego popołudnia pojawił się w skrzynce odbiorczej Nowalijek. To nie są halucynacje. Chyba że obie padłyśmy ich ofiarą. Na stronie Złotych Tub widnieje bowiem lista nominowanych, a na niej, w kategorii Najlepszy Nowy Serial, *Nieszczęśliwe rodziny*.

Najbardziej nie mogę się nadziwić, że mail, który dostałyśmy, jest osobisty. Żadne tam banalne „Gratulacje! Otrzymaliście nominację wraz z dziesiątką takich to a takich”. Nie, jest to list od konkretnej osoby zasiadającej w komisji Złotych Tub, a osoba ta napisała:

Bardzo się cieszymy, że w zeszłym tygodniu otrzymaliśmy informację o waszym uroczym serialu internetowym. Wasza nominacja pojawiła się trochę po terminie, ale postanowiliśmy potraktować was ulgowo, ponieważ w przyszłym roku nie moglibyście startować jako Najlepszy Nowy Serial. Mamy nadzieję, że w sierpniu zobaczymy się w Orlando!

– Ciekawe, kto nas nominował – mówię. – To chyba musi być ktoś, kto się liczy?

– Pewnie Taylor Mears, skoro ma taką obsesję na naszym punkcie.

Z maila wynika, że zapraszają naszą ekipę na uroczystość zaplanowaną na drugi weekend sierpnia. Dostaliśmy wejściówki i zaproszenie na darmową kolację w piątkowy wieczór, musimy jednak sami opłacić przejazd i nocleg.

Jack smętnie opuszcza ramiona.

– No tak, zaraz wyczaruję kasę na lot na Florydę w sezonie wakacyjnym.

– To nie jest niemożliwe – mówię. – Co z dochodami z Etsy? Z Petco?

– To są pieniądze na życie, a nie na dwudniową wycieczkę. Nie mogę sobie na coś takiego pozwolić, mowy nie ma. Myślę, że większa część ekipy też nie.

Schodzę na ziemię. Wiem, że u Harlowów jest cienko z kasą. Muszą oszczędzać od ataku choroby pana Harlowa. Naprawdę bardzo bym chciała, żeby Jack mi towarzyszyła. Bo ja oczywiście zamierzam to zrobić.

– Może – mówię z namysłem – mogłybyśmy szybko umieścić projekt na Kickstarterze?

– Nie – protestuje Jack, natychmiast i bez zastanowienia. – To niemoralne prosić fanów o sponsorowanie wycieczki na uroczystość rozdania nagród, skoro nawet nie wiadomo, czy wygramy.

Ma rację. Już postanowiliśmy, że nie zaczniemy kampanii na Kickstarterze, dopóki nie zakończymy *Nieszczęśliwych rodzin*. Chcemy dać fanom gotowy produkt i dopiero wtedy prosić o sfinansowanie kolejnego. To kwestia zasad.

– Słuchaj... – zaczynam.

Jack kręci głową.

– Ty musisz pojechać. Ktoś z nas musi tam być. Będę tam za twoim pośrednictwem, to mi wystarczy.

Jack wyznaczyła mi odpowiedzialne zadanie, mimo to posłusznie kiwam głową. Znajdę jakiś sposób, by pojechać do Orlando. To moje marzenie. Z pracy podczas wakacji przez ostatnie dwa lata zaoszczędziłam nieco ponad dwa tysiące dolarów. Przeznaczyłam je wprawdzie na studia, lecz w tym momencie wyższe wykształcenie wydaje mi się znacznie mniej istotne niż Złote Tuby.

Rano Jack idzie ze mną do domu. Od chwili, gdy otrzymałyśmy wieczorne wieści, głównie milczy.

Kiedy przystajemy na podjeździe, pytam:

– Wszystko w porządku?

Kiwa głową. I zaraz nią potrząsa. A potem mówi bezbarwnym głosem:

– Tata źle się czuje.

Tego się nie spodziewałam.

– Co?

– Zaczął się skarżyć dopiero parę dni temu, co znaczy, że prawdopodobnie ciągnie się to już od kilku tygodni. Mówi, że ma naprawdę okropne bóle głowy.

– Myślisz, że to... – Nie kończę. Unikam używania słowa na „r”, jeśli to tylko możliwe. Wymawiając je na głos, czuję się tak, jakbym dodawała mu mocy, jakbym przyczyniała się do jego istnienia.

– Nie wiem – odpowiada Jack. – Twierdzi, że migreny są u nas dziedziczne, że miewał je w młodości, więc pewnie to nic wielkiego. Nie chce iść do lekarza, żeby się przebadać. Mama jest na niego wściekła, on jednak powtarza, że zaczeka do następnej wizyty kontrolnej u onkologa, czyli dopiero za kilka tygodni.

– To obłąd.

– Tak, właśnie to mu przez cały czas powtarzamy. Ale taki już jest. Nie da się przekonać.

– Jack, bardzo mi przykro. Czemu wcześniej nie powiedziałaś?

– Chyba... chyba dlatego, że nie chcę, żeby to była prawda? A Paul strasznie by się wkurzył, gdyby wiedział, że ci powiedziałam. Nie pozwolił mi.

– Dlaczego? – Moja klatka piersiowa nieprzyjemnie się zaciska.

– Nie wiem. Zapewne nie chce cię martwić, bo jeszcze nie wiadomo, o co chodzi. Bóle głowy mogą znaczyć mnóstwo różnych rzeczy: że masz za sobą męczący dzień, że jesteś odwodniona albo że masz guza mózgu i umierasz. Nie da się tego stwierdzić.

– Póki go nie przebadają.

– Właśnie.

W ciszy, która zapada, przepływa ode mnie w stronę Jack milczące żądanie. W odpowiedzi Jack świdruje mnie wzrokiem.

– Dobra – mówi zrzędliwie.

Zamykam ją w luźnym, ale solidnym uścisku. Zanim zdąży mnie odepchnąć z dzikim wrzaskiem, sama się odsuwam.

– Informuj mnie na bieżąco, okej? – proszę. – Nieważne, jakie zdanie ma Paul na

ten temat.

Moja klatka piersiowa znów się zaciska, a Jack mówi:

– Zastanawiasz się czasem, jakich strasznych czynów musiałam się kiedyś dopuścić, żeby zasłużyć na taką złą karmę?

– Co?

– No na chorobę taty, wtedy i teraz. Na pewno robiłam okropne rzeczy jako dzieciak. Coś, czego nawet nie pamiętam. Może wymordowałam rodzinę wiewiórek i wyparłam to z pamięci?

– To nie działa w ten sposób – mówię łagodnie. – Człowiek może mieć złą karmę za coś, co zrobił w poprzednim życiu, dawno temu.

– A może to nie karma, może po prostu tak bywa.

– Dukkha bywa – odpowiadam z uśmiechem.

Nie mam pojęcia, jak dotarliśmy do tego punktu, jak to możliwe, że przerzucamy się buddyjskimi żarcikami na temat przerażającej perspektywy, jaką jest możliwy powrót raka.

– Nie wiem – mówi Jack. – Można by przypuszczać, że jakaś kosmiczna moc powinna ograniczać liczbę kopniaków, które człowiek dostaje w ciągu swojego życia.

Przypominają mi się łzy mamy błyszczące w mrugającym świetle telewizora.

– Taa. Byłoby miło.

– A więc – zmienia temat Jack – kiedy powiesz wszystkim, że Klaudie nas zostawiła?

– Brooks wie, a to on najbardziej ucierpi.

Jack rzuca mi surowe spojrzenie.

– Powinnam wysłać mail.

– Nie – protestuję. – Ja to zrobię.

– Nie wydaje mi się. Ja wyślę.

– Jack...

– Ludzie powinni wiedzieć. Zresztą i tak musimy powiadomić ich o nominacji.

Upieczemy dwie pieczenie czy jak to tam się mówi.

Poddaję się.

– Dobra. Tylko, proszę, bądź miła.

Jack robi urażoną minę.

– A to co ma znaczyć?

– Sama wiesz, że bywasz... uszczypliwa, kiedy piszesz.

– Chyba masz na myśli „wredna”.

– Jack!

Unosi rękę.

– Dobra, dobra. Będę miła. Jestem przekonana, że będą tak podekscytowani nominacją, że w ogóle nie przejmą się Klaudie.

Kiwam głową. Nominacja to wielka rzecz. Złota Tuba! Sprawy *Nieszczęśliwych rodzin* idą coraz lepiej. Gdyby tylko to samo dało się powiedzieć o naszych rodzinach.

Jak tylko Jack pokazała mi mail o Złotych Tubach, wysłałam wiadomość do Thoma. I teraz wreszcie dostałam odpowiedź.

To *WSPANIALE, Tash!! Gratulacje. Nie wiem, czy widziałaś pełną listę, ale Laboratorium Filmowe dostało nominację w kategorii Najlepszy Vlog. Co znaczy, że też tam będę. A co TO znaczy, sama wiesz.*

Mrugam.

Wiem, co to znaczy.

Zaraz. Czy wiem, co to znaczy?

To znaczy, że Thom i ja wreszcie się spotkamy, tak?

To znaczy, że wreszcie usłyszę jego głos na żywo.

To znaczy, że pójdziemy... na randkę?

Czy tym właśnie będzie nasze spotkanie? Randką?

Moje kciuki wiszą nad klawiaturą, ale nie potrafię sformułować żadnej spójnej odpowiedzi.

Chciałabym napisać: „Wiem, co to znaczy, ale nie wiem, co to ZNACZY”.

A może: „Tak! Mogę zadzwonić, obgadamy temat?”.

Mogłabym. Mogłabym napisać te pięć słów plus trzy znaki przestankowe. Mogłabym wszystko zmienić.

Ale zamiast tego piszę: *TAK. Powinniśmy się spotkać.*

Piszemy do siebie już od pewnego czasu, a żadne nie wspominało o takiej możliwości. Wiem, czemu ja tego nie zrobiłam: jestem przerażona. A jeśli Thom wcale tego nie chce? A jeśli chce i jeśli dojdzie do rozmowy i okaże się ona sztywna i beznadziejna? Nie wiem, z jakich pobudek Thom nie porusza tego tematu, ale mam nadzieję, że są bardziej szlachetne od moich.

Część mnie chciałaby zadzwonić do niego natychmiast, w tej chwili. Wybrałabym numer, a on by odebrał i moglibyśmy porozmawiać, naprawdę porozmawiać. Gapię się przez kilka minut na naszą wymianę zdań, błagając, by pokazały się wytęsknione kropki. Thom wysłał wiadomość piętnaście minut temu, więc istnieje spora szansa, że nasze pisanie zmieni się w prawdziwą rozmowę. Ale mijają kolejne minuty, a Thom nie daje znaku życia.

Jęczę i rzucam telefon na wełniany koc leżący na brzegu łóżka. Dochodzę do wniosku, nie pierwszy raz w tym tygodniu, że dwudziesty pierwszy wiek to naprawdę fatalny czas do życia. Czy to w ogóle jest normalna ludzka interakcja? Dawniej ludzie czekali na list całymi tygodniami, miesiącami nawet, co musiało być totalnie beznadziejne. Ale na co dzień, kiedy odbywali zwyczajne rozmowy, nikt nie musiał czekać w napięciu, czy jego rozmówca raczy odpowiedzieć. Jeśli ów rozmówca milczał przez pełne trzy minuty, jedynym możliwym wytłumaczeniem jego zachowania mógł być udar, nikomu nie przyszło nawet do głowy, że można usłyszeć pytanie i nie odpowiadać na nie przez kilka godzin.

Ale Thom nie usłyszał – to znaczy nie przeczytał – pytania. Prawdopodobnie nie. To zajęty gość, na pewno jeszcze nie sprawdził wiadomości. Przecież nie trzymałby mnie w napięciu celowo. Prawda?

Telefon mruczy, a ja zrywam się z miejsca i sięgam po niego konwulsyjnym ruchem.

Czytam wiadomość od Thoma i doznaję niewypowiedzianej ulgi. Napisał:

OCZYWIŚCIE i dodał, że mam dać mu znać, kiedy kupię bilety, i podać dokładne daty mojego pobytu w Orlando.

Muszę porozmawiać z rodzicami o Złoty Tubach. Jestem niemal pewna, że nie będą zachwyceni, gdy im oznajmię, że wszystkie pieniądze zebrane na studia zamierzam wydać na dwudniową wycieczkę do innego stanu, w dodatku sama. Ale mam siedemnaście lat, pieniądze należą do mnie, a sprawa jest naprawdę wielka. Poza tym rodzice nigdy nie trzymali mnie pod kluczem. Wyznaczają rozsądne godziny powrotów, wiele razy pozwalali mi na wycieczki szkolne z noclegiem i wyjazdy z Harlowami. Muszę tylko przedstawić sprawę w odpowiedni sposób i w odpowiednim momencie. Na razie znalazłam najtańszy lot do Orlando. Bo jestem niezmiernie profesjonalna.

Pocałunki sprawiają, że widzowie wychodzą z ukrycia. To znany fakt ze świata fanów seriali internetowych, a #KevinCzwartek jest najlepszym przykładem na jego potwierdzenie. Pocałunek to kulminacja wszystkiego, co niewypowiedziane – sugestii i nadziei, i niepewności rodzącego się romansu. Do tego momentu emocje buzowały, powoli buzowały. Spojrzenie, słowo, gest. Ale pocałunek to moment, w którym zaczynają wrzeć. Chwila, na którą wszyscy czekają i która wszystkich cieszy.

Rozumiem to. Ale osobiście wolę to, co dzieje się wcześniej: przypadkowe muśnięcie ramieniem, iskrę ukradkowego spojrzenia, pozornie nieistotny komentarz, który jednak ma określony kontekst i znaczy o wiele więcej. To kocham najbardziej i takie sceny wychodzą mi najlepiej.

Jak dzisiaj, kiedy filmuję George’a, Evę i Brooksa. Akcja dzieje się tuż po pocałunku, ale Kitty i Lewin nie mogą w pełni się nim nacieszyć, ponieważ w pokoju przebywa również ich przyjaciel Stiwa. Rozprawia radośnie, jak to on, a Kitty i Lewin zastanawiają się, jak mu powiedzieć, że są razem. I podczas gdy Stiwa opowiada o nowej ulubionej restauracji, w której podają wyborne krążki cebulowe, Kitty i Lewin posyłają sobie ukradkowe spojrzenia, a kąciuki ich ust unoszą się w nieznacznym uśmiechu. Ich palce, poza zasięgiem wzroku Stiwy, stopniowo zbliżają się do siebie i wreszcie splatają. Kitty zagryza wargi, wbija wzrok gdzieś w przestrzeń przed sobą, jakby w każdej chwili miała wybuchnąć śmiechem z powodu beztroskiej nieświadomości Stiwy.

To nasze piąte podejście i drugie z zasugerowanym przeze mnie zagryzaniem wargi. Scena wychodzi idealnie, uroczo, nawet Jack odrywa wzrok od kamery. A kiedy wołam: „Cięcie!”, wyraźnie widać, że wszyscy pozostali również są zadowoleni.

Ledwo Jack opuszcza mikrofon, Eva zaczyna chichotać.

– Brooooooks – jęczy. – Nie możesz tak robić, z trudem nad sobą panowałam.

I oboje wybuchają śmiechem, ponieważ Brooks przy każdej powtórcie lekko zmieniał swoją grę i za każdym razem wypadał coraz zabawniej. Nawet George jest w dobrym humorze jak na – hm, jak na George’a. Uśmiecha się, o Boże, i ani razu nie zapytał, czy może zmienić tekst, ani nie narzekał na to, „jak oni wszyscy się zachowują”.

Jack nie myliła się w sprawie nominacji: kompletnie przyćmiła wiadomość o odejściu Klaudie. Brooks ani trochę nie przejął się zmianami w ostatnich scenach i utratą kilku linijek tekstu. „Tak to bywa w show-biznesie”, powiedział, równie beztroski i pogodny jak sam Stiwa.

– To jak? – pyta teraz. – Jeszcze raz?

– Neeee, wyszło doskonale.

– OU JEA.

Unosi obie ręce. Eva i George – tak, nawet George – przybijają z nim piątki.

– Fani będą olśnieni – mówię.

I mam rację. Nawet jeśli publiczność nie będzie aż tak zachwycona jak przy odcinku, w którym złączyły się wargi, to ten również pochłona ze smakiem. A moim zdaniem dzisiejsza scena jest totalnie romantyczna. Panuje w niej atmosfera bezpieczeństwa i ciepła łączącego dwoje ludzi, którzy rozpoznali swoje uczucia. I nie

mówię o pocałunku. Mówię o tym, co działo się wcześniej. Jest taki moment w scenie ze scrablami: w oczach Lewina zapala się światło, gdy uświadamia on sobie, że Kitty go rozumie. Że są po tej samej stronie. George swoją grą doskonale to pokazał – tę czystą euforię spowodowaną tym, że po prostu zna się drugiego człowieka. W dzisiejszym odcinku ten stan również jest obecny – radość bycia zrozumianym, wyraźna w każdym spojrzeniu i geście. Może zabrzmie to nieco kliwie, ale jestem dumna, że przyłożyłam się do powstania tej sceny.

George zaraz potem wychodzi, bo spieszy się do kolejnych zajęć, ale Brooks i Eva zostają. Siedzimy we czwórce w ogródku na tyłach domu i zjadamy całe pudełko lodów czekoladowych na patyku.

– Wiem, że to nie Nagrody Akademii – mówi Eva, zostawiając ślady zębów na swoim lodzie – ale dzięki nim wszystko wydaje się teraz takie autentyczne. Rozdanie nagród! Myślicie, że mogłabym to wpisać do CV?

– Ja na pewno tak zrobię – odpowiada Brooks. – Chociaż wolałbym, żeby nagrody nosiły nieco elegantszą nazwę.

– No cóż. Oscar to też nie jest taka znowu elegancka nazwa, jak się nad tym zastanowić – stwierdza Jack.

Brooks i Eva pogrążają się w rozmyślaniach. W końcu Brooks wzrusza ramionami. Nagły podmuch rozwiewa jasne włosy Evy, kosmyki przyklejają się do słodkich od lodów warg. To głupie i banalne, ale jej reakcja – przesadzone zaskoczenie i podskok na leżaku – sprawia, że wybuchamy śmiechem.

– Błee – mówi Eva, odgarniając miękkie włosy miejscami rozjaśnione pasemkami. Nie wiem, jak ona to robi, ale nawet w takiej sytuacji wygląda uroczo. Postawcie mnie na jej miejscu, a wszyscy uciekliby gdzie pieprz rośnie. Dlatego to Eva jest gwiazdą, a nie ja.

W końcu wszyscy wychodzą, ale ja zostaję na tarasie. Opieram stopy na drewnianej balustradzie. Znalazłam w telefonie miłą niespodziankę: Thom przysłał wiadomość. *Co słychać? Filmujecie dzisiaj, tak?*

Mój żołądek wykonuje kilka typowych dla siebie fikołków. Odpisuję, szczerząc się od ucha do ucha: *Znasz to uczucie, kiedy coś naprawdę się udaje? Kiedy wszystko idzie dokładnie tak, jak powinno? Tak było dzisiaj.*

Z przyjemnością dostrzegam ruch po stronie Thoma. Trafiłam na odpowiedni moment, możemy odbyć prawdziwą rozmowę.

O rany. Najlepsze uczucie na świecie. Nowe nagranie na vlog za pierwszym podejściem? Minimalne poprawki, twarz wygląda jak należy? Idealnie.

Cha, cha, a kiedy twoja twarz NIE wygląda jak należy?

Ups. To chyba można uznać za próbę flirtu. Ale jest również prawdą. Czy to flirt, kiedy stwierdza się fakt?

Thom odpowiada natychmiast: *No, nie tak dobrze jak TWOJA.*

O rany. Mięśnie mojej dłoni odmawiają posłuszeństwa, telefon spada z trzaskiem na deski tarasu.

Co się dzieje?

Szybko podnoszę komórkę. Jest nowa wiadomość od Thoma.

...*Wystraszyłem cię?*

Kciuki wałą jak szalone. *Cha! Nie. Miło mi.*

Jestem pewna, że moja twarz przybrała barwę sosu paprykowego, ale nic nie szkodzi. Ponieważ tak wspaniale się bawię, postanawiam trochę to pociągnąć.

Poważnie, Thom, powinieneś założyć własny vlog urodowy. Ludzie chcą wiedzieć, jak to robisz.

Odpowiednia ilość snu, oto mój sekret. Pełne osiem godzin, każdej nocy.

Hm. Bogowie snu z pewnością cię lubią.

Flirt. Tak, zdecydowanie. Przekroczyłam tę granicę i nawet się tym nie przejmuję. Czuję się tak, jakbym mogła przebiec maraton, jednocześnie rzygając jak kot.

Naprawdę cieszę się twoim sukcesem – pisze Thom. Zmienił kierunek. Rozumiem. Sama tak robię, kiedy ktoś prawi mi zbyt wiele komplementów. – Nominacja, udany dzień zdjęciowy i twarz. Masz wszystko.

Mój uśmiech mierzy kilometr, chociaż nie do końca zgadzam się z Thomem. Jeszcze nie mam wszystkiego. Nie uczestniczyłam w rozdaniu Złotych Tub. Nie spotkałam go w realu.

Ale jestem na dobrej drodze.

Cała czwórka Zelenków siedzi przy stole – prawdziwa rzadkość, o którą w ostatnich tygodniach jeszcze trudniej niż zwykle. Prawie nie widuję Klaudie w domu. Zaczęła wolontariat na obozie Connect!, organizowanym przez Uniwersytet Kentucky dla dzieciaków z gimnazjum – konstruują na nim roboty i miniaturowe mosty. Wieczorami zaś umawia się z Ally i Jenną, i całą paczką znajomych. Przeważnie wraca bardzo późno. Słyszę jej kroki na schodach o pierwszej czy drugiej w nocy, sama jeszcze nie śpię, siedzę w łóżku i przeglądam posty na Tumblra.

A kiedy udaje mi się z nią widzieć, wygląda inaczej. Jakby wymizerowana. Dzisiaj na przykład jej oczy są wilgotne i zaczerwienione. Sprawia wrażenie zmęczonej. Dziwne, biorąc pod uwagę, że porzuciła *Nieszczęśliwe rodziny*, by „nacieszyć się latem”, poza tym letni odpoczynek powinien polegać także na odpowiedniej ilości snu. Jestem niemal pewna, że ona i jej znajomi piją, a może i coś jeszcze. To pewnie normalne, nawet w przypadku takich idealnych i mądrych osób jak Klaudie. Każdy chce czasem trochę zaszaleć, a to w końcu jej ostatnie lato przed studiami, co usprawiedliwia mnóstwo grzechów. Na to przynajmniej wskazuje zachowanie mamy i taty. Nie czekają na Klaudie, nie słyszałam nawet, żeby jej wypominali powroty po ustalonej godzinie obowiązującej w czasie roku szkolnego. Nawet teraz, kiedy siedzimy przy kolacji, nie komentują jej milczenia, zaróżowionych oczu ani gwałtowności, z jaką nadziewa jedzenie na widelec, jakby ktoś mierzył do niej z broni i zmuszał do kolacji w naszym towarzystwie.

Dzisiaj zapiekanka z cukinii. Przeważnie w wieczór zapiekankowy tata wygłasza obowiązkową uwagę, że nigdy nie rozważał przyrządzenia zapiekanki bez mięsa aż do czasu, gdy poznał mamę, która na zawsze zmieniła jego zdanie w tej kwestii oraz jego serce. Kiedy byliśmy młodsze, zawsze gruchałyśmy przy ostatnich słowach. Teraz jesteśmy bliskie choroby morskiej.

Nie wiem, jak rodzicom się to udaje. Teoretycznie tak się od siebie różnią, że nawet zwykła znajomość wydaje się w ich przypadku niemożliwa, nie mówiąc już o dwudziestu

latach małżeństwa. Mama to zdeklarowany lewicowiec i nomada rodem z Nowej Zelandii, wegetarianka od piątego roku życia, która co dzień uprawia medytację i jogę, mówi cicho i łagodnie i wybrała pracę, w której może pomagać ludziom. Tata to syn czeskich imigrantów, mięsożerca i ekstrawertyk, który uwielbia imprezy, ciemne egzotyczne piwa oraz cygara i broni kapitalizmu z werwą godną samego Rockefellera. Kiedy spotkali się na wędrowce po Paśmie Błękitnym, mieli wszelkie powody, by się wzajemnie znienawidzić. Ale nie. Zaiskrzyło. Zaiskrzyło tak dobrze, że pokonali prawdziwy urzędniczy koszmar związany z wizami, by włożyć sobie na palce obrączki i powiedzieć „tak”. I iskrzy od niemal dwudziestu lat. Co nie znaczy, że nigdy się nie kłóć, ale trwa to dzień, maksymalnie dwa.

Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z umiejętnością osiągania kompromisu. Tata gotuje dania wegetariańskie i tylko dodaje mięso do własnej porcji, mama nigdy nie krytykuje jego zwyczajów kulinarnych. Wychowała Klaudie i mnie w taki sam sposób, w jaki ją wychowano w Auckland, według nauk Buddy, tata zaś zabiera nas do katedry na msze w Wielkanoc i Boże Narodzenie. Mama zmieniła strych w studio jogi, tata może palić swoje cygara i pić piwa w domowym gabinecie i tylko tam. Wszystko działa, ponieważ potrafią pójść na kompromis. No i pewnie, sami wiecie, ponieważ się kochają.

Spodziewam się, że tata zaraz rzuci komentarz o zapiekance. Ale czas mija, a przy stole wciąż panuje cisza.

W końcu ja ją przełamuję.

– Mam ekscytujące wieści.

Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak intensywnie moi rodzice wbijają spojrzenie w talerze. Teraz oboje podnoszą wzrok.

– Czy mają one coś wspólnego z twoją nagłą sławą? – pyta tata.

– Właściwie nie jestem sławna – odpowiadam. – Chyba źle to przedstawiłam.

– Tak czy inaczej, cieszę się, że robisz coś, co cię uszczęśliwia – mówi tata, machając widelcem z nadzianym kawałkiem cukinii, by podkreślić moc swoich słów. – Kiedy człowiek robi to, co kocha, jest skazany na sukces.

– Jan – wtrąca mama lekko karcącym tonem – to chyba niekoniecznie prawda.

Tata wzrusza ramionami, jakby mówił: „Może i nie?”.

– A więc – podejmuję – nasz serial dostał nominację do nagrody. Można powiedzieć, że to odpowiednik Nagród Akademii dla niskobudżetowych seriali w internecie.

– Co?! – krzyczy tata. Kawałek migdała wylatuje mu z ust i toczy się po stole. – To fantastycznie!

Kątem oka widzę, jak Klaudie grzebie w talerzu. Z większą lubością niż to potrzebne, podejmuję:

– Tak, wszyscy są niesamowicie podekscytowani. Ceremonia odbędzie się w sierpniu, podczas konwentu, dostaliśmy zaproszenie.

– Pokryją wszystkie koszty?

Naprawdę wolałabym, żeby tata nie zadawał tego pytania. Teraz to, co zamierzam powiedzieć, jeszcze bardziej niż wcześniej, kiedy ćwiczyłam przemowę w głowie, wyda się oznaką wygórowanych ambicji.

– Nie – odpowiadam z namysłem. – Dostaliśmy darmowe wejściówki na konwent, ale musimy zapłacić za przejazd i noclegi.

Widzę je: nieodgadnione przerażające spojrzenie, które wymieniają moi rodzice.

Tata mówi:

– Eee...

Niezbyt obiecujące.

– Tak sobie pomyślałam... tylko proszę, proszę, zechciejcie mnie wysłuchać... że mogłabym zapłacić za bilety i noclegi z pieniędzy zaoszczędzonych na studia.

– Masz na myśli całą sumę?

Nie oczekiwałam, że zaczną skakać z radości, ale uważam, że to pytanie było wyjątkowo złośliwe.

– Wiem, ile kosztuje samolot – dopowiadam. – I pokój w hotelu. Wiem, że jest to bardzo drogie. Ale ten wyjazd wiele dla mnie znaczy. Właśnie to pragnę robić w życiu. Wszystko przemyślałam i wcale nie postępuję nieodpowiedzialnie, jeśli tak uważacie. To jest bezcenne doświadczenie, będzie doskonale wyglądało w moim CV. Poza tym ktoś musi tam być, kiedy wygramy.

– Jacklyn nie jedzie? – pyta mama.

– Nie stać jej. Ale uważa, że ja powinnam pojechać.

– Sama – rzuca tata. – Samolotem. Sama w hotelu.

– W twojej interpretacji brzmi to strasznie dramatycznie – odpowiadam. – Jakbym była głupią smarkułą, która niepotrzebnie naraża się na niebezpieczeństwo. Nic mi się nie stanie, obiecuję. Mam siedemnaście lat, dam sobie radę.

Tata robi minę, jakby zamierzał powiedzieć coś bardzo dorosłego i negatywnego. Przygotowuję się na atak, lecz on nie następuje. Mama widocznie dała tacie niemy sygnał, kiedy nie patrzyłam, ponieważ tata milczy, a ona odzywa się zamiast niego:

– To oczywiste, że wszystko przemyślałaś. Wiemy z tatą, jaka jesteś odpowiedzialna i ile ten projekt dla ciebie znaczy. I rozumiem, że to twoje pieniądze, ale Tasho, kochanie...

O nie, nie jestem gotowa na „ale Tasho, kochanie...”. To zawsze kończy się katastrofą. „Ale Tasho, kochanie, może powinnaś podzielić się ciastem?” „Ale Tasho, kochanie, czy nie mogłabyś umyć również talerza Klaudie?” „Ale Tasho, kochanie, czy przypadkiem nie masz już butów w takim kolorze?”

Czasami Tasha Kochanie chciałaby zapomnieć, że powinna być jednostką kulturalną i odpowiedzialną.

– Ale Tasho, kochanie – mówi mama – chciałabym, żebyś pomyślała, jakie to są ogromne koszty. Wiem, że chesne za studia wygląda teraz dla ciebie jak rząd zer, ale te zera się sumują.

– Wiem.

– Mówię tylko, że nie chcę, byś żałowała, że wydałaś całą sumę w jeden weekend. Ciężko pracowałaś na te pieniądze.

– Wiem – odpowiadam z irytacją w głosie. – Byłam tam. W pracy. A jedyne, czego będę żałować, to tego, że nie pojedę na konwent. To – nie po raz pierwszy przywołuję słowa Sereny – coś naprawdę niepowtarzalnego.

Mama przytakuje, ale widzę w jej oczach wahanie, a może nawet smutek, którego nie rozumiem. Czasem nie mogę się nadziwić, że choć jesteśmy takie podobne, to zdarza się, że kompletnie nie potrafię jej zrozumieć. Zastanawiam się, czy ona odnosi to samo wrażenie w stosunku do mnie.

– Musimy się zastanowić – mówi tata. Tonem, który oznacza, że rozmowa skończona.

A potem rodzice znów podejrzenie milczą. Nagle mama unosi głowę. Uśmiecha się w sposób, który totalnie mnie zaskakuje. Znam ten uśmiech. I go nie lubię. Miała go na twarzy, kiedy oznajmiła Klaudie i mnie, że Ralph, nasz pies, nie żyje, a także za każdym razem, gdy mówiła mi, że nie powinnam nocować u Harlowów z powodu zobowiązań rodzinnych.

– Co? – pytam. Moje ciało spina się w oczekiwaniu na coś złego. – Co się dzieje?

Rodzice wyglądają na... przestraszonych. Jakby tym razem to oni wrócili za późno czy dostali słabą ocenę na teście z biologii.

Tata mówi:

– Dziewczynki, musimy wam coś powiedzieć. Liczymy na to, że wysłuchacie nas od początku do końca.

Teraz to Klaudie i ja wymieniamy spojrzenia.

„Co się dzieje?”, pyta moje spojrzenie, a wodniste spojrzenie Klaudie odpowiada: „Wiem tyle, co ty”.

– No dobrze – mówi mama. – Niełatwo to powiedzieć, więc powiem tak krótko i jasno, jak tylko potrafię. Dziewczynki, jestem w ciąży. Byliśmy u lekarza, twierdzi, że istnieje spora szansa na zdrową niezagrożoną ciążę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, na Gwiazdkę będziecie mieć brata albo siostrę.

Odkładam widelec. Wlepiam wzrok w mamę. Z setek tysięcy rzeczy, które spodziewałabym się usłyszeć z jej ust, tej na pewno nigdy, nigdy bym nie przewidziała.

„Dziewczynki, postanowiłam wyjechać na miesiąc, by wspinać się po górach Nepalu”. Do zaakceptowania. „Dziewczynki, zamierzam ufarbować włosy na rudo”. Okej. „Dziewczynki, przechodzę na ścisłą bezcukrową dietę”. Smutne, ale niech będzie. Ale nie to. Nie: „Dziewczynki, jestem w ciąży”. Moja mama zaszła w ciążę. Drzwi się zamknęły. Niedługo miała przecież zostać w pustym gnieździe. Jest odpowiedzialną dorosłą osobą. Kobiety w jej wieku nie zachodzą w nieplanowaną ciążę – to typowe dla dziewczyn w moim wieku.

Chyba że to nie było niespodziewane. Chyba że było zaplanowane. Chyba że...

– Moment – mówię. – Gwiazdka, grudzień? A więc wiesz o tym od trzech miesięcy?

– Niecałych trzech – odpowiada mama ugodowym tonem. Jej wielkie ciemne oczy wydają się jeszcze większe niż zwykle.

A więc jednak było nieplanowane. Ta myśl wywołuje u mnie nagłą odrazę, bo zaczynam myśleć o życiu seksualnym własnych rodziców, a powinno istnieć fundamentalne prawo kosmiczne zakazujące tego rodzaju sytuacji.

– Nie rozumiem. – Klaudie jest blada. Słowa wypadają z jej ust gwałtownie, jak kichnięcia. – Co niby mamy powiedzieć?

– Dziewczynki – mówi tata z powagą – wiem, że to wielka zmiana. Dla nas również. Ale wasza mama byłaby wdzięczna za odrobinę wsparcia.

– Nie rozumiem – powtarza Klaudie. – Przecież już macie dzieci.

– Wiem, że to dość przytłaczająca nowina – mówi mama – ale chcę tego i wasz tata również. Może najlepiej przemyślcie sprawę w samotności.

Zaczynam chichotać. Wcale tego nie chcę. Mój obecny stan emocjonalny ani trochę nie przypomina rozbawienia czy szczęścia. Tyle że emocje nie bardzo potrafią wydostać się z mojego wnętrza we właściwy sposób.

– Przepraszam – wyrzucam z siebie, zasłaniając usta. – To nie jest śmieszne, ja tylko... nie mogę...

Klaudie patrzy na mnie jak na wariatkę. Tata ma gniewną minę, ale najwyraźniej nie wie, jak zareagować. Tylko mama patrzy na mnie spokojnym pełnym zrozumienia wzrokiem. Ale nie chcę od niej spokoju i zrozumienia. Nie w tej chwili. Podnoszę się i biegnę do swojego pokoju, wciąż dusząc się ze śmiechu.

Tej nocy bezsenność powraca z całą mocą. O czwartej skopuję kołdrę, zakradam się do kuchni, chwytam paczkę tostów i idę do Harlowów. Tak jak miałam nadzieję, nie zamknęli na klucz przesuwanych drzwi do sutereny. Wchodzę, kładę się na sofie w pokoju wypoczynkowym, zjadam pół tostów i zasypiam z opakowaniem w rękę.

Budzi mnie głos Jack:

– Ja jej na pewno nie zamierzam budzić.

Unoszę głowę, półprzytomna. Jack i Paul stoją obok sofy i patrzą na mnie takim wzrokiem, jakbym była zbłąkanym szopem praczem, który wygryzł dziurę w ścianie i wlaź do środka.

– Powinniście zamykać drzwi na klucz – mamrocze – albo założyć alarm. Gdybym była złodziejem, już bylibyście obrobieni.

– Co ty tu robisz? – pyta Jack.

– Unikam rodziców – odpowiadam. A potem dodaję: – Au – ponieważ Jack bezlitośnie mnie przesuwają, żeby zrobić sobie miejsce na sofie.

– Tak czy inaczej – mówi Jack do Paula – jak już mówiłam, skoro nie chciałeś iść, to po co kupiłeś bilet?

– Nie powiedziałem, że nie chcę iść. Powiedziałem tylko, że nie są w moim stylu.

Domyślam się, że przerwana z mojej winy rozmowa dotyczy zbliżającej się wyprawy do Nashville. Kilka miesięcy temu Tony zaproponował, by cała ekipa *Nieszczęśliwych rodzin* wybrała się na jednodniową wycieczkę do Nashville, tak po prostu, dla zabawy. W lipcu mają grać Chvrches, jego ulubiony zespół, więc kilkoro z nas, w tym Paul, już kupiło bilety.

– Tak, twój styl to mięczakowaci gitarzyści śpiewający falsetem z braku innych możliwości – prychna Jack.

Paul nie odpowiada. Jest zbyt zaszpany albo jest ponad to – trudno powiedzieć.

Kiedy cisza robi się zbyt gęsta, ogłaszam wielką nowinę:

– Moja mama jest w ciąży.

Paul traci równowagę i spada ze swojego worka na podłogę.

– Co?! – wyrzuca z siebie Jack.

– Powiedziała Klaudie i mnie wczoraj wieczorem. – Czuję, że w moim gardle wzbiera strumień słów, gotów w każdej chwili przerwać tamy, i boję się, że jeśli dalej będę mówić, to nigdy nie przestanę. – To już drugi trymestr i dopiero teraz postanowiła nas wtajemniczyć. A ja... ja totalnie tego nie ogarniam. To strasznie dziwne. Mam nadzieję, aż powie, że to był tylko taki żarcik, i w tym momencie nawet nie wiem, czy byłabym bardziej wściekła, że nabrała nas w tak okrutny sposób, czy że jest w ciąży.

– O w mordę – mówi Paul.

– Zaplanowali to? – pyta Jack.

– Próbuję o tym nie myśleć, ale nie. Prawie pewne, że to była wpadka.

– Po co im kolejne dziecko? – zastanawia się Jack. – Dopiero co wychowali ciebie i Klaudie. A twoja mama jest już chyba po czterdziestce, nie? Podobno późne ciążę wiążą się z wyjątkowo dużym ryzykiem...

– Nie wiem, chyba tak.

Przyłapuję Paula, jak rzuca Jack karcące spojrzenie. Paul to zauważa i mówi:

– Przepraszam. Do dupy.

– Pewien aspekt tej sprawy jest szczególnie beznadziejny – stwierdzam. – Nie mam pojęcia, skąd zamierzają wziąć pieniądze. Nie śpimy na kasie.

Dotarło to do mnie dopiero teraz, ale faktycznie – skąd wezmą pieniądze? Ciekawe, czy wspomnieliby coś na ten temat, gdybym wieczorem została dłużej przy stole.

Dzwoni mój telefon. Chwytam go, a przez głowę przelatuje mi irracjonalna myśl: może to Thom.

Ale to nie jest Thom. To mama.

Wyciszam dzwonek.

– Powinnam już iść – wzdycham. – Przepraszam za włamanie.

– Buu – mówi Paul. – Przespałaś się na naszej sofie, a teraz uciekasz? Gorsza niż Kopciuszek.

Jack chwyta foliowe opakowanie kryjące półtora tostu.

– Rekwiruję to. W ramach opłaty za nocleg.

Z roztargnieniem kiwam głową i wstaję, przeczesując palcami splecione włosy.

– Do zobaczenia.

– Mhm. – Zęby Jack zdążyły się zabarwić od owocowej polewy. – Pozdrów swoją bardzo płodną mamę.

Nie idę prosto do domu. Boli mnie głowa, co przypuszczalnie ma związek z niekonwencjonalnym miejscem, które wybrałam na dzisiejszy nocleg. Kieruję się w prawo, dalej w głąb Edgehill, jak najdalej od domu, w stronę sąsiedzkiego parku.

Na tle innych Holly Park przedstawia się raczej marnie. Jasnobrazowa farba oblaża z drabinek na placu zabaw tak mocno, że przeważają goły metal i rdza. Zjeżdżalnia jest bardzo oldskulowa, szeroka, zrobiona z blachy. Powstała w czasach, gdy projektanci widocznie uważali odparzenia na udach za dobrą metodę kształtowania charakteru. Za rzędem stołów piknikowych znajduje się niewielki basen zarośnięty glonami. Dopiero ostatnio uświadomiłam sobie, jak tu jest ponuro. W dzieciństwie uważałam Holly Park za miejsce magiczne. Zawsze prosiłam tatę, żeby zapakował drugie śniadanie dla mnie, Paula i Jack, a potem wieźliśmy je do parku moim czerwonym samochodziem.

Nawet teraz, chociaż widzę, że to miejsce jest strasznym szambem, nie mogę do końca pozbyć się dziecięcego zachwytu. Wciąż tu przychodzę, pohuścić się i pospacerować po obrzeżach żwirową ścieżką pod drzewami. Dzisiaj przemierzam ją krótkimi równymi krokami. W tej chwili park jest pusty i zamierzam to wykorzystać, żeby przemyśleć wszystko w spokoju.

Jestem wściekła na rodziców. Za to, że tak nas zaskoczyli wieścią o ciąży i że tak długo trzymali ją w tajemnicy. Przede wszystkim zaś jestem wściekła z powodu okropnej nieopanowanej zazdrości, która zrodziła się w moim sercu.

Może „zazdrość” to nie jest odpowiednie słowo. Nie jestem zazdrosna o to nienarodzone dziecko, nie całkiem. Raczej... zdezorientowana. I tak dużo miało się zmienić w moim życiu – Klaudie wyjeżdża na studia, a ja sama miałam niedługo iść w jej ślady. Rodzice zaś stanowili stały element w mojej codzienności, a nasz dom – solidny punkt zaczepienia. A teraz wszystko się zmieni. Już nie będę najmłodsza w rodzinie. Rodzice już nie będą tak bardzo martwić się moją przyszłością, skoro przybędzie im nowy potomek. Wakacje będą oznaczały smoczki, wrzaski i walające się po podłodze zabawki. Nie chcę tego. Nie chcę ani trochę, ale stało się, niezależnie od mojej opinii na ten temat. I muszę pomyśleć, jak sobie z tym poradzić.

Ruszam w drogę powrotną, tak pogrążona w rozmyślaniach, że nie zauważam skaczącej piłki do koszykówki, wrzasków chłopaków na podjeździe ani idącego w moją stronę Paula. Aż do chwili, gdy obejmują mnie jego ramiona i cała przesiąkam potem.

– Ekhem – mówię, ale nie odpycham go, ponieważ cieszę się, że osłonił mnie przed słońcem i nieprzyjemnymi rozmyślaniami.

– Hej – szepcze mi do ucha Paul, tak żeby kumple nie słyszeli. – Wszystko w porządku?

Kiwam głową przy jego piersi. Kropla potu spada z brwi Paula na mój nos, wycieram ją w jego T-shirt.

– Bo mogę przerwać grę. Chodź, połamiemy kolejny stół do ping-ponga, gadając o twoich uczuciach.

Tym razem odsuwam go, ze śmiechem.

– Wszystko okej.

Co nie jest prawdą, ale nie sędzę, by rozmowa z Paulem mogła mi pomóc akurat w tej kwestii.

– Stary, koniec! – woła jeden z chłopaków. – Pożegnaj się ze swoją dziewczyną.

Wymieniamy spojrzenia mówiące: „Ech, ci durnie nic nie wiedzą”. Paul posyła mi całusa, a ja mu się odwzajemniam, takim gestem, jakbym z całej siły rzucała piłkę w jego brzuch. Faceci wybuchają głośnym rechotem.

Ci głupcy nic nie wiedzą.

Chociaż... pokonuję resztę drogi z dziwnym uczuciem w gardle, jakby ściskaniem i musowaniem jednocześnie, jak wtedy, kiedy wypiję za dużo coli w pozycji leżącej. Nawet lubię, kiedy ktoś mnie bierze za dziewczynę Paula. Wiem, to potwornie głupie. Owszem, nie jest z nikim związany od zerwania ze Stephanie Crewe, ale zdaję sobie sprawę, o co mu chodzi w bliskim związku, a ja tego nie chcę.

Mimo to nie potrafię powstrzymać tego musowania w gardle.

Daj spokój, Tash. Ci głupcy nic nie wiedzą.

Wyciągam telefon, by zatopić się w królestwie przytępiających rozum mediów społecznościowych. Czeka na mnie wiadomość. Od Thoma. Dotyczy ostatniego odcinka *Burz Taffdoru*, nowego serialu w telewizji kablowej, który zdobywa niezwykłą popularność wśród co bardziej walniętych znajomych w sieci. Wiadomość brzmi następująco:

ZABIŁA MNIE FALA EMOCJI

Od razu humor mi się poprawia. Uśmiecham się od ucha do ucha, przystaję i piszę odpowiedź.

Oto kolejny cenny okruch mądrości geniusza nazwiskiem Tołstoj: „Prawdziwe życie polega na drobnych zmianach”. Brzmi banalnie, wiem – jak cytat wyszyty na poduszce w sieciowej restauracji. Ale nabiera głębi, kiedy się go odwróci: „Jeśli nic się nie zmienia, nie żyjesz naprawdę”. A więc, nie należy bać się zmian, ponieważ zmiany przypominają ci, że żyjesz, że w twoim życiu coś się dzieje.

Czasem czuję się tak, jakby tego lata moje życie ograniczało się do męczących powtórzeń. Kolejne tygodnie zlewają się w monotonnej rutynie – kursuję między swoim pokojem, pokojem Jack, suteroną u Harlowów, sklepem odzieżowym i znów swoim pokojem, gdzie wszystko się zaczęło.

Zastanawiam się, czy wszystkim jest przeznaczona taka droga: skakanie między jednym znanym miejscem a drugim, aż wreszcie wszystkie znajome miejsca zmieniają się w jedno mgliste wspomnienie o niczym. Czytałam gdzieś, że przeciętny Amerykanin spędza sześć miesięcy swojego życia, stojąc na czerwonym świetle. Ciekawe, ile czasu większość ludzi spędza we własnym pokoju. Jaka część życia przemija wśród czterech ścian? Prawdopodobnie myślę o tym częściej niż to wskazane – zwykle właśnie w swoim pokoju.

Czerwcowe dni mijają jeden za drugim i robi się coraz bardziej gorąco, aż wreszcie płonąca pochodnię lata przejmie lipiec. Trzy dni w tygodniu spędzam w Old Navy, dwa na filmowaniu, a pozostałe dwa na rozmyślaniach, większych i mniejszych, w swoim pokoju.

Kręcenie serialu idzie całkiem gładko. Podobnie jak Jack, większość obsady nie zamierza uczestniczyć w rozdaniu Złotych Tub z powodu kosztów bądź terminu. W końcu okazuje się, że oprócz mnie będzie tam tylko George. Ale fakt, że tylko my dwoje wybieramy się do Orlando, bynajmniej nie wpływa na powszechne podekscytowanie. Nominacja to wielka rzecz, dowód, że robimy coś dobrze.

W domu panuje nieco napięta atmosfera. Dzień po zrzuceniu bomby z Gwiazdkowym Dzieciątkiem mama i tata zgodzili się, żebym pojechała na konwent – bez wątplenia chcieli w ten sposób wkraść się z powrotem w moje łaski. I nawet jeśli przyjęcie tej oferty czyni mnie bezczelną, to trudno, jestem bezczelna.

Rozmawiam wprawdzie z rodzicami, ale daleko nam do zwykłej uprzejmości. A stan dezorientacji, w który popadłam w parku? Wciąż w nim tkwię, od czasu do czasu przemykają mi przed oczami mgliste obrazy z przyszłości: odbieram świadectwo ukończenia liceum, a mały Zelenka drze się w pieluchach. Studiuję w innym mieście i próbuję połączyć się z rodzicami przez Skype'a, ale okazuje się, że mama jest totalnie wykończona opieką nad maleństwem i poszła spać. Wiem, że to tylko spekulacje – nie jestem żadnym jasnowidzem. I wiem, że nie powstrzymam mijających nieubłagane dziewięciu miesięcy z kulminacją w postaci siostry czy brata. To naprawdę się dzieje. Groźne spojrzenia rzucające w stronę rodziców podczas wieczornego oglądania filmu nic tu nie pomogą. Ale jednak. Po cholere dodają kolejne dziecko do rodzinnego równania? Nie jestem szalona, ale czuję urazę. Nic nie mogę na to poradzić. Może tylko czas potrafi to za mnie załatwić.

Choć ja i tak zachowuję się jak anioł w porównaniu z Klaudie. Już wcześniej większość czasu spędzała poza domem, teraz dobrze, jak widzę ją z raz na tydzień. Opuszcza wszystkie wieczorki z tatą, które tradycyjnie spędzali na oglądaniu meczów baseballowych w pokoju przy kuchni. A kiedy siada z nami do kolacji, prawie się nie odzywa. Zjada swoją porcję najszybciej, jak tylko się da, i zaraz wychodzi.

– Chyba ktoś jest gotów wyfrunąć na studia – powiedział tata któregoś wieczoru po szczególnie chłodnym spotkaniu z Klaudie.

Uwaga raczej bez sensu, ponieważ Klaudie już chyba od roku opowiada, jaka jest gotowa, poza tym i tak wszyscy wiemy, że nie to jest prawdziwą przyczyną jej lodowatego zachowania.

W piątek po Dniu Niepodległości pracuję w Old Navy. Właśnie sprawdzam wieszaki i przymierzalnie, gdy dostrzegam Jaya Prasada, który ogląda koszule w kratę. Podstępnie zakradam się od tyłu i wbijam mu palec w kręgosłup. Jay podskakuje i się odwraca.

– Tash – mówi ze śmiechem. – O rany. Już myślałem, że oskarżysz mnie o kradzież. Mierzę wzrokiem zielono-białą koszulę, którą Jay ma na sobie.

– Pewnie mógłbyś wyjść w którejś z nich i nikt by nie zauważył.

– Chyba jako sprzedawczyni nie powinnaś mówić takich rzeczy.

– Pracuję tu już trzecie lato. Mogę robić, co mi się tylko spodoba.

Jay znów się śmieje i pyta:

– Kończysz jakoś niedługo?

Spoglądam na zegarek – niepotrzebnie, bo dobrze znam godzinę. W takie senne dni sprawdzam czas co kilka minut, jakby sama ta czynność mogła przyspieszyć sekundnik. Świadczące o braku oświecenia jałowe działanie, tak nazwałaby to mama.

– Zostało mi parę godzin, ale kierownik na pewno nie będzie miał nic przeciwko, jeśli pogadamy. Właściwie nic się nie dzieje. – Pokazuję na pusty sklep. W tle gra *Walking on Sunshine*, po raz nie wiadomo który.

– Szukasz czegoś konkretnego? – pytam, przypominając sobie, że powinnam przynajmniej zachowywać pozory. – Zdaje się, że lubisz kratę.

– Krata jest ponadczasowa – stwierdza Jay. – Jak granatowe dzinsy. Wszyscy wyglądają dobrze w kratce.

Jestem innego zdania, jednak posyłam mu wyćwiczony na szkoleniu uśmiech, mówiący: „Tak, absolutnie powinieneś kupić wszystkie te koszule”.

– Nie wiedziałem, że tu pracujesz – dodaje Jay. – Dlaczego mi to umknęło? Chyba powinienem wiedzieć.

Wzruszam ramionami.

– Ostatnio rozmawiamy chyba wyłącznie o serialach internetowych.

– Taa. A propos, wspominałem, że dostałem parę maili od reżyserów? Nic wielkiego, zwykle prośby o zdjęcie i CV. Obaj są dość daleko, jeden w Ontario, drugi pod Los Angeles. Powiedzieli, że chętnie przyjmą nagranie w ramach przesłuchania, gdybym chciał się przenieść, a ja na to: „Czy wyglądam jak profesjonalny aktor z nieograniczonymi funduszami?”. Chyba nie dotarło do nich, że większość z nas jeszcze chodzi do liceum. Ale miło, że ktoś zwrócił na mnie uwagę.

– No jasne – odpowiadam, przetrawiając fakt, że twórca prawdziwego serialu internetowego z L.A. poprosił jednego z naszych o zdjęcie.

Jay zmienia temat:

– W Orlando będziecie tylko ty i George?

– Tak. – Próbuję zachować kamienną twarz, by nie zdradzić się z odrazą. Odraza nie jest profesjonalna.

– Ee. Zamierzacie cię koszty? Wynająć wspólny pokój?

– Jay!

– Co? – pyta niewinnie. – Mówię tylko, że między nienawiścią a miłością przebiega cienka granica. Przeciwności się przyciągają i tak dalej. To bardzo atrakcyjny chłopak i w dodatku sławny.

– Dzięki mnie – mówię wyniośle.

Chciałabym jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

Czasami czuję, że mogłabym powiedzieć Jayowi prawdę, a on przyjąłby ją ze zrozumieniem. Wie, jak to jest nie pasować do Świata Wielkich Nadziei i Oczekiwań pod Twoim Adresem. Ale częściej jednak martwię się, że powiedzenie mu o sobie byłoby jak nadeptanie na odcisk. Rzucić swoją aseksualnością w twarz komuś, kto co dzień obrywa za własne preferencje? To chyba byłoby dość okrutne. Mnie nikt nie mówi, że nie mogę wziąć ślubu czy że pójde do piekła.

Od pierwszej klasy w Calhoun jestem w grupie wspierającej osoby LGBT, do której należą geje i hetero. Kiedy dołączyłam, uważałam się za osobę sprzymierzoną. Podczas jednego ze spotkań w zeszłym roku Tara Rhodes powiedziała: „Sprzymierzone osoby hetero są bardzo ważne”. A ja miałam ochotę wstać i wykrzyknąć: „Jestem równie zdeorientowana jak wielu z was!”. Ale milczałam, nie chciałam robić coming outu w tamtej chwili, w szkolnej suterenie śmierdzącej zmywaczem do tablicy. Słowa Tary nie dawały mi spokoju przez wiele miesięcy. Czułam się tak, jakby ludzi takich jak ja nikt nie dostrzegał. Jakbyśmy w ogóle się nie liczyli. A skoro nie liczyłam się nawet na zakichanym spotkaniu grupy wspierającej gejów, to gdzie, do cholery, miałam pójść?

– Tash? – Podczas przedłużającej się ciszy uśmiech znikł z twarzy Jaya. – Przepraszam, nie miałem nic złego na myśli.

– Nie, w porządku. Właśnie pomyślałam, że faktycznie byłoby taniej wynająć z kimś pokój. Tylko... nie z George'em. Wiesz, Tony zastanawiał się, czy nie pojechać, ale chyba jednak bardziej mu zależy na nowym syntezatorze.

– Uwielbia swoją muzykę.

Jay uważnie ogląda wieszak z szalikami stojący tuż za moim ramieniem.

– Jaaay – mówię, niepewnie zawieszając głos. – Yyy, wiem, że to nie moja sprawa, ale...

Twarz Jaya się kurczy.

– Nie chcę rozmawiać o... na ten temat.

Pospiesznie kiwam głową.

– Okej.

– Chodzi o to... Jesteś przyjaciółką Jack, a on jest jej byłym chłopakiem, więc to trochę niezręczny temat, prawda?

Owszem. Nie wiem, czemu w ogóle go poruszyłam. Chociaż nie, wiem: ponieważ za każdym razem, kiedy Jay i Tony razem grają, Jay wygląda jak wielkooki szczeniaczek, który czeka, aż Tony raczy pogłaskać go po łepku i powie: „dobry piesek”. Ponieważ nawet na ekranie, kiedy Aleksiej i Wroński szykują się do bójki, w oczach Jaya widać mgiełkę tęsknoty. A może tylko ja ją dostrzegam. Tak czy inaczej, jest to bolesny widok.

– To znaczy, bardzo go lubię – podejmuje Jay mimo wcześniejszej próby ucięcia rozmowy. – I chyba zauważyli to wszyscy prócz niego. Ale nie chcę spierdolić pracy przy serialu. Uwielbiam Jack, jest świetna. I już i tak panuje niezłe zamieszanie w związku z naszą popularnością w sieci, odejściem Klaudie i George’em, który... no sama wiesz, George to George.

Och. Jak ja dobrze znam te wszystkie czynniki stresogenne.

– Dobra, dobra – mówi Jay bez słowa zachęty z mojej strony. – Boję się też, że Jack mnie zabije. Wygląda na osobę, która potrafiłaby kogoś zamordować i doskonale zatrzeć ślady.

– Bo tak jest – odpowiadam bez namysłu.

Twarz Jaya skurczyła się już tak mocno, że ledwo ją rozpoznaję.

– No tak – dorzucam. – Masz rację. To zbyt niezręczne.

Jay odwiesza koszulę i pyta:

– Ona i Tony, to było coś poważnego?

Przypominam sobie wszystkie długie rozmowy telefoniczne z Jack w czasie, kiedy była z Tonym, pełne płaczliwych skarg na przemian z rozmarzoną paplaniną. Przypominam sobie wszystkie playlisty, którymi Tony dzielił się z Jack i którymi następnie ona dzieliła się ze mną. Myślę o piosenkach miłosnych, które Tony dla niej napisał, i o piosenkach o rozstaniu, które Jack napisała o nim. Myślę o pewnej grudniowej nocy, kiedy Jack przyszła do mnie, weszła do mojego łóżka i wyznała, że spali ze sobą po raz pierwszy. Dwa miesiące później zerwali.

– Widziałeś ich razem.

– To co innego. Zawsze jesteście bardzo profesjonalni, kiedy kręcimy.

Miło mi to słyszeć. Profesjonalizm zawsze jest moim celem. Nawet po zerwaniu Jack i Tony zdołali przetrwać kolejne miesiące, raczej ignorując się nawzajem, niż kłócąc w obecności reszty ekipy.

– A więc tak – potwierdzam. – Powiedziałabym, że to było coś poważnego. Zabójczo poważnego.

– Chyba masz na myśli „śmiertelnie poważnego”?

– Hmm?

– Mówi się „śmiertelnie poważnego”.

– Co za różnica.

– No nie wiem.

– Jay, może zechciałbyś obejrzeć nasze szaliki? Wydaje mi się, że mogłyby cię zainteresować.

– Co? O, nie, wybacz. – Kręci głową, potem przesuwa dłonią po twarzy. – Przepraszam, jak już mówiłem, raczej nie powinniśmy na ten temat rozmawiać.

Przytykam palec do jego policzka.

– To przestań gadać.

Na twarz Jaya wraca zbyt długo nieobecny uśmiech.

– Powinniśmy się częściej widywać. Poza planem. Tęsknię za czasami, kiedy się spotykaliśmy.

– Ja też. Od jakiegoś czasu wszystko kręci się wokół serialu.

– Powinnaś umieścić to w planie: obowiązkowe spotkania.

– Mmm, brzmi jak zapowiedź świetnej zabawy.

Jay ignoruje mój sarkazm i mówi z charyzmą kandydata na prezydenta:

– Jeśli nie ma zabawy, musisz sama ją zorganizować.

– Mam nadzieję, że kiedyś ktoś wyryje te słowa na marmurowej tablicy.

Jay podnosi wysoko wybraną koszulę.

– Jestem gotów udać się do kasy.

Przybieram minę profesjonalnej sprzedawczyni i kiwam głową z miłym uśmiechem.

– Doskonały wybór. Tędy, proszę pana.

– Babciu, słyszysz nas?

Obraz na ekranie jest rozpixselowany, a głos babci Young dochodzi z głośników w postaci urywanego bulgotania. Czasem trudno wychwycić niektóre słowa z powodu jej nowozelandzkiego akcentu, ale obecne zakłócenia wynikają wyłącznie z problemów technicznych.

Rozmawiamy z babcią i dziadkiem Youngami od mniej więcej godziny, gdy nagle obraz zastyga. Dzisiejszego wieczoru przy komputerze w salonie siedzimy tylko we trójkę, rodzice i ja. Klaudie wymknęła się przed kolacją, nic nikomu nie mówiąc, a ja strasznie się na nią wkurzyłam. Wiedziała, że dzisiaj rozmawiamy z dziadkami przez Skype'a. Wiedziała i totalnie ich olała.

Moim zdaniem wszystko, co dotyczy babci i dziadka, to rzecz święta, ponieważ są starzy i nigdy nie wiadomo, czy akurat ta rozmowa nie będzie ostatnią. Kiedy babcia Zelenka cmoknęła mnie w policzek na parkingu przed restauracją, nie miałam pojęcia, że już nigdy tego nie zrobi. Tamtego wieczoru wszystko wyglądało tak zwyczajnie. Babcia ścisnęła mnie w pasie i przykazała, bym była grzeczna, a chwilę później dowiedzieliśmy się, że ona i dziadek już nie żyją.

Być może tego wieczoru Klaudie straciła szansę na ostatnią rozmowę z babcią i dziadkiem Youngami. Dobra, nie szaleję z radości w związku z nowiną o dziecku, ale nie zamierzam wyzywać się za to na dziadkach.

Próbuję stłumić gniew – nie dlatego, że Klaudie nie zasłużyła, ale ponieważ nie chcę, by na mojej twarzy uwidoczniły się negatywne emocje. Oczywiście w tym momencie, z powodu kiepskiego połączenia, dziadkowie pewnie mają szczęście, jeśli widzą na ekranie choćby niewyraźny owal.

– Mamo? – woła moja mama do ekranu. – Mamo, jeśli nas słyszysz, teraz przerwiemy i spróbujemy znów się połączyć.

Mama klika w znaczek zakończenia rozmowy, a tata odwraca się w jej stronę, klaszcze i pyta:

– Możemy powiedzieć, że internet nam wysiadł?

To kolejny punkt, w którym moi rodzice znacząco się różnią. Mama uwielbia długie rozmowy. Pyta o drobiazgi, takie jak dokładny rozkład dnia, chce wiedzieć, co jedli na śniadanie. Dopytuje, jak się czują i co czują w związku z tym uczuciem, i jakie uczucia wywołują w nich uczucia związane z tymi uczuciami. Tata również bywa gadatliwy, ale woli głośne, pełnokrwiste rozmowy na takie tematy jak sport i polityka. W przypadku rozmów przez Skype'a warunki dyktuje mama, więc rozmowy te są raczej łagodne i dość nieskładne, pozbawione wyraźnej struktury i puenty. Babcia i dziadek oczywiście wiedzą o dziecku, co pozwoliło wypełnić dwadzieścia minut dość interesującą dyskusją – i milczeniem z mojej strony, no bo jak dziadkowie mogą rozprawiać o nowym wnuku w taki sposób, jakby to była najnormalniejsza sprawa pod słońcem? Potem jednak temat ewoluował i w chwili, kiedy jakość połączenia drastycznie spadła, babcia właśnie skarżyła się na haluks na lewej stopie.

Znoszę te otępiające pogaduszki, ponieważ, jak już wspominałam, babcia i dziadek są święci. Ale również ze względu na mamę, która wiele razy mówiła, że ma wyrzuty sumienia, że Klaudie i ja nie znamy dziadków tak dobrze, jak powinniśmy. Kontakty ograniczają się do rozmów na Skypie i dwutygodniowych wizyt raz na pięć lat. Wiem, jak trudne jest to dla mamy. Tak bardzo, że czasem płacze po ciemku przed telewizorem.

Znów próbujemy się połączyć.

– Zawsze możesz się pożegnać i wyjść – mówi mama do taty. – Na pewno się nie obrażą.

– Na pewno nie – odpowiada tata z rozdrażnieniem. – Twoja matka będzie zbyt zajęta rozprawianiem o haluksach.

Skype wciąż nawiązuje połączenie.

– Może to u nich wysiadł internet – mówię.

Tata z entuzjazmem kiwa głową.

– Internet na dole nie działa!

Mama wzdycha.

– Jan, idź na górę. Pożegnam ich od ciebie.

Tata wygląda jak dziecko, które właśnie usłyszało, że resztę lekcji odwołano.

– Idź – powtarza mama, klepiąc go w łokieć. – Spełniłeś wystarczająco dużo dobrych uczynków na ten miesiąc.

Tata biegnie w stronę schodów prowadzących do sypialni i kilku godzin oglądania kanału sportowego.

– Faceci – wzdycham. – Brakuje im hartu ducha.

Mama rzuca mi spojrzenie mówiące: „To nie jest prawda, chociaż w tej chwili jest”.

W końcu połączenie zaskakuje, na ekran wracają dziadkowie, znacznie wyraźniejsi niż wcześniej.

– Babciu, słyszysz nas? – pytam ponownie.

Babcia uśmiecha się do kamery.

– Tak, przepraszam, skarbie. John uznał, że trzeba restartować program. Technologia bywa błogosławieństwem, ale i przekleństwem, prawda?

Kiwam głową z pełnym przekonaniem.

Klaudie wraca po północy. Jeszcze nie śpię, piszę do Thoma esemes na temat

ostatniego odcinka *Burz Taffordu*, w którym przelewano krew i roniono łyzy.

Właśnie wysłałam wiadomość następującej treści: *Mogłabym oglądać czołówkę na okrągło przez cały dzień*, gdy słyszę miękkie kroki na schodach. Prędko wklepuję: *Sorki, muszę kończyć*, odrzucam kołdrę i biegnę do drzwi. Łapię Klaudie w korytarzu. Chwytam ją za łokieć i wciskam paznokcie, mocno, jakby kierował mną instynkt dzikiego zwierzęcia.

Klaudie wrzeszczy, dodaje stłumione przekleństwo i mnie odpycha.

– Co jest, kurwa? Masz jakiś problem?

– A jaki ty masz problem? – warczę w odpowiedzi. – Olałaś rozmowę na Skypie z babcią i dziadkiem. To bardzo chamskie.

W powietrzu wisi zapach, jakby mgliście znajomy, ale pozbawiony kontekstu. Przywołuje w pamięci spacer do centrum i parking przed naszym liceum. To dym. Klaudie pachnie papierosami.

– Umówiłam się wcześniej z Ally i Jenną.

– To trzeba było odwołać. Babcia i dziadek to rodzina. Za trzy lata do Ally i Jenny pewnie nawet nie będziesz się odzywać.

Na twarzy Klaudie maluje się bezbrzeżna pogarda. Okropna mina – jak z kreskówki. Mina, jakiej nie przybrałaby nawet w obecności najgorszego wroga.

– Nic nie wiesz o moim życiu – syczy Klaudie.

– Posłuchaj, też jestem wkurzona, ale istnieją granice, których się nie przekracza. I nie musisz być taka okropna dla mamy i taty, w końcu płacą twoje cholerne chesne za studia.

– Jedną ósmą chesnego – odparowuje Klaudie. – Harowałam jak wół, żeby dostać stypendium.

– No cóż, na pewno nie zapłacą za moje studia na Vanderbilt.

– Och, daj spokój, Tash, przecież nawet się tam nie dostaniesz. Przestań bujać w obłokach.

Teraz ja przybieram paskudną wściekłą minę. Cała się trzęsę. Mam ochotę wydrapać jej oczy.

– Wiesz, o co tak naprawdę chodzi? – pyta Klaudie. Wyczuwam w jej oddechu kolejny znajomy-lecz-niecodzienny zapach. – Wiesz, co mówi nam mama? Że nie spełniłyśmy oczekiwań. Nie jesteśmy takie, jak by chciała. I dlatego pragnie poprawki.

– Nie wiesz tego – szepczę, chociaż Klaudie powiedziała na głos coś, co sama podejrzewałam.

– Ich decyzja jest niebezpieczna i nieodpowiedzialna finansowo, a jeśli ty chcesz się z tym pogodzić, w imię harmonii czy innego buddyjskiego gówna, w które nadal wierzysz...

– Wcale się z tym nie pogodziłam!

– Kwestia czasu. Ponieważ zrobisz wszystko, by pozostać w łaskach u mamy. Beznadziejna lizuska.

– Poważnie? To ty przynosisz do domu same najwyższe oceny, idziesz na studia inżynierskie jak dziadek, oglądasz w telewizji sport z tatą i zdobywasz Krajową Nagrodę Jakąśtam. I to niby ja jestem lizuską? Nie waż się...

– Jasne. Okłamuj się i w tym temacie. Tak jak sobie wmawiasz, że dostaniesz się na dobrą uczelnię.

Nie jesteśmy cicho. Rozmowa, która zaczęła się jako wymiana wściekłych szeptów przeszła we wrzaski. Nagle dostrzegam mamę w drzwiach sypialni. Nie mam pojęcia, od jak dawna tam stoi. Klaudie, widząc zmianę na mojej twarzy, odwraca się i sztywnieje.

– Dziewczynki – mówi mama swoim zwykłym krystalicznym głosem. – Czas do łóżek.

Jak gdyby nic nie słyszała. Jakby naszym jedynym wykroczeniem było to, że jeszcze nie śpimy.

Mama odwraca się i zamyka drzwi.

Klaudie zaczyna coś mówić, ale ja nie słucham.

Zatrząskuję drzwi swojego pokoju i osuwam się na podłogę, przerabiając w myślach wszystko, co przed chwilą powiedziałyśmy. Klaudie nie ma pojęcia, o czym mówi. To ona jest lizuską. Zawsze była. Każdego lata była wolontariuszką w ośrodku pomocy i pracowała przy projektach naukowych w szkolnym kółku fizycznym. Uczyła się do egzaminów końcowych. Pilnowała cudzych dzieci i zjednywała sobie sąsiadów. Spędzała czas z rodziną. Zgarnęła tyle Punktów za Perfekcję, że przekroczyła limit i została świętą.

Tak w każdym razie było każdego lata, aż do tegorocznego. Nie wiem, co wyprawia z Ally i Jenną, ale jest dorosła. Jeśli chce zmienić swoje życie, to doskonale, zapewne zasłużyła. Nie ma jednak prawa zachowywać się jak ostatnia sucz.

Nie mogę wyrzucić z głowy tego, co powiedziała o Vanderbilcie. Ani wyrazu twarzy mamy, gdy przyłapała nas na wywrzaskiwaniu słów, których nie da się cofnąć.

Kiedy już leżę w łóżku, uderza mnie pewna myśl: bardzo długo uważałam Klaudie za tę lepszą córkę – oczywistą królową w siostrzanym układzie sił. Ale ostatnio nie jestem już taka pewna. Być może jej panowanie dobiega końca. Nie żebym zaraz ostrzyła sobie zęby na koronę. Po prostu Klaudie najwyraźniej bardzo zależy, by ją stracić.

– Czekaj, znów wściekamy się na Klaudie?

Siedzimy z Jack i Paulem pod metalową zjeżdżalnią w Holly Park, przygotowując się do corocznych zawodów o nazwie pieczone udka. Organizujemy je od czwartej klasy. Zasady są proste: któregoś gorącego dnia w środku lata siadamy z gołymi nogami na metalowej zjeżdżalni i próbujemy wytrzymać jak najdłużej. Zwycięzca otrzymuje od pokonanych zawodników nagrodę pieniężną. W podstawówce stawka wynosiła jeden dolar od zawodnika. Teraz dwadzieścia plus rok stosownych honorów, przywilejów i chwały.

Jack rozsmarowuje balsam nawilżający na tylnej części ud. Twierdzi, że to sekret jej sukcesów z ostatnich dwóch lat. (Ja ostatni raz wygrałam w gimnazjum).

– Nie wściekamy się – odpowiadam. – Jesteśmy... sfrustrowani.

– Poważnie? Bo brzmi, jakbyśmy się wściekali.

– Skąd to królewskie „my”?

– Nie wiemy.

– Traktuje mnie jak zdrajczynię, bo pogodziłam się z ciążą mamy. Jest inne wyjście?

– Przedstawiłam ci swój wielki plan – odpowiada Jack – a ty go odrzuciłaś.

– Ten, według którego miałabym zawrzeć pakt z diabłem, żeby dziecko okazało się Antychrystem, a moi rodzice uznali, że popełnili błąd?

– W twoich ustach brzmi to strasznie ponuro.

Nie wspomniałam, co powiedziała Klaudie o Vanderbilcie. Temat jest nadal zbyt drażliwy.

Paul leży na plecach, jego długie nogi wystają spod zjeżdżalni. Zbiera garść żwiru, unosi rękę nad głowę i pyta:

– Ile byście zapłaciły, żebym to zjadł?

– Jak to możliwe, że jesteśmy spokrewnieni? – zastanawia się Jack.

– Może nie jesteśmy. Może to ja jestem Antychrystem. – Paul macha ręką pełną żwiru, wrzeszcząc: – „Damienie, to wszystko dla ciebie!”.

– Rzuciłabym ci wyzwanie, gdyby to był normalny żwir – mówię – ale jestem niemal pewna, że jest zanieczyszczony bardziej niż ten w Czarnobylu. Zapewne nie zmieniano go ani nie grabiono od, czy ja wiem, wojny w Wietnamie. Wiesz, ile psów tu srało?

– A ile dzieci sikało? – dodaje Jack, ochoczo podejmując grę.

– Ile wylądowało na nim niedopałków?

– Ile ptaków na nim spółkowało?

– Okej, okej, zrozumiałem, wystarczy. – I nagle Paul błyskawicznym ruchem odciąga brzeg T-shirtu Jack na szyi i wysypuje tam całą zawartość dłoni.

Jack nie krzyczy. Nie wypowiada jęklwym głosem imienia brata, nie tłucze go. Wbija w niego zimne mordercze spojrzenie i mówi:

– Zabiję cię. Zamorduję cię dzisiaj we śnie, Paulu Marcusie Harlow.

Czuję w środku bolesne ukłucie. Nawet kiedy Jack grozi bratobójstwem, widzę, jak

szczerze lubią się z Pauliem i jak dobrze się dogadują. Są jak najlepsi przyjaciele. Napełnia mnie to smutkiem i trochę zazdrością. Tak samo powinno być między mną i Klaudie. Dzieli nas mniejsza różnica wieku i jesteśmy tej samej płci. Powinniśmy być najlepszymi przyjaciółkami. Powinniśmy znać swoje sekrety, zwierzać się sobie i wymieniać ciuchami. Ale nie jesteśmy przyjaciółkami. Nigdy nie byliśmy. Chyba za bardzo się różnimy. Klaudie to szkolny samorząd, ja – grupa artystyczna. Klaudie to równania matematyczne, ja – fikcja literacka. Klaudie to stypendia naukowe, a ja... Złote Tuby.

Wiem, że nie mogę tego zmienić, ale w takich chwilach jak ta wolałabym, żebyśmy się lepiej dogadywały. Żebyśmy mogły się przytulać i grozić sobie w żartach z taką swobodą, jak robią to Jack i Paul. Przez tych kilka miesięcy, kiedy Klaudie kręciła z nami serial, myślałam, że może się do siebie zbliżyliśmy. Że filmowanie dało nam płaszczyznę porozumienia. Spędzałyśmy ze sobą więcej czasu i napełniało nas to radością. Chociaż nie, skoro Klaudie uznała, że filmowanie jest zbyt czasochłonne i nieciekawe.

To tyle w temacie zacieśniania więzi siostrzanych.

Jack nie dostaje szansy, by rozwinąć groźby pod adresem Paula, ponieważ koło nas zjawia się stado małych dzieci. Jest ich pięcioro i sądząc po plamach z zielonego lukru na twarzy jednego z nich, prawdopodobnie świętują urodziny. Dziewczynka, na oko najwyżej sześćoletnia, przystaje tuż obok naszej kryjówki i podpira się pod boki.

– Jesteście za staaarzyyy – stwierdza, wyciągając rękę w oskarżycielskim geście. – Na placu zabaw mogą przebywać tylko dzieci. Takie są zasady.

– Nadal chodzimy do szkoły – broni się Paul – więc chyba można zakwalifikować nas jako dzieci.

– Nie! – Dziewczynka tupie. Nosi świecące adidasy, wzdłuż których czubka rozbłyskują imponujące niebieskie i zielone odblaski.

Stojący obok niej chłopiec, najwyraźniej mniej przejęty jawnym złamaniem regulaminu parkowego, proponuje:

– Chcecie się z nami pobawić? Gramy w berka, ja jestem berkiem, ale dam wam pięciosekundową przewagę na starcie.

Do koszulki z Transformersami ma przypięty znaczek z napisem „Dzisiaj są moje urodziny”.

Jack odpowiada:

– Och, Paul uwielbia bawić się w berka. Na pewno chętnie do was dołączy.

Ze złośliwym uśmiechem daje bratu kuksańca w kolano.

Paul nawet nie wygląda na speszzonego. Wysuwa się spod zjeżdżalni i wstaje, otrzepując tyłek ze żwiru.

– Pięć sekund, tak? – upewnia się.

Chłopiec mierzy go wzrokiem.

– Mmm – mówi, po czym uderza Paula w nogę, wrzeszcząc: – BEREK!

Z gardła Paula dobywa się wściekły ryk. Dzieciaki krzyczą z radości i udawanego przerażenia i rozbiegają się na wszystkie strony. Paul spogląda na nas i pokazuje siostrze język.

– Cha – mówi. – Teraz jestem w najlepszym towarzystwie!

Zaczyna biec w przesadnie powolnym tempie i wyciąga ręce w stronę dzieciaków,

specjalnie w taki sposób, by żadnego nie schwytać.

Kręcę głową, patrząc na Jack.

– No co? – mówi. – Świetnie się bawi.

– Założę się, że rodzice tego chłopca chcieliby wiedzieć, co to za dziwny nastolatek gania dzieci po parku.

Jack prycha.

– Chyba nie muszę przypominać, że ukradł mi wszystkie rodziny, którym pilnowałam dzieci? Rodzice go uwielbiają.

– Skąd ta gorycz? Nienawidzisz pilnować dzieci – przypominam.

Jest to fakt niepodlegający dyskusji. Jack nie ma cech potrzebnych dobrej niani. Nie uśmiecha się do dzieci, nie klęka, by znaleźć się na ich poziomie, nie pyta, jaki jest ich ulubiony przedmiot w szkole. Uważa, że dzieci to minidorośli, zachowujący się tak, jakby byli wiecznie pijani, i jeśli nie potrafią wykazać się przy niej racjonalnością, to nie są warte uwagi, nie wspominając o mdłych czułościach. Porzuciła zajęcie niani trzy lata temu, by w pełni poświęcić się pracy w Petco i sklepie na Etsy.

– Żadna tam gorycz – mówi. – Stwierdzam tylko, że wszystkie matki go kochają.

Przez minutę przyglądamy się z uśmiechem, jak Paul i dzieciaki biegają po placu zabaw. Paul doskonale odnajduje się w nowej roli – co rusz pokrzykuje i wyskakuje niespodziewanie spomiędzy huśtawek, przesadnie rozkładając ramiona.

– Dzieciaki miały szczęście – mówi Jack. – To nie mogło być udane przyjęcie, skoro rodzice przyprawdzili dzieciaki właśnie tutaj.

Przenoszę na nią spojrzenie. Mam chęć zadać jej pewne pytanie, które już od kilku tygodni krąży gdzieś w tylnej części mojego umysłu. Nie mogę zadać go wprost. Wymaga odpowiedniego wstępu – siedmiu warstw coraz głębiej sięgających pytań.

– Wciąż wybierasz się na koncert Chvrches?

Warstwa numer jeden.

Jack rzuca mi takie spojrzenie, jakby uznała mnie za niewybaczalnie głupią.

– Eee, tak... Oszczędzałam specjalnie na bilet.

– Jasne. Ja tylko... no wiesz, nie chciałabym, żebyś się czuła niezręcznie. Jeśli nie masz ochoty jechać, to w porządku. Mogłabym nawet z tobą zostać.

Słaba warstwa numer dwa.

– O co chodzi, Tash? Jadę. To, że nie jestem już z Tonym... O to chodzi? Bo to był jego pomysł? Czy o to, że zrobiliśmy razem cover Chvrches?

– Hm. Chyba tak.

Ta warstwa jest tak cienka, że właściwie jej nie ma.

– Robisz z tego niepotrzebną aferę. Jest okej, jasne? Między nami wszystko w porządku.

– Nigdy z nim nie rozmawiasz. – Prędko ucinam jej protesty: – Prawie nigdy. Chyba że w sprawach związanych z filmowaniem. Nie chcesz nawet koło niego siadać. Widziałam, jak wychodzisz z pokoju, kiedy on się zjawia. Nie mów mi, że wszystko jest w porządku.

Jack gwałtownie wzrusza ramionami.

– Co mam powiedzieć? Czy wolałabym nie widywać go w niemal każdy weekend?

Oczywiście. Czy sytuacja między nami nadal jest dziwna? Tak. Ale nie mam za bardzo wyboru. Należy do obsady i jesteśmy profesjonalistami.

– Ble. Co to słowo w ogóle znaczy?

– Nie mam pojęcia. – Jack marszczy brwi i wbija wzrok w ziemię. – Wiesz, co mnie wkurza? Seriale komediowe. To znaczy wiadomo, że nie pokazują prawdziwego życia. Są dla smutnych, zmęczonych ludzi, którzy wracają z pracy i oglądają je, żeby nie czuć się kompletnie do dupy. Ale można by oczekiwać, że przynajmniej w kwestii zerwań pokażą trochę prawdy. Zdrowych zerwań w każdym razie. Rozumiem, mają ograniczone środki i muszą zatrzymać wszystkich członków obsady. Ale wśród bohaterów zawsze tworzą się pary, a kiedy zrywają, nikt nie znika ze scenariusza. Nie są już razem, ale pozostają częścią tej samej opowieści. I częścią paczki znajomych, choćby nie wiem co. To jest bardzo niezdrowe. I nie tak powinno wyglądać. Kiedy ludzie zrywają, powinni rozejść się w różne strony. W dziewięciu przypadkach na dziesięć przyjaźń z eks jest bardzo niezdrowa. Ponieważ taka sytuacja zawsze, zawsze będzie żenująca.

– Sama wymyśliłaś te statystyki.

– Jeśli stacje telewizyjne mają prawo wymyślać gówniane historyjki miłosne, to ja mam prawo sfałszować kilka danych.

– Chcesz powiedzieć, że *Nieszczęśliwe rodziny* to kiepski serial?

– Chcę powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku, ale z nadzieją wypatruję końca zdjęć.

– Rozumiem.

– Więc nie bądź taka wrażliwa.

– Dobra. – Ale ponieważ i tak poruszyłam ten temat i ponieważ taka okazja zapewne nieprędko się powtórzy, pytam pospiesznie: – Chcesz, żebym usunęła nagrania z piosenkami?

– Niby czemu?

– Jeśli czujesz się przez to niekomfortowo. To znaczy, byliście bardzo... uczuciowi.

Połączenie syntezatora Tony'ego z chrypliwym wokalem Jack bardzo podobało się widzom, ale przede wszystkim ujmował ich fakt, że Tony i Jack nie kryją się ze swoim związkiem, a nawet całują się pod koniec piosenki miłosnej, którą Tony napisał dla Jack. Na jej miejscu natychmiast usunęłabym te nagrania.

– Ale to dobry kawałek – stwierdza Jack. – Nasz status nie wpływa na jakość dźwięku. Przecież w wielu zespołach zdarzało się, że członkowie byli ze sobą, a potem zrywali. Jack i Meg White, Gwen Stefani i Tony Kanal. Nie wycofują z tego powodu wszystkich płyt i teledysków. Kiedy jesteś muzykiem, czasem nie masz szans dostąpić tego rodzaju katharsis.

Powoli kiwam głową, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Jack wkroczyła do krainy muzyków, a ja jestem w niej tylko nieogarniętym turystą.

Z chęci opuszczenia Planety Muzycznych Filozofów pytam:

– A jak tata?

– Z tego, co nam mówi, to dobrze.

Kilka tygodni temu pan Harlow przestał się skarżyć na bóle głowy. Mimo że

rodzina go zdręczała, nie zgodził się pójść na badania. Oczywiście nie byli zachwyceni, ale pan Harlow ma wizytę kontrolną u onkologa na początku przyszłego miesiąca i jeśli jest się czym martwić, lekarze na pewno to wychwycają.

– WYCHODZĘ!

Przesuwam się akurat w odpowiednim momencie, by zrobić miejsce Paulowi, który wpada pod zjeżdżalnię i przykuca z rękami nad głową.

– Hej! – wrzeszczy jubilat, galopując w naszą stronę. – Hej, to nie fair!

– Jak najbardziej fair. – Paul nadal zakrywa sobie głowę, jakby się bał, że sześcioletek może zrobić mu krzywdę. – Dotknąłem cię, więc sytuacja wraca do stanu sprzed mojego udziału w grze. Jesteś berkiem. Ja wychodzę.

– Neeee – protestuje dziewczynka z kitkami. – Jesteś fajny!

– Teraz będę się bawił z tymi dwiema frajerkami – mówi Paul, pokazując na mnie i Jack. – Przykro mi. Już wcześniej umówiłem się z nimi na wspólną zabawę.

Otacza nas krąg dzieci o bardzo ponurych twarzyczkach.

– O Jezu – mówi Jack, wstrzymując oddech. – Zupełnie jak *Wioska przeklętych*.

– Proooooszę – naciska jubilat z naburmuszoną miną. – Jeszcze pięć minut.

– Sorry, dzieciaki. Jestem stary i zmęczony.

Niektóre zaczynają wyc, a Jack wystawia głowę spod zjeżdżalni i mówi martwym, bezbarwnym głosem:

– Jestem czarownicą i jeśli nie zostawicie go w spokoju, rzucę na was zaklęcie!

– A wcale że nie! – protestuje ta z kitkami. – Moja mama mówi, że czarownic nie ma!

– Twoja mama kłamie. Au, Tash, przestań. – Jack złowieszczo macha palcami przed twarzą dziewczynki. – Chyba nie chcesz wypróbować mojej mocy, co?

Na twarzy małej maluje się niepewność, ale jubilat już się cofnął, wyraźnie nieswój. Nagle, bez ostrzeżenia, rusza biegiem przed siebie, wrzeszcząc:

– Berek!

O Paulu już nikt nie pamięta.

– Jesteś okropna – zwracam się do Jack. – Nie wolno mówić dzieciom, że ich mama kłamie.

– Wszyscy rodzice kłamią – stwierdza Jack, na co Paul marszczy brwi i ciska w nią kolejną porcją żwiru.

– Pieczone udka – mówi. – Słońce jest w zenicie. Do dzieła.

Jack wygrywa zawody trzeci raz z rzędu. Osiemnaście sekund nieprzerwanego kontaktu skóry z rozgrzanym metalem.

– Potrójna korona! – wrzeszczy, po czym ogląda przysmażone z tyłu uda.

Następnego dnia siedzimy z Jack w jej pokoju. Ona montuje materiał filmowy, a ja przeglądam komentarze pod naszym najnowszym nagraniem zatytułowanym *Anna wychodzi na prostą*. Jutro kręcimy od samego rana, w jadalni Harlowów, więc postanowiłam zostać na noc. Siedzimy w przyjemnej ciszy przerywanej tylko klikaniem. Nagle widzę, że Jack wpatruje się w ekran ze zmarszczonymi brwiami.

– Co jest? – pytam przejęta, że to pewnie coś z materiałem. Może nie ma wystarczającej liczby ujęć robionych z określonego miejsca, może nie wyłapałyśmy

jakiejś wpadki.

– E, nic takiego – odpowiada Jack, ale marszczy brwi jeszcze mocniej.

Przysuwam się bliżej, by widzieć ekran.

– Na pewno?

Jack zasłania laptop rękami.

– Mhm. – Jej głos brzmi bardzo nerwowo. – Wszystko w porządku.

– To dlaczego zakrywasz ekran? – Próbuję oderwać jej palce, lecz na próżno.

– Dobra – mówi Jack. – Tylko obiecaj, że ci nie odbije.

– Pokaż.

Jack odsuwa dłonie. Na ekranie widnieje tumblrowy post. Bardzo długi.

Jack mówi:

– Hejterzy zaczynają wylazić z nor.

W powtarzaniu sobie w pamięci pewnych rzeczy jest pewne okrucieństwo, nawet jeśli są to rzeczy dobre. Kiedy przestajesz recytować słowa, one nadal odtwarzają się jak zaprogramowane, drążą dziurę w twoim mózgu. Doświadczylam tego wcześniej przy okazji nagrania Taylor Mears i kilku esemesów od Thoma. Niektóre słowa wskakują do wagonika, który jeździ w kółko, czerpiąc paliwo ze świadomości.

A jest tak w przypadku dobrych słów. W przypadku złych jest znacznie, znacznie gorzej.

Czytam post na Tumblrze raz, dwa, trzy razy. A potem następuje reakcja, mówię coraz szybciej i coraz bardziej zażarcie. Jestem już nieźle nakręcona, gdy do pokoju wchodzi Paul z piłką do kosza w rękę. Włosy ma związane w kucyk, twarz zaczerwienioną. Pachnie potem i słońcem.

Jack przerywa moją tyradę.

– Nie waż się dotykać w tym stanie moich mebli. Tylko podłoga.

Paul wypuszcza piłkę z rąk i posłusznie siada na podłodze.

– O co chodzi? – pyta.

– Jakiś beznadziejny osobnik, który nie ma nic lepszego do roboty, napisał krytykę *Nieszczęśliwych rodzin*. Jasne, chciałabym zobaczyć, jak sam produkuje serial bez żadnych środków finansowych, z toną logistycznych problemów, które trzeba ogarnąć, i na pewno nawet nie wie, że jesteśmy w liceum, no bo jaki palant... co, Jack?

Jack ma taką minę, jakby bardzo starała się powstrzymać od śmiechu.

– Lubię, kiedy jesteś w mściwym nastroju – mówi. – Do twarzy ci z tym.

Jej słowa wywołują we mnie jeszcze większą wściekłość, ponieważ przypominają, że bynajmniej nie zbliżyłam się do oświecenia. Potrzebuję przestrzeni. Przestrzeni, by wszystko przemyśleć i się uspokoić.

– Co dokładnie napisała ta osoba? – pyta Paul. – I dlaczego uważasz, że to on?

Wzruszam ramionami.

– A dlaczego nie?

– Hej – Jack trąca mnie w kolano – to nie fair. Faceci i laski bywają tak samo okropni. – Przechyliła się nad brzegiem łóżka i kładzie laptop na piersi Paula.

– Sam przeczytaj. Silverspunnnx23.

Paul widocznie rozumie jej słowa jako „przeczytaj na głos”, ponieważ odchrząkuje

i czyta zdania, które już i tak zdążyły wbić się w mój mózg niczym ostrza:

– *Najwyraźniej jestem w mniejszości, ale dlaczego wszyscy nagle dostali OBSESJI na punkcie Nieszczęśliwych rodzin? Jasne, serial poleciała Taylor Mears, ale powszechnie wiadomo, że jej vlog zmienił się w zbieraninę przeróżnych przypadkowych treści, jako że jest zajęta pracą nad nowym projektem. Osobiście uważam ten serial za potwornie nudny i oklepany. I żeby nikt mi nie zarzucił, że jestem w kiepskim humorze, wymienię wszystkie słabe strony tej produkcji. Przyjrzyjmy się im.*

1. *GRA AKTORSKA. Ogólnie rzecz biorąc, nie jest źle, ale przeważnie kwestie brzmią w sposób wymuszony. Scenarzyści bardzo starają się trzymać tekstu powieści, ale to po prostu nie działa.*

2. *HISTORIA. Czy tylko ja tak uważam? Istnieje powód, dla którego nikt do tej pory nie przerabiał Anny Kareniny na współczesny serial: PONIEWAŻ TO NIE DZIAŁA. To stanowczo zbyt ambitne. Tolstoj nie napisał uroczej historyjki miłosnej. Napisał komentarz do kwestii społecznych i politycznych, a w tej interpretacji owe aspekty całkowicie zaginęły. Nie twierdzę, że serial internetowy powinien być równie skomplikowany i wnikliwy co powieść Tolstoja. Większość tego rodzaju produkcji to stek wtórnych bzdur. Ale uwspółcześnić i tak okropną powieść gotycką to jedno. Co innego zrobić to samo z klasyką literatury rosyjskiej. W tym momencie zapewne sami twórcy poczuli, że porwali się z motyką na słońce.*

3. *KEVIN. Jezu, nawet nie chce mi się o tym mówić. Za nic nie potrafię pojąć, co wszyscy widzą w tej parze. Nawet w książce nie jest szczególnie interesująca, a w serialu to już zwykły żart. Lewin to niezdarny, płaczliwy mięczak z bogatej rodziny, który lubi roślinki. Przy okazji, grający go aktor jest stanowczo za ładny do tej roli. Kitty z kolei jest mdła i pozbawiona jakichkolwiek wyróżniających cech osobowościowych poza tym, że tańczy. Chociaż i tak zasłużyła na coś lepszego niż Lewin. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak im kibicują. DLACZEGO?*

Wnioski: O CO K... CHODZI? Poważnie, tylko to mi przychodzi do głowy, kiedy widzę fangirls jarające się tym co najwyżej przeciętnym serialem. Mam tylko nadzieję, że ta faza wkrótce minie i wszyscy zapomną o obłędzie pod tytułem #KevinCzwartek.

Paul zamyka laptop i podaje go Jack, wyciągając ramiona wysoko w górę.

– Au – podsumowuje. Nagle dostrzega stos świeżych figurek z gliny autorstwa Jack. Bierze do ręki Gnijącą Pannę Młodą i Jacka Skellingtona i każe im tańczyć walca na swoim brzuchu.

– Chciałabym zobaczyć, jak ten osobnik pisze scenariusz, reżyseruje i produkuje serial internetowy – mówię. – O co mu chodzi? Napędzają go krytykanctwo i cudze łyzy? Nie ma nic lepszego do roboty, jak niszczyć ludzi, którzy próbują... próbują tworzyć sztukę?

– Spokojnie, Tash, nie tak patetycznie. – Jack znów otwiera laptop. – Kręcimy *Nieszczęśliwe rodziny* dla zabawy, nie zlecono nam odmalowania Kaplicy Sykstyńskiej. A autor komentarza równie dobrze może być autorką. I pewnie jest.

– Tak czy inaczej, jest beznadziejny. A widziałaś te wszystkie udostępnienia? Kto udostępnia tak złośliwe treści? Czyżby setki ludzi nienawidziły naszego serialu?

Przypomina mi się dziewięć osób, które nie polubiły mojego vloga. I wybucham

płaczem.

– Hej... – Paul na pocieszenie podsuwa mi pod oczy Gnijącą Pannę Młodą. – Nie warto płakać z takiego powodu.

– Nie mów mi, z jakiego powodu warto płakać! – wrzeszczę, wytrącając figurkę z jego ręki. – Tak jakbyś się na tym znał!

Zapada cisza, okropna cisza. Paul kieruje wzrok w sufit, ale widzę, że jest mu przykro.

Jack wbija we mnie spojrzenie.

– Jezu, Tash. Od kiedy jesteś taką wredną pindą? To moja działka.

– Prze... przepraszam – chlipię, wciąż rozzalona. Ześlizguję się z łóżka i siadam obok Paula na podłodze. Daję mu kuksańca w ramię, wciąż wilgotne od potu. – Przepraszam, wiem, że przesadziłam.

Paul zamyka oczy.

– W porządku.

– Złe recenzje są nieuniknione – stwierdza Jack. – Ale nie możemy pozwolić, żeby George to zobaczył.

– Z wielu powodów – zgadzam się i staram się zdusić w sobie cały niepokój.

– A więc dosyć tego. – Jack odwraca ekran w moją stronę. – Lepiej obejrzyj tę serię GIF-ów. Świetne, nie?

Ktoś wychwycił trzy fragmenty z odcinka ze scrabblami: zbliżenie kostek z literami, muśnięcie dłoni Lewina i Kitty oraz pocałunek.

Uśmiecham się i potakuję, ale po głowie wciąż tłucze mi się: „pozbawiona jakichkolwiek wyróżniających cech osobowościowych”. Czy to prawda? Jack i ja ciężko pracowałyśmy, by uczynić postać Kitty słodką i miłą, lecz wiarygodną. Ale może to za mało? A może chodzi o grę Evy? Albo jeszcze coś innego? Co robimy nie tak?

Nawet jeszcze później, kiedy Paul powlókł się do swojego pokoju, a my już leżymy w łóżku, w moim umyśle uparcie krążą słowa: „brzmia w sposób wymuszony”, „stek wtórnych bzdur”, „zwykły żart”.

Przez godzinę próbuję zasnąć, w końcu wyciągam telefon spod poduszki i piszę do Thoma.

Dostaliśmy dzisiaj bardzo krytyczną recenzję. Jakaś rada, jak do tego podejść?

Odpowiedź spodziewam się dostać najwcześniej jutro, ale ku mojemu zaskoczeniu Thom odpisuje natychmiast.

Koszmar. Przykro mi, też odebrałem swoją działkę. Staraj się trzymać z daleka od hejterów i NIE CZYTAJ OBSESYJNIE tego, co piszą. Inaczej zapamiętasz te słowa na zawsze.

Krzywię się i odpisuję: *Za późno.*

Będzie dobrze. Pamiętaj, zawsze znajdą się tacy, którym nie podoba się to, co robisz. Mają prawo krytykować. Ty masz prawo tworzyć sztukę.

Uśmiecham się. Przynajmniej Thom uważa, że tworzę sztukę.

Dzięki. Od razu lepiej się poczułam.

Zawsze do usług. Słodkich snów.

Gapię się na ekran przez pełną minutę.

„Słodkich snów”. Czy przyjaciele tak do siebie piszą? Czy Thom i ja jesteśmy przyjaciółmi, czy jak? Żadne z nas nie składało deklaracji miłosnych, ale ostatnio Thom odpisuje znacznie szybciej i dłużej podtrzymuje rozmowy. W tym tygodniu dwa razy nie spałam do trzeciej, bo gadaliśmy o nowym materiale, który zaplanował na swój vlog, oraz na temat – mój ulubiony ostatnio – Złotych Tub.

Czujesz się onieśmielony w związku ze Złotymi Tubami? – napisałam kilka dni temu. – *Wiem, że to nie Oscary, ale czasem tak to odczuwam.*

Thom odpowiedział: *Nie daj się. W zeszłym roku, kiedy dostałem pierwszą nominację, byłem strasznie podekscytowany, ale cieszyłbym się o wiele bardziej, gdybym się tak nie denerwował.*

I dodał: *Gdybym wiedział, że nie wygram, to bym nie pojechał. Lol.*

Dlaczego? To fajna okazja, żeby poznać ludzi.

Znam mnóstwo ludzi, odpisał.

Co zapewne jest prawdą. Thom zdążył się zadomowić w tym świecie znacznie lepiej ode mnie. W zeszłym roku *Laboratorium filmowe* dostało nominacje w trzech kategoriach – Najlepszy Vlog, Honorowy Nerd i Najciekawsza Osobowość. Wprawdzie Thom nie dostał żadnej nagrody, ale sama nominacja to już coś. Ja przynajmniej będę kłębkim nerwów tylko podczas wręczania jednej statuetki.

Mam nadzieję, że się nie rozplaczę, napisałam.

A Thom odpowiedział: *Przyniosę dużo chusteczek, nie martw się.*

Niby żadnych zalotnych sygnałów, ale jednak coś jest. Może jeszcze nie romantyczne deklaracje, lecz subtelna obietnica. Chyba oboje wiemy, że podczas konwentu wszystko się zmieni. Nasze spotkanie będzie potwierdzeniem tego, na co liczyliśmy, albo smutną konkluzją, że prawda nigdy nie dorównuje oczekiwaniom. Na samą myśl o naszym spotkaniu czuję dreszcze – mieszankę strachu i zniecierpliwienia.

Ciekawe, jak Thom wyobraża sobie nasze pierwsze spotkanie. Czy ma nadzieję, że dojdzie między nami do kontaktu fizycznego? Czy liczy na... więcej? Jeśli nie, to absolutnie nie ma sensu mu teraz mówić. Zresztą, jak powiedzieć facetowi, który ci się podoba, że nie chcesz uprawiać z nim seksu, prawdopodobnie nigdy? Nie dają takich rad w „Cosmopolitan”, nie ma takich informacji w podręczniku medycyny. Nie mogę spytać o radę Jack czy Paula.

Nawet gdybym rozpoczęła wątek na forum, nikt nie potrafiłby dokładnie wskazać, jak sformułować wiadomość czy wypowiedź na żywo. „A więc, Thom, bardzo mi się podobasz, ale żadna część mojego ciała nie ma ochoty na kontakt z żadną częścią twojego ciała”. Jak to ująć, by nie zabrzmiało jak odrzucenie? I żeby nie wyszła na cnotkę? No który nastoletni chłopak chciałby coś takiego usłyszeć? Kto w ogóle by chciał?

Tak czy inaczej, nie ma powodu, by teraz poruszać ten temat. Mam czas do rozdania Złotych Tub, kiedy nasze nadzieje się ziszczą albo rozpadną na setki maleńkich kawałeczków.

Budzi mnie ostre światło poranka i strumień przekleństw płynący z ust Jack.

– Co się stało? – mamroczę, rzucając mordercze spojrzenia w stronę okien, które Jack właśnie odsłania.

– Wstawaj.

Sprawdzam godzinę.

8:52. Za osiem minut mamy zacząć filmowanie.

Zapomniałam nastawić budzik. I Jack najwyraźniej też.

– Na dole już siedzą George i Serena. – Jack związuje splątane od snu włosy w koński ogon. – Cholera. George nigdy nam tego nie zapomni. Szybko, Tash, zabieraj tyłek.

To niemożliwe. To się nigdy nie zdarza. Jack i ja zawsze działamy zgodnie z planem, zawsze wykazujemy się profesjonalizmem. A to, co właśnie odwinęłyśmy, to szczyt braku profesjonalizmu. Odrzucam kołdrę i biegnę do torby. Wyciągam koszulkę i szorty džinsowe i właśnie wkładam stanik, gdy drzwi się otwierają. Spoglądam przez ramię z lekkim okrzykiem.

– Łoa! – Paul zasłania oczy i zatrzaskuje drzwi. Sekundę później lekko je uchyla i mówi: – Przepraszam. Yyy, chciałem tylko sprawdzić, czy potrzebujecie dzisiaj mojej pomocy. Na dole już czekają ludzie.

– Jesteśmy tego świadome – odpowiada Jack lodowatym tonem zawierającym ostrzeżenie przed rychłym aktem przemocy.

– No, to dajcie znać, gdybym był potrzebny.

– Jasne – rzuca Jack. – Może podasz gościom herbatę i racuchy?

– Spierdalaj. – Drzwi znów się zatrzaswiają, z większą mocą niż poprzednio.

– Nie doprowadzaj go do ostateczności – mówię, zasuważąc zamek przy szortach.

– Tylko on nam pomaga.

– Spoko. W przypadku Paula nie ma ostateczności zbyt ostatecznej.

Zamierzałyśmy wstać dzisiaj o siódmej i przygotować jadalnię do zdjęć. Scena rozgrywa się w nocy, co znaczy, że musimy zakleić czarną folią wszystkie okna i zastosować odpowiednie światło. Poza tym potrzebujemy mnóstwa rekwizytów, by zmienić kąt jadalni Harlowów w coś przypominającego elegancką bibliotekę uniwersytecką.

Ale nie wstałyśmy o siódmej, co oznacza co najmniej pół godziny gorączkowych przygotowań, zanim w ogóle będziemy mogły włączyć kamerę.

George nie jest zadowolony. Nawet Serena wygląda na zdenerwowaną. Siedzi w fotelu, z ramionami splecionymi na piersi, wpatrując się w scenariusz. Podnosi głowę tylko na chwilę, by powiedzieć:

– Muszę wyjść o trzeciej. Mam randkę z Benem.

– Skończymy o czasie – zapewniam ją. – Jest dopiero dziewiąta.

– O dziewiątej zaczynamy – wtrąca George. Twarz ma wykrzywioną, jakby właśnie rodził słonia. – O dziewiątej krzyczycie: „akcja!”. Nie mogę w to uwierzyć. A Evy jeszcze nawet nie ma.

Jak na zawołanie rozlega się dzwonek do drzwi. Biegnę otworzyć. Eva dyszy i sapie, płacze, że zasnęła, lecz zapewnia, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

– Dzisiaj nie musisz przepraszać – mówię.

Kiedy wracamy do jadalni, George i Jack regularnie się kłócą.

– Nie spóźnimy się aż tak bardzo, jeśli raczysz pomóc – mówi Jack. – Musimy zakleić okna, przynieść półki z książkami i ustawić światła. I możemy zaczynać.

– Ale to nie jest moje zadanie – protestuje George ze specyficznym dramatyзмом w głosie, który słyszałam jedynie u aktorów. – Moje zadanie to znać scenariusz i dobrze odegrać rolę. Wy robicie swoje, ja swoje.

– O Boże, George – mówi Serena, odcinając kawałek czarnej folii, teraz bardziej zrezygnowana niż wkurzona. – Jeszcze nie należysz do związku zawodowego aktorów.

– To nie ja zasnęłam.

– Im zdarzyło się to po raz pierwszy, więc się nie czepiaj.

George jest niewzruszony. Podczas gdy Jack, Serena, Eva, Paul i ja pospiesznie przygotowujemy scenografię, on uparcie siedzi przy stole, przeglądając scenariusz i od czasu do czasu głośno wdychając.

Wreszcie jesteśmy gotowi, ale sytuacja niewiele się poprawia. Eva zapomniała szminki, którą była pomalowana w scenie kręconej w zeszły weekend, co znaczy, że grozi nam wtopa.

– Może widzowie uznają, że się wymknęła i zmasała szminkę między kolacją a drinkami – sugeruje George. – Dziewczyny robią takie rzeczy, nie?

– Weź się zamknij – mówi Jack, której cierpliwość co do George’a wyczerpała się godzinę temu.

W rewanżu nasza gwiazda specjalnie myli tekst. Posuwa się nawet do tego, że zabiera kawałek kwestii Serenie, ona zaś stara się jakoś to nadrobić, ale w końcu, w środku ujęcia, wali George’a w ramię i wrzeszczy:

– Nie mogę pracować z tym palantem!

Zatrzymuję kamerę, a Paul opuszcza mikrofon. Oznajmiam, że na dzisiaj kończymy, bo w ten sposób na pewno nie uda nam się nakręcić niczego sensownego.

– Później podam wam zmienione terminy – dodaję, ucinając protesty George’a. – Wydaje mi się, że nikt z nas nie jest w stanie teraz spokojnie tego przedyskutować.

George wdycha:

– To takie nieprofes...

– Wyjdź.

I nasz gwiazda wychodzi, a ja rzucam się na sofę, wydając z siebie stłumione wycie.

– Nie mogę uwierzyć, że zmarnowałyśmy cały dzień zdjęciowy – wdycha Jack.

„Stek wtórnych bzdur”.

– To było jak... – zaczyna Paul.

– Katastrofa kolejowa? – podpowiadam.

– Miałem powiedzieć: „prawdziwy dramat”. Nie myślałyście nigdy, żeby zrobić *reality show* z samego procesu pracy nad serialem? Bo ja chętnie bym na coś takiego popatrzył.

Słowa Paula wprawiają mnie w jeszcze podlejszy nastrój, ponieważ przypominają, że „z zasady” nie ogląda on *Nieszczęśliwych rodzin*. Wyjaśnił kiedyś, że nie chce, byśmy pytały go o zdanie, bo jeśli mu się nie spodoba, to się na niego obrazimy, a jeśli się spodoba, to z kolei on będzie ciągle nas zadręczał, żebyśmy mu pokazały następny materiał. Moim zdaniem to dość pokrętna logika, lecz aż tak bardzo mi nie przeszkadza. Z wyjątkiem takich chwil jak teraz.

– Słuchaj no – warczy Jack na brata – wymiataj do kuchni. I przynieś lody.

Paul posyła jej całusa środkowym palcem. Ale wychodzi, a chwilę później słysząc niedający się z niczym pomylić odgłos otwierania drzwiczek zamrażalnika.

– Wskakujemy z powrotem w piżamy – komenderuje Jack. – Będziemy oglądać filmy i przez co najmniej pięć godzin ani razu nie pomyślimy o tym, co się wydarzyło.

Nie mam zastrzeżeń co do tego planu. Godzinę później koczujemy we trójkę w salonie pośród pustych miseczek po lodach, oglądając *Ciemny kryształ*.

– Wydaje mi się, że przypominam Jena – stwierdza Paul.

– Mówisz tak, bo masz długie włosy – oponuje Jack. – To nie działa w ten sposób.

– Trochę jednak tak – upiera się Paul. – Nie ma zbyt wielu długowłosych mężczyzn na świecie.

– A to ty jesteś mężczyzną?

Śmieję się.

– No, Paul, chyba jeszcze nie wkroczyłeś na to terytorium. Nadal jesteś chłopakiem.

Paul ma zranioną minę.

– Jen też nie jest mężczyzną. To lalka.

– Nie możesz twierdzić, że jesteś do niego podobny tylko dlatego, że obaj macie długie włosy – poucza go Jack. – Za chwilę porównasz się z cholernym Jaredem Leto.

Paul wzrusza ramionami. Jego mina mówi: „Uderz w stół”.

Walę go po głowie.

– Dupek – pryham i nagle w moim gardle pojawia się to bąbelkowanie jak po wypiciu napoju gazowanego, chociaż niczego takiego dzisiaj nie piłam.

Oglądamy filmy do późna w nocy. W końcu pan Harlow wtyka głowę do pokoju i pyta:

– Czy odzyskam kiedyś swój dom?

– Zaraz się zmywamy – odpowiada Jack, po czym wyłącza telewizor i zgarnia śmieci. Do naszej kolekcji miseczek po lodach dołączyły przez ten czas torebki po chipsach i opakowania po serze.

Pan Harlow z uznaniem kiwa głową, a my opuszczamy pokój, zabierając śmieci. Pan Harlow wygląda na zmęczonego, ma cienie pod oczami. Cała się spinam, ale próbuję się uspokoić, nie brać każdego śladu zmęczenia za objaw raka. Gdyby dowiedział się czegoś na temat przyczyny bólów głowy, Jack i Paul na pewno by mi powiedzieli. Pewnie po prostu nie mógł się doczekać, kiedy odzyska telewizor. Po chwili z pokoju dochodzą odgłosy meczu koszykówki.

– Czy wasz tata jest na nas zły? – pytam szeptem.

– Co? Nie. – Jack uśmiecha się krzywo. – Znasz go, to łatwy przeciwnik. Gdybyśmy oznajmili, że chcemy oglądać filmy do samego rana, toby nam pozwolił.

Wolałby umrzeć, niż brać udział w konfrontacji.

– W takim razie całe szczęście, że przyszedł dopiero teraz.

– Mam coś do zrobienia – odzywa się Paul. – No to do jutra.

Głos ma stłumiony, niemal gniewny. Marszcząc brwi, odprowadzam go wzrokiem, a kiedy znika w korytarzu i zamyka za sobą drzwi do pokoju, pytam szeptem:

– Co to było?

Jack wzrusza ramionami, ale minę ma nieswoją.

– Potrzebny nam nowy plan.

Właśnie skończyłam zmianę w Old Navy. Jack zrobiła mi niespodziankę, wyskakując z przymierzalni z żądaniem, bym poszła z nią na późny lunch. Teraz siedzimy w części restauracyjnej domu handlowego przy dwuosobowym stoliku obok karuzeli. Ja jem pizzę wegetariańską, Jack zamówiła kanapkę filadelfijską z serem i gigantyczną drożdżówkę z cynamonem i bierze kęsy na przemian z jednego i drugiego. Nagle pyta, z ustami pełnymi cynamonowej masy:

– Jaki plan?

– Jak mamy postępować w sprawie reakcji widzów. To się staje bardzo wyczerpujące. I przygnębiające.

Jak się okazało, silverspunnnx23 nie był odosobnionym przypadkiem. Od tamtego komentarza zauważyłam więcej negatywnych ocen pod naszymi nagraniami, więcej negatywnych maili i komentarzy (*Emmmm, dokąd zmierza ta historia? Czy Kitty sama się maluje? Bo widać*). Trudno powiedzieć, czy nieprzychylnie opinie zawsze się pojawiały, tylko były mniej widoczne, czy też silverspunnnx23 wywołał lawinę tego rodzaju reakcji; jego wpis zdobył naprawdę sporo lajków i reblogów.

– Mówię ci, trzeba wynająć asystenta – stwierdza Jack.

– Jasne, przy naszym budżecie. Daj spokój, potrzebne nam realne, możliwe do wprowadzenia w życie rozwiązanie.

– Oczywiście, pani bizneswoman rodem z lat osiemdziesiątych. – Jack sięga ponad stołem i gorączkowo klepie mnie po ramionach. – O rany, rosną ci poduchy.

– To nic niezwykłego opracowywać plan w celu rozwiązania problemu.

– Ale i nic zabawnego – mruczy Jack, po czym całą uwagę skupia na kanapce. Kiedy ma pełne usta, znów się odzywa. – Nie wiem, co mogłybyśmy zmienić. Nie da się odfiltrować hejtu. A więc jeśli nie zamierzamy przestać odpowiadać na jakiegokolwiek komentarze online, to powinniśmy dalej robić swoje.

– Może rzeczywiście nie powinniśmy odpowiadać – rzucam.

Jack głośno przełyka.

– Żartujesz? Co, mamy zniknąć?

– Nie. – Plan kształtuje się na gorąco w mojej głowie. – Nadal będziemy zamieszczać nagrania. Ale może na tydzień damy sobie spokój z przeglądaniem komentarzy.

– Ale narobimy sobie okropnych zaległości. Jak niby miałyby to pomóc?

– Nie wiem – odpowiadam z rozpaczą w głosie. – Po prostu uważam, że to, co teraz robimy, nie jest... rozsądne. Może należałoby przestać na jakiś czas, nabrać dystansu.

– No dobra, jak chcesz. Nie mam nic przeciwko, by odzyskać kilka godzin z życia.

– Przynajmniej Kevin wciąż mocno się trzyma – mówię, zanurzając kawałek pizzy w miseczce z sosem pomidorowym. – Większości ludzi podobał się #KevinCzwartek. A widziałas, że ktoś założył stronę fanowską na Tumblrze?

– Koleżanko, to było wieki temu.

– Tylko mówię. – Gniotę przesiąkniętą tłuszczem serwetkę i rzucam w nos Jack.

Jack robi unik i serwetka trafia w kogoś siedzącego za nią. Ten ktoś się odwraca. Jest to raczej dojrzała pani, zajada coś z McDonalda w towarzystwie dwójki dzieci. Nie wygląda na ani trochę rozbawioną.

– Przepraszam – rzucam. – Celowałam w przyjaciółkę.

Kobieta wbija we mnie nieruchome spojrzenie. Takie twarze potrafią mnie przekonać, że ludzie rzeczywiście lubili patrzeć na walki gladiatorów i publiczne egzekucje.

Jack wciąż siedzi zgięta w pół i chichocze.

Kopię ją pod stołem.

– Zamknij się. Jedz szybciej.

Jack prostuje plecy. Wgryza się w drożdżówkę. Ze złośliwą radością w oczach przeżuwa bardzo powoli.

Po powrocie do domu przeglądam zawartość pendrive'a ze zmontowanym materiałem filmowym, który dała mi Jack podczas lunchu. Tak jak się spodziewałam, wszystko wygląda bardzo dobrze. Cięcia są doskonale wymierzone w czasie, korekta koloru przyzwoita. I nigdy mi się nie znudzi oglądanie naszej pięciosekundowej czołówki. Tony napisał muzykę, zalotną melodyjkę na syntezatorze, a Paul zadbał o stronę graficzną – ujęcie z góry torów kolejowych kończących się tytułem serialu.

Kiedy Paul pokazał nam projekt, zapytałam, czy przypadkiem nie jest zbyt makabryczny, biorąc pod uwagę, że Anna rzuca się pod pociąg. (My zaplanowałyśmy mniej dramatyczne zakończenie. Ale o tym później). Jack odparła, że w życiu nic nie jest zbyt makabryczne, ponieważ nic nie jest równie makabryczne jak samo życie. Nie chciałam urazić Paula, który zrobił projekt za darmo, i więcej nie poruszałam tematu. A teraz, kilka miesięcy później, niczego bym nie zmieniła. Możliwe, że wreszcie uświadomiłam sobie, jak genialna jest ta czołówka, ale raczej po prostu do niej przywykłam.

Tak więc niezależnie od przyczyn czołówka mi się podoba. Zapewne innego zdania jest pewien użytkownik Tumblra znany jako silverspunnnx23, który zmieszał z błotem całą naszą produkcję. Ton jego wpisu tak utkwiał mi w pamięci, że wyobrażam sobie dalszy jadowity ciąg:

4. CZOŁÓWKA – Co to za tanie gówno? Niski budżet? Chyba zerowy. Gratulacje, komuś udało się stworzyć pięciosekundowy temat irytujący bardziej niż dżingiel dealera samochodowego. Uwaga, gorąca wiadomość: to, że potrafisz wydobyć kilka nut z syntezatora, jeszcze nie czyni cię muzykiem. A grafika? Żeby zobaczyć takie neonowe odcienie, lepiej wziąć LSD, dziękuję bardzo. W dodatku tory kolejowe? Chyba komuś zabrakło gustu.

– To jest toksyczne – mówię do siebie, kładąc głowę na biurku. – To jest toksyczne, przestań.

Postanawiam w ramach rozrywki zajrzeć na konto mailowe Nowalijek. Technicznie rzecz biorąc, to nie są media społecznościowe. Ale zanim otworzę wyszukiwarke, ustawiam budzik w telefonie na dwadzieścia minut. Trzeba wyznaczać granice.

Jak zwykle skrzynkę odbiorczą wypełniają po równo śmieci i listy od fanów.

Przychodzi mnóstwo maili z pytaniami, na które nie możemy odpowiedzieć, na przykład jak skończy się serial albo jak zamierzamy potraktować ten a ten wątek z powieści. Kilka osób chce wiedzieć, gdzie można posłuchać innych utworów w wykonaniu Tony'ego i Jack, chociaż wystarczyłoby zerknąć na opis nagrania, by znaleźć link do strony zespołu, w którym gra Tony. Kilka innych osób po prostu pragnie wyznać, jak kocha nasz serial. Wydaje mi się, że widziałam już listy wszelkiego rodzaju, lecz okazuje się, że się myliłam. Mój wzrok przyciąga mail wysłany tego popołudnia. Temat brzmi: *WASZ SERIAL JEST DO DUPY*. Treść jest tylko nieco bardziej rozbudowana: *Uważam, że wasz serial jest naprawdę do dupy, błagam, przestańcie kręcić.*

To wszystko dzieje się tak szybko i gwałtownie – dosłownie klik i parę sekund potrzebnych na przetrawienie słów – że nieświadomie odsuwam się od biurka, chwiejnie, jak pijana. Chodzę po pokoju tam i z powrotem. Spoglądam na plakat z Lwem. Lew patrzy wilkiem. Ja też patrzę wilkiem. Potem wracam do laptopa i kasuję wiadomość. Mówię sobie, że osoba, która znajduje frajdę w wysyłaniu chamskich listów, zasłużyła na moją litość, a nie gniew. I już.

Szkoda, że równie łatwo nie potrafię się pozbiierać po krytyce ze strony silverspunnnx23. Problem polega na tym, że silverspunnnx23 nie napisała (bo zaczynam myśleć o tej osobie jako o kobiecie) gówniarskiego, pozbawionego inwencji maila. Napisała spójną krytykę, poprawną pod względem gramatycznym. A najgorsze, że uderzyła w mój słaby punkt, budząc wątpliwości, które już wcześniej się we mnie odzywały. Zastanawiam się czasem, przeglądając scenariusz, czy niektóre kwestie nie są aby zbyt sztywne, zbyt wymuszone. Dyskutowaliśmy z Jack przez wiele miesięcy, czy robić współczesną adaptację *Anny Kareniny*, i obie czułyśmy się onieśmielone przytłaczającą wielkością tej powieści. To ambitny projekt, jasne, ale postanowiłyśmy celowo uprościć i uwspółcześnić tę historię. Nie zamierzałyśmy wyprodukować arcydzieła – w końcu ludzie nie szperają po YouTubie w poszukiwaniu kolejnego Francisa Forda Coppoli. Ale nieważne, ile razy nie powtarzałam sobie, że silverspunnnx23 po prostu tego nie łapie, jej bolesne słowa wciąż na nowo odtwarzają mi się w pamięci.

W ostatecznej rozpaczliwej próbie poszukiwania rozrywki loguję się do swojej poczty. Przeglądając skrzynkę odbiorczą, czuję się tak, jakbym kroczyła po zaminowanym polu. Odsiewam maila z zapytaniami o muzykę Tony'ego i docieram do maila o temacie *PROPOZYCJA WYWIADU*. Takiej wiadomości jeszcze w życiu nie dostałam. Pochylam się, zaintrygowana, i klikam.

Drogie Jacklyn i Natasho,

Nazywam się Heather Lyles i jestem współzałożycielką bloga lifestyle'owego Dziewczyna w Rogowych Okularach. Co miesiąc piszemy o dziewczynach, które robią nowe i innowacyjne rzeczy w internecie. Jeśli jesteście zainteresowane, moja co-bloggerka Carolyn i ja chętnie przeprowadzimy z wami wywiad do wydania sierpniowego. Zapraszamy do przeglądania naszego bloga i czytania wcześniejszych wywiadów (linki poniżej). Jeśli jesteście zainteresowane, to dajcie znać w najbliższym czasie.

Pozdrawiam

Heather Lyles

Blogerka, twórczyni bloga Dziewczyna w Rogowych Okularach

Chciałam rozrywki, no to mam. Prośba o wywiad. Jakbyśmy były celebrytkami. Jakbyśmy miały coś ważnego do powiedzenia. A najlepsze, że już wcześniej słyszałam o tym blogu. Co znaczy, że ten wywiad nie ogranicza się do zwykłej rozrywki, może się okazać czymś naprawdę wielkim. Pięć minut później mam gotową odpowiedź. Dziękuję Heather za propozycję i informuję, że bardzo chętnie z niej skorzystamy.

Kiedy klikam „wyślij”, dzwoni budzik, który nastawiłam na dwadzieścia minut. Idealnie. Zamykam laptop i idę do łóżka z telefonem w ręku. Thom przysłał mi wiadomość, kiedy byłam w pracy. Przeczytałam ją szybko podczas przerwy, ale teraz robię to znów, niespiesznie, przyglądając się każdej literze z osobna, jak hieroglifom:

Hej, widziałem post na Tumblrze. Ta laska jest idiotką, nie zwracaj sobie nią głowy. Krytykuje praktycznie wszystkie seriale internetowe, nie wspominając o SAMYM TOLSTOJU. Niewarte twojego czasu.

Thom słusznie zauważył: silverspunnnx23 skrytykowała nie tylko *Nieszczęśliwe rodziny*, ona krytykuje wszystko. Prawdopodobnie jest jedną z tych osób, które wychodzą z domu w słoneczny letni dzień i stwierdzają: „Ech, na niebie widać jedną chmurę, mam zrujnowane życie”. I rzeczywiście obraziła mojego Lwa, co jest nie tylko bezczelne, lecz również śmieszne, ponieważ Lew to najlepszy powieściopisarz w historii. Istnieje wystarczająco dużo powodów, żeby się nie przejmować. Może wreszcie będę do tego zdolna.

Piszę: Dzięki. Zawsze wiesz, co powiedzieć.

Thom odpowiada chwilę później. Od kilku dni odzywa się znacznie szybciej niż kiedyś, nie wiem, czy dlatego, że ma luźniejszy grafik, czy z jakiegoś innego powodu... który ma coś wspólnego ze mną.

Zawsze wiem, co NAPISAĆ. Zastanawiałaś się kiedyś, jakie to dziwne, że nigdy ze sobą tak naprawdę nie rozmawialiśmy?

Siadam na łóżku wyprostowana jak struna. Chciałabym odpisać, że tak, myślę o tym od wielu tygodni. Ale wyszłabym na desperatkę.

Bardzo dziwne. Ale wkrótce się to zmieni.

Czy Thom pociągnie temat? Czy zasugeruje, że powinniśmy do siebie zadzwonić? Może porozmawiać na Skype? A może w ogóle nie odpowie, tylko od razu spontanicznie zadzwoni?

Ale nie, nie dzwoni. Piszę: Na pewno wszystko okej?

Nie mogę się o to gniewać.

Będzie okej. Po prostu ostatnio dzieje się mnóstwo niespodziewanych rzeczy.

Thom nie może o tym wiedzieć, ale mam na myśli nie tylko serial. Mam na myśli zdrowie taty moich najlepszych przyjaciół, nagłą ciążę mamy i wciąż pogłębiającą się przepaść między mną i Klaudie, a także nieprzyjemne przeczucie, że moje wymarzone studia to zwykła mrzonka.

Zasypiam, zanim nadchodzi odpowiedź. Rano odczytuję czekającą na mnie wiadomość: *Zapnij pasy, będzie jeszcze gorzej.*

Przed południem idę do Holly Park. Od paru dni jest chłodniej niż zwykle o tej porze roku. Z powodu wszystkich ostatnich negatywnych i dziwnych wydarzeń czuję potrzebę medytacji, a ten moment jest równie dobry jak każdy inny.

Chodzę zacienioną ścieżką, dziesięć kroków w jedną stronę, dziesięć w drugą. Wzrok mam nisko spuszczone, oddech równy. Próbuję nie dopuszczać do siebie różnych dźwięków i słów, takich jak na przykład „zaśmiecają mój kanał” czy „brzmia w sposób wymuszony”.

Słyszę klakson, ale nie rejestruję tego hałasu jako odnoszącego się do mnie. To tylko część warstwy dźwiękowej należącej do świata zewnętrznego, biały szum, jak świergot ptaków, szum wiatru i odgłosy ulicy w oddali. Ale kiedy ponownie zawracam i przypadkowo unoszę głowę, dostrzegam znajomą niebieską toyotę zaparkowaną na poboczu. Szyba jest opuszczona, za kierownicą siedzi moja mama.

Wychyla się i woła:

– Przepraszam, skarbie! Nie wiedziałam, że medytujesz!

Zawsze reaguję zaskoczeniem, kiedy mama krzyczy. Przeważnie mówi tak cicho, jakby nie była w stanie przekroczyć drugiej kreski przy pokrętle regulującym głośność, ale oto krzyczy. W jej głosie nie ma gniewu. Idealnie artykułuje każde słowo, tak że słyszę je wyraźnie mimo sporej odległości.

Po chwili wahania ruszam truchtem w stronę samochodu. Zatrzymuję się przy opuszczonej szybie od strony pasażera, ocieram cienką warstwę potu z czoła.

– Nie szkodzi – mówię. – I tak właśnie kończyłam. Dawno nie uprawiałam medytacji chodzonej i...

– Moment chyba jest odpowiedni – przerywa mi mama. Jej uśmiech jest tak przenikliwy, że muszę odwrócić wzrok, bo zaraz przeniknie mnie na wylot.

– Podwieźć cię do domu? – pyta.

Uśmiecham się krzywo.

– Rodzice zabronili mi wsiadać do samochodu z nieznanymi.

Mama się śmieje, co brzmi jak melodia wygrywana na szklankach wypełnionych wodą. Otwiera drzwi, wsiadam. Kiedy ruszamy, dodaje:

– Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Zatyka mnie. Co za podstęp! Odpinam pas.

Mama znów się śmieje.

– Zanim wyskoczysz na chodnik, wysłuchaj, co mam do powiedzenia. Po drodze jest Greater.

– Trzeba tak było od razu.

Od dawna pałam dziką namiętnością do tej lodziarni – równie wielką co moja miłość do Holly Park, z tym że w przeciwieństwie do parku Greater w pełni zasługuje na tak gorące uczucie. Wiem, że jest to bezczelna próba przekupstwa, ale bezwstydnie przyjmuję propozycję.

Przez kilka minut jedziemy w milczeniu w stronę centrum. Wjeżdżamy na New Circle, obwodnicę łączącą główne drogi w mieście niczym szprychy w kole. Kiedy już

znajdujemy się na prawym pasie i posuwamy do przodu w stałym tempie, mama odwraca się w moją stronę.

– Wiesz, zastanawialiśmy się z tatą przez wiele tygodni, jak wam powiedzieć o dziecku, ale i tak schrzaniłiśmy sprawę.

– Taa – mówię. – Przepraszam, że się śmiałam.

– Czasem nasze ciała dziwnie reagują na przełomowe wiadomości.

Kiwam głową. Pamiętam, jak u pana Harlowa zdiagnozowano raka, byliśmy wtedy w siódmej klasie. Jack w ogóle nie płakała. Dopiero kilka miesięcy później, kiedy oglądałyśmy *Potwory i spółkę*, wybuchła gwałtownym szlochem i nie mogła się opanować przez kolejne pół godziny.

– Mamo?

– Tak?

– Skąd weźmiecie pieniądze? Bo wychowywanie dziecka chyba sporo kosztuje. Mówiłaś, że dołożycie się do moich studiów, ale... czy teraz się to zmieni?

Mama pomrukuje, więc wiem, że słucha, ale odzywa się, dopiero kiedy wyjeżdżamy na mniej zatłoczoną ulicę.

– Niektóre rzeczy się zmieniają. Będziemy żyć z tatą znacznie skromniej niż do tej pory. Ale wiele lat temu złożyliście obietnicę tobie i twojej siostrze i nie zamierzamy jej cofać. Dołożymy się do stypendium niezależnie od tego, ile wyniesie.

– Prawdopodobnie zero – mamroczę. – W każdym razie na Vandy. Klaudie jest ode mnie dwa razy zdolniejsza, a dostała tylko... ile, pięć tysięcy rocznie?

– Tasho, kochanie.

Cała się jeżę. Dobrze wiem, co zaraz usłyszę. Otwieram usta, by zaprotestować, ale mama daje mi znak, że mam słuchać dalej.

– Powiem to tylko raz: wcale nie jestem pewna, czy Vanderbilt to odpowiednia uczelnia dla ciebie. Wiem, że uwielbiasz tamtejszy kampus i całe Nashville, wiem też, jak bardzo chciałabyś studiować na prywatnej uczelni. Ale powinnaś podliczyć koszty. Jeśli nie dostaniesz stypendium, w chwili ukończenia studiów będziesz miała sześciocyfrowy dług do spłacenia. To niewielki problem, jeśli postanowisz zostać neurochirurgiem, ale znaczny, jeżeli chcesz wejść do branży filmowej. I absolutnie nie umniejszam jej wagi. Mówię tylko, że zawód związany ze sztuką to finansowa ruletka, a nie chcę, byś zaczynała życie obciążona długiem, którego nie będziesz w stanie spłacić.

Za ułamek tej sumy możesz zdobyć przyzwoite wykształcenie na Uniwersytecie Kentucky. Dostaniesz tutaj znacznie lepsze stypendium, a połowę chesnego opłaci SSA. Przemyśl to. Ja nic więcej nie powiem.

Wjeżdżamy na płatny parking przed marketem. Mama parkuje, ale nie gasi silnika. Szuka drobnych w schowku.

– A więc – mówię – Klaudie może iść na Vanderbilt i nie macie nic przeciwko temu, ponieważ jest zdolna i zamierza zostać inżynierem. A ja nie mogę, bo chcę kręcić filmy?

Mama zamyka schowek, w dłoni trzyma dwie ćwierćdolarówki. Posyła mi surowe spojrzenie.

– Wiesz, że nie to mam na myśli. Teraz wejdę do tego sklepu, a kiedy wyjdę, co

nastąpi za jakiś kwadrans, opowiesz mi o tym, co wciąż nie daje ci spokoju. W porządku?

Nie, nie uważam, by to było w porządku, ale nie bardzo mam wybór. Przywykłam, mama rozwiązuje konflikty w ten sposób – robiła tak, odkąd pamiętam. Uważa, że w przypadku sporu należy ochłonąć i wszystko przemyśleć. Jestem przekonana, że to ona wymyśliła metodę „weź głęboki oddech i policz do dziesięciu”. Co najbardziej mnie wkurza, to fakt, że ta metoda przeważnie działa.

Dzisiejszy przypadek nie jest wyjątkiem. Kiedy mama wraca z dwiema różowymi torbami w rękach, już nie mam ochoty na dalsze dyskusje. Siedzę wygodnie rozparta na opuszczonym siedzeniu, z wylotów klimatyzatora skierowanych na moją twarz płynie chłodne powietrze, a w radiu ustawionym na stację ze starymi przebojami *Tainted Love*. Wiem, że nie mogę zignorować tego, co powiedziała mama na temat pieniędzy i mojej niepewnej przyszłości. Ale w tym momencie odpuszczam. Schowałam jej rady w szczelnej przegródce, wyciągnę je w swoim czasie, kiedy nie będzie mi tak gorąco i nie będę tak rozdrażniona i spragniona lodów.

Potem jedziemy do Greater. Zamawiam podwójną porcję truskawkowych w pucharku, a mama bierze staromodne sundae. Siadamy w boksie przy oknie i rozmawiamy o supermarkecie niedawno otwartym przy tej samej ulicy oraz o premierze nowego programu telewizyjnego. Rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o ciąży i nie o moich studiach.

Nadal jestem wkurzona na rodziców za dziecko, ale nieustanne okazywanie tego już mnie męczy. Kiedy wychodzimy z Greater, mama obejmuje mnie w pasie ramieniem i przyciąga do siebie. Nie odwzajemniam uścisku, ale też nie próbuję się bronić.

Po powrocie do domu znajduję w osobistej skrzynce odbiorczej mail informujący, że Thomnado007 zamieścił nowe nagranie. Klikam w załączony link, nieco zdezorientowana. Thom umieszcza nowy materiał na vlogu w każdy poniedziałek, a dzisiaj jest środa. Pokazuje się wideo, zatytułowane *Oświadczenie publiczne*. Podkręcam głośność i klikam play.

Thom siedzi w swoim zwykłym otoczeniu: w fotelu obitym zieloną skórą, wśród map świata, figurek dinozaurów i stosów książek, takich jak *Krótką historia czasu*, *Kosmos* czy *Śmiertelne spotkanie z czarną dziurą*. Już z pierwszego zdania wynika jednak, że to nie będzie zwykłe wydanie vloga. W pierwszej chwili nie mogę w to uwierzyć. Zatrzymuję nagranie, przeciągam pasek do startu, podkręcam głośność i zaczynam od początku.

„Hej wszystkim, tutaj Thom w nietypowym wydaniu. Przeważnie opowiadam o nauce i science fiction, ale dzisiaj chciałbym poruszyć bardziej ogólny temat. Cięży mi on już od kilku tygodni. Uznałem, że jako członek społeczności vlogerskiej po prostu muszę zareagować.

Wiem, że łatwo istnieć w internecie, kiedy nie ma się twarzy ani nazwiska czy innych cech pozwalających na identyfikację i sprawiających, że człowiek musi wziąć odpowiedzialność za to, co mówi. Konsekwencją anonimowości może być internetowy mobbing lub niekontrolowana fala nienawiści, która w innych okolicznościach nie mogłaby zaistnieć. Na przykład jeśli szczerze nie znosisz któregoś serialu internetowego, możesz powiedzieć o tym kilku znajomym, ponarzekać sobie w prywatnym gronie

i przejść nad tym do porządku dziennego. Są jednak tacy, którzy wolą podzielić się swoimi opiniami w sieci, na forum publicznym. Jako fan nauki jestem jak najbardziej za prawem do oceny i otwartą dyskusją, ale uważam, że to przesada, kiedy ludzie jak szaleni szerują post, który miał na celu jedynie kogoś zranić i obrazić.

A więc taka krótka wiadomość ode mnie do wszystkich fajnych ludzi: kiedy następnym razem przyjdzie wam do głowy umieścić totalnie negatywny komentarz czy post, pomyślcie o jego odbiorcach. Większość z nas jest taka jak wy: bawimy się, eksperymentujemy i próbujemy być coraz lepsi w tym, co kochamy. Jesteśmy ludźmi, większość z nas nie dostaje pieniędzy za to, co robi. Podejmijmy więc zbiorowy wysiłek i powstrzymajmy hejt, okej? Niech internet będzie pozytywnym miejscem. To wszystko. A teraz schodzę z mównicy. Nie zapomnijcie oglądać mnie w poniedziałek, czeka nas błyskotliwa dyskusja na temat Christophera Nolana, wybuchów nuklearnych i tuneli czasoprzestrzennych”.

Zatrzymuję materiał na ostatnim kadrze, w miejscu, gdzie Thom właśnie powiedział „czasoprzestrzennych” i posyła do kamery ciepły pożegnalny uśmiech. Jego ciemne włosy domagają się podcięcia, pojedynczy kosmyk opadł na prawe szkło okularów w grubych oprawkach. Ma na sobie koszulkę z Iron Manem.

Wtedy na stole pingpongowym powiedziałam Paulowi prawdę: na Thoma miło się patrzy. Ma proporcjonalną twarz o przyjemnych rysach, ramiona nieco patykowate, ale może dobre do przytulania. Nie jestem jednak pewna, czy w potocznym rozumieniu tego słowa można by go nazwać seksownym. Nie potrafię tego stwierdzić na podstawie komentarzy, tak jak da się to zrobić w przypadku popularnych vlogerek. Ludzie zawsze zostawiają komentarze typu „10/10, stuknąłbym” czy „ale laska”. Albo „co za paszczur, kto by chciał to ruchać?”.

Nie rozumiem, jak można w ten sposób oceniać innych. Na podstawie krótkiego filmiku, po jednym spojrzeniu na człowieka sprowadza się go do jednej jedynej cechy. Trolle nie są warte mojej uwagi, wiem. Ale jest ich tak wielu. Tak wielu, że czasem się zastanawiam, czy przypadkiem nie tak jest skonstruowana większość ludzi: by na pierwszy rzut oka oceniać potencjał prokreacyjny drugiej osoby. Wydaje się to takie zwierzęce, powierzchowne. Ale również... istotne i konieczne. Taka podstawowa cecha każdego człowieka. Co prowadzi do nieuniknionego pytania: Czyżby umykało mi coś istotnego i koniecznego?

Chowam to pytanie do jednej z przegródek w moim mentalnym schowku, tak jak to już robiłam z wieloma, wieloma innymi. W tym momencie chcę się skupić nie na wyglądzie Thoma, lecz na jego czynach. Ponieważ zrobił to dla mnie. Innego wytłumaczenia nie widzę. Owszem, nie wspomniał konkretnie o mnie ani o *Nieszczęśliwych rodzinach*, ale to na pewno nie jest zbieg okoliczności, że umieścił ten materiał właśnie teraz. Zrobił to, ponieważ zauważył, że jestem zdołowana.

Chwytam telefon. Muszę napisać, że widziałam nagranie i że bardzo doceniam jego gest. Ale siedzę tylko, wpatrzona w migający kursor i nic nie przychodzi mi do głowy. Jak by to ująć w odpowiedni sposób? Nie chcę, by wyszło niezręcznie, by pomyślał, że uznałam jego nagranie za głos w mojej sprawie, chociaż wszystko na to, rzecz jasna, wskazuje.

Najpierw piszę zwykłe: *Dzięki.*

Zbyt przymilne. Kasuję.

Widziałam twoje nowe nagranie.

Wyjdę na stalkerkę. Kasuję.

Co słychać? Jak ci mija dzień?

Nudne i oczywiste. Kasuję.

Rezygnuję i wypróbuję nową metodę koncentracji: patrzeć na nierówne smugi po płynie do czyszczenia okien na szybie. Pochłania mnie to całkowicie, a dźwięk przychodzącej wiadomości rozlega się tak niespodziewanie, że wydaję z siebie piskliwy okrzyk. Wiadomość od Thoma.

Umieściłem dzisiaj nowe nagranie. Trzymaj się, Tash. Uważam, że jesteś świetna.

Robię minę szczęśliwego mopsa. Czy to możliwe uśmiechać się całym ciałem?
Odpowiedź brzmi: tak.

– Wroński, masz ciastko między zębami.

To ostatni dzień zdjęciowy z pełną obsadą i chociaż zaczęliśmy punktualnie i przez cały czas działamy profesjonalnie, i tak mamy opóźnienie. Dochodzę do wniosku, że przerwa była błędem. Głodna ekipa byłaby bardziej zmotywowana, by skończyć jak najszybciej, a tak wszyscy albo tkwią w stanie błędnego ośpienia wywołanego jedzeniem, albo są na kofeinowym haju, albo, jak w przypadku Tony’ego Davisa, wybrudzili się czekoladą.

– Łuuups – mówi Tony i energicznie pociera zęby palcem wskazującym. – Sorki. Już?

– Nie, jeszcze trochę, po lewej stronie. Twojej lewej.

– Mam. A teraz?

Serena, która siedzi na sofie obok Tony’ego, przygląda się tej scenie z bezgraniczną grozą wymalowaną na twarzy.

– Tony, to ohydne. – Zwraca się do mnie: – Za nic go teraz nie pocałuję. Powinien umyć zęby. I ręce.

– I tak w tej scenie jesteś na mnie wkurzona – stwierdza Tony. – Wykorzystajmy to.

Serena gromi go wzrokiem.

– Jestem świetną aktorką, nie potrzebuję wsparcia w postaci twojego braku higieny.

– Ej, dajcie spokój – błagam zza kamery. – Już i tak mamy opóźnienie.

– Naprawdę muszę umyć ręce? – pyta Tony.

Serena rzuca mi spojrzenie, które mówi, że nie żartuje.

– Tak – odpowiadam. – I przy okazji sprawdź cały otwór gębowy. Nie mam ochoty odkryć potem na nagraniu kolejnego ząbka w polewie czekoladowej.

Tony wzdycha z dezaprobatą, ale posłusznie idzie do łazienki.

Ktoś puka mnie w plecy, odwracam się. To Eva.

– Yyy, Tash? – pyta półszepem, wbijając czubek buta w dywan. – Tak się zastanawiam, bo występuję już tylko w jednej scenie. Może moglibyśmy zamienić kolejność i nakręcić ją najpierw? Moja siostra ma o drugiej zawody pływackie, chciałabym zdążyć.

Chcę odmówić, odpowiedzieć, że nie bez powodu wcześniej ustaliłyśmy z Jack grafik zdjęć i że żaden członek tej zakichanej ekipy nie może liczyć na specjalne traktowanie. Skoro tak bardzo zależało jej na tych zawodach, powinna była zaznaczyć to w rozpisce, którą dała nam wiosną, przed ustaleniem terminów. Ale gryzę się w język. Choćby się wszystko waliło, ja muszę się trzymać. Takie jest zadanie reżysera: dyktować warunki i trzymać wszystko w kupie.

– Zobaczymy – mówię. – To miało być krótkie ujęcie, ale może poproszę Serenę i Tony’ego, żeby zostali trochę dłużej.

– Co? – wtrąca Serena. – Nie ma mowy, Tash. Umówiłam się z Benem.

Chciałabym powiedzieć, że Serena i Tony sami są sobie winni, bo niewiele z siebie dają, chociaż zrobiliśmy już pięć ujęć. Korci mnie też, by dodać, że przekonujące

odegranie kluczowej sceny *Nieszczęśliwych rodzin* jest ważniejsze od randki. Znów jednak gryzę się w język – i robię to tak mocno, że czuję w ustach smak krwi.

Wytrzymać.

– Dobra – mówię. – Uwierz, staramy się pracować tak szybko, jak to tylko możliwe.

W tym momencie z kuchni wraca Jack. Reszta obsady dalej tam siedzi, opychając się pizzą, colą i ciastkami z kremem i czekoladą.

Rozgląda się dokoła.

– Gdzie Tony?

– Czyści zęby nitką. Mam nadzieję – mówi Serena, sprawdzając makijaż w lusterku puderniczki.

Rzucam Jack spojrzenie zbitego psa. Widząc moją minę, klepie mnie po ramieniu.

– Mam przejąć stery? – pyta szeptem, tak by reszta nie słyszała.

Kręcę głową. Co to za pytanie? Do tej pory reżyserowałam wszystkie odcinki tego serialu. Ja reżyseruję, Jack montuje, taka była umowa. Nie zamierzam okazywać słabości. To ja trzymam wszystko w kupie, nawet w najbardziej gówniane dni zdjęciowe.

– Sprawdziłam pogodę – dodaje Jack. – Jest spore ryzyko burz w ciągu paru najbliższych godzin, więc jeśli chcemy zrobić ujęcia w ogrodzie, to lepiej się pospieszmy.

– Dobra.

– Ale... czy możemy najpierw nakręcić moją scenę? – piszczy Eva.

– Dobrze. – Moje struny głosowe zapomniały, że mają zachować panowanie nad sobą, więc mój głos niebezpiecznie przypomina wrzask. – Robię, co tylko w mojej mocy. Gdzie jest Tony, do cholery?

W dni takie jak dzisiaj chciałabym przeskoczyć do punktu, w którym już pracuję w przemyśle filmowym. Chiałabym mieć całą ekipę pomocników, na przykład od scenografii i od poprawiania makijażu. I operatora, który pilnowałby, żeby wszystko było tak jak powinno, i asystenta produkcji, który darłby się na takich ludzi jak Tony.

Ale nie jestem uznaną reżyserką i nie mam budżetu, z którego mogłabym zapłacić choćby za przyzwoite oświetlenie, o asystencie nie wspominając. Całą pracę wykonujemy we dwie, Jack i ja, i chociaż idzie nam świetnie dzięki mojemu starannemu rozplanowaniu zadań, niewzruszonej postawie Jack i dorywczej pomocy Paula, czasami chciałabym zamknąć się w szafie i wypłakać.

Jack chyba dostrzega to pragnienie na mojej twarzy, bo mówi:

– Hej, nie ma pośpiechu ze zdjęciami w plenerze. Po to są sesje dodatkowe.

Ma rację – uwzględniliśmy w grafiku po jednej tego rodzaju sesji na miesiąc, z myślą o takich dniach jak dzisiejszy, ale i tak już zebrało się mnóstwo materiału na te dodatkowe spotkania, z powodu tamtego dnia, kiedy zasnaliśmy. Poza tym coś mi mówi, że jeśli będę musiała dodać do naszego planu jeszcze jeden dzień zdjęciowy, to chyba naprawdę grozi mi poważne załamanie nerwowe.

– Przerwa – zarządzam, wyłączam kamerę i zsuwam się z krzesła obrotowego.

Idę do swojego pokoju i zamykam drzwi. Mama powiedziałaaby, że to idealny moment na trening uważności. Tata z kolei pewnie uznałby, że powinnam odmówić szybką modlitwę o cierpliwość. Ale nie robię żadnej z tych rzeczy. Siadam na brzegu łóżka i wbijam spojrzenie w plakat z Lwem.

– To tylko gorszy dzień, prawda? – pytam. – Ty na pewno też miałeś gorsze dni jako pisarz, co? Długie noce, kiedy wypijałeś morze wódki?

W odpowiedzi Lew patrzy wilkiem.

– Tak myślałam.

Potem jest już lepiej. Kiedy wracam do salonu, Serena i Tony są gotowi. Oboje mają skruszone miny, co znaczy, że Jack pewnie palnęła im kazanie pod moją nieobecność. W końcu ich gra przekonuje mnie, że Anna jest zazdrosna o Wrońskiego, a Wroński rozdarty między miłością do niej i tłumionym poczuciem uwięzienia w związku, który wywołał skandal. Udaje mi się jeszcze zdążyć ze sceną Ewy i kończymy ostatnie ujęcia na zewnątrz akurat w chwili, gdy na kamerę spadają pierwsze krople deszczu. Lew chyba jednak spojrzał na nas z góry łaskawszym okiem.

Kiedy ekipa wraz ze sprzętem jest bezpieczna pod dachem, niebiosa się otwierają. Pioruny biją coraz bliżej i po chwili brzmią tak, jakby ktoś owijał dom folią aluminiową. Zbieramy się w salonie, wszystkie światła są włączone i można odnieść wrażenie, że mamy środek nocy, a nie piątą po południu. Jack leży na dywanie z zamkniętymi oczami i rozluźnioną twarzą. Uwielbia burze z piorunami.

– To jak niespodziewane fajerwerki w ciemności – wyjaśniła mi kiedyś. – Nie ma nic lepszego.

Tony zarekwirował pianino i teraz popisuje się progresją sekund i tercji w tonacji molowej. Brooks i Jay siedzą na sofie, Brooks właśnie opowiada kiepski dowcip ze słowem „jaja”. George zajął najwygodniejszy fotel i pisze coś na telefonie. Zapewne zajmują go sprawy znacznie ważniejsze niż którekolwiek z nas.

Tony gwałtownie przerywa swoje arpeggia, strzela knykciami i zaczyna wydobywać z pianina dziwnie znajome dźwięki. To piosenka Yeah Yeah Yeahs. Więcej – to jedna z piosenek, które wykonywał z Jack na ich kanale.

Wlepiam wzrok w tylną część jego irokeza. Czy on usiłuje zrobić Jack przykrość? A może to próba powrotu do normalności, rozluźnienia dziwnego napięcia, które panuje między nimi od lutego? Tak czy inaczej, nie jest to miła sytuacja.

Nadal nie znam powodów ich zerwania, wiem tylko, że odbyło się w dość gwałtowny sposób. Zawsze tworzyli tak zwany burzliwy związek. Trwał pół roku, a nie było jednego tygodnia, żeby się nie pokłócili. I nie chodzi mi o uprzejmości w rodzaju: „Nie, ty się rozłącz”, „Nie, ty weź ostatniego emenemsa”. Mam na myśli regularne kłótnie. Sprzeczki. Bitwy. Patrząc z perspektywy, cały ich związek stanowił serię bitew, więc chyba trafniej byłoby określić to, co ich łączyło, nie związkiem, lecz wojną. Wojna Sześciomiesięczna między Jack i Tonym. Prowadzili ją za pomocą krzywych uśmieszków, kuksańców, okrutnego mrugania oczkiem, a także, najczęściej, rozdzierających wrzasków. Mogło się zacząć od banału – na przykład Jack nie zwinęła kabla od wzmacniacza Tony’ego – a skończyć na nazwaniu go najgorszym narcyzem wśród muzyków od czasów Liama Gallaghery.

Jack twierdzi jednak, że kłótnie wymagają ogromnej dawki namiętności, i kiedy akurat nie zużywali jej w kolejnej sprzeczce, to kanalizowali ją w... znacznie przyjemniejszy sposób. Tony był pierwszym facetem, z którym Jack uprawiała seks. I do tej pory jedynym, o ile mi wiadomo. Powiedziała mi o tym, ale nie wchodziła

w szczegóły, za co odczuwałam milczącą wdzięczność. Poruszyła temat jeszcze tylko raz, kilka tygodni później. Zwierzyła się, że chyba za często chodzą do łóżka, i chociaż zawsze pamiętają o zabezpieczeniu, to im częściej to robią, tym wyższe ryzyko zajścia w ciążę. Mówiąc o tym, miała skruszoną minę, a ja wiedziałam, że Jack wcale nie ma wyrzutów sumienia z powodu tego, że sypia z Tonym, tylko dlatego, że poruszyła taki temat w rozmowie ze mną. Powiedziałam jej, że nic nie szkodzi, mnie to nie przeszkadza, i że chociaż nie jestem ekspertką w dziedzinie seksu czy statystyki, to nie sądzę, by jej obawy były zgodne z teorią prawdopodobieństwa.

Dwa miesiące później zerwali. Jack dała mi tylko jedno wyjaśnienie – doprowadzali się do szału, a ponieważ akurat to było oczywiste i zrozumiałe, nie drażyłam. Wszystkie szczegóły pozostawiła mojej wyobraźni. Nie wiedziałam, czy to jedno z nich zerwało, czy też wspólnie doszli do takiego wniosku. Podczas epoki złodowacenia, która później między nimi zapanowała, nie zadawałam pytań, wolałam nie poruszać drażliwego tematu.

Ale Tony najwyraźniej nie ma tego rodzaju skrupułów. Chociaż może robi to bezwiednie. Może nie jest świadomy. W kwestiach uczuciowych bywa, jak wiadomo, nieco tępy.

Nadal wygrywa melodię, ale dla niego gra jest formą milczenia. Pozostali wyczuli dziwną atmosferę, nawet George schował telefon do kieszeni i wyczekująco wodzi wzrokiem między Tonym i Jack.

Nagle odzywa się Jay:

– Może potrzebujesz wokalisty?

Te słowa miały chyba zabrzmieć lekko i od niechcienia, może tylko odrobinę prowokująco. Ale słysząc w nich lęk.

Tony przerywa granie.

– Nie, to nie twój repertuar. Zresztą tylko Jack potrafi naśladować agresywną aurę Karen O.

Rzucam Tony'emu wymowne spojrzenie. Czy on próbuje urazić Jack i Jaya jednocześnie? Może ma gigantyczne klapki na oczach, jeśli chodzi o uczucia Jaya, lecz to, co powiedział, jest naprawdę niemiłe, bez względu na okoliczności. Chętnie bym mu uświadomiła, że Jay potrafi wspaniale śpiewać, i kiedy dostał się do Stanowej Szkoły Artystycznej, mógł wybierać między muzyką a teatrem, ponieważ stawiał się na obu przesłuchaniach i wydziały musiały się o niego bić.

Ale Tony jest szybszy i nie daje mi dojść do słowa. Odwraca się w stronę Brooksa i pyta:

– Podtrzymujesz propozycję? Będziesz prowadził?

Brwi Brooksa podskakują wysoko.

– Do Nashville? – Nie wiadomo dlaczego, ale patrzy akurat na mnie, jakbym mogła udzielić mu potwierdzenia, że jak najbardziej ma prawo rozmawiać z Tonym mimo tego, co przed chwilą zaszło. – Jasne. Będzie nas siedmioro, prawda? Bo więcej zabrać nie mogę. To duży SUV, ale są przepisy, a ponieważ większość z was jest niepełnoletnia, mogliby mnie przymknąć na dobrych kilka lat.

– Mówisz tak, jakbyś zamierzał dać się złapać – stwierdza Jay, który zachował klasę

mimo nieprzyjemnej uwagi Tony'ego.

Brooks wzrusza ramionami.

– Czasem trochę za szybko jeżdżę.

Cieszę się, że rodzice tego nie słyszą. Już i tak nie są zachwyceni, że wybieram się do Nashville w samochodzie wypakowanym moimi rówieśnikami, w większości płci męskiej, na wielki okropny koncert muzyki alternatywnej – szczególnie że niechcący wspomniałam, że zamierzamy wracać od razu, w środku nocy, by zaoszczędzić na noclegu. W końcu zdołałam ich uspokoić, mówiąc, że prowadzi Brooks, dojrzały i odpowiedzialny student, a jego samochód to superbezpieczny SUV.

– Jest jak ten pan Rogers z programu dla dzieci – powiedziałam. – Pan Rogers prowadzący czołg pancerny po autostradzie I-65. Nic złego nie ma prawa się wydarzyć.

Całe szczęście, że nie wspomniałam o zamiłowaniu pana Rogersa do szybkiej jazdy.

Zapewne byłabym bardziej zaangażowana w toczącą się właśnie rozmowę, gdybym nie próbowała tak usilnie ocenić stanu emocjonalnego Jack, która siedzi nieruchomo i przez cały czas ma zamknięte oczy. Mam taką teorię, że Jack porusza się znacznie rzadziej niż większość ludzi. Nie chodzi o to, że jest leniwa. Po prostu jak już zajmie pozycję, to długo w niej trwa. Nie kręci się. Nie poprawia. Istnieje w wyznaczonym miejscu. Dlatego tak trudno odczytać jej emocje. Nie potrafię stwierdzić, czy jest przygnębiona, wściekła czy obojętna.

Ja z kolei czuję się dziwnie roztrzęsiona i zdaję sobie sprawę z przyczyny tego stanu znacznie później, kiedy przestaje padać i wszyscy wychodzą. Wczesną wiosną, kiedy kupowaliśmy bilety na Chvrches i planowaliśmy naszą miniwyprawę do Nashville, jeszcze marzyłam o Vanderbilcie. Pomyślałam, że to będzie świetna okazja, by jeszcze raz rzucić okiem na kampus. (Wcześniej byłam tam raz, z Klaudie, w drugiej klasie). Sądziłam, że ta wycieczka będzie preludium do mojego przyszłego życia.

Teraz zastanawiam się, skąd wzięłam ten bezgraniczny i kretyński optymizm. Klaudie ma rację: nie jestem wystarczająco zdolna, by dostać się na Vanderbilt. Moje oceny to raczej mocne B niż A, wyniki testów zaś zwykle plasują się tuż powyżej średniej. Mama też ma rację: to ruletka, płacić pełne czesne za prywatną edukację, by narobić sobie długów, których może nigdy nie będę w stanie spłacić. Studia na Uniwersytecie Kentucky są znacznie tańsze, niemal darmowe. Nie każdy ma takie możliwości. Podobnie jak Klaudie ma możliwości, których nie mam ja.

Chciałabym wyjechać z Lexington, ale może bardziej chodzi o to, że pragnę znaleźć własną przestrzeń, swobodnie odetchnąć. Raczej opuścić dom niż miasto. Mogłabym mieszkać z Jack w akademiku. Mogłabym zacząć od zera. Jak by nie spojrzeć, ta decyzja wydaje się najlepsza. To mądra decyzja, jeśli ją podejmę, będzie to oznaczać, że jestem odpowiedzialną dorosłą osobą. Nie mogę jednak odżałować wizji mieszkania we wspaniałym wymarzonej kampusie. Zbliżający się wyjazd do Nashville wydaje mi się raczej przygnębiający niż radosny.

Później, gdy oglądam z rodzicami *Panią Doubtfire*, wraca Klaudie z kolejnego wieczornego wyjścia w towarzystwie Ally i Jenny.

Tata zagaja:

– Hej, kochanie, chcesz z nami posiedzieć?

Wszyscy dobrze wiemy, że nie chce i że tego nie zrobi. Nawet nie odpowiada, my również milczymy. Patrzę, jak idzie przez korytarz równym krokiem. Nie wie, jakie ma szczęście. Nie wie, jaką krzywdę wyrządza innym. Wściekłość na Klaudie wypełnia mnie niczym wrząca krew i chyba nawet dziesięć medytacji miłości ani pogawędek z Lwem nie zdołałoby całkiem usunąć jej z mojego organizmu.

Jack nie chce rozmawiać o Tonym. Wiem to na pewno, ponieważ ledwo ustał deszcz, wymknęła się z resztą ekipy, a kiedy rzuciłam jej spojrzenie pod tytułem: „wszystko w porządku?”, odpowiedziała uśmiechem. Kiedy uśmiecha się w ten sposób, to znaczy, że coś jest nie tak. Ale skoro nie chce rozmawiać, nie zamierzam naciskać. Jack źle reaguje na naciski.

Niedziela przebiega bez zakłóceń, zostaje nam jedynie nakręcenie jednej poprawki w poniedziałek – sceny między Brooksem i George’em. Ponieważ obaj są profesjonalni w każdym calu, zjawiają się na czas i dają idealny występ już przy pierwszym ujęciu. Dom Harlowów opuszczają w południe. Po ich wyjściu Jack oznajmia, że musi zrobić pranie, i prosi, żebym zeszła do sutereny, gdzie chowa się Paul. Zapewnia, że wkrótce do nas dołączy.

Z pokoju gier dochodzi dźwięk piłeczek pingpongowych odbijających się od twardej powierzchni, co jest dziwne, ponieważ nie słyszałam, żeby Harlowowie naprawili stół. Zakradam się pod drzwi i zaglądam do środka. Połamany stół złożono i przesunięto pod ścianę. Na drugim końcu pomieszczenia Paul gra w coś, co można by określić jako skrzyżowanie ping-ponga z racquetballem. Rzuca piłeczkę na podłogę, po czym uderza w nią, tak że odbija się od ściany i wraca w kierunku raketki. Przyglądam się w milczeniu, jak wykonuje jedenaście uderzeń z rzędu. Przy dwunastym piłeczka odbija się od ściany z taką siłą, że Paul nie ma szans trafić.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, co się stało. Gapię się na biało-niebieską piłeczkę u swoich stóp i przyciskam dłoń do prawego oka.

– Au – mówię. Raczej w ramach refleksji niż reakcji.

– O w mordę! Ale mnie wystraszyłaś.

Paul podbiega do mnie, a ja wciąż stoję nieruchomo.

– Wszystko w porządku? – pyta, przyglądając się mojemu oku.

– Spoko, to tylko piłeczka pingpongowa – odpowiadam niedbale.

Podnoszę ją i rzucam w Paula. Przyjmuje ją na klatę z uśmiechem pełnym ulgi.

– Tym zajmowałeś się przez całe przedpołudnie? – pytam.

– Ech. Obejrzałem drugą połowę *Obcy kontra Predator*. Pograłem w *Bloodborne*. Zjadłem pudełko krakersów serowych.

– Nie przepracowujesz się.

– Wiesz, jak jest. A wy skończyliście? Nie słyszałem żadnych wrzasków, to chyba dobry znak?

Krzywię się.

– Z pewnością poszło lepiej niż poprzednim razem.

– Świetnie.

Paul siada na środku pomieszczenia i podnosi na mnie pełen oczekiwania wzrok.

Dołączam do niego i pytam:

– Czy istnieje powód, dla którego wybraliśmy zimne płytki zamiast przytulnej kanapy w pokoju obok?

– Lubię tu siedzieć. Wolna przestrzeń, żadnych okien. Dobre miejsce, żeby

pomyśleć.

Rzeczywiście, też mi się tak wydaje. Albo żeby zwariować.

– W tym roku zamierzam chodzić na zajęcia z astronomii – oznajmia Paul. Opiera się na łokciach, po czym całym ciężarem ciała klapie na ziemię. Daję słowo, domyślna pozycja Paula to pozycja horyzontalna.

Ja pozostaję w pozycji siedzącej, uderzam w jego łydki jak w bębny.

– Astronomia jest fajna – mówię. – To w ramach obowiązkowych przedmiotów ścisłych?

– Tak, uznałem, że to najprostsza opcja. Nie ma mowy, żebym znów wybrał biologię czy chemię.

– Będziesz musiał przekazać mi całą swoją mądrość. Powiesz, jakie jest prawdopodobieństwo, że w ciągu kilku nadchodzących dekad jakiś meteor zmiecie nas z powierzchni Ziemi.

Paul przykłądnie kiwa głową.

– Beznadziejnie, że nie mogę na razie wziąć zajęć z projektowania. Znów rozmawiałem z działem rekrutacji, powiedzieli, że na drugim roku, jeśli będę miał dobre wyniki, bez problemu mogę się przenieść na Uniwersytet Kentucky. Tak więc teraz chyba wybiorę najłatwiejsze przedmioty, a na najfajniejsze przyjdzie czas później.

Wzdycham z irytacją.

– Czy zastanawiasz się czasem, kiedy to się skończy?

– Kiedy co się skończy?

– Robienie beznadziejnych rzeczy w oczekiwaniu na te fajne. Kiedy one wreszcie nadejdą?

– Ej, Tash. Nie bądź cyniczna. Gadasz jak Jack.

Paul przymyka oczy i tak bardzo przypomina teraz swoją siostrę, że całkiem wytrąca mnie to z równowagi. Wiele osób sądzi, że Harlowowie są bliźniętami, lub komentuje ich niesłychane podobieństwo. Osobiście go nie dostrzegam. Z wyjątkiem chwil, kiedy Paul ma zamknięte oczy.

Kiedy znów się odzywa, chwilę zajmuje mi przypomnienie sobie, jakie zadałam pytanie.

– Wydaje mi się, że teraz też dostajemy trochę fajnych rzeczy. Są częścią naszego życia, podobnie jak te nefajne. Wiesz, yin i yang. To chyba buddyzm? Wierzysz w to, prawda?

– Raczej filozofia chińska – odpowiadam. – Ale... tak, może i wierzę.

– Chyba nie spotyka cię znowu tak wiele tych beznadziejnych rzeczy, co?

– Nie. W sumie to nie. – Myślę o dzisiejszych zdjęciach i o tym, jak bardzo chciałabym już mieszkać w Los Angeles i mieć szereg dokonań na koncie. – Źle to ujęłam. Po prostu odnoszę wrażenie, że zawsze... na coś czekam. Czekam, aż będę starsza i ludzie wreszcie zaczną traktować mnie poważnie, a ja będę mogła robić, co tylko mi się spodoba.

– Trochę porąbane, nie? My chcemy być starsi, a ludzie w wieku naszych rodziców narzekają, że woleliby być znowu młodzi. Przygnębiające.

– To dukkha – stwierdzam, wzruszając ramionami. – Wiem, że nie powinnam z tym

walczyć, ale czasem mam ogromną ochotę.

– No to już. Wymień wszystkie powody, dla których fajnie mieć dziewiętnaście lat...

– Prawie dwadzieścia – poprawiam.

– A ja wymienię wszystkie powody, dla których fajnie mieć lat siedemnaście.

– Prawie osiemnaście.

Nic nie poradzę – to istotne rozróżnienie.

– Ja zaczynam – mówi Paul. – Po pierwsze, nie musisz płacić za ubezpieczenie zdrowotne.

Bez wahania odpowiadam:

– Możesz leżeć na zimnej twardej podłodze i nie skarżyć się na bóle stawów.

– Masz dostęp do milionów utworów, na wyciągnięcie ręki.

Marszczę brwi.

– To raczej zaleta naszych czasów, a nie konkretnego wieku.

Osiemdziesięciolatkowie też mają dostęp do milionów utworów.

– Owszem, ale ilu z nich potrafi z niego skorzystać?

– Założę się, że istnieje mnóstwo osiemdziesięciolatków zorientowanych w najnowszych technologiach.

Nasza zabawa szybko się skończyła, ale za to wzbudziła we mnie chęć posłuchania muzyki. Wyciągam telefon z kieszeni i włączam ostatni album Chvrches. Paul jęczy.

– Aaa, wystarczy, że idę na koncert. Dlaczego mnie tak dręczysz?

– Zamierzam cię nawrócić, Paulu Harlow. Spodobają ci się.

– Nie chodzi o to, że ich nie lubię. Po prostu nie są w moim stylu.

– Mhm, twój styl to smętne brytyjskie zespoły. Piosenki takie jak *Carry on My Wayward Son*.

– Lubię to, co lubię – stwierdza Paul wesoło. – Zresztą, jak już wspomniałem, Chvrches nie są w moim stylu, ale potrafię docenić talent. A wokalistka, jak ona się nazywa? Chyba jestem w niej trochę zakochany.

Rzucam mu spojrzenie, które mówi, że jest dupkiem.

– Jak możesz być w niej zakochany, skoro nawet nie wiesz, jak się nazywa?

Rzuca mi spojrzenie, które mówi, że jestem hipokrytką.

– A jak ty możesz być zakochana w kimś, z kim nigdy nie rozmawiałaś?

Przestaję bębnić w jego łydki w rytm muzyki. W ogóle go nie dotykam.

– Co? – pyta. – No co za różnica?

– Ogromna. Thom i ja odbyliśmy mnóstwo rozmów. Może nie w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu, ale, jak może pamiętać, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Poza tym nigdy nie twierdziłam, że jestem w nim zakochana.

– Dobra, w porządku. Ale najwyraźniej jednak coś jest na rzeczy, bo zrobiłaś się cała czerwona.

Owszem, wiem, ale nic na to nie poradzę i jestem okropnie wkurzona na Paula, że o tym wspomniał. To sprawia, że czerwienię się jeszcze bardziej. Odsuwam się i kładę dobry metr od niego, krzyżując ramiona na piersi.

– Tash, co jest? – Paul podnosi się i próbuje dojrzeć moją twarz, ale ja się odwracam. – Powiedziałem tylko, co lubię w Chvrches. Są utalentowani. Podoba mi się wokalistka. To chyba pozytywne.

– No dobra.

Znów kładzie się na plecach. Słyszc tylko muzykę – syntezatory i elektroniczne popowe stukoty.

– Ona jest nie tylko wokalistką – mówię. – Wiedziałeś, że skończyła dziennikarstwo? I że potrafi grać na perkusji i keyboardzie?

– Jeszcze więcej powodów, żeby się zakochać – odpowiada po chwili.

Wiem, że tak mówi, ponieważ uważa, że czuję się lepiej. Ale tak nie jest. Jego słowa sprawiają, że coś zaciska mi się w piersi, odbierają energię. Dlaczego jestem smutna? Nie potrafię powiedzieć. Paul zawsze otwarcie opowiadał o dziewczynach, które mu się podobają. Zdradził Jack i mnie wszystkie szczegóły związku ze Stephanie Crewe aż do dnia, kiedy z nią zerwał. Dyskrecja w tych sprawach, jak przynajmniej wynika z moich informacji na ten temat, facetom w liceum zdarza się niezmiernie rzadko.

Tak więc jestem przyzwyczajona. To normalne, że Paul opowiada o dziewczynach. I nie po raz pierwszy stwierdzam, że o mnie zapewne nigdy nie pomyślał w ten sposób. W przeciwnym wypadku nie mówiłby o swoim życiu miłosnym tak otwarcie w mojej obecności. Nie mógłby opowiadać mi rzeczy, z których zwierza się swojej siostrze. Zresztą jak mógłby myśleć o mnie w tym sensie po moim zeszłorocznym wyznaniu przy basenie? Jaki normalny facet mógłby się we mnie zakochać po tym, jak oznajmiłam, że nie chcę uprawiać seksu?

Nie powinnam mieć nieracjonalnych oczekiwań, doskonale o tym wiem. Ale ten dziwny smutek wydobywa dotychczas uspiiony lęk przed spotkaniem z Thomem, które ma nastąpić w przyszłym miesiącu. Gdy o tym myślę, zaczynam wewnątrz dygotać.

– Co tu się dzieje?

Odwracam głowę. W drzwiach stoi Jack. Przebrała się w długie polarowe spodnie od piżamy i koszulkę z Edwardem Nożycorękim.

Mówię w myślach: „Zaraz mnie zdemaskują”.

A głośno rzucam:

– Zmuszam Paula do polubienia Chvrches.

– Fajnie – stwierdza Jack i zajmuje miejsce obok nas.

Po długiej chwili milczenia szturcham ją i pytam:

– Obejrzałaś nagranie, które ci przesłałam?

W odpowiedzi tylko prychna.

– No co? Nie sądzisz, że to miło z jego strony? Zrobił to specjalnie dla mnie. Znaczy, dla nas.

– Przepraszam, o czym mowa? – pyta Paul.

– O Thoomie. – Jack wypowiada *h* i przedłuża *o* dokładnie w taki sam sposób jak wcześniej Paul. Czyli albo potrafią się porozumiewać telepatycznie, albo, co znacznie bardziej prawdopodobne, rozmawiali o Thomie za moimi plecami. Mój smutek przechodzi w irytację.

– To bardzo miłe z jego strony – powtarzam, rzucając Jack mordercze spojrzenie.

– Bardzo protekcyjne. Wielki autorytet zszedł z piedestału, by pomóc nam, biednym sponiewieranym nowicjuszom.

– Wcale nie takie były jego intencje.

– Wiesz, że w tym momencie mamy więcej followersów od niego, prawda? Nie musi bronić naszego honoru. Zresztą co niby dobrego ma wynikać z tego nagrania? Wyważa otwarte drzwi. Wszyscy wiedzą, że są trolle w internecie. Zawsze znajdują się jacyś hejterzy, nieważne, ile apeli ktoś umieści na swoim vlogu.

Milczę. Uważnie przyglądam się wiszącemu na ścianie plakatowi z napisem BIG BLUE NATION.

– No co? – Jack wygląda na szczerze zdziwioną. – Paul, nie patrz tak na mnie. Mam prawo powiedzieć, co sądzę na temat Thhhoma. A sądzę, że robi demonstrację sił w celu przekonania nas, że stoi na pozycji uprzywilejowanego łaskawcy. Jego zachowanie wydaje mi się bardzo dziwne... Tash? Hej, nie zbywaj mnie milczeniem.

Strącam jej rękę z ramienia.

– Dobra. Nikt nie lubi Thoma, rozumiem.

– Nie powiedziałam, że go nie lubię. Nigdy gościa nie spotkałam. I, przypominam, ty też nie.

– Tak, jasne, ale już niedługo – odgryzam się.

– Ech, dobra. – Znow zapada cisza, nie licząc elektronicznych dźwięków płynących z mojego telefonu. Nagle Jack zrywa się i mówi: – Zaczekajcie sekundę.

Wraca dopiero po kilku minutach, z dwiema latarkami w jednej dłoni i wskaźnikiem laserowym w drugiej. Łokciem wyłącza światło, stopą zamyka drzwi i pomieszczenie pogrąża się w całkowitych ciemnościach. Ale nagle zalewa je blask, a ja przysłaniam oczy.

– Au! Jack, co ty wyprawiasz?

– Ty dostaniesz latarkę. – Czuję na brzuchu ciężar małego twardego przedmiotu. – Paul też. A ja wskaźnik. Najlepszy efekt osiągniemy, jeśli wytrwacie w dotychczasowej pozycji typowej dla osób obserwujących gwiazdy, nadal słuchając muzyki. Zrobimy zarabisty pokaz świateł.

Otwieram oczy i chwytam latarkę. Wcześniejsze poirytowanie znikło bez śladu – zresztą zapewne zgodnie z mistrzowskim planem Jack.

– Cha! – krzyczy Paul. Włącza latarkę i tworzy na suficie nierówny okrąg.

Ja wypróbuję efekty stroboskopowe, raz po raz przyciskając włącznik w rytm muzyki. Jack tymczasem popycha mnie bliżej Paula, a sama kładzie się tuż obok mnie i precyzyjnymi pociągnięciami przesuwając po suficie czerwonym laserem. Próbuję odgadnąć kształty, które rysuje. To czaszka? A to piramida? O, a to chyba jej pełne imię.

Zaczynam wydawać z siebie rytmiczne bulgotanie, imitując jedną z warstw muzycznych. Paul śmieje się jak szalony i dodaje swoją imitację, bardziej zawiłą i przez to zabawniejszą. Brzmi mniej więcej jak „pioooooou, skrsz, skrsz, bou!”. Jack dorzuca zmysłowe „unst-unst”.

I tak przez minutę trwa zwariowany *show* muzyczno-dźwiękowo-światlny – jednocześnie głupi, absurdalny i cudowny. Gdy utwór się kończy, czujemy, że też dotarliśmy do własnych granic. Wybuchamy śmiechem. Nawet Jack rechocze

niepowstrzymanie. Uwielbiam, kiedy się tak śmieje.

Zaczyna się kolejny kawałek, a my kontynuujemy nasz pokaz świateł, przy milczącej umowie, że kończymy z wokalem. Utwór jest powolny, więc rysuję latarką na suficie odpowiednio długie maźnięcia. W pokoju robi się ciepło i sennie i kiedy rozbrzmiewa kolejny numer, żywszy od poprzedniego, ja nie mam siły ciągnąć pokazu. Paul głośno ziewa. Jack ogranicza się do serii przewidywalnych ósemek.

Trzymam latarkę włączoną i skierowaną w sufit, ale wciskam twarz w ramię Jack. Moje ciało postanowiło zasnąć i nic nie może mu przeszkodzić. Z zamkniętymi oczami słucham, jak oddech Jack zwalnia, staje się pełniejszy. Wszyscy zaczynamy przysypiać, a w mojej głowie pojawia się cudaczny obrazek – nasza trójka jako trzy małe niedźwiadki skulone w gawrze. Jest to wizja tak niedorzeczna, że wybucham śmiechem. Czuję lekki ucisk czegoś gorącego na ramieniu. Tego bliżej Paula. Oparł rękę o mój łokieć, miło. Ciepło i towarzyszące mu poczucie bezpieczeństwa są bardzo przyjemne.

Odwracam się, dostrzegam otwarte oko. Paul patrzy na mnie. Przesuwam dłoń i kładę na jego dłoni – tej leżącej na moim łokciu – i zwyczajowo splatam palce z jego palcami.

– Cześć – mówię.

– Hej – odpowiada. – Wiesz, że moim zdaniem jesteś najlepsza? Znacznie lepsza niż wokalistka Chvrches.

Śmieję się, ale Paul nie. Ściska moją rękę. Odwzajemniam uścisk.

– A ja uważam, że jesteś lepszy niż zespół Kansas – szepczę. – Cały zespół, znaczy się.

Spodziewam się, że Paul zareaguje śmiechem, ale nie. Mięśnie wokół jego ust tężeją. Wygląda tak samo jak wtedy, gdy gra na konsoli – niczym wojownik albo starożytny posąg. A w moim gardle znów pojawia się tamto uczucie – bąbelkowanie jak po wypiciu coli.

– Nie marszcz brwi – proszę. Chcę, by wyraz jego twarzy się zmienił.

– A marszczę?

– Tak. Wyglądasz bardzo groźnie – kłamię.

Paul szczyrzy zęby w udawanym uśmiechu. Prycham i wolną ręką uderzam go w nos.

– Jezu, Zelenka, czego ty chcesz ode mnie?

Uśmiech znikł, a głos Paula brzmi tak smutno, że przysuwam się odrobinę bliżej, wsadzam głowę pod jego podbródek i mówię:

– Nic. Jest dobrze.

Nie odpowiada. Znów ściska moją dłoń, tylko raz. Bąbelkowanie ustępuje, znów czuję się bezpiecznie.

I na tym skupiam całą uwagę, gdy zasypiam.

Budzi mnie telefon.

Let's Get Together z *Nie wierzcie bliźniaczkom* w wersji z lat sześćdziesiątych – nie słyszałam tego dzwonka już od pewnego czasu. Zapisaliśmy z Klaudie tę piosenkę w naszych pierwszych telefonach, które dostałyśmy w gimnazjum. To znaczy ja byłam w gimnazjum. Klaudie chodziła już do pierwszej klasy liceum i była straszliwie wkurzona, że dostałyśmy telefony w tym samym czasie – ja cały rok wcześniej od niej.

Kiedy jej gniew minął, postanowiłyśmy przypisać sobie nawzajem ten sam sygnał, na wyłączność, żeby od razu wiedzieć, kiedy ta druga zadzwoni. *Nie wierzcie bliźniaczkom* to był w dzieciństwie nasz ulubiony film, więc nad wyborem utworu nie musiałyśmy się zastanawiać.

Odbieram telefon, kiedy Hayley Mills śpiewa: „We can have a swingin’ ti-ime”.

– Klaudie – wyduszam z siebie zaspanym głosem. – Co jest?

Pokój do gier nadal tonie w nieprzeniknionych ciemnościach. Może być późne popołudnie albo środek nocy – trudno stwierdzić. Jedyne, czego jestem pewna, to ból pleców.

– Tash? Dzięki Bogu. Myślałam, że będę musiała dzwonić po rodziców. Tash, musisz po mnie przyjechać.

Siadam, przecieram oczy i przełączam mózg na tryb aktywności. Jack porusza się przez sen. Paul cicho chrapie – zawsze śpi jak zabity.

– Przyjechać gdzie? – pytam, nieskutecznie próbując zniżyć głos do szeptu.

– Do... – Uświadamiam sobie, że Klaudie płacze. – Do... Dairy Queen obok centrum handlowego. Centrum Landsdowne. Koło poczty.

– Okej. Okej, mogę tam dotrzeć za jakieś dwadzieścia minut.

Klaudie pociąga nosem.

– A szybciej się nie da?

– Nie, ponieważ jestem u Harlowów, czyli muszę wrócić do domu po samochód, a od nas do Dairy Queen jedzie się kwadrans. Więc uspokój się, przyjadę najszybciej, jak tylko się da.

Poważnie podejrzewam, że Klaudie jest pijana, czyli mówienie jej, żeby się uspokoiła, raczej nie pomoże, ale nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Nigdy nie musiałam sobie radzić z pijaną osobą. I nigdy nie przypuszczałam, że ze wszystkich ludzi na świecie przyjdzie mi radzić sobie z pijaną Klaudie.

Rozłączam się, a Jack pyta:

– Miała wypadek? Co się stało?

– Nie wiem, powiedziała, że mam po nią przyjechać.

– Jechać z tobą?

Coś w propozycji Jack, to, że złożyła ją natychmiast, bez zastanowienia, sprawia, że łzy napływają mi do oczu. Tak, chcę, by ze mną pojechała. Chcę, by ktoś mi towarzyszył w tej potencjalnie przerażającej misji. By ktoś siedział na fotelu pasażera i powtarzał, że Klaudie nic się nie stało, ale mam pełne prawo czuć niepokój i zarazem wściekłość. Ale potem myślę, czego życzyłaby sobie Klaudie. Czego ja bym chciała na

jej miejscu? Najwidoczniej znajduje się w beznadziejnym położeniu, skoro zadzwoniła po mnie, a nie po Ally czy Jennę. Czy chciałabym, żeby ktoś z jej znajomych zobaczył mnie zrozpaczoną, zapłakaną i prawdopodobnie pijaną?

– Nie – odpowiadam. – Muszę jechać sama.

– Może przynajmniej odprowadzę cię do domu? Jest późno.

Sprawdzam telefon. Dochodzi druga.

– Cholera.

Ponieważ uświadamiam sobie, że nie tylko Klaudie przekroczyła wyznaczoną godzinę powrotu – ja również. No tak, jest nieodebrana wiadomość od mamy: *Gdzie też podziła się Tasha?*

Odpisuję: *Przepraszam!! U Harlowów, zasnęłam. Wrócę rano.*

Paul wciąż leży nieruchomo. Jack patrzy na niego, potem na mnie, kręci głową.

– Zginąłby jako pierwszy w ataku zombie. – Nawet nie próbuje szeptać.

Wiem, że usiłuje mnie rozweselić, więc wydaję z siebie średnio szczerzy śmiech. Kiedy wstaję, Jack chwytą mnie za nadgarstki. Jest tak ciemno, że ledwo widzę zarys jej twarzy, ale wyczuwam troskę.

– Hej – mówi. – Będzie dobrze.

Kiwam głową. Jack nie widzi moich łez, ale wiem, że je wyczuwa, tak jak ja wyczuwam jej troskę.

Kiedy wychodzę, Paul wciąż śpi.

Biegnę chodnikiem, zwalniam do szybkiego marszu, potem znów biegnę. Jeszcze nie mam własnego samochodu, ale czasem pożyczam wóz Klaudie, dała mi zapasowe kluczyki. W połowie drogi wpadam w panikę, że Klaudie dzisiaj go wzięła i teraz samochód leży porzucony gdzieś w rowie. Na szczęście biała honda accord stoi na podwórku jak zwykle.

Otwieram drzwi, uderza we mnie mocny zapach perfum. Nie znam stojących za tym zjawiskiem praw fizyki, w każdym razie Klaudie w mistrzowski sposób potrafi sprawić, że jej samochód pachnie jak sklep Juicy Couture. Wstrzymuję oddech, potem wypuszczam powietrze przez usta, włączam silnik i nastawiam klimatyzację na ful. Noc jest gorąca i parna, a zimne powietrze pomaga rozwiać cukierkowe opary. Z radia bucha dubstep. Cały samochód pulsuje basami, dopiero po chwili udaje mi się przykręcić głośność.

Nie wyłączam jednak. Potrzebuję czegoś, co zajmie moje pełne niepokoju myśli. Ulice są opustoszałe, przejeżdżam na zielonym trzy kolejne skrzyżowania. Określając czas przejazdu, nie wzięłam pod uwagę, że przecież o tej porze praktycznie nie ma ruchu. Tylko trochę przekraczam dozwoloną prędkość, ale już widzę, że dotrę dwa razy szybciej niż zwykle. Świetnie.

Zajeżdżam na pusty parking przed Dairy Queen, ogarnia mnie panika, ponieważ wszystkie światła są zgaszone, Klaudie nigdzie nie widać. Nie ma jej przy drzwiach, nie ma jej na patio. Wysiadam, okrążam budynek i dopiero wtedy odnajduję ją siedzącą na krawężniku, tuż za okienkiem dla kierowców.

Na dźwięk moich kroków odwraca się, blask księżycy pada na jej zapłakaną twarz.

– A więc... – zaczynam.

– Nic nie mów. Po prostu jedźmy.

Wsiadamy do samochodu, ale jeszcze nie przekręcam kluczyka. Patrząc na Klaudie w mętnej granatowej ciemności, próbując odgadnąć, czy jest pijana albo naćpana, czy nie potrzebuje pomocy medycznej. Źrenice ma dość mocno rozszerzone, ale jest ciemno, więc moje pewnie wyglądają podobnie. Jej ruchy nie sprawiają wrażenia nieskoordynowanych, w każdym razie nie jakoś przesadnie. Ale może po prostu alkohol nie działa na Klaudie w ten sposób.

– Przystań gapić się na moje oczy – mówi, zasłaniając twarz. – Nic nie brałam.

Sięgam do tyłu i grzebię pod tylnym siedzeniem, w końcu znajduję to, czego szukam – butelkę wody. Jest do połowy opróżniona i ciepława, lecz lepsze to niż nic. Odkręcam ją i podaję Klaudie.

– Pij – rozkazuję.

Spodziewam się oporu, ale nie. Klaudie wypija wszystko jednym haustem. Odrywa butelkę od warg z dźwiękiem, który trochę przypomina czkawkę, a trochę płacz. Zapalam silnik w nadziei, że radio złagodzi nasze zakłopotanie.

Opuszczam parking, ale nie skręcam tam, gdzie powinnam. Może Klaudie to zauważy, a może jest zbyt nawalona, żeby się przejąć. Tak czy inaczej, nic nie mówi, opiera stopy w butach sportowych o schówek, a głowę o szybę od swojej strony. Jedziemy przez miłą dzielnicę pełną parterowych domów z lat pięćdziesiątych. Lubię tę trasę. Jeżdżąc tak w środku nocy po jednakowych symetrycznych ulicach, jestem niemal skłonna wyobrazić sobie, że żyję w świecie, w którym nie ma wojen, defraudacji i durnych wpisów na Facebooku. Nie ma hejterów internetowych, nie ma silverspunnnx23. W ogóle nie ma internetu.

– Nie muszę ci nic mówić – odzywa się Klaudie.

Całkiem niepotrzebnie, ponieważ nie próbuję wydobyć z niej informacji, nawet podstępem. Bardzo mi się podobała jazda w ciszy. Ale teraz czuję, że muszę się bronić, więc odpowiadam:

– Nie musiałam po ciebie przyjeżdżać.

Klaudie znów zaczyna płakać. Głośno. Staję na czerwonym, chociaż prócz nas na skrzyżowaniu nie ma ani jednego samochodu. Zastanawiam się, czy złamałabym prawo, gdybym przejechała. Czy jeśli drzewo pada w pustym lesie, to ktoś je słyszy? Zanim jednak zdążę przemyśleć tę kwestię i zgłębić różne inne zagadki wszechświata, zmienia się światło i ruszam dalej. Klaudie nadal płacze.

W końcu mówi:

– Pokłóciłam się z J-Jenną i Ally. Powiedziałam Jennie, że jest p-p-pijana i nie powinna prowadzić, ale nie chciała słuchać, więc kazałam jej się zatrzymać i mnie wypuścić. T-tylko nie sądziłam, że naprawdę to zrobi. Myślałam, że zjedzie na pobocze, że przeczekamy. Ale nie. Co za sucz! Obie są wstrętne.

Następującą potem chwilę ciszy poświęcam rozważaniom, czy jutro Klaudie będzie coś z tego pamiętała i czy w ogóle warto się angażować w tę rozmowę. Klaudie najwyraźniej czyta mi w myślach.

– Nie jestem aż tak pijana – mówi, opuszczając szybę.

– Ej, Klaudie, przestań. Na zewnątrz jest straszna wilgoć.

Wystawia głowę przez okno. Zastanawiam się, czy zamierza wymiotować, ale pół minuty później chowa się z powrotem i podnosi szybę.

Mam wyrzuty sumienia z powodu ostatniego komentarza, więc mówię:

– Ale przynajmniej słusznie postąpiłaś. Przyjaciele nie pozwalają przyjaciołom jeździć po pijaku. Czy jakoś tak.

Klaudie wydaje z siebie krótki szorstki śmiech.

– Tak, to właśnie ja. Dobra, nawet kiedy jest zła.

Też się śmieję, bo Klaudie trafiła w sedno: nawet kiedy próbuje robić coś zakazanego, mimo woli sabotuje samą siebie poczuciem odpowiedzialności.

Przez chwilę milczymy, w końcu Klaudie mówi:

– Przestań.

– Co?

– Poddawać mnie psychoanalizie.

– Nic nie mówię.

– Ale myślisz.

– Błagam o wybaczenie.

– Nie masz pojęcia, co się ze mną dzieje.

– Dobra, dobra.

– Wcale nie próbuję sprawdzić, jak to jest być niegrzeczną dziewczynką. Wcale nie o to chodzi.

– Rozumiem.

Cisza.

– Nadal to robisz.

Wciskam hamulce. Znajdujemy się na kolejnym skrzyżowaniu, mamy zielone światło, ale ja zatrzymuję samochód. Nieważne. Prócz nas nie ma tu nikogo.

– Ogarnij się – mówię szybko i ostro. – Mam prawo analizować cię w myślach.

Wszyscy próbujemy to robić, przez całe lato.

– O czym ty mówisz?

– Daj spokój, Klaudie. Nie przychodzisz na kolację, rodziców traktujesz jak powietrze...

– Wcale...

– Owszem, tak. Rozumiem, to twoje ostatnie lato. Próbujesz cieszyć się chwilą czy coś tam. Ale przy okazji totalnie nas wszystkich olałaś.

– O rany, widzisz? To jest właśnie to. Właśnie dlatego mam dosyć. Wystarczy, że coś w moim zachowaniu wykracza poza dotychczasowe schematy, i od razu staję się dla was wielkim rozczarowaniem.

– Nie powiedziałam...

– Zapomnij. Umyka ci sedno sprawy.

– To mi wyjaśnij.

Klaudie kręci głową.

– Nie masz pojęcia, jak to jest. Ty dostałaś wolną rękę. Możesz sobie kręcić filmy. A ja jestem starsza, więc muszę robić wszystko, jak należy.

Przez chwilę przetrawiam jej słowa w myślach.

– Ale ty... lubisz robić wszystko, jak należy.

– Owszem, przeważnie. Ale czasem nie mogę. Czasem to nie wystarcza.

A rodzice...

– Co? Nigdy nie mówili...

– Nie muszą! – wrzeszczy Klaudie. – Nie muszą ubierać tego w słowa. Tak po prostu jest.

Opiera czoło na kolanach. Światła zmieniają się w kolejnym cyklu: zielone, żółte, czerwone. Chciałabym się na nią wściec, ale nie potrafię. Chyba jestem zbyt zdumiona.

Klaudie obraca się w moją stronę i mówi:

– Wiesz, jak zareagował tata, kiedy oznajmiłam, że chciałabym pójść na studia inżynierskie? Rozpłakał się, Tash. Serio. I powiedział, że dziadek byłby ze mnie bardzo dumny, że poniosę dalej dziedzictwo Zelenków.

– I... co w tym złego?

– To presja! – krzyczy Klaudie. – Nikt tego nie chce.

– Tata nie miał na myśli...

– Nie, oczywiście, że nie. Ale to nade mną wisi. I będzie wisieć, nawet kiedy wyjadę na studia. Nazwisko Zelenków to ciężar spoczywający na moich barkach. Mimo woli będę o tym myśleć przy okazji każdego testu, każdej prezentacji. Czy babcia i dziadek przebyli całą długą drogę zza żelaznej kurtyny tylko po to, żebym zaważyła egzamin końcowy z termodynamiki?

– Klaudie, to jest totalnie chore. Nikt nie oczekuje od ciebie takiego podejścia.

– Ale...

– Nie – przerywam jej. – Wiesz co? Czasem sama nie dostrzegasz, jaką jesteś szczęściarą. Narzekasz, że idziesz na wspaniałą drogą uczelnię, na którą ja nawet nie mam szansy się dostać.

Nie wiem, jakiej reakcji oczekuję. Ataku? Obrony? Klaudie jednak tylko mówi szeptem:

– Wiem. Przepraszam. Nie powinnam mówić ci takich rzeczy.

Nie potrzebuję przeprosin. Zajęło mi całe długie tygodnie, by pogodzić się z tym, że nie pójdę na Vanderbilt, ale chyba wreszcie się udało. Wzruszam ramionami, zdziwiona własnym spokojem.

– Czytałam taki artykuł na temat absolwentów uczelni publicznych i prestiżowych prywatnych: dwadzieścia lat po uzyskaniu dyplomu kończą na podobnych posadach i z podobnymi pensjami. Tak więc nie ma większego znaczenia, gdzie będę studiowała.

– A myślałam, że to mnie próbujesz poprawić humor. – Prychnięcie, które wydaje z siebie Klaudie, jakimś sposobem zmienia się w krótki śmiech.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy wsiadła do samochodu, cisza, która potem zapada, nie jest gęsta i przytłaczająca. Jest po prostu ciszą. Chciałabym zmienić bieg, jechać dalej, boję się jednak, że zniszczę tę cichą dziwnie kojącą chwilę.

– Czy kiedykolwiek... – zaczyna Klaudie, po czym kręci głową i przeciąga nadgarstkiem pod nosem. – Zastanawiasz się czasem, czy mama i tata byliby inni, gdyby mieli obok swoje rodziny?

– Jak to?

– Babcia i dziadek byli dla taty wszystkim. A mama od lat przebywa tysiące kilometrów od domu. Wiem, najpierw mówiłam, że zdecydowała się na dziecko, ponieważ my nie jesteśmy według niej wystarczająco dobre. Wiem, że to głupie, ale... tak właśnie czułam. Po namyśle jednak stwierdzam, że może po prostu pragną powiększyć rodzinę. Dać sobie coś, czego nie mają w wystarczającym stopniu. Rozumiesz?

– Hm. To była wpadka, więc nie wydaje mi się, by w ogóle istniała jakaś przyczyna. Klaudie przechyla głowę w moją stronę.

– Może i nie.

To wisi w powietrzu. Wiem: dotarliśmy na otwartą przestrzeń. W tym momencie możemy zdjąć z siebie skórę, pokazać wszystkie kiepsko skręcone żyły i całą zatrutą krew. To miejsce, do którego możemy chodzić tylko my dwie, ponieważ jesteśmy siostrami i znamy się wystarczająco dobrze.

I w końcu zdradzam się z własnymi wątpliwościami.

– Myślisz, że teraz jest im głupio?

– Nie wiem. – Klaudie małym palcem rysuje na szybie jakieś wzory. – Ale nie mam im za złe.

Wydaje mi się to nawet logiczne. Chociaż Klaudie najwyraźniej jednak ma im za złe – podobnie jak ja – to nie w taki sposób. Nie w sensie moralnym. Ten aspekt chyba rozumiemy. Mamy im za złe w sensie osobistym: jak córka matce i córka ojcu. Może odczuwamy to w różnym stopniu, ale obie zadajemy sobie to samo pytanie: po co zmieniać coś, co było dobre?

Światła znów się zmieniają, w końcu pokazuje się zielone. Ruszam. Teraz jadę w konkretnym kierunku, ale wcale nie w stronę domu. Klaudie nie pyta. Nawet jeśli początkowo się nie orientuje, jaki mam plan, to domyśla się tego, kiedy zajeżdżam przed sklep całodobowy i mówię:

– Kupmy kwiaty.

Kupujemy bukiet słoneczników i drugi, o nazwie Święto Lata – kompozycję z margerytek, pomarańczowych róż i drobnych chryzantem. W kolejce do kasy samoobsługowej wyjmujemy z lodówki po butelce coli. Potem pakujemy się z powrotem do samochodu i jedziemy ku obrzeżom miasta, na cmentarz. Jest stary i graniczy ze stadniną. Brama okazuje się zamknięta, lecz niskie ogrodzenie z kutego żelaza łatwo da się pokonać. Przełazę pierwsza, Klaudie podaje mi przez sztachety butelki i kwiaty, po czym idzie w moje ślady. Włączam latarkę w telefonie.

W przeciwieństwie do większości ludzi nigdy nie uważałam, że cmentarze są przerażające. Nie wierzę w duchy czy zjawy, tylko w życie po życiu. A może kryje się za tym coś więcej? Kiedy dziadkowie zmarli, byłam bardzo mała, wizyty na grobie wydawały mi się czymś zwyczajnym, więc cmentarz nigdy nie jawił mi się jako nawiedzone, nieznanne terytorium. To była normalna część życia, jak cykliczne wizyty u lekarza czy fryzjera. Zresztą dlaczego miałabym wierzyć, że w towarzystwie dziadka i babci Zelenków czai się coś złego i groźnego?

Często tu przychodziliśmy, całą rodziną. Przynosiliśmy bukiety dla babci i napoje gazowane dla dziadka, ponieważ zawsze, kiedy byliśmy u nich z wizytą, najbardziej lubił siedzieć na ganku i popijać colę. A potem, jakoś gdy poszliśmy z Klaudie do liceum,

zaczęliśmy przychodzić znacznie rzadziej, aż w końcu ograniczyliśmy się do jednorazowych dorocznych odwiedzin w październiku. Jednak nawet zaglądając na cmentarz tak rzadko, zawsze czułam się tu dobrze. Ogarniało mnie poczucie bezpieczeństwa, nie smutek.

Grób to tylko grób, a babcia i dziadek nie są obdarzonymi czuciem duchami, które wiedzą o naszej obecności. Ale związane z nimi wspomnienia – o babcinym gulaszu, porannych partiach remika i śmiechu dziadka przy oglądaniu kreskówki, znacznie głośniejszym od naszego – ożywają za każdym razem, kiedy tu przychodzę.

Najwyraźniej wydawało mi się, że lepiej zapamiętałam drogę, bo myślę się dwa razy, aż wreszcie Klaudie pokazuje przed siebie.

– Nie, nie. Tędy. To już tutaj.

I ma rację. Zatrzymujemy się przy dużej zaokrąglonej płycie z wapienia, na której widnieje napis:

Dominic Jan Zelenka

7 lutego 1942 – 2 października 2008

Irma Marie Zelenka

23 września 1945 – 2 października 2008

Ukochani rodzice i dziadkowie

Pamiętamy.

– Hej, wy tam – mówię szeptem, przykucając obok grobu. Zbieram uschnięte róże, odwijam słoneczniki z folii i układam w miejscu starego bukietu.

Klaudie siada obok mnie po turecku. Również zdejmuje folię z kwiatów i kładzie je obok moich. A potem po prostu siedzimy. Słyszę słaby przerywany odgłos płaczu.

Nie jestem smutna, tylko zadumana. Myślę o tym, co powiedziała Klaudie na temat rodziców – że próbują stworzyć sobie rodzinę. Cięża była wpadką, ale czym jest to dziecko? Czym się stanie? Może jest w tym jakiś sens. Może nasza rodzina – niektórzy martwi, niektórzy na drugim końcu świata, niektórzy gotowi wyjechać z miasta – potrzebuje dodatkowego elementu. To dziecko wywróci wszystko do góry nogami, bez wątplenia. Ale może my, jakkolwiek dziwne się to wydaje, dzięki temu staniemy się bardziej stabilni.

Najwyraźniej myśli Klaudie też krążą wokół dziecka.

– Babcia byłaby zachwycona nowiną. Powiedziałyby, że to przewspaniające.

Wilgotny podmuch rozwiewa nam włosy. Patrzę jak urzeczona na twarz Klaudie skąpaną w księżycowym blasku, mroczną i poważną. Moja siostra wygląda teraz jak czarownica. Ale nie z tych brzydkich, o skórze pokrytej brodawkami. Nie – jest młoda, piękna i niezrozumiana. Czarownica z Salem. Nie powiem jej o tym, nie zrozumiałaby. Ale jakoś tak czuję, że gdyby ktoś próbował rzucić czar na ten cmentarz, na pewno by się udało.

Oczy zaczynają mnie boleć od wpatrywania się w Klaudie. Przysuwam się bliżej i opieram głowę na jej ramieniu. Siedzimy. Pijemy colę. Zostajemy aż do wschodu słońca. Chociaż moje powieki są podrażnione i ciężkie, to unoszą się akurat na tyle, bym dostrzegła skąpane w bladnoróżowym blasku ostro zarysowane sylwetki grobów, cyprysów i samotnego mauzoleum.

Poranek w dniu naszej wyprawy do Nashville. Zebraliśmy się przed moim domem przy fordzie explorerze Brooksa. Czekamy na Tony'ego, który spóźnia się już dwadzieścia minut.

– Jedziemy bez niego – mówi Serena, która ma z Tonym na pieńku od czasu incydentu z ciastkiem na zębach. – Skoro olewa nasze plany, to my mamy prawo olać jego.

Kręcę głową.

– To on zaproponował wyjazd na koncert. Dajmy mu jeszcze dziesięć minut.

– Ktoś próbował się z nim skontaktować? Wiemy, czy w ogóle wstał? – Brooks siedzi bokiem na siedzeniu kierowcy, jego nogi wiszą w otwartych drzwiach. Pali, a ja mam wielką nadzieję, że moi rodzice akurat nie wyglądają przez okno. Papierosy średnio pasują do przedstawionego przeze mnie obrazu pana Rogersa.

– Wysłałam mu esemes – mruczy Jack. – Zaraz przyjdzie.

Rzucam jej lekko zaskoczone spojrzenie, ale nie reaguje. Już nie próbuję rozmawiać z nią o Tonym. Cała ta sytuacja to beznadziejny przypadek, odpowiedni co najwyżej dla świętych bądź hazardzistów lubiących wysokie ryzyko.

Paul trąca mnie w ramię, pochyla się i szeptem pyta:

– O co chodzi?

Wzruszam ramionami, przyznając się tym samym, że również jestem tragicznie niedoinformowana. Spoglądam na T-shirt Paula i krzywo się uśmiecham. Widnieją na nim słowa *Pure Heroine* wypisane srebrnymi literami.

– No co? Czemu kręcisz głową?

– Jak to możliwe, że lubisz Lorde, a Chvrches nie?

Paul z zapalem kiwa głową, jakbym właśnie poprosiła, by zdefiniował słowo, które tego ranka sprawdził w słowniku.

– Normalnie. Lubię tylko mainstream.

– Chvrches to właściwie też już mainstream – argumentuję.

– Nie. Mainstream jest wtedy, kiedy wykonawcę rozpoznają twoi rodzice.

– Tak mówi słownik Webstera?

Odpowiedź Paula niknie w ryku motocykla. Tony zatrzymuje się ze zgrzytem opon tuż przy explorerze, zdejmuje kask, a ja mogłabym przysiąc, że w tym momencie Jack bardzo cicho szepcze: „pojob”.

– Hej! – woła Tony i rusza w naszą stronę dumnym krokiem, ze swobodnym uśmiechem na twarzy i rozpostartymi ramionami, jak Mesjasz w musicalu *Godspell*. Jestem pewna, że za chwilę zaczniesz śpiewać *Day by Day*.

Chyba spędzam za dużo czasu w towarzystwie ludzi związanych z teatrem.

– Gdzie byłeś, palancie? – pyta Brooks. – Już środek dnia.

– Wcale tak bardzo się nie spóźniłem – odpowiada Tony z uroczym uśmiechem.

Serena ma taką minę, jakby bardzo pragnęła walnąć go prosto w gonady.

– No to są już wszyscy – mówię. – Wsiadajmy.

Nikt nie ma nic przeciwko temu. Brooks obraca się na siedzeniu kierowcy. Serena

zajmuje miejsce obok niego. Jack, Paul i ja zawłaszczamy środkowy rząd, co oznacza, że dwa tylne miejsca przypadają Tony'emu i Jayowi. Nie zrobiliśmy tego specjalnie, ale kiedy dociera do mnie sens tej konfiguracji, uważnie ich obserwuję. Jay przez cały ranek był bardzo milczący, ale myślałam, że po prostu nie znosi wcześniej wstawać. Ale teraz wyraz jego twarzy świadczy o tym, że jest nie tyle zmęczony, co... zakłopotany. A może nawet trochę wkurzony. Zajmuje miejsce bliżej okna, wciska słuchawki w uszy, zamyka oczy i odpływa do świata dźwięków, czyli pewnie jakieś siedem tysięcy kilometrów od tego suwa. Tony też ma niepewną minę. I wiem, że nie jest to tylko moje wrażenie, bo Paul pyta:

– Stary, wszystko w porządku? Masz chorobę lokomocyjną czy coś?

– He? A, nie, nie, wszystko okej. – Wyraz skrępowania znika z jego twarzy, jakby zdjął papierową maskę. Znowu jest musicalowym Mesjaszem.

Nie wiem, czemu tak trudno gniewać się na Tony'ego. Chcę być na niego wściekła, nie dlatego, że się spóźnił, ale ponieważ nie przeprosił, jak przystało na człowieka kulturalnego. Ale wtedy Tony posyła mi szeroki uśmiech, uśmiech, który mówi: „Pamiętasz?” i „Czyż życie nie jest wspaniałe?”. W takich chwilach rozumiem, co Jack w nim widział. Rozumiem też, dlaczego ich związek był tak burzliwy.

Brooks nie żartował – jedzie naprawdę szybko. Kiedy wyjeżdżamy na autostradę Bluegrass Parkway, utrzymuje stałe tempo stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Jesteście czujkami – oznajmia. – Szczególnie kiedy mijamy estakady czy te zadrzewione pasy zieleni. Jeśli mnie zatrzymają, podczas gdy pilnowało mnie sześć par oczu, to znaczy, że faktycznie zasłużyłem na mandat.

– Prujemy do Nashville, słonko! – rzuca Tony.

Jack wyciąga swoją ulubioną towarzyszkę podróży, czyli poduszkę z jednorożcem, i obraca się w stronę okna. Nie zdziwiłabym się, gdyby przespała całą podróż. Źle znosi jazdę, więc nawet jej nie winię. Właściwie świetnie się składa, ponieważ akurat prowadzę fascynującą rozmowę z Thomem i palce aż mnie swędzą, by znowu wyjąć telefon. Już wymyśliłam doskonałą odpowiedź na jego ostatnią wiadomość.

Piszę: *Masz wehikuł czasu, który może cię zabrać, DOKĄD TYLKO ZECHCESZ, i wybierasz spotkanie z H.G. Wellsem?*

Chociaż przerwałam tę rozmowę prawie godzinę temu, Thom odpowiada niemal natychmiast: *To mój bohater.*

Odpisuję: *Nie należy spotykać swoich bohaterów. To w złym stylu.*

Dobra, Panno Napuszona. Dokąd ty byś się wybrała?

Przemyślałam odpowiedź również na to pytanie. Przyszła mi do głowy podczas mycia zębów. *28 czerwca 1914. Zapobiegłabym śmierci arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.*

Chciałabym móc powiedzieć, że miałam tę datę w pamięci, ale cóż, na rozszerzone zajęcia z historii chodziłam w zeszłym roku. Sprawdziłam w Wikipedii, ponieważ dzienna data sprawia, że moja propozycja wygląda bardziej wiarygodnie.

Thom: *CO? Dlaczego??*

Ja: *Tak się zaczęła pierwsza wojna światowa. Ostatnia kropla, która przepelniła czarę. A więc jeśli zapobiegnę jego śmierci, powstrzymam wybuch I WŚ, a w rezultacie*

zapewne również drugiej.

Thom: *Gdzie tam. Znalazłaby się inna kropla. Wojna i tak by wybuchła.*

Ja: *Tego nie możesz wiedzieć.*

Thom: *A ty nie możesz wiedzieć, że gdyby nie było pierwszej, to nie byłoby też drugiej.*

Ja: *Gdyby Niemcy nie musiały płacić reparacji, Hitler prawdopodobnie nie doszedłby do władzy.*

Dopiero po trzeciej próbie udaje mi się odnaleźć w autokorekcie prawidłową pisownię „reparacji”.

Thom: *No nie wiem, takie mieszanie w historii to niebezpieczna zabawa.*

Ja: *H.G. Wells prywatnie mógł być totalnym dupkiem. Naprawdę chciałbyś stracić złudzenia?*

Thom: *Mógłbym zaryzykować.*

Całkowicie pochłonięta naszą wymianą zdań, nie dostrzegam, jak Paul pochyła się w moją stronę i kiedy się odzywa, aż podskakuję.

– Idziesz na całość?

Rzucam telefon na kolana i częstuję Paula morderczym spojrzeniem.

Dziwnie na mnie patrzy.

– Tak flirtujecie?

– Bardzo niegrzecznie – mówię. – Bardzo niegrzecznie jest czytać cudze wiadomości.

– Wiesz, co jest naprawdę niegrzeczne? Pisanie wiadomości do jakiegoś gościa z internetu, kiedy obok siedzi osoba, z którą można porozmawiać naprawdę.

– Nic przecież nie mówiłeś.

– Bo ty byłaś zajęta pisaniem. Nudzę się.

– Tylko nudni ludzie się nudzą.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem interesujący.

Macham w stronę foteli z przodu.

– Porozmawiaj z Brooksem czy Sereną.

Serena unosi rękę i mówi:

– O nie. Przykro mi, Paul, uczę się roli.

W zeszłym tygodniu Serena dostała rolę Marii w *West Side Story* wystawianym przez Lexington Community Troupe. Premiera odbędzie się dopiero w połowie września, lecz ona z zapalem maniaczki już rozpoczęła przygotowania. Brooks natomiast udaje, że nas nie słyszał.

Wymownie wzdycham. Nie chowam telefonu, ale kładę go na siedzeniu ekranem w dół, splatam ramiona na piersi i zwracam się do Paula:

– Dobra. Masz moją niepodzielną uwagę. Co teraz?

Paul wciąż ma tę zabawną minę, jakby próbował zidentyfikować smak podczas testów konsumenckich nowej przekąski. Ale nagle się uśmiecha i mówi:

– Zagrajmy w alfabet.

– Jezu, Paul, nie.

– No dobra. To w widzę.

– Masz osiem lat – stwierdzam. – Masz osiem lat, wiesz o tym?

Ale mówię to ze śmiechem i zaczynamy grę w widzę. Po chwili dołącza do nas Tony, a potem Serena, chociaż najpierw trochę narzeka, że przez nas nie może się skupić. Po półgodzinie Jay ściąga słuchawki.

– Widzę coś zielonego.

Przez pełne pięć minut usiłujemy odgadnąć odpowiedź, aż w końcu Tony wpada na to, że jest to suwak przy kurtce Jaya, i wszyscy głośno protestujemy, ponieważ Tony jest jedyną osobą w tym samochodzie, która ma go w polu widzenia. Jay jest nieugięty i bardzo z siebie zadowolony. Serena wyzywa go od wstrętnych oszukańców, a Jay wrzeszczy w odpowiedzi:

– Sama oszukujesz, Anno Arkadiewno Karenino!

Serena podchwytuje zabawę i woła w odpowiedzi:

– Byłam nieszczęśliwa, Stiwo! Dusiałam się w tym małżeństwie!

Wszyscy zwijają się ze śmiechu. Wszyscy z wyjątkiem Jack, która właśnie obudziła się z drzemki z wdziękiem właściwym niedźwiedziowi grizzly. Ryczy w poduszkę z jednorożcem:

– Jeśli się porzygam, to będzie wasza wina!

Wciąż się śmiejemy, długo i głośno, gdy nagle Tony chwyta zagłówek przy moim fotelu i pochyla się do przodu, krzycząc:

– Cholera, gliny na jedenastej!

Brooksovi nie udziela się panika Tony’ego. Nie wciska gwałtownie hamulca, tylko stopniowo zwalnia. Wóz policyjny stoi w tunelu. Wszyscy wstrzymujemy oddech, obserwujemy go w napięciu. Oddalamy się coraz bardziej. Żadnych syren. Zero oznak pościgu. Rozpieramy się wygodnie na siedzeniach. Przez chwilę trwa cisza. A potem znów wybuchamy śmiechem.

– O cholera... widzę Batmana.

Wszyscy pochylamy się do przodu, by obserwować linię wieżowców Nashville za przednią szybą. Wjeżdżającym do miasta autostradą numer 65 ukazuje się spektakularny widok – tak inny od tego w Lexington, gdzie podróżnych witają stadniny i centra handlowe. Najwyższy budynek w naszym mieście – kobaltowy wieżowiec banku Fifth Third – tutaj miałby kompleks niższości.

Być może to oczywisty wybór, ale moim ulubionym wieżowcem w Nashville jest właśnie budynek AT&T, czule zwany Batmanem z powodu dwóch spiczastych rogów sterczących po bokach, przypominających te wieńczące maskę Batmana. Kiedy byliśmy z Klaudie małe, tata wmówił nam, że iglice wysyłają sygnał do wszystkich telefonów komórkowych na całym świecie. Wierzyłam w to znacznie dłużej, niż chciałabym przyznać.

Nasz pierwszy przystanek w mieście to restauracja Hattie B, gdzie zdaniem Brooksa podają najlepsze kurczaki na ostro. Oczywiście w moim przypadku mięso nie wchodzi w grę, więc wybieram dania wegetariańskie: gotowaną fasolę, sałatkę z fasolą oraz zapiekany makaron z serem i pimento. A na koniec, ponieważ to wyjątkowa okazja, postanawiam pójść na całość i zamawiam jeszcze pudding bananowy oraz wielki kubek słodkiej herbaty. Reszta ma do wyboru pięć rodzajów kurczaka o rosnącym stopniu

ostrości. Tylko Jack i Tony zamawiają najostrzejszego.

Żadne z nich, jak na Jack i Tony'ego przystało, nie skarży się i nie zdradza dyskomfortu choćby lekkim skrzywieniem twarzy. Ale dostrzegam, że oboje bardzo często popijają między kolejnymi kęsami. Potem Tony wstaje po dokładkę, a kiedy pyta Jack, czy też chce, ona chętnie przystaje na propozycję.

– Chcesz podskoczyć do kampusu Vanderbilta, rozejrzeć się po wydziale sztuk medialnych? – pyta Paul, kiedy wysiadamy z samochodu.

Jeszcze nie rozmawiałam z nim ani z Jack na temat wyboru uczelni. Najpierw chciałam się utwierdzić w postanowieniu, że idę na Uniwersytet Kentucky, bo jedyną gorszą rzeczą niż wyjazd na studia do innego stanu jest wyjazd do innego stanu, po tym jak się obiecało, że zostanie się na miejscu. Ale najwyraźniej nie wywinę się od tej rozmowy. Wyobrażałam ją sobie podczas jazdy, czy raczej: łudziłam się, że do niej nie dojdzie, jeśli nie będę zbyt intensywnie o niej myśleć. Niestety, wyszło inaczej, a ponieważ istotnie nie poświęciłam jej zbyt wielu myśli, nie zdążyłam się do niej przygotować.

– Niekoniecznie – odpowiadam, wzruszając ramionami, z nadzieją, że Paul i Jack nie będą drażnić tematu.

Nic z tego.

– Co masz na myśli? – pyta Jack. – Gadasz o tej wizycie, odkąd zaczęliśmy planować wypad do Nashville.

– Ostatnio nie – mamrocę.

Po dotarciu do przejścia dla pieszych zaczynamy się rozchodzić. Brooks kieruje się do najbliższej kafejki, gdzie umówił się z przyjacielem. Serena i Jay idą do sklepu, który Serena śledzi na Instagramie i pragnie odwiedzić osobiście. Paul, Jack i ja jak zwykle trzymamy się razem. Tony, który siłą rzeczy zostaje sam, decyduje się dołączyć do Sereny i Jaya. W trójkę przechodzą przez ulicę. Reszta z nas, jako że idziemy w przeciwnym kierunku, wciąż czeka na zmianę świateł. Przynajmniej tyle. Nie chciałabym odbywać tak osobistej rozmowy w obecności Tony'ego.

Kiedy Brooks macha nam na pożegnanie i rusza dalej, mówię:

– Z Vandy nic nie będzie. Nawet gdybym się dostała, co jest bardzo wątpliwe, nie dałabym rady finansowo.

Jack i Paul milczą. Wiem, że wymieniają spojrzenia za moimi plecami. Widocznie to Jack dostała się rola emisariuszki, bo mówi:

– O, a to coś nowego.

– Myślałam o tym od pewnego czasu. Zastanawiałam się tylko, jak wam powiedzieć.

– Jak nam powiedzieć? Tash, jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Nie musisz ściemniać. Po prostu powiedz.

Cała się jeżę.

– Mam prawo przemyśleć sprawy w samotności, zanim wam powiem.

Jack wydaje z siebie krótki pomruk, który interpretuję jako: „niech jej będzie”.

Nie przedyskutowaliśmy, dokąd zamierzamy pójść, skoro nie na kampus, ale najwyraźniej wszyscy w milczeniu zgodziliśmy się, że najlepszym wyborem będzie park

Centennial. Skręcamy w jedną z wielu zacienionych ścieżek odchodzących od głównej alejki. Z oddali dobiega plusk wody – to fontanna na jeziorze, w tym momencie dla nas niewidoczna.

– A więc... czy to znaczy, że wybierasz się na Uniwersytet Kentucky? – Jack odwraca się w moją stronę i trzepocze rzęsami. – Zeee mnąąą?

Nagle ogarnia mnie to jedyne w swoim rodzaju uczucie: brak mi tchu, pierś wypełnia fala ciepła. Nie wiem, czy to sprawka infantylnego zachowania Jack, urody parku czy po prostu towarzystwo moich dwóch ulubionych osób na całej kuli ziemskiej, ale czuję, że to jest... właśnie to. To. Bo nawet jeśli studia na Kentucky oznaczają, że zostanę w Lexington, to znaczą też, że zostanę z nimi.

– Tak – mówię. – Właśnie tak.

Walcząc z uśmiechem, odpowiada:

– Na pewno się domyślasz, że będę koszmarną współlokatorką, ale i tak cię zmuszę, żebyś ze mną mieszkała.

Jednym ramieniem obejmuję Paula, drugim Jack i zaczynam przenikliwym szeptem śpiewać jej do ucha fragment chórkę *With or Without You* ze zmienionym tekstem: „You can't live with or withooooout me”. Wiem, że to okropne, ale mi to zwisa, podobnie jak im dwojgu. Paul wydaje dźwięki imitujące walenie w talerze i crescendo na perkusji. Jack dołącza do mnie, gdy naśladuję kulminacyjne wycie Bono. Wychodzimy na polankę, a naszym oczom ukazują się Partenon.

W tym momencie przepełnia mnie miłość do nich dwojga, miłość na granicy mdłości. Jack i Paul mają gdzieś, co ludzie pomyślą. Nigdy nie czuliby zażenowania z mojego powodu. Czemu miałabym to porzucać dla snobistycznej szkoły i sześciocyfrowego kredytu?

Kręcimy głowami, no bo jak można zareagować, kiedy staje się przed naturalnej wielkości kopią świątyni antycznej, którą ktoś postanowił zbudować w samym środku Tennessee. Ten widok naprawdę wgniata w ziemię, ponieważ obiektywnie rzecz biorąc, jest straszliwie kiczowaty, jednak nie dla mnie. Tutaj, w tym parku, świątynia wygląda tak, jakby stała w tym miejscu od wieków i jakby miała przetrwać, nawet kiedy wojny nuklearne, inwazje kosmitów i epidemie zmiotą ludzkość z powierzchni ziemi. Batman może upadnie, ale podróba Partenonu pozostanie tu na zawsze.

Kiedy docieramy pod klub, na zewnątrz czeka już spora kolejka. Od Sereny, Jaya i Tony'ego dzieli nas kilkadziesiąt osób. Macham. Tony daje znak, żebyśmy do nich dołączyli. Kilka osób robi kwaśne miny, szykując się na kolejkową bitwę. Niepotrzebnie. Może bywamy upierdliwi, ale na pewno nie chamscy. Potrząsam głową, ignorując nadąsaną minę Tony'ego.

Wkrótce otwierają się drzwi i dołączamy do reszty na sali. Klub urządzone w dawnym magazynie, na jednym końcu znajduje się scena, na drugim bar. Wszyscy mamy na dłoniach wielkie X narysowane flamastrem – piętno nieletnich frajerów. Serena pokazuje mi naszyjnik, który kupiła w sklepie – srebrny zegarek kieszonkowy z maleńkim ptaszkiem na końcu dłuższej wskazówki. Tony i Jay trzymają się blisko niej, ale jeszcze bliżej siebie nawzajem.

Brooks dołącza do nas dopiero w przerwie między supportem a Chvrches. Twarz

ma czerwoną od alkoholu, ale przy nas nie pije, a w miarę upływu czasu jego pijacki uśmiech gdzieś się ulatnia i Brooks znów śmieje się jak na co dzień. Kiedy Chvrches wchodzi na scenę, wszyscy i tak czujemy się jak pijani. Jesteśmy naładowani energią, a kiedy zaczyna się pierwszy numer – mój ulubiony utwór z ich repertuaru – bezwstydnie wrzeszczę.

Na koniec publiczność wywołuje zespół na bisy. W pewnym momencie odwracam się i widzę, że Jay i Tony się całują. Jay stoi oparty plecami o metalowy słupek, który chwije się nieznacznie, a Tony pochyla się nad nim, przyciskając pierś do jego piersi, i wydobywa pocałunki z jego ust.

Wroński i Aleksiej wreszcie są razem. Jak dla mnie to połączenie przebija nawet Kevina.

To był dobry koncert, chociaż przy wyjściu Jack szepcze mi do ucha to, co sama tylko pomyślałam:

– Lekkie rozczarowanie.

Może nie zaliczyłam znowu tak wielu koncertów w swoim życiu, ale dotychczasowe doświadczenia mówią, że sporo z nich tak właśnie wygląda – nie są aż tak wspaniałe, by dorównać oczekiwaniom.

Kiedy wychodzimy, Brooks chyba jest już trzeźwy, ale wdaje się w jakąś sprzeczkę z Sereną. Nie wiem, o co im chodzi, w każdym razie teraz to ona siada za kierownicą. Po zaledwie pięciu minutach Brooks już chrapie na siedzeniu pasażera. Chichoczemy, a Serena podkręca głośniej radio.

Czuję się zmęczona, ale jest mi dziwnie dobrze, jakby otuliła mnie bezpieczna mgła. Wszyscy śpią lub przysypiają. Z któregoś telefonu za moimi plecami wydobywa się upiorny sinawy blask. Po kilku minutach znika i oba tylne rzędy pogrążają się w ciemności.

Kiedy się budzę, nadal znajdujemy się na autostradzie, właśnie mijamy ciężarówkę na prawym pasie. Zasnęłam na ramieniu Paula i zostawiłam na rękawie jego T-shirtu strużkę śliny. Na szczęście Paul śpi, nieświadom owej wstrętnej niespodzianki. Po mojej drugiej stronie ciężko oddycha Jack, z przodu kamiennym snem śpi Brooks. Odwracam się i odkrywam, że Jay słucha muzyki i patrzy przez okno na mijające nas samochody. W słabym świetle widzę jego dłoń leżącą na dłoni Tony’ego w przestrzeni między ich kolanami. Jay posyła mi szeroki uśmiech. Odpowiadam podobnym, pokazuję na niego, a potem na Tony’ego i unoszę kciuki. Jay pokazuje na mnie i tylną część głowy Paula i wzrusza ramionami, jakby chciał zapytać: „a wy”?

Robię głupią minę. Ja i Paul...? Czy on naprawdę sugeruje to, co mi się wydaje? To, co następnie robi, nie pozostawia miejsca na wątpliwości: wydyma usta jak do pocałunku i puszcza mi oczko. A ja tylko gapię się na niego, oszołomiona, wreszcie potrząsam głową i szepczę:

– Nie.

W odpowiedzi Jay uśmiecha się jeszcze szerzej i zamyka oczy, wracając do świata muzyki. Odwracam się, również zamykam oczy i nakazuję sobie zasnąć, ale w głowie mam gonitwę myśli.

Ja i Paul. Gdyby Jay wiedział, że Paul traktuje mnie tak samo jak Jack, czyli jak

siostrę... A nawet gdyby było inaczej, i tak nic by z tego nie wyszło, ponieważ nie jestem fanką seksu, a wiem, dzięki szczerym relacjom Paula ze związku ze Stephanie Crewe oraz kilku mniej zobowiązujących spotkań, że on owszem.

Ale i tak nie mogę uspokoić myśli. Znow pojawia się to bąbelkowanie w gardle, jak w dniu, kiedy Paul objął mnie przy kolegach, a jeden z nich nazwał mnie jego dziewczyną. Ci durnie nic nie wiedzą. Nie jestem niczyją dziewczyną, a Paul to... po prostu Paul.

Porusza się na siedzeniu, a ja wpadam w panikę, przychodzi mi do głowy irracjonalna myśl, że przez cały ten czas czytał w mojej głowie za pomocą telepatii i teraz mi o tym powie, w okropnie upokarzający sposób. Ale nic nie mówi. Uśmiecha się sennie, a ja, wciąż spanikowana, rzucam szeptem:

– Obśliniłam cię.

Przesuwa wzrokiem za moim palcem, który dociera do plamy na rękawie. W odpowiedzi tylko prychnie, przyciąga mnie do siebie i wydaje straszliwy dźwięk prosto w czubek mojej głowy. Marszczę nos i walę go w klatkę. Uśmiecha się z twarzą w moich włosach.

– Remis – mówi.

A potem znow zamyka oczy, ale nie zabiera ramienia z moich pleców. Czuję się zdezorientowana, ponieważ Paul zawsze tak się zachowywał i fakt, że siedzę do niego przytulona, może znaczyć to, co zwykle, czyli nic, albo może świadczyć o czymś zupełnie innym.

To nic – to jednak coś. Nie mogę – choć mogłabym. To Paul – ale przecież jest Thom...

Myśli dręczą mój mózg i nie pozwalają zasnąć. Wciąż mam mętlik w głowie, kiedy zajeżdżamy przed nasz dom, Serena otwiera drzwi i rytmiczne ding-ding-ding wyrywa wszystkich ze snu.

Rozdanie Złotych Tub nastąpi dokładnie za dwa tygodnie. Wydałam niemal całe oszczędności na lot w obie strony do Orlando i dwa noclegi w hotelu Embassy Suites, gdzie odbędzie się konferencja. Pozostały budżet na wyprawę jest raczej skromny. Już zaplanowałam, że będę się napychała śniadaniami i przemycała do pokoju gofry i owoce na lunch, ale zdaję sobie sprawę, że za kilka posiłków będę musiała zapłacić.

Przynajmniej Thom zaprosi mnie na mrożoną kawę. Prawdopodobnie. Oby.

Po tygodniu tak zwanego postu od mediów społecznościowych wracamy z Jack do sieci z nowym planem: będziemy traktować komentarze w sposób racjonalny, ignorując hejty, jak tylko się da, i odpowiadając jedynie osobom, które również kręcą seriale internetowe, ewentualnie tym, które zadadzą pytanie wymagające niezwłocznej odpowiedzi. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale zgodziłyśmy się, że jedyne słuszne, jeśli chcemy zachować zdrowie psychiczne.

Od tamtego wschodu słońca na cmentarzu ani razu nie pokłóciłam się z Klaudie. Nie można powiedzieć, że jemy sobie z dziobków, ale osiągnęłyśmy jako takie porozumienie. Nasz przewspaniający poranek w towarzystwie babci i dziadka pozwolił mi zobaczyć sprawy w innym świetle. Chyba skrycie uważałam, że to z winy Klaudie nie jesteśmy sobie bliższe. To ona zadzierała nosa i nie chciała zadawać się z Jack, Paulem i ze mną. Wydawało mi się, że to ona, jako ta starsza, powinna dążyć do kontaktu. A że tego nie robiła, to oddalałyśmy się od siebie coraz bardziej. Sądziłam, że to jej wina. Teraz jednak już tak nie myślę. W tym procesie odegrały rolę różne czynniki – różnica charakterów, różnica wieku i wiele innych, także pozostających poza naszą kontrolą.

Tak więc teraz jesteśmy dorosłe i dzieli nas spora przepaść. Nadal nie potrafię z tym nic zrobić, ale przynajmniej jestem w stanie spojrzeć na drugą stronę, popatrzeć na miejsce, nad którym ciąży presja otoczenia. Klaudie miała rację: ja tej presji nigdy nie czułam, nawet o niej nie myślałam. Ale teraz przynajmniej wiem, że ona tak, a to czyni pewną różnicę. I chociaż Klaudie nie pogodziła się z rodzicami, to zachowuje się znacznie lepiej. Nie rzuca tyłu złośliwych uwag, nie wywraca oczami i częściej siada z nami do kolacji.

Dzień po wyprawie do Nashville okazuje się jednym z tych, kiedy śpi się do późna, więc i tak cały jest już zmarnowany. Kiedy wieczorem wchodzę do jadalni, mimo solidnych dwunastu godzin snu czuję się jak wrak. Ale na widok jedzenia od razu się ożywiam. Tata upichcił calzone, dla każdego z jego ulubionym nadzieniem: zielona papryka z cebulą dla mamy, grzyby dla Klaudie, dla niego bekon i pepperoni, a dla mnie cztery sery. Calzone taty to jedyne danie, które lubię jeszcze bardziej niż tradycyjną kuchnię czeską w jego wykonaniu. Widok wielkich pierogów parujących na stole jest jak zastrzyk adrenaliny prosto w serce. Natychmiast się budzę. Potrzebuję wszystkich zmysłów w pełnej gotowości, by odpowiednio nacieszyć się serową eksplozją.

– Cóż to za wyjątkowa okazja? – pytam, zajmując miejsce.

– Rodzinny wieczór filmowy – mówi tata. – Bardzo wyjątkowa okazja.

Pewnie tak. Ostatni taki wieczór, gdy razem oglądaliśmy filmy, zdarzył się w lutym, kiedy nas zasypało, a mama i Klaudie zachorowały na grypę. Opatuliliśmy się

kocami w pokoju przy kuchni i popijając cydr, obejrzelśmy wszystkie trzy oryginalne części *Gwiezdnych wojen*. Jakiś czas potem, kiedy drogi stały się przejezdne, ale na trawnikach wciąż leżał głęboki śnieg, tata co rano, wychodząc do pracy, potrząsał skrobaczką do szyb jak mieczem świetlnym, rycząc: „Kolejny dzień na Hoth!”.

Dzisiaj oglądamy *Goonies*, co oznacza, że zanim tata wciśnie „play”, musimy odbębnić ikoniczny motyw z filmu, czyli potrząsanie brzuchem. Klaudie i ja marudzimy i jęczymy, ale tak naprawdę bardzo nam się to podoba. Wskakujemy na sofę, unosimy koszulki i poruszamy brzuchami najlepiej, jak tylko potrafimy, wydając przy tym stosowne pomrukiwania. Tata z uznaniem kiwa głową.

– No dobrze – mówi. A my, bezlitośnie mierząc w niego palcami, żądamy, by też potrząsnął.

Tata obraca się posłusznie, rozpiną koszulę i kręci dość pokaźną środkową częścią ciała, wydając przy tym dramatyczny bulgoczący ryk. Nie uważam, by minął się z powołaniem – jest świetnym sprzedawcą – ale na scenie też sprawdziłby się doskonale.

Mama dołącza do mnie i Klaudie na sofie. Przypuszczam, że specjalnie siada pośrodku. Zdobywam pewność, kiedy niby od niechcienia obejmuje nas obie w pasie.

– Mamo – mówię – nigdzie się nie wybieramy.

Mama wyciska całusa na mojej skroni. Pochyliam się, by sprawdzić reakcję Klaudie. Ku swemu zaskoczeniu zastaję ją z głową na obojczyku mamy. Po mamie trochę już widać – niewielkie wybrzuszenie pod szmaragdową bluzką. A ponieważ pozwoliła sobie objąć mnie w taliu, to ja pozwalam sobie przyłożyć czubki palców do tego pagórka. Nikt nic nie mówi. Siedzimy tak, odprężone, blisko siebie, i patrzymy, jak gigantyczna czacha i piszczele wypełniają ekran telewizora.

Później, już leżąc w łóżku, wymieniam wiadomości z Thomem. Znów poruszyłam temat Złotych Tub. Nie mogę się powstrzymać. Zbliża się koniec zdjęć, a wraz z nim nagrody zdają się kulminacją wszystkiego, na co pracowałyśmy z Jack przez ostatni rok. Są jak kosmiczne zamknięcie całego doświadczenia związanego z tworzeniem *Nieszczęśliwych rodzin*. Osiągnęły w mojej głowie niebotyczne rozmiary i wiem, że jest to bardzo niebezpieczne. Ceremonia i konwent nie spełnią moich oczekiwań, wciąż sobie o tym przypominam. I nie mam szans na Złotą Tubę za najlepszy serial. Nie ma mowy. Połowa mojego mózgu doskonale o tym wie. Druga połowa szaleje w przyływie niepowstrzymanego optymizmu. Myślę o nagrodach stanowczo za często i w sposób nieunikniony myśli te przesączają się do moich rozmów z Thomem.

Negatywne reakcje w sieci nie ustały po jego nagraniu. Zresztą wcale tego nie oczekiwałam. Ale mimo opinii Jack na ten temat jestem Thomowi wdzięczna, nie tylko dlatego, że wykazał się troską w stosunku do moich uczuć, ale także ponieważ jego oświadczenie stanowiło coś w rodzaju punktu zwrotnego. Od tamtego dnia nasze rozmowy nabrały tempa. I nawet jeśli Thom chce gadać głównie o science fiction, swojej pracy czy ostatnich zjawiskach sieciowych, to nic nie szkodzi, mnie te tematy również całkiem się podobają.

Właśnie w zręcznych słowach wyraziłam swoje obawy, a Thom jak zwykle dowodzi, że są nieuzasadnione.

Tash, WYLUZUJ. Nie wygrasz, to nie wygrasz. Przynajmniej będziesz miała fajny

wyjazd.

Mam ochotę napisać: „Nie do końca, bo brakuje mi kasy na wizytę w parku rozrywki Harry’ego Pottera”.

Ale piszę: *Wiem wiem wiem, masz rację.*

Pauza. Nie pojawia się żadna nowa wiadomość, ja też niczego nie wysyłam. Już mam życzyć mu dobrej nocy, ale w tym momencie zaczyna pisać. Czekam na wiadomość.

Leżysz już w łóżku?

Aha – odpisuję. – Pod kołderką, bez śladu makijażu. Nieźle byś się wystraszył.

To tylko żart, ale w chwili, kiedy daję „wyślij”, zaczynam żałować. Może posunęłam się za daleko. Czy to nie zabrzmiało tak, jakbym domagała się komplementów? Nie znoszę, kiedy ktoś tak robi – rozwała się na kawałki, a potem podaje ci klej, wrzeszcząc: „Napraw mnie!”. Wydaję z siebie nerwowy pisk i wsuwam telefon pod poduszkę, tak jakbym w ten sposób mogła zatrzymać odpowiedź Thoma. Wyjmuję komórkę minutę później i czytam: *Na pewno jesteś piękna. SZCZEGÓLNICIE w łóżku pod kołderką.*

Kamienieję.

Moje kości zmieniają się w marmur, ściętna w granit. Krew zastyga w stalaktyty w kształcie żył i arterii. Wszystko z powodu tego, co napisał Thom Causer. Nazwał mnie piękną. Napisał, że wyobraża mnie sobie leżącą w łóżku. A ja bardzo chciałabym wierzyć, że nie kryje się za tym nic więcej, że to tylko niewinna, rzucona od niechcenia uwaga. Widzi nas razem przytulonych w łóżku, wielkie mi rzeczy. Ale niestety, kryje się za tym coś więcej, ponieważ jest facetem i ma siedemnaście lat, a szanse, że jest podobny do mnie, wynoszą jeden do miliona. W naszej swobodnej i zalotnej konwersacji czai się seks. Wije się pośród kolejnych zdań, podstępny i nieubłagany, wysuwa rozwidlony język, by pokryć każde słowo sugestią swojej obecności. Nienawidzę tego. I wiem, że pewnie powinnam powiedzieć Thomowi. Tylko nie mam pojęcia kiedy i jak. Nie istnieje nieżenujący sposób, by uczynić takie wyznanie, w dodatku wiem, że potem wszystko się zmieni.

Sporo czytałam na temat związków asów z ludźmi o normalnej seksualności. Istnieje sporo różnych perspektyw, ale ogólny wniosek jest jeden: taka relacja jest niezmiernie trudna. Wymaga otwartości i kompromisów. Czasem osoba seksualna wiąże się z asem tylko na poziomie emocjonalnym, a fizycznego spełnienia szuka gdzie indziej – sama lub z innymi osobami. Czasem as nie ma nic przeciwko uprawianiu seksu od czasu do czasu, by uszczęśliwić partnera. Czasem kończy się łzami. Ale jak by na tę sprawę nie patrzeć, szczegóły wydają się bezduszne i wstrętne. Czy coś jest ze mną nie tak, skoro na razie nie chcę o tym myśleć?

Wbijam wzrok w sufit, przypominając sobie wszystkie noce, gdy się na niego gapiłam, ze wszystkich sił próbując wyobrazić sobie scenariusz, w którym pragnę i potrzebuję seksu. W któryś weekend, kiedy rodzice wyjechali na wycieczkę w góry, do Pigeon Forge, przyniosłam do pokoju cały stos filmów. Takich, w których, jak wiedziałam, są sceny seksu. Obejrzałam je, potem obejrzałam jeszcze raz. Robiłam pauzy, próbowałam...

I doszłam do następującego wniosku: brak pożądania nie wynika z braku starań.

Próbowałam wiele razy. Nie powiem, że nie cierpię tego uczucia. Jest w porządku – miło odczuć tego rodzaju ulgę. Ale nie o takie wrażenia chodzi. W każdym razie sądząc na podstawie filmów i programów telewizyjnych, rozmów w szkole czy z Jack. Powinnam czuć znacznie więcej. Powinnam tego pragnąć, tak jak oni. Chyba że wszyscy wokół mnie udają. Czasem chciałabym, żeby tak było. Straciłabym złudzenia, ale przynajmniej nie byłabym dziwadłem.

W zeszłym roku na początku lekcji angielskiego nasz nauczyciel, pan Fenton, powiedział, że siłą napędową, dzięki której powstaje literatura, jest seks lub śmierć, a zwykle oba te elementy. Jack mocno się sprzeciwiła, a kiedy wyszliśmy na przerwę, stwierdziła, że pan Fenton tak uważa, ponieważ jest facetem.

– Gwarantuję ci, że Jane Austen kierowały inne motywy niż seks czy śmierć. Pisała satyry i komentarze do życia społecznego, ponieważ była osobą dojrzałą. Faceci bywają tacy prości. Nie potrafią dojrzeć nic poza własnymi zakichanymi pomnikami męskości w kształcie fallicznym. Dlatego najlepsi pisarze płci męskiej to przeważnie geje lub bi. Wilde! Whitman! Capote! Fenton pod sąd!

Pan Fenton nie stanął przed sądem, ale od tej pory w naszej klasie krążył żartobliwy tekst, że kiedy nie zna się odpowiedzi na zadane przez niego pytanie, należy powiedzieć „seks”.

Wprawdzie Jack i ja nie zgadzałyśmy się z jego opinią, ale chyba i tak osiągnął zamierzony cel. Widmo seksu zawisło nad szkolną salą, podobnie jak na zewnątrz, w szkolnych korytarzach i jeszcze dalej – ogólnie rzecz biorąc, nad całym światem. Jest wszędzie, niczym druga skóra pokrywająca wszystko dokoła.

Zastanawiam się, czy to byłoby zbyt wiele poprosić o przepustkę do alternatywnego wymiaru, gdzie taki problem nie istnieje. Bo tkwiąc w obecnym wymiarze zastanawiam się tylko, czy jestem skazana na to, by wszystkim przynosić rozczarowanie. Wybrakowany osobnik. Dziewczyna, którą trzeba naprawić. Skoro za każdą historią stoją tylko dwie siły napędowe, czy to znaczy, że mnie pozostała śmierć...?

Chciałabym, żeby pan Fenton lub ktokolwiek inny odpowiedział mi na to pytanie. Nie odpisuję Thomowi.

Patrzę w ciemnościach na niewyraźny zarys Tołstoja na plakacie.

– Drogi Lwie – mówię – czy będziesz jedynym mężczyzną w moim życiu?

Jest ciemno, więc nie widzę zbyt dobrze, ale wiem, że Lew patrzy na mnie wilkiem.

Mam taką teorię, że druga połowa lata mija dwa razy szybciej niż pierwsza. Czerwiec zaczyna się jak jasny płomienny wybuch. Cała energia, która gromadziła się przez semestr wiosenny, wreszcie może znaleźć ujście w pływaniu, spotkaniach przy grillu czy szaleństwie w parkach rozrywki oraz najlepszej rzeczy na świecie – nicnierobieniu. Dni są długie. Zmrok zapada dopiero koło dziewiątej. Cały świat jest rozluźniony i zanurzony w blasku słońca. Potem nadchodzi Dzień Niepodległości. Dni robią się coraz krótsze, każdy kolejny wydaje się ograbiony z jeszcze jednej godziny, w tle czai się wizja szkoły, aż przychodzi sierpień i zapach mleczka do opalania ustępuje woni świeżo zatemperowanych ołówków.

To lato nie jest wyjątkiem. Lipiec mija błyskawicznie, jak szybki pociąg, smuga zamazanych kolorów, w cyklu złożonym z pracy, spotkań z przyjaciółmi i, co najważniejsze, filmowania. Krok po kroku zbliżamy się do ostatniego dnia zdjęciowego, aż nagle ta chwila nadchodzi, bez fanfar i ceremonii: pierwszy weekend sierpnia.

Jest sobotnie popołudnie, z obsady aktorskiej są u mnie tylko Serena i Eva. Siedzą na moim łóżku, opierając się o ścianę, którą poprzedniego wieczoru wraz z Jack udekorowałyśmy suszonymi kwiatami i zdjęciami zaśniewzonego Paryża. Kręcimy piątą powtórkę, ale nie dlatego, że jestem wkurzona czy że Serena czy Eva mylą tekst. Po prostu wyłazi ze mnie perfekcjonistka. To ostatnia scena serialu i musi być bez skazy.

Od kiedy postanowiłyśmy odpowiadać wyłącznie na bardzo pilne pytania, oszczędzamy mnóstwo czasu. Mimo to czasem, tak tylko dla zabawy, przeglądam sobie hashtagi i strony fanowskie. Miłość do Kevina rośnie w siłę, a jakaś dziewczyna sprzedaje na Etsy robioną ręcznie biżuterię z cytatami z serialu. Przypuszczam, że można uznać taką działalność za naruszenie praw autorskich, ale nie zamierzam interweniować, bo to chyba wspaniale, że ludzie chcą kupować fanarty? Nie wspominając o tym, że my też jesteśmy złodziejkami, bo ukradłyśmy całą historię mojemu kochanemu Lwowi.

Nadal można spotkać głosy krytyki, ale kiedy ostatnio – czyli parę dni temu – przeglądałam komentarze, kręciły się one głównie nie wokół tego, co dotychczas zrobiłyśmy, ale co będzie dalej. Nasz scenariusz w wielu punktach znacząco różnił się od książki. Oczywiście nie mogłyśmy umieścić w serialu wszystkich postaci. Żaden z naszych bohaterów nie jest po ślubie, wszyscy tylko umawiają się na randki. Anna nie zachodzi w ciążę, lecz ciężko choruje na zapalenie płuc. I, jak mądrze zauważyła silverspunx23, pominęłyśmy cały aspekt dotyczący klimatu politycznego carskiej Rosji, wycięłyśmy również wątek relacji Lewina z bratem, działaczem politycznym Mikołajem. Tak więc teraz, kiedy zbliżamy się do końca, fani chcą wiedzieć, czy poprowadzimy wątek Anny zgodnie z oryginałem i każemy jej rzucić się pod pociąg czy też nie.

Uwaga, spoiler: nie. Podjęłyśmy taką decyzję zaraz na samym początku. Chciałyśmy, by Anna odnalazła się nie w związku z Wrońskim czy innym facetem, ale w przyjaźni z Kitty. Czy bardzo zmieniłyśmy oryginalną historię? Bez wątplenia. W książce Anna i Kitty nie są sobie bliskie, ale w naszym scenariuszu owszem. Zaprzyjaźniają się, a kiedy świat Anny się wali i wszyscy jej faceci, obecni i byli, schodzą ze sceny, Kitty pomaga jej przetrwać katastrofę i ruszyć dalej. Prawdziwa siła dziewczyn

z tłem w postaci piosenki Spice Girls *Wannabe*. Obie uważamy, że nie mogłyśmy wymyślić lepszego zakończenia.

Tak je zaplanowałyśmy zaraz pierwszego dnia. Siedziałyśmy na podłodze w moim pokoju, odrzucałyśmy kolejne pomysły, a niektóre, jak ten, z entuzjazmem zapisywałyśmy w kołonoatniku. Wtedy myślałyśmy wyłącznie o historii i o tym, jak to wszystko będzie wyglądało na filmie. Kierowała nami czysta twórcza energia – zero zahamowań, zero obaw, co pomyślą inni.

A teraz, gdy zaglądam do scenariusza, nie mogę nie myśleć o reakcjach widzów. Czytałam tyle komentarzy, dobrych i złych, że już nie potrafię się odciąć. Wiem, co będzie po wyemitowaniu ostatniego odcinka. Niektórzy uznają, że to idealne zakończenie, bardzo feministyczne, dobre dla dziewczyn. Inni, że zbyt uproszczone i rozczarowujące. Niektórzy powiedzą, że jesteśmy małoletnimi idiotkami, które nic nie rozumiały z tej powieści. Znam już wszystkie warianty czekających nas komentarzy. To przerażające, ale i w pewnym sensie wyzwalające: tworzyć coś i wiedzieć, że niektórym ludziom na pewno się nie spodoba. Nie ma innego wyjścia. Niezależnie od tego, jak byśmy zakończyły serial, kogoś zawsze na pewno wkurzymy.

Po dziesiątym i ostatecznym podejściu Eva zaczyna płakać. Chlipie cichutko, widać, że jest zażenowana, przyciska knykcie do kącików oczu. Serena mocno ją przytula. Dołączam do nich, gładzę Evę po plecach. Też zbiera mi się na płacz, Serenie również. Tylko Jack pozostaje niewzruszona. Przygląda nam się – nie potępiająco, po prostu jakby miała przed sobą dziwne istoty z kosmosu.

– Hej – mówię w końcu. – Żadnych łez aż do imprezy z okazji zakończenia zdjęć, okej? W końcu po to są takie imprezy.

Eva ociera oczy.

– Okej – wydusza.

– Obłęd – mówi Serena. – Nie mogę uwierzyć, że to koniec.

– Ma to też dobrą stronę – zauważam. – Teraz możesz się skupić na *West Side Story*. Serena wzrusza ramionami.

– Jasne. Ale zawsze znajdzie się jakiś teatr planujący wystawić *West Side Story*.

A *Nieszczęśliwe rodziny* nigdy się nie powtórzą.

Serena ma to do siebie, że zawsze mówi rzeczy, które chciałaś usłyszeć, ale do tej pory o tym nie wiedziałaś.

Boję się, że znów zacznę płakać, więc pospiesznie kiwam głową.

– Bardzo się cieszę, że was poznałam.

Serena przysuwa zaciśniętą dłoń w moją stronę. Uderzam w nią, po czym cofamy dłonie i energicznie machamy palcami.

Niezależnie od tego, co wydarzy się w przyszłości, jedno nas łączy: razem opowiedzieliśmy pewną historię i nie osiągnęlibyśmy tego bez wzajemnej pomocy. Nikt inny nie dzieli z nami tej cząstki życia. Nikt nie potrafi w pełni zrozumieć tego, co nasza dziewiątka. A teraz trzeba rozwiązać drużynę. Ja, Gimli, jeszcze nieraz uniosę topór, ale nigdy więcej z tą kompanią u boku.

Uważam, że można uronić z tej okazji kilka łez. Lub przynajmniej zrobić żółwika i potrząsnąć palcami.

Impreza odbywa się w niedzielny wieczór. Organizujemy ją w ogródku u Harlowów. Wszyscy ubrali się stosownie do pogody, to jest do koszmarnego upału – koszulki na ramiączkach, klapki, kostiumy kąpielowe. Zamówiliśmy cztery sztuki pizzy z Papa John's, w rozmiarze extra large i impreza polega głównie na tym, że napychamy sobie brzuchy serem, a potem fundujemy im jazdę, skacząc do basenu. Kiedy wszyscy są już zmęczeni, wycieramy się i idziemy do pokoju na dole, gdzie na komputerze Jack leżą *Nieszczęśliwe rodziny*. Cały serial jest dość długi – trwa ponad pięć godzin. Zdecydowałyśmy się ograniczyć do ostatniej godziny, na którą składają się jeszcze niepublikowane nagrania z ostatniego miesiąca. (Jack prawie przez całą noc obrabiała ostatnią scenę z udziałem Sereny i Ewy).

Brooks nie może zostać do końca – w tym roku pełni funkcje administracyjne na kampusie uniwersyteckim i musi wziąć udział w obowiązkowym szkoleniu. Reszta dzielnie wytrzymuje, łącznie z Paulem, którego zaprosiliśmy do wspólnego świętowania. Podczas ostatniej sceny ukradkiem zerkam na twarze zebranych. Serena i Jay siedzą ciasno objęci i płaczą. Kiedy na ekranie pojawia się czerń, zapada ciężka cisza, po czym wybuchają wiwaty i oklaski. Jay skacze dokoła i ze wszystkimi przybija piątki. Eva z zaskoczenia bierze mnie w niedźwiedzi uścisk. Cmoka mnie w policzek i mówi:

– Wspaniale, Tash. – Widać, że zamierza wykonać tę samą operację na Jack, ta jednak zastrzega:

– Komplementy przyjmę, za pieszczoty dziękuję.

Ktoś puszcza z telefonu *Another One Bites the Dust*. Tony, no jasne. Wykonuje smutną próbę moonwalka, a Jay klaszcze do rytmu, patrząc na niego z takim uczuciem, że niemal widać latające wokół jego głowy małe emoji w kształcie serduszek.

Czuję radość. A zaraz potem wyrzuty sumienia ze względu na Jack. Odwracam się w jej stronę.

Patrzy, ale nie wygląda na wkurzoną. Nawet nie wygląda jak ktoś, kto usiłuje udawać, że nie robi to na nim wrażenia. Naprawdę tak wygląda.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Pewnie. Poważnie mówię. Rozmawiałam z Tonym. Myślał, że Jayowi podoba się inny facet ze SCAPA, i próbował wywołać w nim zazdrość.

– Nieźle! Historia jak z Tołstoja.

– No. W każdym razie Tony jest lepszą osobą, kiedy kogoś ma. A co można zarzucić Jayowi? To przecież anioł. Zasluguje na szczęście.

Uważam, że zachowała się bardzo wielkodusznie, chociaż oczywiście jej tego nie powiem, ponieważ ma alergię na wszelkiego rodzaju kadzenie. Muszę się wykazać przebiegłością, więc mówię tylko:

– Ciesz się, że wszystko w porządku.

– No.

– Może nie przypominasz anioła, ale uważam, że też zasługujesz na szczęście.

– Fuj, Tash. Najwyraźniej zużyłaś cały geniusz przy pisaniu scenariusza. Żadne rozsądne słowo ci nie zostało... Ej, niech ktoś powstrzyma Paula, zanim złamie sobie kark.

Paul dołączył do tanecznej ekipy pod egidą Queen – teraz leci *We Are the*

Champions – i stoi na stoliku kawowym, na całe gardło wyśpiewując partię chóru do pilota. Chwyta moje spojrzenie i daje znak, bym się przyłączyła.

– Chcesz mieć kolejny mebel na sumieniu? – pytam.

Paul zeskakuje ze stołu, chwyta mnie za rękę i obraca dokoła, jednocześnie śpiewając drugą zwrotkę. Potem padamy razem na worek do siedzenia i zostajemy tam, podczas gdy reszta ekipy żegna się i wychodzi. Wszyscy deklarują, że musimy pozostać w kontakcie, i zapewniają, że wkrótce znów się zobaczymy. George podchodzi do nas dziwnym posuwistym krokiem, jakbyśmy byli z Paulem królem i królową, a on biednym wieśniakiem, który przyszedł wybłągać odrobinę zboża na zimę.

– No to chyba widzimy się w piątek – mówi do mnie.

Kiwam głową, nie okazując zbytniego entuzjazmu. Jasne, że cieszę się na rozdanie Złotych Tub, ale znacznie mniej na towarzystwo George'a.

– No chyba tak – odpowiadam.

– Denerwujesz się?

Owszem. Cha. Od tak dawna marudzę Thomowi, aż czasem zapominam, że reszta świata nie ma pojęcia o moim strasznym, kompletnym i nieuleczalnym przerażeniu.

Wzruszam ramionami.

– *Que será, será.*

Tony, który właśnie wychodzi przez patio, wsadza głowę do środka i zaczyna śpiewać piosenkę Doris Day, teatralnym gestem wyciągając rękę w naszą stronę.

– „*Que será, será! Whatever will be, will be! The future's not ours to see!*”

Jay stoi za szybą, śmieje się. Cały promienieje.

George, ani trochę nierozbawiony, rzuca mi spojrzenie pod tytułem: „Uwierzysz, co ten gość wyprawia?”. A ja odpowiadam spojrzeniem, które mówi: „To jest Tony. Tony taki już jest”.

– Nieważne – stwierdza George. – Do zobaczenia na lotnisku.

– Mhm.

Macham im na pożegnanie. I już – koniec imprezy pożegnalnej.

Jack zamyka drzwi na patio, kręcąc głową.

– Mam nadzieję, że dopadnie go paniczny strach przed lataniem. Albo będzie musiał skorzystać z torebki. – Potem przekręca głowę na bok i robi wkurzoną minę. – Mam wodę w uchu. Idę wlać sobie wody utlenionej i wziąć prysznic. Zostajesz na noc?

– Jeszcze nie wiem – odpowiadam, chociaż moje obecne rozleniwienie w połączeniu z zajmowaną pozycją u boku Paula wskazuje na to, że raczej zostanę. Jack biegnie na górę, a ja zamykam oczy. Słucham jej szybkich kroków nad naszymi głowami. Czuję się wyczerpana, ale w taki przyjemny sposób. Moja skóra jest wilgotna i śmierdzi chlorem. W ustach wciąż czuję maślaną warstewkę sosu czosnkowego.

Paul lekko przesuwając się na fotelu i pyta:

– To jak, denerwujesz się z powodu Złotych Saksofonów?

Śmieję się, chociaż ten żart jest okropny.

– Ty to masz poczucie humoru.

– Odpowiedz na pytanie – naciska Paul.

– Dobra. Okropnie się denerwuję. Nie wiem, czy bardziej tym, że możemy wygrać,

czy tym, że możemy przegrać. Jeśli przegramy, wiadomo, niefajnie z oczywistych powodów, ale jeśli wygramy... trudno to nazwać. Po prostu wygląda na to, że im bardziej jesteśmy sławni, tym więcej osób uważa, że może umieszczać w sieci złośliwe komentarze na nasz temat. Nie chcę, by ludzie zniechęcili ten serial. Już wolę, by go nie doceniono, niż niszczone za to, że zdobywa popularność.

– O tak. Cena sławy.

– Przestań się ze mnie nabijać.

Paul się śmieje.

– Ja uważam, że to świetna sprawa. Niewiele osób w naszym wieku może powiedzieć, że stworzyło pięciogodzinną adaptację *Anny Kareniny*. I tego nikt ci nie odbierze, niezależnie od tego, co się wydarzy na Platynowych Trąbkach.

– Tego nikt mi nie odbierze – powtarzam z roztargnieniem, bo moje myśli robią znajomy skręt. – A nawet jeśli cały konwent okaże się klapą, to wreszcie spotkam Thoma w realu.

– Właśnie. To też. – Paul znów się kręci, jakby próbował się przesunąć, stworzyć przestrzeń między nami, ale to próżny wysiłek, bo nasz ciężar sprawia, że zaraz znów lądujemy obok siebie.

– Dziwne – mówię. – Tyle o sobie wiemy, ale dotyczy to tylko drobiazgów, jak nasze ulubione filmy i fandomy, czy tego, dokąd byśmy się wybrali wehikułem czasu. Ale nic z poważniejszych tematów jak...

– Normalna ludzka rozmowa – kończy Paul.

Uśmiecham się do siebie.

– I właśnie dlatego to jest takie wyjątkowe. Kiedy spotkamy się w Orlando, w pewnym sensie będzie to jak spotkanie ze starym przyjacielem. Ale jednocześnie jak nasze pierwsze spotkanie, którym przecież jest.

– Noo, takie dziewczę. Ale sexy!

W głosie Paula pobrzmiwa coś nieprzyjemnego. Jego ton jest ostry i zaczepny. Paul mówi tak tylko czasem, kiedy zwraca się do Jack i, rzadziej, do taty. Nigdy do mnie. Słowo „dziewicze” wisi w powietrzu, mruga jak neon. Siedzimy stanowczo zbyt blisko siebie.

Z trudem wygrzebuję się z wora, łapię równowagę, w końcu staję prosto.

– Tash, ja...

Rumieniec zalewa mi twarz. Przystępuję do ataku.

– Bo słowo „dziewicze” jest bardzo, bardzo śmieszne, prawda? No, to ci się udało!

– Kurde, nie to miałem na myśli. Przepraszam.

– Dlaczego jesteś taki? Czy Thom coś ci zrobił?

Paul patrzy prosto na mnie, ale nie potrafię odczytać tego spojrzenia. Jego brązowe oczy są teraz dalekie i chłodne.

Zaczyna mi drżeć podbródek.

– Jesteś zazdrosny? – wyrzucam z siebie.

Paul otwiera usta, lecz tylko na tyle, by wypuścić powietrze, nie słowa. Kręci głową i przenosi wzrok na kolekcję DVD za moimi plecami. Przesuwam się, by znaleźć się na linii jego wzroku.

– Powiedz?

– Jezu, Tash.

Teraz ja kręcę głową, mocno i szybko, w wyrazie dezaprobaty.

– Bo nie masz powodu – mówię. – Wiesz o mnie wszystko. I nawet mnie nie chcesz. I nawet nie potrafisz być dobrym przyjacielem.

Na twarzy Paula wreszcie pojawia się wyraz, który umiem rozpoznać: dezorientacja.

– Jak to nie jestem dobrym przyjacielem? – Siada prosto, a worek wydaje ohydny donośny dźwięk. W innych okolicznościach zaczęlibyśmy się śmiać. Co sprawia, że odgłos wydaje się podwójnie wstrętny.

– O niczym mi nie mówisz. Wszystko trzymasz przede mną w tajemnicy.

– Niby co?! Tylko dlatego, że nie gadam na okrągło...

– A co z twoim tatą? – Robię krok do przodu, napieram na niego tym pytaniem. – Czemu nie powiedziałeś mi o jego bólach głowy? Przyjaciele mówią sobie takie rzeczy. A ty jeszcze kazałeś Jack milczeć.

– Nie możesz z takiego powodu nazwać mnie złym przyjacielem. Ty też wielu rzeczy mi nie mówisz.

– Na przy...

– Co naprawdę czujesz do facetów.

Milknę i nieruchomieję, kompletnie zaskoczona.

– Próbuję... próbuję dojść, jak to jest – ciągnie Paul. – Nie twierdzą, że ci nie wierzę. Po prostu próbuję zrozumieć. Bo raz mi mówisz, że nie cierpisz mężczyzn...

– Tego nigdy nie powiedziałam...

– ...a potem nagle opowiadasz, że zakochałaś się w tym gościu z vloga. A ja nie sądziłem, że to możliwe. Bo gdybym wiedział, to... Bo próbuję zrozumieć.

Z trudem przelatykam ślinę. Powinam mu powiedzieć, że to moja wina. To ja wszystko poplątałam, ponieważ sama jestem zdezorientowana. Sama próbuję zrozumieć.

Powinam, ale słowa jakoś nie przychodzą.

Kiedy Paul stwierdza, że nie doczeka się odpowiedzi, opada na worek i wbija wzrok w sufit. Ma wilgotne oczy.

– Jestem w tobie zakochany od małego. Pewnie byłem w tobie zakochany już wtedy, kiedy nasze mamy umówiły się razem na placu zabaw w Holly Park.

Te słowa nie wychodzą z ust Paula. To niemożliwe. To absurd.

– Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, Paul – mówię powoli. – Ty, ja i Jack. Zawsze się kochaliśmy.

Paul znów przenosi spojrzenie na mnie. Na szczęście już nie wygląda, jakby miał się zaraz rozplakać. Ale potem znów zaczyna mówić i wszystko rozpada się na kawałki.

– Tak, Tash. Jestem zazdrosny, jasne? Bo tak super ci się układa z gościem poznanym w internecie, a ze mną nawet nie chciałaś spróbować.

Potrząsam głową z niedowierzaniem.

– To ty nie chciałaś spróbować ze mną. To ty chodziłaś ze Stephanie Crewe.

– Zerwałem ze Stephanie Crewe.

– O mój Boże, tylko mi nie mów, że to z mojego powodu. Nigdy nie patrzyłaś na

mnie w ten sposób. Nigdy. Zawsze byłam dla ciebie jak młodsza siostra. Przyjaciółka. A teraz, kiedy nie możesz mnie dostać, wmawiasz mi coś, czego nie było. Dlaczego? Jestem taka tajemnicza, bo nie chcę uprawiać seksu? A może uważasz, że możesz mnie naprawić, jeśli tylko zechcę z tobą spróbować?

Twarz Paula wykrzywia się z odrazą.

– Co?! Nie. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem. Nawet nie pomyślałem.

– Naprawdę? No to jesteś idiotą. Dlatego że jesteś pełnokrwistym facetem, Paul. I chcesz seksu. A ze mną nie możesz tego mieć. Tak więc jeśli chcesz być ze mną, to jesteś idiotą.

– W skrócie: jestem palantem albo idiotą, innych opcji nie ma. Tak?

Uświadamiam sobie, jaka byłam niesprawiedliwa, lecz już za późno. Nie mogę tego cofnąć.

– Pierdolę to – mówi Paul podniesionym głosem. Wstaje i rusza w moją stronę z zaskakującą prędkością, zatrzymuje się niecałe pół metra ode mnie. – Pierdolę to, Tash. Nie możesz mi mówić, co czuję i czego chcę.

– A więc jesteś całkowicie normalnym dziewiętnastolatkiem, który nie chce uprawiać seksu?

– Nie powiedziałem, że nie chcę...

– Nie zmienię się w magiczny sposób.

– Nigdy nie...

– To, że znamy się przez całe życie, to, że rozumiesz mnie lepiej niż cała reszta, nie znaczy, że potrafisz mnie odmienić. Jasne? Wiem, że mocno to wszystko zaplątałam, ale tej jednej rzeczy jestem pewna.

– Gdybyś...

Może to adrenalina krążąca w moim ciele. Może adrenalina, a może wściekłość, a może to moje autodestrukcyjne alter ego bierze górę. Niezależnie od przyczyny, akcja, którą wykonuję, sprawia, że Paul gwałtownie milknie: mianowicie ściągam T-shirt przez głowę i rzucam go na podłogę.

Nieraz występowałam przy nim w bardziej skąpym odzieniu. Ledwie godzinę temu podtapiałam go w basenie ubrana w kostium kąpielowy. Ale teraz to coś innego, ponieważ w powietrzu czuć napięcie, a to jest mój stanik, a nie góra od kostiumu.

Paul spogląda i zaraz spuszcza wzrok.

– Co ty wyprawiasz? – pyta szeptem.

– Jesteś kłamcą. Przedstawiam ci dowód, że kłamiesz.

Rozsuwam zamek przy spódnicy, rozpinam pasek i czekam, aż spódnica opadnie mi do stóp. Wymierzam w Paula palec wskazujący, wbijam w jego pierś.

– Tak wyglądam. Co podobno działa na takie osoby jak ty. A jeśli chcesz być moim chłopakiem, musisz przez cały czas pamiętać, czego nie możesz mieć, i nawet jeśli na początku nie będzie ci to przeszkadzać, to z czasem zaczniesz, ponieważ pragniesz tego, co pod spodem, i to pragnienie wszystko zniszczy. Zniszczy naszą przyjaźń. I moją przyjaźń z Jack. A ja do tego nie dopuszczę. Tak więc zgadza się, jesteś albo idiotą, albo palantem i wolałabym to drugie, ponieważ wtedy przynajmniej nadal będziemy przyjaciółmi.

W tym momencie słyszę ruch za swoimi plecami. I głos Jack:

– Co tu się, kurwa, dzieje?

Nie odwracam się w jej stronę. Pochylam się, chwytam spódnicę i bluzkę i rzucam się do wyjścia. Jack woła za mną. Przekręcam klamkę i biegnę, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

Chowam się za wypiełgowanymi krzewami pana Harlowa i pospiesznie ubieram, moje ruchy są niezgrabne. Zapomniałam japonek, zostały na dole. Biegnę boso w ciemnościach, moje pięty uderzają o chodnik w nierównym rytmie, po głowie wciąż tłucze mi się: coś ty sobie myślała? Czemu on to powiedział? Dlaczego teraz?

Kiedy wreszcie docieram do swojego pokoju, uświadamiam sobie, że włożyłam spódnicę tył na przód i na lewą stronę. Nie szkodzi. Nie obchodzi mnie nic, chcę tylko wpełznąć do łóżka i przykryć się razem z głową.

Nie próbuję kontaktować się z Paulem czy Jack. Oni ze mną też nie. Mieszkamy przy tej samej ulicy, nasze domy dzieli od siebie zaledwie dwanaście innych, ale przez cztery dni nie zamieniamy ani słowa. We wtorek i czwartek jak zwykle pokazują się nowe odcinki *Nieszczęśliwych rodzin*. Wydawać by się mogło, że wszystko jest po staremu.

Ale nie jest.

Dotąd największa kłótnia między mną, Paulem i Jack wybuchła o to, kto ma rower w najfajniejszym kolorze. Ale nigdy nie posprzecaliśmy się na żaden poważny, dorosły temat, tak jak teraz. Nie zdarzyło się nic choćby odrobinę przypominającego awanturę, która wybuchła, kiedy Paul wyznał, że zakochał się we mnie, gdy po raz pierwszy bawiliśmy się razem na paskudnym placu zabaw w Holly Park. Nigdy nie pojawiały się żadne, choćby najdrobniejsze aluzje z jego strony. Wkroczyliśmy na niezbadane i nieprzyjazne terytorium. Nie ma tu żadnej roślinności, żadnych znaków życia. Wiem, że długo tu nie wytrzymam. Ale nie potrafię się zmusić, żeby zadzwonić, wysłać esemes, włamać się do sutereny u Harlowów i zasnąć na sofie. Nie mogę i najwidoczniej oni też nie. Zastanawiam się, czy tak kończy się przyjaźń – nie deklaracją, ale impasem, powolnym zanikaniem.

Nie żeby to był koniec naszej przyjaźni. Na to się nie zgadzam. Ale nie mogę się zmusić, by wziąć telefon do ręki. Jeszcze nie teraz.

Piszę za to wiadomość do Thoma. Oczywiście nie o kłótni – Thom nie wie o Paulu i Jack, nie wspominając nawet o przyczynach naszej ostrej wymiany zdań. Gadamy o tym, co zwykle: opinii Thoma na temat J.J. Abramsa, ostatnim odcinku *Burz Taffdoru*.

W czwartkowy wieczór żegnam się z Lwem. To bardzo emocjonalne rozstanie. Lew stara się zachować kamienną twarz, ukryć mękę pod zwykłą groźną miną, ale wiem, że serce mu pęka z powodu mojego wyjazdu, chociaż to tylko kilka dni.

– Nie da się tego porównać z otwarciem kilkunastu szkół dla wyzwolonych chłopów pańszczyźnianych – mówię – ale ta nominacja to moje największe osiągnięcie w całym dotychczasowym życiu.

Lew patrzy wilkiem.

– Hej, przestań mnie oceniać, dobra? Nie jestem płytka tylko dlatego, że chciałabym dostać kawałek złomu w kształcie walca.

Lew patrzy.

– Nawet nie próbuj. W moim wieku też nie byłeś taki znowu ogarnięty. Byłeś uprzywilejowanym arystokratą, przepuszczałeś rodzinny majątek na gry hazardowe, porzuciłeś szkołę i wstąpiłeś do wojska.

Lew patrzy, patrzy, patrzy...

Wzruszam ramionami.

– Dobra. Ale jeszcze za mną zatęsknisz.

Zaczynam się pakować. Wyjeżdżam tylko na dwie noce, ale jakimś cudem udaje mi się zapelnąć całą walizkę. Co chwila przypominam sobie o różnych drobiazgach, takich jak skarpetki do spania, podróżny atomizer z perfumami i zapasowe okulary przeciwsłoneczne.

Puszczam na cały regulator płytę *Actor* St. Vincent, w przerwie między piosenkami słyszę pukanie do drzwi. Otwieram i stoję twarzą w twarz z Jack. Sądząc po minie, puka tak już od pewnego czasu. Nie nałożyła makijażu i wciąż ma na sobie ciuchy do spania – czarne flanelowe spodnie i koszulkę z Jackiem Szkieletonem. Wchodzi do środka i siada na skraju łóżka.

– Musisz się naprawdę porządnie wytłumaczyć – mówi.

Z głośników przy laptopie dobywa się zniekształcony gitarowy hałas. Zamykam klapę, gwałtownie przerywając utwór, i opadam na krzesło przy biurku, twarzą do Jack.

– Od czego mam zacząć?

– Cóż, chociaż mam wielką chęć zapytać, dlaczego zastałam cię robiącą striptiz przed moim bratem, to chyba dostałam już od niego wystarczającą ilość informacji. Bardziej nurtuje mnie to. Podaje mi swój telefon. Na ekranie widnieje strona bloga, od razu rozpoznaję tytuł i logo: *Dziewczyna w Rogowych Okularach*. To najświeższy post, zatytułowany „*Nieszczęśliwe rodziny*”, *nieszczęsna produkcja*. Aha, czyli pewnie wywiad, który Heather Lyles przeprowadziła ze mną w połowie lipca. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nigdy nie wspomniałam Jack o tej sprawie. Przez pewien czas umykało mi to w ferworze filmowania. Potem zaś postanowiłam w ogóle jej o tym nie mówić. Jack źle znosi interakcje z obcymi osobami, a wspólny wywiad z nią przypominałby raczej utarczkę słowną niż odpowiedzi na konkretne pytania. Dlatego sama się tego podjęłam, mówiąc sobie w duchu, że Jack w końcu i tak się dowie. A teraz tu jest. Pokazuje mi tekst. Przesuwam po nim wzrokiem, ale nie znajduję niczego, co przypominałoby wywiad, żadnych pytań i odpowiedzi. To tekst ciągły. Po kilku zdaniach uświadamiam sobie, że jest to recenzja naszego serialu. Miażdżąca recenzja.

– Chcę wiedzieć, czy rzeczywiście podałaś jej te cytaty. Bo jeśli nie, to musimy, nie wiem, pozwać ją o zniesławienie. Ale jeśli tak...

Nie muszę nic mówić: Jack odczytuje odpowiedź z mojego milczenia. Zachowuje kamienną twarz, ale jest wściekła. Jak mogłaby nie być? Heather Lyles zjechała nasz serial i posłużyła się cytatami z moich wypowiedzi, by uzasadnić swoje twierdzenia. Ostatni akapit brzmi następująco:

„Twórczyni” młodzieżowego serialu internetowego Natasha Zelenka ma tylko siedemnaście lat i, niestety, to widać. Sam wybór Anny Kareniny jako tematu na lekki materiał filmowy to wystarczający dowód. Inne osoby już krytykowały serial za zbytne uproszczenie przedstawionej przez Tolstoja historii. Ja bym powiedziała, że to nie uproszczenie, lecz masakra. Za całym szaleństwem wokół Kevina kryje się bezładny scenariusz, w którym nie zostało nic z dramatu i napiętności obecnych w pierwowzorze książkowym. Zamieniając głównych bohaterów w osoby liczące po kilkanaście lat, Zelenka i Harlow poświęciły najistotniejsze elementy, tworzące istotę i sens tej powieści.

Historia Anny, która porzuca Aleksieja, chłopaka, z którym chodzi od wielu lat, dla nowej fascynacji Wrońskim nie może się równać z rozdzierającą serce opowieścią o Annie, która zostawia męża i ukochanego syna, by żyć jako społeczny wyrzutek w czasach carskiej Rosji. A sławne zakończenie? Zelenka twierdzi: „Nie mogę go zdradzić, ale mamy nadzieję, że będzie satysfakcjonujące i dorówna całej dotychczasowej historii”. Nie tak trudno dorównać historii tak słabego kalibru, ale jeśli spodziewacie się

czegoś satysfakcjonującego, raczej nie wstrzymujcie oddechu.

Oddaję telefon Jack i zaciskam wargi. Nie bardzo wiem, czy mam się śmiać czy płakać, czy może zemdleć.

– A więc – mówi Jack – nie zamierzałaś mnie powiadomić, że udzieliłaś wywiadu znanej blogerke? Sama, beze mnie?

– Przepraszam, Jack.

– Czyżby? Cała akcja wygląda na dość przemyślaną.

Nie wiem, jak na to zareagować, ale Jack i tak nie daje mi szansy.

– Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć, szczególnie przed wyjazdem do Orlando. Pominęłaś mnie, a ktoś posłużył się twoimi własnymi słowami przeciwko tobie. To chyba nazywa się karma?

– Przepraszam – szepczę. – Naprawdę strasznie mi przykro.

Jack kręci głową.

– Co się z tobą dzieje, Tash? Rozumiem, że przeżywasz zmiany w domu: ciążę mamy, wyjazd Klaudie. Ale to nie usprawiedliwia twojego zachowania wobec Paula. Tylko ja mam prawo go tak traktować, i to wyłącznie w wyjątkowych sytuacjach, kiedy naprawdę zasłuży. Chcesz opowiedzieć o tym ze swojej perspektywy? Zasłużył?

– Nie – odpowiadam głucho. – Nie, oczywiście, że nie.

– Wiesz co? Sporo o tym myślałam i doszłam do następującego wniosku: bierzesz nas za pewnik. Jego szczególnie, ale mnie też. Musiałam wysłuchiwać twoich nierealnych planów o studiach na supermodnej i drogiej uczelni, chociaż w moim przypadku taka wizja w ogóle nie wchodzi w rachubę. Ani razu nie wspomniałaś, że w związku z tymi planami musiałabyś mnie zostawić. Jakby wyjazd do innego miasta beze mnie to był mały pikus, jakby w ogóle cię to nie ruszało. Dostosowywałam się do twojego grafiku, ponieważ uważam, że to wspaniale, że tak bardzo dbasz o serial. Ale czy dbasz także o mnie, Tash? O mnie i Paula?

Cała się trzęsę. Dobywam z siebie z najwyższym trudem:

– Paul powiedział, że jest we mnie zakochany.

Jack wyrzuca ramiona do góry, jakbym właśnie opowiedziała bardzo niestosowny żart.

– No co ty, kurwa, nie powiesz. Oczywiście, że jest w tobie zakochany. A czego się spodziewałaś? Dorastaliście razem i nie jesteście spokrewnieni. To było raczej nieuniknione.

Kopie w nogę mojego krzesła, po namyśle dodaje:

– Zamierzał zaprosić cię na bal zimowy. I co ty na to? Przez cały rok po zerwaniu ze Stephanie marudził o tobie. „Jack, czy ona naprawdę mnie lubi? Schrzanię wszystko i tyle”, bla, bla, bla. W końcu ułożył przemyślny plan. Chciał kupić szesnaście dyń, w każdej wykroić literę, wstawić świeczki do środka i ułożyć je przed twoim oknem w napis ZATAŃCZ ZE MNA, TASH. A ja nie mogłam mu wytłumaczyć, jakie to okropnie kiczowate. I nagle, przysięgam, dosłownie niecały tydzień po tym, jak przyszedł mu do głowy ten wspaniały pomysł, ty wyskakujesz ze swoim wyznaniem.

– Jack. Nie miałam pojęcia...

– No cóż, nie bardzo interesujesz się tym, co czują inni.

Przykre, ale przyjmuję krytykę. Pewnie zasłużyłam na coś znacznie gorszego.

– Czuliśmy się... zdezorientowani – mówi Jack. – Po tym, co nam powiedziałaś, sądziłam, że nie podobają ci się faceci, kropka. Nie pociągają cię. Oboje uznaliśmy, że nie należy poruszać tego tematu. Baliśmy się powiedzieć coś nie tak. Wiem, że to też było trochę beznadziejne, ale... Zrozum, całkiem namieszałaś Paulowi w głowie.

– Ponieważ wcześniej uważał mnie za normalną dziewczynę.

Jeśli Jack ma prawo do brutalności, to ja mam prawo do odrobiny melodramatycznego uzalania się nad sobą. Ale Jack rzuca mi spojrzenie, które wyraźnie informuje, że nic z tego.

– Zaczął się z tym godzić, a ty nagle wyskoczyłaś z... ze swoim Internetowym Thomem, kimkolwiek dla ciebie jest. Nowe informacje stały w pewnej sprzeczności z tym, co powiedziałaś nam we wrześniu. Nie twierdzę, że to twoja wina, że Paul nie podoba ci się w taki sposób jak ty jemu. Ale musisz spojrzeć na sprawę z jego perspektywy. Naprawdę ma prawo czuć się zdezorientowany.

– Teraz... teraz to rozumiem. Szlag. Naprawdę... zamierzał wyciąć szesnaście dyń?

Jack przytakuje.

– Ale szesnaście?! Mógł się ograniczyć do „zatańczmy”.

– Cóż, uznaliśmy, że zasługujesz na szesnaście.

Osuwam się na krześle. Gdzieś na mojej skórze pojawiło się pęknięcie, przez które powoli ucieka całe powietrze. Z każdą sekundą coraz bardziej flaczeję.

– Nie chodzi o to, że on mi się nie podoba – mówię szeptem. – Ja też kiedyś się w nim kochałam. Jak sama zauważyłaś, to było nieuniknione. Ale potem... sama nie wiem. Teraz to niemożliwe. Nic by z tego nie wyszło.

– Ponieważ... on lubi seks?

– Jack. Tej rozmowy nie ma.

Jack znów wyrzuca ręce w górę, jakby pytała: „I co zamierzasz z tym zrobić?”

– Znam go – mówię. – Znam dziewczyny, z którymi się umawiał. Pamiętam, co o nich mówił. Stephanie Crewe i tak dalej. Wiem, czego on chce. Nic by z tego nie było.

– Okej, dobra, ale może niepotrzebnie od razu tak zakładasz? Nie twierdzę, że na pewno by wyszło, ale jeśli on chce spróbować... Zresztą, co za różnica, on czy Thom? Tylko dlatego, że Thoma nie znasz tak dobrze, uważasz, że będzie dla ciebie magicznym ideałem?

– Nie...

Nie mogę jej powiedzieć, że trafiła w sedno. Nic dodać, nic ująć. Chociaż wiem, że tak to nie działa, przez cały czas mam nadzieję, że dopóki nie poruszamy z Thomem tematu seksu, taki problem w ogóle się nie pojawi. Nigdy. To strasznie głupie. Głupie, a Jack potrafi wyczuć tę głupotę z daleka.

– Dobra. – Przesuwa się bliżej w moją stronę. – Posłuchaj. Nie winię cię za to, że czujesz tak, a nie inaczej. Wiesz o tym, prawda? Możesz czuć i pragnąć czego tylko chcesz i kogo tylko chcesz. Mówię poważnie. Tylko nie pojmuje, dlaczego tamtego wieczoru nagle spadło z ciebie ubranie.

– Chciałam mu dowieść, że się myli – odpowiadam, chociaż zdaję sobie sprawę, że

te słowa nie mają sensu. – Nie wiem, nie potrafię...

– Czy mogłabyś tego nie powtarzać? Czy mogłabyś celowo nie mieszać mi w głowie?

Chciałabym odpowiedzieć, ale nie daje mi dojść do słowa.

– Posłuchaj, nie mogę wściekać się na ciebie za twój pieprzony coming out, sama nigdy nie musiałam przeżywać niczego podobnego. Ale mogę wściekać się za mnóstwo innych rzeczy. Na przykład ten wywiad udzielony za moimi plecami. Za to, że traktujesz Paula jak gówno. Że oboje nas tak traktujesz.

– Jack, ja...

Jack energicznie kręci głową i znów mi przerywa.

– Nie. Nie przestałam się na ciebie wściekać. Szczególnie że chyba nadal nie łapiesz.

A potem wychodzi. Patrę przez okno, jak idzie naszą ulicą, jak mija te dwanaście trawników przed domami, które nas dzielą. Jutro o tej porze to nie będzie dwanaście trawników, a tysiąc trzysta kilometrów.

Rano mama zawozi mnie na lotnisko. Mam lot o siódmej. W wakacje nastawianie budzika na piątą wydaje się absurdalne. Opadam na fotel pasażera, półprzytomna, ledwo trzymając się na nogach.

Mama uśmiecha się z empatią.

– Dasz radę?

– Nic dziwnego, że to najtańszy lot – jęczę.

– Ale warto, prawda?

Po chwili namysłu niechętnie kiwam głową.

– Zadzwoń, jak wylądujesz. I kiedy już będziesz w pokoju też, dobrze? Nadal mi się nie podoba, że będziesz sama w tym wielkim hotelu.

– Mamo, wszystko będzie dobrze. Nie będę sama. George Connor też leci, zapomniałaś?

– To bynajmniej mnie nie uspokaja.

– O Boże. Nie martw się. Nie myślimy o sobie w ten sposób.

Ale nie powiedziałam jej o Thomie. Uznałam, że nie jest to konieczne, skoro nigdy nie spotkaliśmy się w realu. Taka pokrętna logika.

Jedyną dobrą stroną koszarnej recenzji naszego serialu na blogu *Dziewczyna w Rogowych Okularach* jest to, że ukazała się ona tuż przed konwentem, więc nie mam za bardzo czasu się na niej skupiać. Wczoraj wieczorem nawet nie weszłam na blog, by jeszcze raz przeczytać najbardziej masakryczne kawałki i przejrzeć komentarze. Wiem, że tylko by mnie przybiły, a nie chcę przylecieć do Orlando w kiepskim humorze. Nauczyłam się przez parę ostatnich miesięcy, że takie komentarze pozostają mi w głowie znacznie dłużej niż te miłe. Jeśli nie chcę na zawsze zachować ich w pamięci, nie powinnam ich w ogóle czytać, kropka.

Próbuję też nie myśleć o Paulu, ale jest to nieco trudniejsze. Siedzę skulona koło mojej bramki, usiłując czytać „Entertainment Weekly”, ale lepsza część mojego mózgu wymyka się spod kontroli i zaczyna wyświetlać różne obrazy i fragmenty zdań. Twarz Paula, kiedy zdjęłam koszulkę. „Szesnaście dyń”. „Zdezorientowany”. „Mieszać w głowie”. Odsuwam je wszystkie od siebie, powtarzając sobie, że nie mogę teraz o tym myśleć. Powinnam się skupić na Orlando. Na panelach i spotkaniach, w których chcę wziąć udział, na fryzurze, w której wystąpię podczas dzisiejszej kolacji i na przemowie, jeśli *Nieszczęśliwe rodziny* zdobędą nagrodę. Na Thomie.

Otwieram telefon i czytam ostatnią wiadomość, którą przysłał wczoraj wieczorem: *Do zobaczenia WKRÓTCE*.

Bo naprawdę wreszcie się zobaczymy. Wreszcie będziemy bezpośrednio rozmawiać. To naprawdę coś. O tym powinnam myśleć. Życie w Lexington może na razie zaczekać.

W pewnym momencie uświadamiam sobie, że czytam to samo zdanie po raz piąty, i dochodzę do wniosku, że nic nie będzie z lektury. Unoszę głowę znad czasopisma. Wyciągam szyję i szukam wzrokiem Goerge’a. Siedzi kilka rzędów dalej, pisze coś na laptopie. Próbuję uchwycić jego spojrzenie, nawet macham, ale udaje mi się zwrócić

uwagę jedynie siedzącej obok niego dziewczyny, która rzuca mi takie spojrzenie, jakby zobaczyła górskiego trolla. Zrezygnowana, wracam do czytania. Wciąż nie mogę się skupić, ale przynajmniej mogę obejrzeć zdjęcia z planu *Burz Taffdoru*.

George dostrzega mnie, dopiero kiedy wchodzimy na pokład. Zdążył zająć miejsce w jednym z przednich rzędów w klasie ekonomicznej.

– Hej – rzucam.

George kiwa głową.

– Do zobaczenia po drugiej stronie.

Znów kiwa głową.

A więc to tak. Wspaniałe towarzystwo. George jest jedyną znaną mi osobą, która potrafi zepsuć tę podróż.

Jeszcze raz sprawdzam bilet. Na podstawie numeru miejsca i mojej obecnej pozycji wnioskuję, że muszę się udać na sam koniec. Moje domysły okazują się słuszne. Dobra wiadomość jest taka, że nikt nie siedzi obok mnie, więc będę miała dodatkową przestrzeń na nogi. Zła wiadomość: stewardessie kończą się ciasteczka, zanim zdąży do mnie dotrzeć.

– To nigdy się nie zdarza – mówi i daje mi podwójną porcję prażonych fistaszków, tak jakby mogły wynagrodzić stratę, po czym zostawia mnie pogrążoną w rozmyślaniach nad zasadniczą kwestią: dlaczego linie lotnicze uparcie częstują pasażerów fistaszkami, kiedy tyle osób jest na nie uczulonych? Te rozważania z kolei przywodzą na myśl Paula i jego kryptonit: masło orzechowe. A to z kolei sprawia, że robi mi się niewymownie smutno. Włączam więc iPod i słucham St. Vincent tak głośno, że moje bębniaki z pewnością doznają trwałego uszkodzenia.

– Chcesz się zrzucić na taksówkę?

Właśnie ściągnęłam bagaż z taśmy. George wyrasta za moimi plecami, strasząc mnie jak duch minionych świąt Bożego Narodzenia. A więc wreszcie raczył posłużyć się mową. To chyba postęp.

– Jest autobus prosto do hotelu – odpowiadam. – Wychodzi sporo taniej.

– Tak? Aha. – Ma taką minę, jakbym właśnie zaproponowała wyprawę mułem na oklep wzdłuż autostrady.

– To na razie – rzucam, po czym ujmuję rączkę walizki i mijam go, kierując się w stronę znaku z napisem AUTOBUSY.

– Hej, zaczekaj! – słyszę. George dogania mnie i pyta: – Jak często odjeżdżają?

– Mniej więcej co pół godziny. A co, spieszysz się? Tłum fanek czeka na autografy, Lewinie?

George krzywo się uśmiecha.

– Myślę, że mogą poczekać.

Nie jest aż tak źle. Autobus podjeżdża po dziesięciu minutach i jest klimatyzowany – cudowna ulga po czekaniu w trzydziestostopniowym upale. Zapisuję sobie w pamięci, by tak bardzo nie narzekać na lato w Kentucky, bo na Florydzie jest znacznie gorzej. Kiedy docieramy do hotelu, zabieram walizkę ze stojaka, nie dając szansy kierowcy, ponieważ nie potrzebuję pomocy, a nie wiem, jakie w podobnych sytuacjach obowiązują zasady w kwestii napiwków.

Stoimy z George'em w kolejce do recepcji. Ogarnia mnie irracjonalne zdenerwowanie, że nie wpuszczą mnie do pokoju i wezwą ochronę, ponieważ rezerwację zrobiła moja mama. Czuję się jak dzieciak, który próbuje kupić butelkę dżinu. Ale nikt nie wzywa ochrony. Problemem, jak się okazuje, nie jest mój wiek, ale zbyt wczesne przybycie. O tej porze nie ma żadnych wolnych pokoi. Recepcjonistka każe wrócić za kilka godzin, kiedy sprzątaczkę zrobią swoje.

Przetaczam walizkę do kanapy w rogu ogromnego lobby. Z głośnika leci Mozart, a stolik przy kanapie ma kształt gigantycznej fioletowej geody. Wygląda to dość tandetnie, ale zarazem fajnie. Opieram stopy o brzeg stolika i piszę esemes do mamy, żeby wiedziała, że dotarłam bezpiecznie na miejsce. Potem piszę do Thoma.

Jestem! Spotkanie w południe przy rejestracji aktualne?

Tak się umówiliśmy prawie tydzień temu. Mamy się spotkać przy punkcie rejestracyjnym, a później, po południu, razem pójść na kolację otwierającą konwent. Może po drodze Thom kupi mi kawę w Starbucksie w lobby i powie, że kocha się we mnie potajemnie, od kiedy po raz pierwszy zobaczył mój vlog...

Może.

Thom nie odpowiada, chociaż patrzę w ekran bardzo intensywnie. Nagle słyszę, że ktoś odchrząkuje nad moją głową. Przez jedną szaloną chwilę wydaje mi się, że to on, przyjechał wcześniej, żeby zrobić mi niespodziankę.

Ale to George.

– Nie chcą cię wypuścić? – pyta.

Potrząsam głową.

Siada obok mnie, wzdychając z irytacją.

– To jaki sens ma wcześniejszy lot?

Rzucam mu krzywe spojrzenie. Wcale nie specjalnie, czysto odruchowo. Nie chcę siedzieć obok niego, poza tym miałam szczerzy zamiar położyć się na tej kanapie i zdrzemnąć, nic sobie nie robiąc ze spojrzeń obsługi i gości.

– Widzisz kogoś znanego? – pyta George, dziwnie rozmowny.

– Nie. Ale za bardzo się nie rozglądałam.

– Tam stoi Greta Farrow – mówi, ruchem głowy wskazując róg pomieszczenia po przekątnej. – No wiesz, *Greta gada*.

– O. – Dostrzegam drobną dziewczynę z jaskraworóżowym bobem, w kombinezonie z czarnego dżinsu, wesoło gawędzącą z dwoma facetami z pół metra wyższymi od niej. – Tak, trudno jej nie zauważyć.

– Pomyśleć, że ktoś z tych ludzi może będzie spać w pokoju obok. Niesamowite.

– Nie zastanawiałam się nad tym. Ale tak, jasne. To znaczy, wiesz, to są normalni ludzie, tacy jak my.

– Niezupełnie. Większość mieszka w Los Angeles.

Obracam głowę w stronę George'a.

– Ale jeśli ktoś pochodzi z Los Angeles, to nie znaczy, że jakoś szczególnie różni się od reszty. Może jest bardziej opalony, może jest większym palantem. To tylko ludzie, George.

– No tak. Jesteś... nieważne. Nie rozumiesz.

– Nie lubię kultu gwiazd. Sławni ludzie nie są warci jednej dziesiątej uwagi, którą im poświęcamy. Po prostu musimy jakoś wypełnić tę wielką pustkę, bo już nie wierzymy w Herkulesa czy Meduzę.

George prycha.

– Ludzie zajmujący się realizacją filmów zawsze mają kompleks niższości.

Posyłam mu mordercze spojrzenie.

– Ludzie z produkcji powołują filmy do życia. Aktorzy nie mieliby szans na sławę, gdyby nie ludzie z produkcji.

– Mhm, jasne.

Mrużę oczy.

– Przygotowałeś przemówienie, zgadłam?

Spogląda na mnie zaskoczony.

– To twoja działka. Ty robiłaś ten serial.

– No tak, ale i tak założę się, że przygotowałeś przemówienie.

George milczy, ale na jego twarzy pojawia się chełpliwy uśmiešek. Podnosi się, zabierając plecak.

– Pójdę się trochę rozejrzeć.

Kiwam głową, pełna obaw, że jeśli jeszcze coś powiem, George zmieni zdanie. Odprowadzam go wzrokiem, po czym sprawdzam telefon. Thom odpisał: *Hej, sorki. Coś mi wypadło, nie przyjdę. Później zadzwonię.*

Gapię się w ekran. „Później zadzwonię”? Wystawia mnie w ostatnim momencie, bez słowa wyjaśnienia? Tylko „później zadzwonię”?

Powtarzam sobie, żeby się nie wkurzać, nie reagować zbyt emocjonalnie. Musiało mu wypaść coś pilnego. Sprawa rodzinna, opóźniony lot czy inna z wielu przeszkód usprawiedliwiających spóźnienie. I jakakolwiek byłaby to przyczyna, widocznie jest tak pilna, że nie zostawia mi czasu na wyjaśnienia. Kiedy zadzwoni – modłę się do wszechświata, by zrobił to jak najszybciej – na pewno wszystko mi wytłumaczy. Potem się spotkamy i będzie świetnie. Może nawet dobrze wyszło. Gdybyśmy się spotkali w punkcie rejestracyjnym, byłabym tak zaabsorbowana liczbą nowych informacji, że na pewno nie zdołałabym wykrzesać z siebie całego uroku. A więc dobrze się złożyło. Lepiej być nie może.

Skoro Thom nie zjawi się w najbliższym czasie, mogę równie dobrze zarejestrować się na konwent i trochę rozejrzeć. Wracam do recepcji i pytam, czy przechowają mi walizkę. Owszem, zgadzają się, i są przy tym przerażająco uprzejmi. Wpycham numerki do torby i kieruję się w stronę ustawionej na sztalugach błyszczącej tablicy z napisem ZŁOTE TUBY. REJESTRACJA.

Hotel jest jeszcze większy, niż się spodziewałam. Mijam recepcję i docieram do obszernego wysokiego holu wypełnionego tłumem. Większość osób ma po dwadzieścia, trzydzieści lat. Śmieją się hałaśliwie, szepczą konfidencjonalnie i opowiadają anegdoty, przesadnie gestykułując. Wszyscy kipią entuzjazmem, choć daje się wyczuć pełne napięcia oczekiwanie. Wzdłuż ściany ciągnie się szereg podwójnych drzwi oznaczonych tabliczkami (SALA BALOWA, SALA KONFERENCYJNA 2), nad którymi wiszą kartki z nazwami alternatywnymi (WALTORNIA, SAKSOFON). Znów myślę o Paulu i serce

mi się ściska. Skupiam uwagę na dwóch długich stołach na końcu holu. Na wiszącym na nich banerze widnieją złote litery: REJESTRACJA.

Ustawiam się do stołu oznaczonego P–Z. Moje oczy nieustannie błędzą dokoła. Znajdujemy się tuż przed największymi drzwiami oznaczonymi SALA BALOWA C i TUBA. Domyślam się, że to tutaj odbędzie się jutrzejsze wręczenie nagród. Ze swojego, niezbyt dobrego, punktu obserwacyjnego dostrzegam przez uchylone drzwi okrągłe stoliki przykryte białymi lnianymi obrusami, co pozwala się domyślać, że tam również będzie miała miejsce kolacja powitalna.

– Nazwisko?

Nadeszła moja kolej. Miło uśmiechnięta kobieta o wargach pomalowanych jaskraworóżową szminką, ubrana w T-shirt z napisem „Doctor Who” patrzy na mnie wyczekująco.

– Natasha Zelenka.

Kobieta kiwa głową, przewraca spięte kartki, dociera do ostatniej i przesuwa palcem wskazującym w dół rzędu nazwisk, powtarzając melodyjnie:

– Zelenka, Zelenka, Zelen... o, jest!

Zakreśla moje nazwisko zielonym flamastrem, po czym schyla się i wyciąga spod stołu grubą szarą kopertę. Podaje mi ją, mówiąc:

– Tu jest wszystko, czego potrzebujesz: rozkład zajęć, zaproszenie na dzisiejszą kolację, identyfikator. Przypnij go czym prędzej! Bez niego nie dostaniesz się na panele.

Posłusznie kiwam głową, dziękuję i wychodzę z kolejki.

Hol wydaje się teraz dwa razy bardziej zatłoczony, niż kiedy się w nim zjawiłam. Wszędzie dokoła słyhać rozmowy, wszędzie tłoczą się ludzie. Czuję się oszołomiona i sama nie wiem, czy ten rodzaj oszołomienia mi się podoba. Jest... przewspaniający. Oczy mnie bołą, całe ciało swędzi i wydaje się pokryte jakąś tłustą warstwą po porannej podróży. Bardzo chciałabym się już znaleźć w pokoju, opłukać twarz chłodną wodą i odsapnąć chociaż przez godzinę.

Ponieważ nie jest to możliwe, a moją kanapę przy fioletowym stoliku okupuje czteroosobowa rodzina, idę do kiosku Starbucksa i zamawiam dużą kawę mrożoną. Potem siadam przy stoliku koło okna i otwieram kopertę. Kryje się w niej wystarczająco dużo papierów i broszur, by zapewnić mi rozrywkę na dłuższą chwilę. Mam nadzieję, że Thom zadzwoni, zanim zdążę je wszystkie przejrzeć.

Kilka godzin później wciąż nie dzwoni. Piję już drugą kawę mrożoną i czytam jedyną książkę, którą zabrałam – *Śmierć Iwana Iljicza*, autorstwa mojego niezwykle utalentowanego chłopaka imieniem Lew. W tym momencie nic na to nie poradzę, ale jestem porządnie wkurzona. Jest po trzeciej, a Thom nie zadzwonił, nie napisał, nic. Nie wysłał choćby kilku głupich słów, że przeprasza i spróbuje przyjechać najszybciej, jak tylko się da. Zaznaczam miejsce, w którym skończyłam czytać, i próbuję spojrzeć na wszystko z większym optymizmem: teraz przynajmniej będę mogła wejść do pokoju. Pakuję rzeczy do torby, zakładam identyfikator na szyję (przekreśliłam „Natasha” i napisałam powyżej „Tash” ołówkiem mechanicznym) i udaję się w kierunku recepcji.

Dostaję klucz do pokoju na szóstym piętrze, co uznaję za dobry znak, no bo czemu nie. Potem odbieram bagaż i ruszam na górę z jedną myślą: czym prędzej paść na wielkie

hotelowe łóżce.

I padam, z satysfakcją i w pełni zasłużenie. Wiem jednak, że nie powinnam zasypiać, ponieważ jest już późno, a zawsze kiedy pozwalam sobie na drzemkę po czternastej, zmieniam się potem w dziwną mamroczącą istotę podobną do Yeti. Uznaję, że najlepiej od razu zacząć działać. Włączam telewizor, ściągam przepocone ciuchy i wskakuję pod prysznic. Kiedy wychodzę z łazienki, w telewizji leci serial *Bajer z Bel-Air*. Znajome głosy rodziny Banksów od razu poprawiają mi humor. Ściągam czepek i rozczesuję splątane włosy. Decyduję się pójść na całość i wkładam sukienkę, bo do kolacji zostały niecałe dwie godziny. Właśnie nakładam tusz do rzęs, gdy odzywa się sygnał wiadomości. Thom. Nie zadzwonił.

Mogę być za pół h. Spotkamy się w lobby?

Gdzieś z tyłu głowy płacze się myśl, że powinnam być wściekła, za nic jednak nie zamierzam psuć sobie świeżo odzyskanego nastroju. Odpisuję więc: *Może być!* i przez kolejne dwadzieścia minut próbuję zdecydować, którą z dwóch par kolczyków mam włożyć, jednocześnie walcząc z przekonaniem, że przyjdzie mi zwymiotować te dwie wypite kawy na kontuarze w recepcji.

Potem schodzę do lobby.

Strasznie to jest dziwne. Oboje wiemy z vlogów, jak to drugie wygląda i jaki ma głos, ale nigdy się nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy na żywo. Tak więc rozpoznamy się, ale nie w taki sposób, jak rozpoznaje się większość ludzi, tylko dzięki temu, że na co dzień korzystamy z kamer i internetu. Cuda techniki.

Ja dostrzegam go pierwsza. Ze wszystkich możliwych miejsc wybrał kanapę przy fioletowym stoliku. Uznaję to za dobry znak, ponieważ od dzisiaj wszystko uznaję za dobry znak. Założył czarne obcisłe džinsy, białą koszulę i cienki krawat w musztardowym kolorze. Jego krótkie włosy są nastroszone na czubku głowy, dokładnie tak jak na vlogu. Ale jednocześnie różni się od swojej wersji internetowej. Ramiona są węższe, niż sądziłam, a profil niemal nie do rozpoznania. Tak jakbym do tej pory znała tylko płaski monochromatyczny szkic, a teraz zobaczyła go w trzech wymiarach i technikolorze. Z nerwów żołądek podchodzi mi do gardła, lecz cóż, jestem tu, zobaczyłam go pierwsza, więc muszę zrobić kolejny krok.

Dostrzega mnie, dopiero kiedy staję tuż obok i stukam go w ramię.

– Witaj, nieznajomy.

Unosi głowę, na jego twarzy momentalnie pojawia się uśmiech.

– O rany – mówi. – A to dopiero.

Wstaje, ale wbrew moim oczekiwaniom nie obejmuje mnie, tylko otacza ramieniem moje plecy w takim bocznym uścisku. Wychodzi to trochę niezręcznie, ale jak niby miałyby wyjść? Oto my, Tash i Thom, znajomi z internetu, spotykamy się po raz pierwszy w realu.

Odsuwam się i mówię formalnie, lekko dygając:

– Cześć, Thomie Causerze.

Odwzajemnia się ukłonem.

– Cześć, Tash Zelenko.

Wypowiada moje imię nieprawidłowo, w jego ustach brzmi trochę jak „też”.

Żołądek znów podchodzi mi do gardła. To drobna pomyłka, lecz zarazem ogromna, zastanawiam się, jak to możliwe, że nie wie tak prostej rzeczy.

No tak, nigdy dotąd nie rozmawialiśmy na żywo, to dlatego. Jest to logiczne wytłumaczenie, które oczyszcza Thoma z zarzutów. Ale i tak czuję się dotknięta – nawet trochę zła.

Potem zaczyna mówić i uświadamiam sobie, że właściwy moment właśnie minął. Już nie mogę go poprawić. Wyszłabym na wredną sucz, gdybym przerwała mu teraz, mówiąc: „Hej, tak przy okazji, Tash to skrót od Natashy”.

Oczyszczam umysł najlepiej, jak tylko potrafię, i skupiam się na jego słowach.

– ...strasznie nudna atmosfera, więc może gdzieś pójdziemy. Znam świetne miejsce z włoską kuchnią, U Giuseppe. Byłem tam w zeszłym roku. To niedaleko.

Gapię się na niego jak kretyńka, wciąż nie za bardzo jarzę. Co on sugeruje?

– Chcesz olać kolację powitalną? – Nie cierpię brzmienia swojego głosu w tym momencie. Jest wysoki i cienki, jak gwizd czajnika. – To darmowa kolacja. Poza tym pewnie ogłoszą różne ważne rzeczy?

Thom wzrusza ramionami.

– Wszystko mogę ci powiedzieć. Uczestniczyłem w tej imprezie dwa razy i zawsze było to samo: słabe żarcie i zarozumiałe towarzystwo. Poza tym jeśli wylądujemy przy stole z sześcioma innymi osobami, nie będziemy mogli za bardzo pogadać.

Podoba mi się za to głos Thoma. Jest niski, dźwięczny, odzywa się echem w moich uszach dłużej niż wszystkie inne dźwięki.

– Skoro tak – mówię z uśmiechem.

Thom wyciąga rękę w stronę głównego wejścia.

– Chodźmy. Pożyczyłem samochód od ciotki i wuja.

Przemyka mi przez myśl, że Thom może być psychopatycznym mordercą, który wywiezie mnie gdzieś na zgubę i pewną śmierć. Ale to przecież jest Thom, nerd o przyjemnej aparycji, który raz umieścił na swoim vlogu nagranie broniące mnie przed hejterami. To jest Thom i nawet jeśli nie potrafi prawidłowo wymówić mojego imienia, wie o mnie mnóstwo innych rzeczy, na przykład że moje ulubione danie to fettuccine alfredo. A teraz zabiera mnie do włoskiej restauracji.

Zdaje się, że rzeczywistość przerośnie marzenia. Kolacja bije na głowę randkę przy kawie.

– I, bez kitu, stoję w kolejce już dwie godziny i nagle zjawia się ten koleś w kostiumie Chewbakki, podbiega i przewraca mnie na ziemię. Popcorn sypie się na wszystkie strony, totalny chaos, a Matt stoi nade mną i mówi: „O Boże, on ma wstrząs mózgu. Trzeba wezwać karetkę”. A najlepsza część? Chewbacca biegnie dalej. Wypada z kina, pędzi przez parking i dalej, nie wiadomo dokąd.

Tak się śmieję, że dostaję kolki. Ludzie przy sąsiednich stolikach gapią się na nas, ale w ogóle mnie to nie obchodzi. Jest piątkowy wieczór, a ja siedzę w restauracji w towarzystwie Thoma Causera, żywego i we własnej osobie, i zajadam najlepsze fettuccine alfredo w całym swoim życiu.

– Naprawdę miałaś wstrząs mózgu? – pytam, kiedy już udaje mi się w miarę zapanować nad śmiechem. Próbuję zrobić zatroskaną minę, ale wciąż się śmieję, a z oczu kapią mi łzy.

– Nie, nic mi się nie stało. Parę siniaków. No i cały byłem w maśle z popcornu.

– Obejrzałeś film?

– Hej, czy ty słuchasz? Stałem w tej kolejce ponad dwie godziny, Tash. Premiera o północy. Jasne, że obejrzałem.

Tym razem krzywię się tylko trochę, kiedy źle wymawia moje imię. Nie znalazł się odpowiedni moment, by go poprawić, ale powoli przestaje mi to przeszkadzać. Cieszę się, że tak dobrze nam idzie, że się śmieję, że mówimy jedno przez drugie i w ogóle nie ma przerw w rozmowie. Bałam się, że w realu wszystko będzie wyglądało inaczej, że będzie mnóstwo niezręcznych pauz, odwracania wzroku, że cały wieczór okaże się jedną wielką katastrofą. Ale nie. Ten wieczór rozwija się znacznie lepiej, niż się spodziewałam. Jem najpyszniejszy sos alfredo, jakiego miałam okazję kiedykolwiek próbować – wybacznij, tato – a Thom rozśmiesza mnie kolejnymi zabawnymi historiami. Nie miałam pojęcia, że jest obdarzony takim poczuciem humoru – esemesy nie nadają się do opowiadania dłuższych anegdot, które teraz mi serwuje. Teraz, kiedy naprawdę się spotkaliśmy. Teraz, kiedy mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć mojej dłoni, gdyby tylko zechciał.

I to właśnie robi, kiedy czekamy na deser. Jego dłoń jest cieplejsza od mojej i nieco bardziej wilgotna. Zaciskam wargi, żeby nie uśmiechać się zbyt szeroko.

Dzielimy się porcją tiramisu, a kiedy dostajemy rachunek, naciskam, byśmy podzielili się też kosztami. Thom robi urażoną minę, ale się zgadza. Puszczając moją rękę, by wyciągnąć portfel, i pyta:

– Chyba nie zrobiłem nic nie tak?

– Hmm? – Podnoszę wzrok znad portmonetki. – Nie. Dlaczego?

– Mówią, że dzielony rachunek to oznaka nieudanej randki.

Uśmiech wariatki wymyka się spod kontroli.

– A więc to jest randka?

Thom kiwa głową.

– Bez dwóch zdań.

– Ale dzielenie rachunku to nie jest żaden zły znak. To norma we współczesnym świecie.

Gadam tak, jakbym znała się na zasadach dotyczących randkowania. Jakbym była dziewczyną, która co piątek biega na klasyczne dorosłe randki we włoskich restauracjach. W tym momencie nawet czuję się jak taka dziewczyna.

Zostawiam kelnerce bardzo wysoki napiwek, ponieważ donosiła nam pałeczki chlebowe nie raz, nie dwa, ale aż trzy razy. Kiedy opuszczamy restaurację, bardziej toczę się, niż idę, i jestem pewna, że moje ciało składa się wyłącznie z wody i węglowodanów.

– Thom – mówię, zapinając pasy – mój żołądek rozszerza się w zastraszającym tempie. Możliwe, że zaraz wybuchnie razem z twoim samochodem.

– Jak Violet Beauregarde?

Śmieję się.

– Uwielbiam ten film. I książkę. O rany, moja przyjaciółka Jack ma dosłownie obsesję na jej punkcie. Na punkcie wszystkich książek Roalda Dahla. Szczególnie kocha *Wiedźmy*. Mówi, że niczego tak nie żałuje, jak tego, że urodziła się po śmierci Roalda Dahla.

– Możemy się domyślić, w jaki sposób ona użyłaby wehikułu czasu.

Znów się śmieję, chyba po raz setny tego wieczoru.

Dopiero kiedy Thom wyjeżdża na drogę, zaczyna mnie nurtować, dokąd jedziemy i która jest godzina. Spoglądam na zegarek. Dziesiąta, wydaje się jednak, że znacznie później. Mogłabym przysiąc, że postarzałam się w tej restauracji o cały rok.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

Thom zerka na mnie.

– Chyba z powrotem do hotelu?

– O. – Nie wiem, czemu nagle czuję się taka przybita. – Chcesz posiedzieć chwilę w lobby?

– Ee, tak. Jasne. Albo, wiesz, w twoim pokoju. Jeśli chcesz.

Nagle staję się czujna.

W moim pokoju?

Czy to jest to, co mi się wydaje? To, co sugerują wszystkie filmy dla nastolatków? A może Thom chce po prostu porozmawiać z dala od hałasu i tłumów? Nagle w mojej głowie rozbrzmiewa głos Jack: „Tash, nie bądź naiwna!”.

O Boże.

A więc nadszedł ten moment.

Udawałam, że nigdy nie nadejdzie.

Wiem, że powinnam coś powiedzieć.

Powinnam zareagować, zanim Thom zaparkuje, zanim wejdziemy do lobby, zanim znajdziemy się w windzie, zanim wcisnę szóstkę, zanim wysiadziemy na moim piętrze. Powinnam, ale do tej pory wszystko układało się tak wspaniale. Same dobre znaki i śmiech, nie chcę, żeby to się nagle skończyło.

Ale kiedy wyciągam z tylnej kieszeni kartę do pokoju, głos Jack powraca z pełną siłą. „Bądź fair. Powinien wiedzieć”.

Zastanawiam się, kiedy to pozwoliłam podświadomości przybrać głos mojej najlepszej przyjaciółki i prawić mi kazania na temat tożsamości seksualnej.

Oblizuję wargi i przygotowuję się, by zacząć mówić.

Tylko co mam powiedzieć, do cholery? Nie przećwiczyłam tego, w ogóle o tym nie myślałam. Jak tu zacząć? „Thom, a tak przy okazji...”?

– Thom, a tak przy okazji...

Za późno. Już się stało, nie da się tego cofnąć. Brnę więc dalej, stojąc pośrodku szóstego piętra naprzeciw Thoma, który ma dość niepewną minę.

– Yyy... Tak dla jasności, ja nie chcę...

Nie muszę mówić mu wszystkiego od razu. Mogłabym powiedzieć tylko, że nie chcę uprawiać seksu dzisiejszego wieczoru, to chyba zupełnie normalne w przypadku siedemnastolatki na pierwszej randce.

Ale to nie jest cała prawda. To niekomfortowa półprawda, a jeśli to, co łączy mnie z Thomem, ma trwać dłużej, wkrótce i tak będę musiała wyznać drugą nieprzyjemną połowę.

Za długo szukam odpowiednich słów. Twarz Thoma marszczy się w nieodpowiednich miejscach.

– Nie musimy... yyy, jeśli nie masz ochoty zapraszać mnie do pokoju, to nie musimy – mówi.

Kiwam głową. Potrząsam nią.

– Nie, powinienes wejść. Ale muszę ci o czymś powiedzieć.

Nie do końca chcę, żeby wszedł, ale nie mogę ciągnąć tej rozmowy w korytarzu, gdzie w każdej chwili ktoś może wyjrzeć czy przechodzić. Mijam Thoma i kilkoro drzwi, aż docieram do swoich. Wsuwam kartę w szczelinę, popycham drzwi i włączam wszystkie światła w zasięgu ręki. Wzrok natychmiast pada na łóżko. Nie możemy na nim usiąść. Ale prócz łóżka jest tylko krzesło przy biurku, więc prędko ruszam w jego stronę. Wiem, że to przeze mnie atmosfera robi się nerwowa. Zrujnowałam idealny wieczór, a jeszcze wszystkiego nie powiedziałam.

Szykuję się, by otworzyć usta, nawlec na nitkę zdania, które wydają się beznadziejne, ale muszą wystarczyć. Thom mnie uprzedza.

– Tash – mówi. Moje imię znów brzmi jak „też”. – Jeśli martwisz się, że zrobię coś... nie musimy. Świetnie się z tobą bawiłem, pomyślałem, że moglibyśmy zostać sami.

– Jasne – mówię. – Nie, w porządku. Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Uważam, że to ważne i powinienes wiedzieć.

– Dobrze – mówi powoli Thom. – Trochę mnie przerażasz.

– Przepraszam. – Moja krew zaczyna wrzeć. – Jestem idiotką, nie przemyślałam, jak ci to wyjaśnić. A więc... A więc chodzi o to... że ja nie lubię seksu. W ogóle. To znaczy nie chcę uprawiać seksu z facetami. Czy dziewczynami. Nikt nie budzi we mnie takich pragnień. I jestem w pełni świadoma, że to może być dla ciebie istotna informacja, ponieważ, yyy, seks jest bardzo ważny dla większości ludzi. Nie poruszałam tego tematu, kiedy do siebie pisaliśmy, ponieważ nie wiedziałam, w jakim to zmierza kierunku. Ale teraz... No, to teraz już wiesz.

Niemożliwe, żeby ta chwila stanowiła część mojego życia. Jestem postacią w filmie wyprodukowanym dla telewizji, właśnie odczytałam fragment koszmarne słabego scenariusza. Jestem parodią samej siebie.

Thom patrzy na mnie z taką miną, jakbym właśnie chlasnęła go po twarzy. Nie

mam pretensji. Wiem, że czegoś podobnego na pewno się nie spodziewał. Czuję się jak podróba, fałszywa wersja Tash Zelenki. Ale jak inaczej mogłam to powiedzieć? Nawet w tym momencie nie widzę innego rozwiązania.

– Zaraz, co? – Thom wciąż stoi bez ruchu obok łóżka. – Przepraszam, czy właśnie powiedziałaś, że ci się nie podobam?

– Nie. W ogóle tego nie powiedziałam. Bardzo mi się podobasz. To nie jest nic osobistego... Nikt nie pociąga mnie w ten sposób. Seksualny, znaczy. To na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewne, że jestem aseksualna.

Ostatnie zdanie rzucam lekko, od niechcenia. Naprawdę nie wiem, jak inaczej uczynić tę rozmowę mniej żenującą.

– Nikt cię nie pociąga? – powtarza Thom. – Na vlogu ciągle gadasz o swoich fascynacjach. Pan Tilney, pan Darcy...

Potrząsam głową.

– To coś innego. Owszem, fascynuję się nimi. Ich osobowościami i wyglądem, w sensie estetycznym.

– Tylko... obiektywnie. Jak dziełami sztuki. – W głosie Thoma słychać twarde tony. I niedowierzanie.

– No, niedokładnie. Chodzi o to, że nie fantazjuję na ich temat ani nic takiego. Nie marzę, by zerwali ze mnie gorset.

Wciąż usiłuję nadać tej rozmowie beztroski charakter, ocalić wszystkie dobre rzeczy, które wydarzyły się wcześniej tego wieczoru. Ale potrafię odczytać wyraz twarzy Thoma i wiem, że próżne moje wysiłki. On nie rozumie.

– Jesteś aseksualna? – mówi. – Masz siedemnaście lat. W tym wieku nikt nie wie takich rzeczy. Bez obrazy, Tash, ale może po prostu boisz się seksu? Albo nie chcesz na razie próbować? W porządku, ale ciężko mi uwierzyć...

– C-co ma do rzeczy mój wiek? – wyrzucam z siebie. – Wiem, czego chcę, a czego nie. Nigdy nie chciałam uprawiać seksu. Nigdy. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego jest we wszystkich książkach i serialach. Nigdy nie mogłam pojąć, skąd ten szum wokół porno. Nie będę płakać, jeśli żaden chłopak nie zdejmie dla mnie koszulki. Nie boję się, po prostu tego nie chcę.

Thom kręci głową.

– Określasz się jako osoba aseksualna, bo co? Tak wynika z tego, co przeczytałaś w internecie? Przed epoką internetu nikt nigdy nie twierdził, że jest aseksualny.

Robi mi się gorąco. Już nie zamierzam próbować rozluźnić nastroju. Dostyc nieśmiały tłumaczeń.

– Co ty wygadujesz? Uważasz, że coś wymyśliłam? Że cię okłamuję?

– Nie wiem. Uważam, że może boisz się tego, dokąd to zmierza. A może jesteś dezorientowana. Ale nie możesz twierdzić, że jesteś aseksualna, skoro podobają ci się faceci. To niemożliwe. Żaden facet by się z tym nie zgodził. Albo jedno, albo drugie, nie możesz mieć wszystkiego naraz.

Teraz to ja nie mogę uwierzyć.

– Nie potrzebuję, żeby jakiś facet mówił mi, czy to, co czuję, jest prawdziwe. Tobie powiedziałam tylko dlatego, że chciałam być uczciwa. Nie potrzebuję twojej opinii, czy

moje emocje są dozwolone czy nie.

Thom jęczy.

– O Boże, błagam, tylko nie zmieniaj tej rozmowy w feministyczną tyradę. Tak dobrze się bawiliśmy. Jeśli niechcący cię wystraszyłem albo jeśli zmieniłaś zdanie, mogłaś po prostu powiedzieć.

– Dlaczego spóźniłaś się na nasze spotkanie?

Jestem totalnie zaszokowana własnym pytaniem. Jego gwałtownością. Rozcina powietrze między mną i Tomem, domaga się odpowiedzi.

– Co?

Tym razem pytam na zimno:

– Dlaczego się spóźniłaś? Byliśmy umówieni na dwunastą. A potem nawet nie usłyszałam słowa wyjaśnienia. Lot ci się opóźnił?

Thom powoli kręci głową.

– Nie. Coś... mi wypadło. Spotkałem kilku facetów, których poznałem w zeszłym roku, akurat wybierali się coś zjeść. Próbowałem zmyć się najszybciej, jak tylko się dało. Ale to właściwie nie powinno cię interesować.

– A więc nawiązywałaś kontakty. To było ważniejsze niż dotrzymanie umowy.

– Wow, Tash. Jak melodramatycznie. To nie była umowa, tylko luźny plan.

– Jasne. Byłam twoim luźnym planem.

– Wiesz co? Niech będzie. Tak, chyba właśnie tak.

Idzie do wyjścia, a ja nie mogę się ruszyć. Jestem jak z kamienia i moje krzesło też. Stopiliśmy się w nieruchomy posąg.

Thom przekręca klamkę.

– Wychodzę. Bo najwyraźniej właśnie tego sobie życzysz.

Mogłabym za nim pobiec. Mogłabym go nawet pocałować. Mogłabym spróbować, jak z Justinem Rhanem. Ale nie zrobiłabym tego dla siebie, tylko dla niego, a nie mam ochoty wykazywać się aż takim altruizmem.

Poza tym przecież jestem szczepiona z krzesłem.

Siedzę tak, unieruchomiona, jeszcze bardzo, bardzo długo. Długo po tym, jak Thom zamknął drzwi. Wystarczająco długo, żeby dostać zakrzepicy. Wystarczająco długo, żeby rozpaść się na kawałki i rozłożyć. Wstaję, dopiero kiedy w gardle zaczyna mnie drapać z pragnienia. Zdzieram folię z plastikowego kubeczka, których stos wznosi się obok ekspresu do kawy, i napełniam go wodą z kranu. Wypijam trzy kubki, ale ciągle chce mi się pić. Wyciągam portmonetkę z torebki i wychodzę. Przypomina mi się, że widziałam automat z napojami we wnęce z maszyną do lodu, i kieruję się w tamtą stronę. Może moje ciało potrzebuje cukru i bąbelków.

Po przestudiowaniu możliwości karmię maszynę dwoma banknotami dwudolarowymi i odchodzę z butelką coli light i pięćdziesięcioma centami reszty. Jestem już przy drzwiach, szukam klucza, gdy ktoś woła mnie po imieniu. Odwracam się, a to George Connor we własnej osobie. Stoi dwoje drzwi dalej, w dłoni trzyma kartę.

– Hej – mówi, pokazując na dzielącą nas przestrzeń. – Co za przypadek.

Sztywno kiwam głową.

– Aha.

Co on nagle taki rozmowny?

George marszczy brwi i podchodzi bliżej.

– Wszystko w porządku?

Głośno pociągam nosem, pocieram w dłoni dwie ćwierćdolarówki.

– Jasne.

– Wyglądasz, jakbyś płakała.

Co on nagle taki troskliwy?

– Chyba tak.

– Yy, wszystko w porządku?

Ponieważ dzisiejszego wieczoru jestem tak niesamowicie szczerą i uczciwą, odpowiadam:

– Nie.

George chowa kartę do kieszeni i podchodzi bliżej. Patrzy na mnie bardzo uważnie, jakbym na jego oczach przechodziła mutację genetyczną.

– Co się dzieje?

Próbuję wymyślić odpowiedź, która na pewno go przepłoszy. Staje na:

– Pewien facet był dla mnie niemiły.

George nawet nie drgnie. Uprzejmie mówi:

– Faceci są beznadziejni.

Wybucham tym paskudnym śmiechopłaczem, a George dodaje:

– Może usiądziesz, dziwnie wyglądasz.

I siadam pod drzwiami pokoju, a George zajmuje miejsce obok mnie.

Po chwili pytam:

– Jak myślisz, co jest ważniejsze: być uczciwym czy szczęśliwym?

– Uczciwym – odpowiada bez wahania. Jakby przez całe życie przygotowywał się na tę egzystencjalną rozmowę.

– Dlaczego?

– Taka jest moja filozofia jako artysty: przede wszystkim uczciwość. Nawet jeśli inni cię za to nienawidzą, musisz pozostać uczciwym aktorem. Poważnym, oddanym i autentycznym. Szczęście do tej mieszanki nie pasuje.

Czuję się tak, jakbym zaraz miała roześmiać mu się w twarz.

– Ale z ciebie dupka – mówię, chociaż w tym momencie jest dla mnie miły jak jeszcze nigdy dotąd.

– Wiem. Ale to koszt bycia dobrym artystą. Poświęcenie i uczciwość nieodwołalnie oznaczają, że trudno z tobą wytrzymać. Że wzbudzasz niechęć u wielu osób.

– Kto tak twierdzi?

– Spójrz tylko na tych największych: Marlon Brando, Dustin Hoffmann, James Dean.

– Kubrick – dorzucam z namysłem. – Coppola.

– Przypuszczam, że większość największych artystów to dupki.

– Nie należy spotykać swoich bohaterów – mówię cicho.

– No, czyli rozumiesz.

Próbuję pominąć fakt, że George praktycznie porównał się do Jamesa Deana,

i odpowiadam:

– Chyba tak.

– Widzę to po twoim sposobie reżyserowania.

– Czekaj. Uważasz, że ja też jestem dupkiem?

– Nie, widzę, że potrafisz się poświęcać. Ale za bardzo się przejmujesz cudzymi uczuciami. *Nieszczęśliwe rodziny* to świetna rzecz, ale byłaby jeszcze lepsza, gdybyś ty była gorszą osobą. No wiesz, zaczęła zdjęcia o wyznaczonej godzinie, zamiast czekać, aż wszyscy raczą się zjawić. Powtarzała ujęcie, nawet kiedy widzisz, że jesteśmy zmęczeni. Jesteś zbyt miękka.

Rzucam George'owi długie rozbawione spojrzenie.

– Nie potrafię powiedzieć, czy jesteś w tym momencie miły czy złośliwy.

– Jestem uczciwy.

– Widzisz, przez cały czas myślałam, że jesteś po prostu bezmyślnym palantem, a okazuje się, że jednak kierujesz się konkretną filozofią.

– Pomyśl tylko. Zatrzymałaś mnie, chociaż zachowywałem się jak palant i nikt nie mógł się ze mną dogadać.

– No.

– Ponieważ jestem dobrym aktorem.

– Aha.

– A więc filozofia się sprawdziła.

Nie mogę z tym dyskutować. Odkręcam colę i biorę porządny łyk.

– A więc, odpowiadając na twoje pytanie – ciągnie George – lepiej być uczciwym niż szczęśliwym. Bo nawet jeśli początkowo jesteś szczęśliwa, to i tak w końcu będziesz musiała być wobec siebie uczciwa.

– Czy to znaczy, że z kolei ci uczciwi na koniec będą szczęśliwi?

– To nie działa w ten sposób.

– Buu.

Po chwili George dodaje:

– A gdzie się w ogóle podziewałaś dziś wieczorem? Myślałem, że będziesz na kolacji. Zaklepałem ci miejsce przy stole.

Z zaskoczeniem unoszę głowę.

– Sądziłam, że będziesz zajęty nawiązywaniem kontaktów z ważnymi osobami.

– Owszem, ale chciałem również siedzieć obok kobiety, bez której moja ścieżka kariery nie wyglądałaby tak jak teraz.

– Ee... A co z gadką o kompleksie niższości?

– Nie wiem, jestem dzisiaj w łaskawym nastroju. Dostałem numery telefonów od czterech fanek Kevina.

Spoglądam na niego. Nawet nie próbuję ukryć podziwu i zdumienia.

– Jesteś w porządku, George – mówię.

– Gówno prawda – odpowiada, po czym chwyta moją colę i zrywa się na równe nogi.

Patrzę z niedowierzaniem, jak jednym haustem wypija wszystko, co zostało. Podaje mi pustą butelkę.

- Wynagrodzenie za mądre rady.
- Dobranoc, George.
- Mhm. Do jutra. Wybierasz się na spotkanie z Taylor Mears?
Patrzę mu prosto w oczy i mówię:
- Nie należy spotykać swoich bohaterów.

Póki jeszcze jestem uczciwa, powinnam powiedzieć wam kilka rzeczy na temat mojego Lwa. Kilka niezbyt imponujących rzeczy. Chociaż wolę udawać, że było inaczej, Lew nie należał do ideałów. A więc oto jak wygląda prawda – cała prawda – na temat Tołstoja:

Miał bardzo burzliwe małżeństwo. Jego żona, Zofia, pochodziła z tej samej warstwy społecznej co on – rosyjskiej arystokracji. Podobno zakochali się w sobie do szaleństwa, mimo znacznej różnicy wieku (Lew był o szesnaście lat starszy). Płonęli z namiętności, nie mogli się od siebie oderwać. A kiedy nie zajmowali się namiętnym okazywaniem sobie uczuć, Zofia przepisywała i redagowała rękopisy Lwa, on zaś pilnie wysłuchiwał jej uwag. Ale czas mijał. Zofia urodziła trzynaścioro dzieci – naprawdę, trzynaścioro. Lew zaczął wyznawać bardzo radykalne poglądy na temat pieniędzy i struktury społecznej, z którymi Zofia się nie zgadzała. W małżeństwie pojawiły się zazdrość, podejrzenia i nieskrywana niechęć. Typowy splot miłości i nienawiści, toksyczna relacja, która trwała pięćdziesiąt lat. Tworzyli rodzinę nieszczęśliwą jak żadna inna. Większość ludzi twierdzi, że Lew traktował Zofię bardzo niesprawiedliwie, na koniec porzucił ją, by pozostać wierny nowym ideałom. A wkrótce potem zmarł.

Wiem, to znacznie mniej różowy obrazek niż ten, który zwykle maluję, ale jest zgodny z rzeczywistością. Prawda wygląda tak, że z Lwa byłby fatalny chłopak. Związek między nami nie miałby szans, nie tylko z powodu wiadomych trudności czy niechęci ze strony mojego taty. Gdybym spotkała mojego bohatera, czekałoby mnie okropne rozczarowanie. Mniej więcej takie, jakie przeżywam teraz, po spotkaniu z Thomem Causerem.

Przez całą noc przykrywam się i odkrywam, naciągam kołdrę i ją odrzucam. Mój umysł nie chce się wyłączyć. Zbyt wiele myśli tłoczy się na stacji, zbyt wiele pociągów odjeżdża w zbyt wielu różnych kierunkach. Chciałabym, żeby inżynierowie mojego mózgu wreszcie zastrajkowali.

Wciąż zadaję sobie pytanie, czy mogłam to rozegrać w inny sposób, inaczej to ująć. Ten tor jest wyjątkowo niebezpieczny, ponieważ oczywiście mogłam to zrobić inaczej, mogłam zmienić wiele drobnych elementów, od użytych przyimków po długość pauz między słowami. Problem polega na tym, że nie wiem, czy te zmiany przyniosłyby jakikolwiek skutek.

Przez wiele miesięcy to, co łączyło mnie z Thomem, było czystym potencjałem, powolną wspinaczką na szczyt Wielkiego Nieznanego. A teraz nieznanne objawiło swoją twarz, która okazała się brzydka i rozczarowująca. Wszystko po to, żeby Thom i tak nie zrozumiał. Żeby mi powiedział, że jestem zdezorientowana. Wiem, że zarzuciłam go informacjami, ale wiem też, że nawet gdybyśmy próbowali dłużej o tym rozmawiać, sprawy nie mogłyby wrócić do poprzedniego stanu.

Okolo piątej wreszcie zasypiam. Budzik dzwoni o siódmej. Panele zaczynają się o ósmej. Rozważam, czy pospać jeszcze pół godziny czy zwlec się z łóżka na śniadanie kontynentalne. Wybieram jedzenie. Po drodze pukam do drzwi George'a, lecz nie odpowiada. Trochę to żałosne, ale jestem przerażona, że na dole spotkam Thoma, a nie

chciałabym być wtedy sama. Czułabym się tak, jakbym krzyczała z daleka: „Hej, nie dość, że jestem aseksualna, to jeszcze nie mam żadnych znajomych!”.

Na szczęście nie spotykam Thoma na śniadaniu ani na żadnym z porannych paneli. Wczoraj, kiedy nie miałam co robić, zanotowałam ręcznie rozkład dnia. W planie jest niekończący się szereg dyskusji noszących tytuły w rodzaju *Metamedia*, *Vlogi komediowe* czy *Autokreacja w sieci*, pomiędzy którymi przewidziano jedynie dziesięćminutowe przerwy. Rezygnuję z wycieczek do toalety na rzecz zaklepywania dobrego miejsca i kiedy zbliża się przerwa na lunch, mój pęcherz niemal pęka. Wychodząc z łazienki, dostrzegam zmierzwiony czubek głowy Thoma i czym prędzej wycofuję się za drzwi wahadłowe, o mało nie masakrując jakiejś dziewczyny. Rzucam słabe przeprosiny i w zamian spodziewam się morderczego spojrzenia. Tymczasem słyszę:

– O rany. *Herbatka z Tash?*

Mrugam jak idiotka. Dziewczyna jest mniej więcej w moim wieku i ma gigantyczną kokardkę w groszki przyczepioną dokładnie na czubku głowy. Przywołuję na twarz uśmiech, pewnie dosyć głupkowaty, i odpowiadam:

– Yyy, tak, to ja.

– O rany, uwielbiam twój vlog! – Dziewczyna usuwa się z drogi grupce wychodzących kobiet, a ja idę w jej ślady. – Byłam załamana, kiedy ogłosiłaś przerwę. To znaczy kocham *Nieszczęśliwe rodziny*, tak jak wszyscy, ale twój vlog był cudowny. I zgadzam się z tobą: Wentworth jest najseksowniejszym ze wszystkich facetów w książkach Jane Austen.

Tylko kiwam głową. Ze szczęścia zaniemówiłam.

– Powinnaś pomyśleć o gadżetach. Chętnie kupiłabym kubek do kawy z logo *Herbatki*.

– T-taak, to dobry pomysł.

Dziewczyna poprawia kwadratowe hipsterskie okulary i entuzjastycznie kiwa głową. Napis na jej T-shircie głosi „Hufflepuff rządzi”.

– No! – świergocze. – Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć. A, właśnie! Mogę zrobić sobie z tobą selfie?

– C-co? Mhm.

Odpowiadam trochę nieskładnie, ale widocznie mój obłąkańczy uśmiech stanowi wystarczającą zgodę. Dziewczyna wyciąga telefon i stuka w wyświetlacz, by przestawić aparat na tryb selfie. Marszczy nos i mówi:

– Może wyjdziemy na korytarz? Widać, że stoimy w łazience.

Tak więc wychodzimy i ustawiamy się na tle plakatu ze Złotymi Tubami.

– Idealnie – stwierdza po trzecim podejściu. – Wielkie dzięki.

– To ja tobie dziękuję – odpowiadam, wciąż nieco oszołomiona. – Serio, dzięki, że powiedziałaś, że podoba ci się to, co robię. To wiele dla mnie znaczy.

– No jasne! – mówi śpiewnie, entuzjastycznie machając mi na pożegnanie. – Kevin na zawsze!

Na co odwracają się dwie inne przechodzące dziewczyny. Jedna bez skrępowania wbija wzrok w mój identyfikator, po czym wykrzykuje:

– Ja nie mogę! *Nieszczęśliwe rodziny?*

Przytakuję. Czuję się jak uzurpatorka, jakby pomyłono mnie z Meryl Streep, a ja nie sprostowałam pomyłki. Obie dziewczyny wydają niezidentyfikowany pisk i po chwili pozują do kolejnego selfie.

– Lewin też przyjechał – informuję. – Powinien gdzieś tu być.

Opada im szczęka. Jedna dziewczyna pyta:

– GDZIE?

– Yyy, nie wiem. Wybacz.

Rzucają się biegiem przed siebie, jakby odpowiednia prędkość mogła im pomóc wyśledzić George’a Connora.

Dostaję poważnych palpacji. Fanki. To były prawdziwe fanki, potraktowały mnie jak sławę. Robiły sobie ze mną selfie. Na pewno wołałyby selfie z George’em, ale i tak się tego nie spodziewałam. Nie wiem, czy to znaczy, że jestem skromna czy głupia.

Kiedy przeciskam się przez tłum na korytarzu, nagle doznaję olśnienia: ta pierwsza dziewczyna знаła moje imię i wypowiedziała je poprawnie! Tash jak „posh”. Zawsze przedstawiam się na początku każdego filmiku. A więc to nie tak, że Thom nie wiedział, jak się wypowiada moje imię – widocznie po prostu mu nie zależało. Z jakiegoś powodu ten fakt wkurza mnie najbardziej ze wszystkich rzeczy, które wydarzyły się poprzedniego wieczoru.

Odrzucam gniew. Nie pozwolę, by jakiś chłopak zepsuł mi rozdanie Złotych Tub. Skupię się na tych dwóch wspaniałych selfie. Jasne, pewnie są tu też osoby niecierpiące *Nieszczęśliwych rodzin*. Kto wie, może po tych korytarzach chodzi nawet sama silverspunnnx23? Ale to nie ma znaczenia. Ważne, że bez wątplenia są tu fani, wspaniali fani, a nie mogłam tego powiedzieć ledwo rok temu, kiedy *Nieszczęśliwe rodziny* istniały jedynie w sferze marzeń moich i Jack.

Na lunch sprzedają kanapki po pięć dolarów, ale nie zostało nic w wersji wegetariańskiej, więc wybieram improwizowany posiłek z automatu złożony z batonika z granolą, cukierków owocowych, chipsów o smaku barbecue i fanty. Zabieram łup do pokoju i raczę się królewską ucztą na królewskim łożu. Zdaję sobie sprawę, że gdybym była prawdziwą profesjonalistką, stałabym teraz na dole zajęta networkingiem – cokolwiek znaczy to koszmarne określenie. Ale po raz pierwszy w życiu nie czuję się profesjonalna.

Sprawdzam telefon. Nie wiem, dlaczego spodziewam się tam znaleźć esemesy od Paula i Jack. Jest tylko wiadomość od George’a.

Pójdziemy razem na rozdanie? Moglibyśmy się spotkać ok. 6:30.

Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę chciała się wystroić i gdziekolwiek wybrać w towarzystwie George’a Connora, lecz jego pytanie wywołuje u mnie przyjemne ciepło. Jasne, że chcę. Aż do dzisiaj nie myślałam, jak niezręcznie bym się czuła, gdybym musiała pójść tam sama.

Z drugiej strony aż do dzisiaj zakładałam, że zjawię się na ceremonii u boku Thoma. Raczej nie zrobię kariery jako wróżka.

Odpisuję: *W sumie byłoby świetnie.*

Po namyśle skreślam „w sumie”.

Spotykamy się przy windach.

Kiedy zjeżdżamy, George mierzy wzrokiem moją koktajlową sukienkę w szafirowym kolorze i stwierdza:

– Bardzo ładnie wyglądasz.

Ignoruję ton zaskoczenia w jego głosie.

– Wy też, Konstanty Dmitriczu Lewinie – odpowiadam, celując palcem wskazującym w jego czarny garnitur i krawat.

Po wyjściu z windy chwytam George’a za rękaw i ciągnę pod ścianę.

– Musimy to udokumentować, zanim porwą cię szalone fanki – mówię, wyciągając telefon.

Robię kilka zdjęć i oglądam je z zadowoleniem.

– Teraz mam niezbity dowód, że cię znałam.

– Wzajemnie – mówi George bez cienia sarkazmu.

Sala balowa C zwana również Tubą przeszła znaczną przemianę. Stoliki znikły, a krzesła ustawiono w długich rzędach zwróconych w stronę sceny umieszczonej na podwyższeniu. Światła są przytłumione, z głośników płynie muzyka. W drzwiach człowiek z obsługi sprawdza nasze zaproszenia, zapisuje nazwiska i każe wybrać miejsca. Siadamy obok siebie na końcu piątego rzędu.

Ponieważ zostało jeszcze trochę czasu, idę do łazienki. W korytarzu stoi Thom, głośno rozmawia z Chrisem Marano, członkiem ekipy Taylor Mears. Dostrzega mnie w chwili, w której chyba właśnie dociera do sedna swojej wypowiedzi. Milknie, a mnie ogarnia idiotyczna obawa, że zostawi Chrisa i podejdzie. Żeby przeprosić. Albo powiedzieć coś obraźliwego, jak: „Chyba ktoś musiał przyjść sam na ceremonię”.

Ale nie robi żadnej z tych rzeczy, ponieważ to jest prawdziwe życie, a nie film. Kieruje spojrzenie z powrotem na Chrisa i mówi dalej, z jeszcze większym entuzjazmem. I wtedy wiem: to koniec. To koniec trwającej kilka miesięcy przygody, rozwlekłych maili, flirciarskich wiadomości, niepewności i nierealnych oczekiwań.

W eleganckiej przebieralni koło łazienki wyciągam telefon i kasuję cały wątek wiadomości wymienionych z Thomem Causerem. Już mam schować telefon, gdy przychodzi esemes od mamy.

Najpierw słowa: *Poznaj młode.*

Kilka sekund później pojawia się obrazek.

Zdjęcia z ultrasonografu.

Nic nie widzę. Poważnie. Niekształtna bańka na wyświetlaczu w niczym nie przypomina ludzkiej istoty. Chciałabym, żeby rodzice tu byli, żeby wyjaśnili mi, gdzie jest głowa, nos, ręce. Płęć, której sami nie znają. Postanowili, że nie chcą wcześniej wiedzieć.

Kolejny esemes: *Przepraszam, że tak długo! Wiesz, że nie radzę sobie z technologią. Musiałam poprosić Klaudie o pomoc (:*

A potem: *Mam nadzieję, że to będzie wspaniały wieczór! Jesteśmy z ciebie dumni.*

Akurat piszę odpowiedź, gdy pojawia się jeszcze jeden esemes: *Właśnie dostałam wieści od Harlowów. Tak mi przykro, kochanie.*

Zastygam.

Wieści od Harlowów? Jakie wieści?

Rak, myślę.

To słowo przebija najmniejsze obszary mojego mózgu, wysyła ciarki wzdłuż całego ciała.

Pan Harlow ma raka. Na pewno o to chodzi. Ale Jack i Paul nic nie mówili.

No jasne, że nie. Ponieważ nie rozmawiamy.

Padam na kanapę i nie wiem, czy będę miała siłę się podnieść. Dzwonię do mamy.

– Tasha? – Odbiera po drugim sygnale. Ma zatroskany głos. – Nie jesteś na ceremonii?

– Nie. Znaczący jestem, ale... Mamo, co się dzieje u Harlowów?

– Och. Myślałam, że Jack ci powiedziała. Nie?

– Nie. Mamo, co się dzieje?!

Zapada długa cisza, przez ten czas łzy zbierają się pod moimi powiekami.

– Zrobił badania u onkologa – mówi wreszcie mama. – Rak wrócił. Rozszerzył się. Jest... jest bardzo źle.

Łzy płyną mi po twarzy. Udaję, że nie dostrzegam pełnych troski spojrzeń, które rzucają mi wchodzące i wychodzące kobiety.

– Tasha?

– Muszę iść, mamo – mówię szeptem.

Rozłączam się. Zamykam oczy. Zza ściany dochodzi chórek z *Fireworks* Katy Perry, a potem stłumiony męski głos dobiegający z głośników. Zaczynają się Złote Tuby. Ocieram spływające po policzkach łzy, potem kolejne.

Powinam wrócić na salę. Zmuszam się do ruchu. Mijam korytarz w dziwnym otumanieniu, pokazuję zaproszenie facetowi przy drzwiach i wślizguję się do ciemnego pomieszczenia. Na wielkim ekranie leci film. Zmontowane najważniejsze momenty z tegorocznych seriali internetowych przy akompaniamencie skocznej melodii. Nagle na ekranie pokazują się twarze George'a i Ewy. Pocałunek z odcinka ze scrablami. Publiczność przez cały czas wiwatuje i nagradza okrzykami każdy fragment, ale ten szczególnie głośno i entuzjastycznie. Ogłuszona i zdezorientowana, dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, że to nasze dzieło. Nasze – moje i Jack.

Jack.

Powinna tutaj być. Jest twórczynią i autorką tej opowieści w takim samym stopniu jak ja. Tak samo jak ja odpowiada za *Nieszczęśliwe rodziny*. Nagle z całą mocą uderza mnie myśl, jakie to absurdalne, że nie ma jej tu obok mnie. Jak to możliwe, że mogłam przystać na coś takiego?

Jeśli dostaniemy nagrodę w kategorii Najlepszy Nowy Serial, powinna być tutaj cała ekipa. Chciałabym mieć obok siebie Jack i Paula, a nawet Klaudie – wszyscy oni powinni stanąć na tej scenie. To nie będzie właściwe, jeśli wygramy, a nagrodę odbierze tylko nas dwoje, George i ja. To będzie jak zdrada.

Film się kończy, włączają się reflektory na scenie. Do ustawionego na środku mikrofonu podchodzi Taylor Mears. Rozpoczyna przemowę, ale słowa do mnie nie docierają.

Nie mogę tutaj być.

Ta myśl odbiera mi powietrze. Opuszczam widownię, popycham drzwi do sali

balowej. Muszę być w Lexington, z Jack i Paulem. Muszę natychmiast się tam znaleźć.

Wracam do pokoju i zaczynam wrzucać rzeczy do walizki, wpycham je niedbale, mokrą szczoteczkę do zębów wkładam do kosmetyczki. Jeszcze raz dzwonię do mamy.

– Wracam do domu – oznajmiam. – Kupię bilet na najbliższy lot.

– Kochanie. – Mama wydaje się niezwykle spokojna, biorąc pod uwagę mój stan chwilowej niepoczytalności. – Wiem, co czujesz, ale Jack i Paul na pewno rozumieją. Czy jeden dzień czyni taką wielką różnicę?

W głowie pojawia się wspomnienie Jack siedzącej w moim pokoju, wyraźne i oślepiająco jaskrawe: „Bierzesz nas za pewnik”.

– Tak – odpowiadam. – Czyni.

– Nie możesz wymienić biletu, Tasho. Będziesz musiała zapłacić za nowy...

– Wiem, mam. Po prostu... muszę to zrobić.

Cisza gęstnieje. Stoję przy drzwiach, z jedną ręką na rączce od walizki, gotowa do wyjścia.

Wtedy mama mówi:

– Uważaj na siebie. Zadzwoni, jak tylko coś ustalisz. Przyjadę po ciebie na lotnisko.

Drapie mnie w gardle. Z westchnieniem wypuszczam powietrze.

– Dzięki, mam.

Wiem, że tego wieczoru pewnie będzie musiała zrobić mnóstwo medytacji oddechowych, zanim pogodzi się z obecnym stanem rzeczy, ale w tym momencie czuję do niej po prostu ogromną wdzięczność.

Wymeldowuję się, wymijająco odpowiadając na pełne troski pytania zbyt pomocnej obsługi. Nie mam czasu czekać na autobus, biorę taksówkę. W drodze wysyłam esemes do George'a: *Bardzo przepraszam. Sytuacja awaryjna. Twoje przemówienie i tak na pewno jest znacznie lepsze niż moje.*

Nie piszę, że dręczą mnie jego słowa z poprzedniego wieczoru.

Według George'a jeśli chcesz być dobrym artystą, musisz wiele poświęcić – w tym uczucia bliskich ci osób. George powiedział, że jestem dobrą reżyserką, ale podkreślił, że wiele razy niepotrzebnie odpuszczałam – nie byłam wystarczająco bezwzględna i uczciwa. W tym momencie przeraża mnie myśl, że George Connor, gwiazda numer jeden, uważa, że jestem dobra w tym, co robię. Ponieważ znaczy to, że ja też jestem zbyt bezwzględna, zbyt uczciwa, zbyt egocentryczna.

Czy właśnie to się ze mną stało? Czy naprawdę tak pochłonęły mnie sława i szum wokół *Nieszczęśliwych rodzin*, że nawet nie pomyślałam, jaki to absurd pojechać do Orlando bez Jack?

Docieram na lotnisko z mętlikiem w głowie i pełna poczucia winy, ale jakimś sposobem udaje mi się ułożyć plan działania i kupić bilet na najbliższy lot do domu – liniami Delta do Atlanty, za niecałą godzinę, plus przesiadka późno w nocy do Lexington. Nie przejmuję się, że właśnie wydałam resztki oszczędności. Myślę tylko: do domu, do domu.

W Atlancie siadam wygodnie przy bramce i sprawdzam telefon. Zdażyłam powiadomić mamę o przebiegu sytuacji. Przysłała esemes, by się upewnić, że jestem bezpieczna i nie rozmawiam z nieznajomymi.

Jest też esemes od George'a: *Okej. Nie szkodzi, nie wygraliśmy.*

Nawet nie próbuję przetrwać tej informacji. Chyba straciłam do tego prawo.

Nie napisałam do Paula czy Jack. Nie zadzwoniłam. Ponieważ to nie wystarczy. Zasłużyli na więcej. Zasłużyli na mnie, we własnej osobie. Muszę udowodnić, że nie biorę ich za pewnik.

Nie mogę doczekać się lądowania.

Mama czeka na mnie przy biurze bagażu zagubionego. Jest po północy, księżyc nie rozświetla nieba i w samochodzie panują gęste ciemności. Dziękuję jej co najmniej pięć razy, ale i tak sądzę, że to za mało. Wypytyuję o szczegóły w sprawie pana Harlowa, ona jednak nic nie wie. Pyta, czy *Nieszczęśliwe rodziny* wygrały, odpowiadam, że nie, spokojnym bezbarwnym głosem, który powstrzymuje wszelkie dalsze pytania. Proszę, by wyrzuciła mnie pod domem Harlowów, chociaż wiem, że nie muszę tego mówić.

Na podjeździe stoją oba samochody. Kieruję się od razu do tylnego wejścia od patio. Walcząc z klamką, uświadamiam sobie, że drzwi są zamknięte na klucz, a w pomieszczeniach na dole panują ciemności. Postanawiam pobiec do drzwi frontowych i zapukać, pukać tak długo, jak to będzie konieczne, ale w ostatniej chwili spostrzegam, że pokój rozrywki nie jest całkiem ciemny. Rozświetla go nikły sinofioletowy blask telewizora. Przysuwam się bliżej do szyby. Paul siedzi na podłodze, porusza na boki gamepadem.

Pukam w szybę, najpierw nieśmiało, bo czy mam prawo przeszkadzać Paulowi, po tym jak go potraktowałam ostatnim razem, kiedy byliśmy w tym pokoju? Ale po chwili niepowstrzymane pragnienie, by jak najszybciej znaleźć się przy nim i Jack wygrywa ze wstydem. Teraz bębnię z całych sił. Paul, zaalarmowany, rzuca gamepada i podbiega do drzwi.

Gdy tylko je odsuwa, zarzucam mu ramiona na szyję. Chcę zapomnieć o wszystkim, co się między nami zdarzyło, chociaż na tę chwilę. Mocno go obejmuję, ponieważ tak podpowiada mi instynkt i jest to jedyna rzecz, która wydaje mi się słuszna. Ramiona Paula natychmiast otaczają moje plecy, twarz przyciska się do mojej szyi. Słyszę, jak zduszonym szeptem mówi tuż przy moim uchu:

– Kurwa, Tash.

I nagle stwierdzam, że czegoś brakuje. Macam wzdłuż górnej części jego pleców, szukając miękkiego kucyka.

– Paul – mówię, odsuwając się. – Coś ty zrobił z włosami?

– Obciął i przekazał fundacji dla chorych na raka. Ponieważ jest idiotą.

Widzę ponad ramieniem Paula Jack stojącą na schodach. Ramiona trzyma ciasno splecione na piersi.

– Co ty tu robisz? – pyta.

– Wróciłam wcześniejszym lotem – mówię, niepewna, czy o taką odpowiedź jej chodziło.

– Tylko bez obściskiwania – ostrzega, kiedy podchodzę bliżej.

Zatrzymuję się więc w połowie drogi i skręcam w stronę sofy. Siadamy na niej w trójkę i gapimy się bezmyślnie na ekran z zatrzymaną grą *Call of Duty*. Po chwili Paul włącza lampkę na stoliku i wyłącza telewizor. Siedzimy w żółtym blasku, milczący. Raz po raz zerkam na Paula, nie mogę się przyzwyczaić do jego krótkich włosów.

– Nie wiem, co powiedzieć – szepczę w końcu. – Jest mi bardzo, bardzo, bardzo przykro. I przyszłam do was.

Paul przesuwając dłonią po tyle głowy, palce zatrzymują się na granicy krótko

przyciętych włosów z szyją. On najwyraźniej również jeszcze nie ogarnia swojego nowego wcielenia.

– Co mogłabyś w tym momencie dla mnie zrobić? – mówi Jack. – Sprawić, żebym myślała o czymś innym. Na przykład, ja wiem, o Złotych Tubach. Widziałam twoje zdjęcie z George’em. Czy wzrok mnie myli, czy wyglądałaś na autentycznie szczęśliwą, stojąc w odległości zaledwie dwóch centymetrów od niego?

– Względy promocyjne. Wiesz przecież, jak to jest.

– Jasne, ale spodziewałam się, że zobaczę twoje selfie z Thomem.

– Właśnie – dorzuca Paul, beztrasko i z zainteresowaniem. Zbyt beztrasko i ze zbyt wielkim zainteresowaniem. Jakby próbował naprawić to, co wydarzyło się wcześniej między nami. – Jak było?

Śmieję się. Chowam twarz w dłoniach. Znowu się śmieję.

– Nic nie rozumiem – stwierdza Jack. – Czy to chichot rodem z komedii romantycznej czy z krwawego horroru?

– Z horroru – odpowiadam stosownie chrapliwym głosem. – Bez dwóch zdań.

– O rany, wiem, co się wydarzyło. Okazało się, że silverspunnx23 to on. Zgadłam? Padłaś ofiarą sieciowego oszusta. Wyjątkowo wyrafinowany przypadek internetowego uwiedzenia.

– Jack, to całkowicie bez sensu – zauważa Paul. – Przecież bronił jej na swoim vlogu, zapomniałaś?

– Bronił w wyjątkowo protekcyjny sposób – odparowuje Jack. – Zresztą to nagranie czyni go tym bardziej podejrzanym. Prawdopodobnie zaplanował wszystko w ten sposób, że napisał post i nagrał filmik tego samego dnia. By udawać jej wybawiciela czy coś w tym rodzaju.

– Słuchajcie – mówię, unosząc głowę. – Wcale nie o to chodzi. Thom nie okazał się naszym dręczycielem. Po prostu... nie zrozumiał.

Cisza.

Jack pyta:

– A więc mu powiedziałaś?

– Uznał, że wszystko zmyśliłam. Powiedział wprost, że czuję to, co czuję, bo zasugerowałam się informacjami wyczytanymi w necie. Cóż, reakcja najgorsza z możliwych.

Komentarz Jack jest błyskawiczny i bezlitosny:

– Palant.

Potem pada kilka innych określeń wyrażających podobną treść.

Paul jest dziwnie milczący. Wiem, że gdyby się odezwał, nie powiedziałby niczego, co mogłoby zabrzmieć mściwie bądź banalnie. Na pewno nie po tym, co się między nami wydarzyło. Oboje o tym wiemy.

– Niczego... nie próbował? – pyta Jack.

– Co? Nie, nic z tych rzeczy. Pożegnał się i wyszedł. Nie wiem, może właściwie tego się spodziewałam, bo nawet nie jestem szczególnie zszokowana.

Jack mruży pod nosem, w kolejnej porcji niewybrednych słów określając, jakiego rodzaju człowiekiem jest według niej Thom, po czym wynurza się z otchłani

wulgaryzmów i stwierdza:

– Kurczę, teraz to ty musisz zacząć myśleć o czymś innym. Paul, co możemy zrobić, żeby skierować jej uwagę na inny temat? – Chyba dochodzi do wniosku, że wykazała się brakiem empatii wobec brata, bo szybko dodaje: – Wiem. Musimy omówić szczegóły projektu na Kickstartera. Cele, korzyści, podział funduszy, który z projektów wybierzemy w następnej kolejności. W tym momencie największe poparcie ma Oscar Wilde, ale nie wiem, czy chcemy iść...

– Jack. Poważnie? – Patrzę na nią takim wzrokiem, jakby właśnie wyznała, że kocha polowania na jelenie i jest to, uważam, bardzo łagodna reakcja z mojej strony.

– Co poważnie?

– Właśnie się dowiedziałaś, że wasz tata ma nawrót choroby. Nie powiedziałaś mi nic na temat stanu jego zdrowia, a chcesz omawiać szczegóły dotyczące naszego kanału w sieci?

– Ech, może źle zrozumiałaś wyrażenie „zacząć myśleć o czymś innym”? Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Omawianie szczegółów naszego projektu to jest dokładnie to, czego potrzebuję. Przedstawienie musi trwać. To się nazywa profesjonalizm.

– Raczej wyparcie emocjonalne.

– Dobra, posłuchaj. – Głos Jack przybiera ostre tony. – W którymś momencie się załamie. Prawdopodobnie w najbliższej przyszłości. Nagle zacznę ryczeć, uchlam się do nieprzytomności i się porzygam, a ty będziesz musiała trzymać mi włosy. W którymś momencie przekażę ci wszystkie znane mi szczegóły na temat pieprzonego raka mojego taty. Ale teraz nie mam na to ochoty, jasne?

– J-jasne.

– Jack, spokojnie – mruczy Paul. – Skąd ona ma wiedzieć, czego chcesz?

– Znikąd. Właśnie o to chodzi: jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, a żadne z nas nie wie, czego chcą pozostali. To jeden wielki zakichany kocioł pełen wyparcia emocjonalnego, nie uważasz? I teraz przynajmniej wyświadczam Tash przysługę, mówiąc jej, jak się czuję.

Jack wstaje, wali w mój brzuch poduszką, którą przez cały czas ścisnęła w ramionach, wypada z pokoju i biegnie na górę. Rzuciła granat i teraz szuka schronienia, a ja nie potrafię ocenić, czy postąpiła odważnie czy tchórzliwie. Nie mogę też zdecydować, czy powinnam pójść w jej ślady.

Nagle staję się bardzo świadoma bliskości Paula. Przestrzeni, którą zajmuje, rytmu oddechu, braku włosów... Wszystko to odczuwam bardzo wyraźnie.

– Powinnam już iść – stwierdzam i wiem, że akurat to z pewnością jest wyrazem tchórzostwa.

Jestem w połowie drogi na patio, gdy Paul mówi:

– Czuję, że jestem złym człowiekiem.

Przystaję i się odwracam.

– Że co?

Podciąga stopy na kanapę i obraca się tak, by siedzieć twarzą w moją stronę.

– Czuję się jak ktoś zły, kiedy powiedziałem ci, że tata pewnie będzie miał nawrót choroby. Jesteśmy rodziną, więc powinienem wykazać się optymizmem. Zawiodłem.

I potem miałem wyrzuty sumienia, że ci powiedziałem. Czuję, że w pewnym sensie, wypowiadając te słowa na głos, sprawię, że się spełnią. I tak się stało.

– Paul.

– Dlatego nic nie mówiłem na początku, kiedy tata się skarżył. Dlatego powiedziałem Jack, żeby też nic ci nie mówiła. Uznałem, że jeśli powiemy o tym głośno, tata naprawdę zachoruje. Nie dlatego, że ci nie ufałem. Nie próbowałem niczego ukrywać. Po prostu... czułem się jak ktoś bardzo zły.

– Paul, nie jesteś zły.

Uśmiecha się ponuro. Jezu, ile czasu upłynie, nim włosy mu odrosną? Chyba kilka lat.

Poprawiam się:

– Jesteś najlepszą osobą, jaką znam. No, może z wyjątkiem mojej mamy.

– Twojej mamy nikt nie przebije.

– No dobra – ustępuję – mamy nikt nie przebije. Mówiłam w pośpiechu.

Paula posyła mi zboląły uśmiech. Jakby próbował połknąć benzynę.

– Nie jestem gotowy, by stracić tatę. Tylko o tym przez cały czas myślę: nie chcę być facetem bez ojca. To takie egoistyczne. Jeszcze gorsze niż fakt, że Jack w ogóle nie chce o tym rozmawiać.

– To wcale nie jest egoistyczne. – Podchodzę do sofy. Teraz lepiej widzę twarz Paula w blasku lampy. – Kochasz tatę. Nie chcesz, żeby umarł. Nie chcesz zostać facetem bez ojca. Twoja reakcja jest całkowicie naturalna.

– Byłabyś mną mocno rozczarowana. Ostatnio mam w głowie myśli, które są bardzo nie-zen.

– Cóż, ja także.

Jest jeszcze tyle do powiedzenia – zwłaszcza z mojej strony. Powinam przeprosić. Ale tym samym przypomniabym o wszystkim, co wydarzyło się przed moim wyjazdem do Orlando, a to nie jest odpowiedni moment.

– Jestem, jeśli będziecie mnie potrzebować – mówię.

– Nie martw się, będziemy. A Jack znasz. Ona tylko...

Kiwam głową. Wiem.

Ale po drodze do domu zastanawiam się, czy tak jest naprawdę. Wiem, że Jack zamyka się w sobie i wycofuje się, kiedy jest zdołowana. Wiem, że lubi dziwaczne filmy animowane. Wiem, że nie lubi obściskiwania. Tylko nie znam przyczyn tego wszystkiego. Nie mam pojęcia, co za tym wszystkim stoi. Nie jest wredną jędzą, nie jest ponura ani wypaczona emocjonalnie. Można by tłumaczyć w ten sposób jej zachowanie, ale takie argumenty nie odpowiadają na pytanie „dlaczego”. Nie wiem, z czego wynikają jej reakcje, a jest moją najlepszą przyjaciółką. Jak to świadczy o ludzkiej rasie w ogólności?

Ludzie w dzisiejszych czasach uwielbiają snuć wizje nadchodzącej apokalipsy i rozważać różne wersje naszego ostatecznego kresu: wojna nuklearna, epidemia zombie czy inwazja z kosmosu. Ja jednak sądzę, że nasz koniec nastąpi pewnego całkiem zwyczajnego dnia, kiedy wszyscy przestaną się zastanawiać nad tym, dlaczego osoby w ich otoczeniu zachowują się tak, a nie inaczej, kiedy wszyscy pozamykają się w swoich czterech ścianach i zgniją w samotności.

Przed domem sąsiada dostrzegam w świetle latarni mrowisko. Mrówki kursują między trawnikiem a chodnikiem w długim szeregu, tak przejęte swoją misją, że nie widzą olbrzyma, który obserwuje ich pracę.

Ciekawe, czy mrówki znają się nawzajem, albo chociaż próbują poznać. Może nie muszą. Może nie są przywiązane do pojęcia „ja”. Może po prostu są sobą nawzajem.

Leżąc w łóżku i próbując zasnąć, czuję na ramionach dziwne łaskotanie. Nie wiem, czy to ciarki czy wymyślone mrówki, ale czuję, że jeszcze nieraz dadzą znać o swoim istnieniu.

Tego, co zaszło między mną i Jack, właściwie nie da się nazwać kłótnią. Czy zachowała się podle, mówiąc tamte słowa i zostawiając mnie samą z Paulem? Niewątpliwie. Ale u jej taty zdiagnozowano nawrót raka, nawet nie wiem, w jakim stopniu zaawansowania, i jestem pewna, że na jej miejscu zachowałabym się równie okropnie. Albo jeszcze gorzej.

Rano do niej dzwonię, odbiera. Mówi, że w następnym tygodniu tata będzie miał pierwszą chemię. Lekarze twierdzą, że rak powrócił w bardzo agresywnej formie i rozszerzył się na wątrobę, więc leczenie będzie jeszcze bardziej intensywne niż za pierwszym razem. Darowali sobie terapię hormonalną i przechodzą od razu do chemii. Jack mówi to wszystko bardzo spokojnym głosem, bez cienia emocji.

Tego właśnie się spodziewałam. Może później Jack się załamie, ale teraz radzi sobie z sytuacją właśnie w ten sposób. Dlatego nie wdaję się w kwieciste przeprosiny, dlatego nie płaczę i nie opowiadam, że miała rację, że faktycznie brałam ich za pewnik, ale teraz się poprawię. Jack nie przyjmuje gadek tego rodzaju. Emocjonalne rzyganie na nią w celu otrzymania wybaczenia byłoby jedynie kolejnym przejawem egoizmu z mojej strony. Ja już wiem, że mi wybaczyła, ona zaś wie, że jest mi przykro, i na tym możemy poprzestać. A jeśli w pewnym momencie zechce, bym błagała o wybaczenie, zrobię to. Teraz wiem, że zrobiłabym dla naszej trójki wszystko, co w mojej mocy. Nawet więcej, niż jestem w stanie zrobić dla dobrego ujęcia.

Rak prostaty to z pewnością najbardziej krępujący typ raka. Krępujące jest też rozmawianie o nim – szczególnie kiedy jesteś dziewczyną i poruszasz ten temat z najlepszą przyjaciółką, w kontekście zdrowia jej taty. Kiedy zdiagnozowano pana Harlowa, nie miałam pojęcia, co to jest prostata i ciągle myliłam ją ze słowem „prostracja”, które nawet sprawdziłam w sieci, i potem przez cały tydzień sądziłam, że pan Harlow cierpi na chorobę, która dopada go jedynie w pozycji leżącej, i w związku z tym już nigdy nie będzie mógł spać normalnie.

Ponowne pojawienie się raka wydaje się podstępny fatum. Można odnieść wrażenie, że nowotwór zawsze powraca – w każdym razie we wszystkich smutnych filmach i książkach. Daje o sobie znać tak jak ten pana Harlowa – jest bardziej agresywny niż za pierwszym razem, jakby chciał się zemścić. W książkach i filmach nawrót choroby zawsze okazuje się tragiczny w skutkach. Powtarzam sobie, że nie powinnam tak myśleć, ale równie dobrze mogłabym próbować nie myśleć o liczbie czterdzieści dwa. Według Jack lekarze twierdzą, że pan Harlow ma duże szanse, by wygrać z chorobą. Dali mu sześćdziesiąt procent. Szklanka bardziej pełna niż pusta.

Mama przeszła w tryb siostry miłosierdzia. Późnym popołudniem słyszę ją w kuchni, obdzwania wszystkich znajomych i sąsiadów, by ustalić grafik dostarczania posiłków. Pani Harlow nadal musi podróżować służbowo i przez większość dni w nadchodzącym tygodniu nie będzie jej w domu, ale dzięki mojej mamie rodzina Harlowów wkrótce nie będzie wiedziała, co zrobić z gigantycznymi porcjami lazanii i zapiekanki z kurczaka. Akurat ten obyczaj całkowicie popieram. Kwiaty na pogrzebie? Bez sensu. Wszyscy są zbyt smutni, żeby zwrócić na nie uwagę. Cygara przy narodzinach

dziecka? Oto pojawiło się nowe życie, uczcijmy je, napełniając płuca toksynami! Ale przywożenie znajomym jedzenia, kiedy ktoś zachoruje – to rozumiem. Jedzenie zawsze się sprawdza.

Idąc tydzień później do domu Harlowów, dostrzegam na podjeździe znajomego czarnego jeepa. Na schodach stoi Jay Prasad z pustym koszykiem w ręku.

Uśmiecha się i macha, przyspieszając kroku. Spotykamy się pośrodku podwórza.

– Tęskniłem za tobą – śpiewa miękkim falsetem i wymierza lekkie pacnięcie w nos. – Jak się miewasz?

W jego głosie pobrzmiewa empatia, zapewne w związku z rozczarowującym wynikiem Złotych Tub.

By rozwiązać zły nastrój, wykrzykuję entuzjastycznie:

– Świetnie! – Dopiero po czasie przypominam sobie, że stoimy przed domem człowieka chorego na raka. – Znaczący... No wiesz.

– Rak to beznadziejne gówno – mówi Jay.

– No. – Czuję, że zaraz się rozpłaczę. By do tego nie dopuścić, pytam: – A co u ciebie? Jak Tony?

Na twarzy Jacka pojawia się ten jego szczery uśmiech.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Unoszę brwi.

– Nie wiem, czy słyszałaś – dodaje Jay. – W Louisville kręca taki nowy serial. Wysłałem nagranie i link do tego odcinka, w którym skaczemy sobie z Tonym do gardeł jako Aleksiej i Wroński. I... dostałem rolę.

– Jay, to wspaniale! O czym jest ten serial?

– Eee. – Jay robi zażenowaną minę. – To coś w rodzaju slashera. Mnóstwo sztucznej krwi.

– O. Wow. Budujesz zróżnicowane CV.

– Chyba tak. W każdym razie zadzwonili i powiedzieli, że nawet nie muszę stawiać się na przesłuchanie. Wszyscy są wielkimi fanami *Nieszczęśliwych rodzin*.

– Ojej. Super!

– Chcę przez to powiedzieć, że jesteś sławna i wszyscy cię kochają.

– Och, ty to wiesz, jak sprawić, żeby dziewczyna poczuła się wyjątkowo.

Wesoło wzrusza ramionami, a potem padamy sobie w objęcia. Jay jest osobą, którą mogłabym ścisnąć bez końca.

– Chyba już pójdę – mówi. – Tony zaczął grać z nowym zespołem, a ja mam występować podczas prób w roli jego największego fana.

Zachowuję tę informację w pamięci, by przekazać ją Jack, dopiero kiedy będzie w naprawdę dobrym humorze. Gdy Jay odjeżdża, macham mu na pożegnanie i z jakiegoś powodu ogarnia mnie smutek większy niż po imprezie, którą uczciliśmy zakończenie zdjęć. Może dlatego, że teraz wiem, że w nadchodzącym roku szkolnym nie mamy żadnych wspólnych zajęć – niczego, co by nas ze sobą wiązało. Ale żyjemy przecież w nowoczesnej epoce i jest co najmniej kilka możliwości podtrzymania kontaktu. Mogę śledzić wszystkie projekty, w których wystąpią on i Serena. Mogę chodzić na przedstawienia. Przynosić kwiaty. Wysyłać esemesy na urodziny. Są moimi Anną

i Aleksiejem aż po kres dni.

W sobotę odwozimy Klaudie do Nashville. Nasz SUV jest tak wypchany, że obie musimy siedzieć ze stopami opartymi na pudłach ściśniętych na podłodze jak klocki tetris. Między siedzeniami leżą wielka poducha i kołdra puchowa – przynajmniej mamy świetne miejsce do spania. Ledwo zdążyliśmy wyjechać poza granice miasta, a tata, przysięgam, chyba już z dziesięć razy żartował na temat ilości rzeczy, które zabiera ze sobą Klaudie. A Klaudie nie odpuszcza. Za każdym razem odpowiada z rosnącą irytacją:

– To jest całe moje życie, tato! Musiałam zmieścić w tym samochodzie całe życie!

Gdy się tak przekomarzają, mama jakimś sposobem jest w stanie spać. Gdy tata włącza audiobook Malcolma Gladwella, pogrążamy się w milczeniu i gapimy się na mijany krajobraz. W pewnym momencie próbuję rozprostować nogi, rzecz jasna bez skutku. Widzę, że Klaudie się na mnie gapi.

– Co jest? – pytam.

Nie odpowiada i nie przestaje się gapić. Robi mi się trochę dziwnie.

– Ej, przestań. – Chwytam brzeg poduchy i próbuję zakryć twarz. Kiedy zerkam, Klaudie nadal się gapi.

Wreszcie się odzywa:

– Czy to moja wina? Powiedz mi.

Wynurzam się zza poduszkowej barykady.

– Ale co?

– Że nie dostaliście Złotej Tuby. Bo zostawiłam was na sam koniec i musiałas zmienić scenariusz, i serial nie wypadł tak dobrze, jak powinien.

Tego się nie spodziewałam. Szczerze, od wielu tygodni nie myślałam o odejściu Klaudie ani o tym, jaki to mogło mieć wpływ na werdykt jury Złotych Tub.

– Klaudie. Nie uważam, by to miało jakikolwiek związek. Jak sama zauważyłaś, odeszłaś dopiero pod koniec, nawet jeszcze nie opublikowaliśmy wszystkich odcinków.

Nie wygląda na przekonaną. Z jej ciemnobrązowych oczu wyziera poczucie winy.

– Mówię poważnie – dodaję z większym naciskiem. – Uważam, że twoje odejście w żaden sposób nie wpłynęło na naszą przegraną. Inne seriale były naprawdę bardzo dobre. Ostra konkurencja.

– Może... – Klaudie patrzy na migającą za oknem autostradę. – Nie wiem, może popełniłam błąd. W dodatku nawet już nie rozmawiam z Jenną.

Jeszcze parę miesięcy temu rozkoszowałam się tą chwilą. Teraz już nie bardzo. Myślę głównie o tym, że w drodze powrotnej Klaudie nie będzie w tym samochodzie. Zobaczymy się dopiero na Święto Dziękczynienia.

– Już po wszystkim – stwierdzam. – Nic się nie stało.

Mówię to z pełnym przekonaniem. Bo naprawdę tak myślę.

Kiedy dojeżdżamy do kampusu, wyczuwam w powietrzu wyraźną atmosferę letniego obozu, tyle że w podkręconej wersji. Radośni studenci w żółtych T-shirtach z podkładkami do pisania wskazują nam drogę. Całą czwórką wnosimy bagaże Klaudie na drugie piętro akademika. Potem, straszliwie wygłodzeni, jedziemy do El Palenque, naszej ulubionej restauracji meksykańskiej w Nashville.

– Kiedy po ciebie wrócimy, będziesz znała wszystkie świetne restauracje – mówię,

zajadając smażoną fasolę.

– Nie licz na to. Będę żywiła się głównie sokami warzywnymi. I wspomnieniami o potrawach taty.

Rzuca mu smętne spojrzenie, a on odpowiada podobnym. Nagle, kiedy już osiągamy dolną granicę smutku, na drugim końcu pomieszczenia wybuchają oklaski i wiwaty. Kelnerzy śpiewają *Feliz Cumpleaños* małej dziewczynce z aparatem na zębach. Stawiają przed nią miskę ze smażonymi lodami i wkładają jej na głowę wściekle różowe sombrero. Opada komicznie nisko, całkiem zakrywa jej oczy, członkowie rodziny szybko cykają fotki. Widok szczęśliwej jubilatki od razu poprawia nam nastrój. Tata wrzuca zmięte opakowanie po słonce prosto do kieszeni sukienki Klaudie i nagradzamy entuzjastycznymi okrzykami niezwykłą precyzję wykonania.

Kiedy odwozimy Klaudie do akademika, jest już ciemno. Parkujemy na jedynym wolnym miejscu dla gości i otwieramy drzwi, wpuszczając do środka falę wilgotnego powietrza. Słysząc cykanie świerszczy.

Mniej więcej o tej porze w zeszłym roku, kiedy przywieźliśmy Klaudie na rekonosans, myślałam, że wkrótce też się tu przeniosę. Ale teraz, patrząc na potężne budynki z kamienia i cegły, nie widzę przyszłego domu. To tylko miejsce, w którym zamieszka moja siostra Klaudie. Nie wiem jeszcze, czy w pełni się z tym pogodziłam, ale niedługo chyba to nastąpi. W końcu.

– Wiem, że nie powinno się dzwonić przed upływem pierwszego tygodnia – mówi mama – ale... zadzwonisz?

Wszyscy płaczą, a najbardziej tata.

– Zadzwonię.

– A jeśli twoja współlokatorka okaże się psychopatyczną członkinią stowarzyszenia studenckiego – mówię – zawsze możesz wrócić do domu. Chociaż całkiem możliwe, że zajmę twój pokój.

Klaudie wywraca oczami, ale jej głos drży.

– Zaryzykuję.

Wszyscy czworo, spoceni, toniemy w zbiorowym uścisku. A potem Klaudie rusza do akademika, z oburzeniem odrzucając propozycję taty, który chce ją odprowadzić. I znika.

Podróż powrotna przebiega w ciemności i ciszy. Przez pierwszą połowę mama płacze, a tata powtarza:

– Wyglądała na szczęśliwą.

Przyznaje mu rację:

– Wiem, Janie, wiem.

Przychodzi mi do głowy, że za rok odbędą podobną rozmowę, a potem jeszcze jedną, za osiemnaście lat, kiedy na studia pójdzie nowy Zelenka, którego twarzy jeszcze nie znam.

Nadal nie rozumiem powodów, dla których to dziecko pojawi się na świecie. Chyba nigdy nie zrozumie. Gdybym ja była w ich wieku i miała za sobą opiekę nad dwójką dziewczyn, powiedziałabym: mowy nie ma, przechodzę na wcześniejszą emeryturę. Ale ja to nie oni. Są szczęśliwi. Widać po tym, jak ściskają sobie dłonie nad dźwignią zmiany

biegów, kiedy tata wjeżdża na autostradę. Są jak para zabujanych nastolatków, która wybrała się na nocną przejażdżkę.

Myślę o tym, co powiedziała Klaudie podczas naszej nocnej przejażdżki – że Zelenka junior ma na celu powiększyć małą rodzinę mamy i taty. I taka jest prawda, niezależnie od tego, czy była to wpadka czy nie. I że jest to coś dobrego. Ta myśl bynajmniej nie ułatwia rozstania z Klaudie, ale sprawia, że przyszłość wygląda nieco lepiej.

Rano idę do Holly Park. Jest wcześnie, tuż po świcie. Znów nie mogłam spać i doszłam do wniosku, że wolę posiedzieć na skrzypiącej huśtawce niż choćby minutę dłużej pocić się w pościeli.

Siedzę tak dopiero od minuty, apatycznie wbijając pięty w żwir i kołysząc się na boki, gdy nagle w moim polu widzenia pokazują się trampki. Podnoszę wzrok.

Paul coś mówi, ale nie słyszę. Wyciągam słuchawki z uszu i pytam:

– Co?

Potrząsa głową z rozbawioną miną.

– Wołałem, kiedy mijałaś nasz dom, ale nie słyszałaś.

– O. Przepraszam.

– Chcesz być sama?

Poważnie rozważam tę propozycję. Gdybym chciała, Paul po prostu by odszedł, bez problemu. Zrozumiałby.

– Nie – mówię w końcu. – Nie chcę.

Paul siada obok mnie. Huśtawka trzęsie się pod jego ciężarem.

– Jak tata?

– Opchany serem i makaronem, więc szczęśliwy tak jak to tylko możliwe w obecnych okolicznościach. Jedna pani przyniosła nam wczoraj ciasto czekoladowe z nadzieniem karmelowym. Kto robi takie rzeczy?

Mina mi rzednie.

– My nie upiekliśmy wam ciasta. Chcecie więcej ciasta?

Paul się śmieje.

– Tash, Jezus. Robicie dla nas niesamowicie dużo.

– Czyżby? Ja odnoszę wrażenie, że nie robimy nic. Nic, co mogłoby naprawdę pomóc.

– Wiesz, ludzie zawsze twierdzą, że gdyby tylko mogli wziąć na siebie ból ukochanej osoby, chętnie by to zrobili. Ale pomyśl, co by się działo, gdyby to naprawdę było możliwe. Koszmar. Bierzesz na siebie czyjeś cierpienie, ale ta osoba również cię kocha, więc zabiera je z powrotem, bądź robi to jakaś inna osoba, dla której jesteś ważna, a ktoś, kto kocha tę osobę, zabiera z kolei jej ból i tak to się ciągnie, aż trafia na nieszczęśnika, który kogoś kocha, lecz którego nie kocha nikt. I na zawsze zostaje z cudzym bólem.

– Niech cię, Paul. Zapuszczasz się w mroczne rejony.

Paul odpycha się na huśtawce. Łańcuchy skrzypią ostrzegawczo i plują rdzą.

– Chcę tylko powiedzieć, że pomagacie nam najlepiej, jak to możliwe, i cieszę się, że nie możecie zrobić nic więcej.

Niebo jest różowe. Słońce świeci mi w oczy. W pobliskich drzewach ćwierkają ptaki. Zerkam z boku na Paula i jego nową fryzurę, do której nigdy nie przywyknę.

Teraz powinnam przeprosić. Otwieram usta i psuję tę błogą chwilę.

– Przepraszam. Za to, jak potraktowałam cię przed Orlando. Nie... nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Paul zatrzymuje huśtawkę. Ma niepewną minę.

– Tak?

– No...

– Bo ja odniosłem wrażenie, że striptiz miał na celu przekonać mnie, że miłość do ciebie pozbawiona seksu byłaby prawdziwą torturą i dlatego nie wchodzi w rachubę. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Nie poprawiam. W dodatku użył słowa „miłość” i teraz mam kłopoty z oddychaniem.

– Tak przy okazji, to obrałaś wyjątkowo nieskuteczną strategię, bo widywałem cię bardziej skąpo ubraną. No wiesz, od piętnastu lat spędzamy ze sobą niemal każdą chwilę.

– Wiem. Kiepski ruch z mojej strony.

Z wielu powodów.

– Dobra, wybaczam ci – mówi Paul. – Koniec.

Wypowiada ostatnie słowo takim tonem, jakby kończył bajkę na dobranoc – miękko i z ulgą.

– O rany – szepczę. – Nie mogę traktować cię poważnie, kiedy jesteś ścięty na rekruta. Po prostu nie mogę.

Paul wybucha śmiechem. Ja z kolei uśmiecham się i wbijam wzrok w żwir.

– Naprawdę nie wiedziałam, co do mnie czujesz. Zawsze traktowałeś mnie i Jack dokładnie tak samo.

– To nieprawda.

– Dla mnie owszem. Nigdy nie zauważyłam żadnej różnicy.

– Ale czułem coś innego.

– Jasne, tylko wiesz, uczuć nie widać.

Paul wzdycha.

– Powiedziałem „koniec”. Nie musimy tego przeciągać.

Czubkiem buta drażę dziurę w żwirze. Ziemia pod spodem robi się coraz ciemniejsza.

– Paul. Bardzo cię lubię.

– Chodzą słuchy, że jestem drugim z kolei najlepszym znanym ci człowiekiem.

Płócienny trampek jest wilgotny i poplamiony.

– Nie. Lubię cię w sensie takim jak innych facetów. Podobasz mi się.

Słychać tylko skrzypienie huśtawki.

– Znasz mnie – dodaję. – Nie muszę ci niczego tłumaczyć ani próbować ci imponować, bo widziałeś mnie w najbardziej beznadziejnych momentach. Mogłabym więc spokojnie powiedzieć: „Okej, jasne, umawiamy się”. Ale to by było bardzo samolubne. Nawet jeśli teraz tak nie uważasz, w końcu byś mnie znieubił, a ja nie mogę do tego dopuścić.

– Nie...

– Zaczekaj, jeszcze nie skończyłam. Sporo czytałam na ten temat: o tym, jak to jest, kiedy osoba aseksualna umawia się z seksualną. To jest... bardzo trudne, wymaga ogromnego porozumienia i wielu kompromisów, a ty pragniesz seksu, okej, w porządku, tylko nie jestem w stanie pojąć, dlaczego chcesz się ze mną umawiać.

Paul patrzy na mnie twardym wzrokiem.

– To było bardzo długie zdanie – mówi.

Bąkam coś niewyraźnie, a on dodaje:

– A więc twierdzisz, że jestem zwierzakiem, którym kieruje libido.

– Nie. Po prostu jestem realistką.

– Uważam, że twoje podejście można uznać za seksistowskie. Poza tym nigdy nie pytałaś mnie o zdanie.

– Paul...

– Dobra, to zabrzmiało strasznie prostacko, ale taka jest prawda: lubię cię bardziej niż seks. To znaczy, lubię seks. Tylko... Możesz powiedzieć, że jestem nienormalny, ale jak się ma ojca chorego na raka prostaty, to człowiek zaczyna się zastanawiać nad prawdziwą wartością swojego kutasa.

Te słowa są tak niespodziewane, że mimo woli zaczynam się śmiać.

– Dlaczego rozmawiamy o penisie twojego taty?

– Ani słowem nie wspomniałem o jego penisie. Ty to zrobiłaś.

– O Boże, Paul... – Czuję się zażenowana, nie mam jednak gdzie się schować, więc zamykam oczy.

– Po prostu jestem szczery.

Nie odpowiadam, a on nagle zaczyna śpiewać fragment piosenki Outkastu *Hej Ya!*: „I’m-I’m-I’m just being honest”.

– Przestań! – Kopię jego huśtawkę, rozlega się kakofoniczne skrzypienie.

Oboje sadowimy się wygodniej. Spoglądam na Paula, przyciskając policzek do łańcucha.

– Paul.

Uświadamiam sobie, że ostatnio często wypowiadam jego imię. Ponieważ jest tak dobrze znane, bezpieczne. To lepsza podpórka niż „ech”, „a” czy nawet „yyy”.

– Jeśli ci się podobam – mówi – to dlaczego nie spróbujemy? Możliwe, że to będzie totalna katastrofa, ale moglibyśmy przynajmniej spróbować. Wiesz, ja też sporo czytałem na ten temat i uważam, że całkiem nieźle radzimy sobie w kwestii komunikacji i kompromisów. Myślałem o tym, jak to rozwiązać. Sądzę, że dałbym radę.

– Teraz tak mówisz...

– Tak. Teraz tak mówię. Bo teraz to wszystko, co mamy. Może więc powinnaś powiedzieć „tak”. Powiedz teraz „tak”, najwyżej zmienisz zdanie za dziesięć minut, dziesięć godzin czy dziesięć miesięcy. Nieważne. Może być tak, że mnie to przerośnie, a może się okaże zbyt trudne dla ciebie, ale przynajmniej spróbujemy.

– Podoba ci się ta wizja, bo sprawia, że wydają się inna od reszty dziewczyn, ale...

Paul twardo wbija stopy w żwir. Opada na kolana i chwyta prawy łańcuch mojej huśtawki. W jego ciemnych oczach jest mnóstwo światła.

– Tash, posłuchaj. Znamy się od wieków. Całowałem się, umawiałem i sypiałem z innymi dziewczynami. Wiesz o tym, ponieważ zawsze byłaś obok. Posłuchaj. Wolałbym. Ciebie. Tylko. Przytulać. Niż być. Z inną. Dziewczyną. Czy ty. Też. Chcesz. Mnie. Przytulać.

Brzmi jak robot, który właśnie rozwinął funkcję wyrażania ludzkich emocji, i gdyby to była inna rozmowa, zaczęłabym się śmiać. Ale mam ochotę się rozplakać. Mój głos znika. Ginie. Szukam go i znajduję w końcu skulony w najniższej części mojej krtani. Wydobywam go i wkładam z powrotem w odpowiednie miejsce. A tymczasem światło w oczach Paula znika.

Mówię:

– Tak.

– Tash...

Wtedy dociera do mnie, że moje imię jest dla niego tym, czym jego imię dla mnie: czymś znanym i bezpiecznym. Ma je na końcu języka znacznie częściej niż „yyy”.

Schodzę z huśtawki, a Paul przysuwa się bliżej i otacza moje ciało ramionami. Obejmowaliśmy się wcześniej tyle razy, nawet nie mam pojęcia ile. Setki? Tysiące? Setki tysięcy? Obejmowaliśmy się bardzo wiele razy, ten jest dokładnie taki sam jak poprzednie, a zarazem zupełnie inny. Mój policzek dotyka jego policzka, jego krew pulsuje tuż koło mojego ucha, jest mi ciepło, znajomo i bezpiecznie.

Bo kiedy tak siedzimy na żwirze, wciąż się obejmując przy wtórze skrzypiących łańcuchów, uświadamiam sobie coś jeszcze: Paul wie, co kieruje moim zachowaniem. Spoglądał w najciemniejsze zakamarki mojego ja i nie uciekł. Byłabym kretynką, gdybym nie spróbowała. Przynajmniej teraz i przez wszystkie kolejne teraz, które nastąpią.

Tego wieczoru ucinam sobie pogawędkę z Lwem. Siadam na brzegu łóżka i tym razem pierwsza spoglądam na niego wilkiem.

– Lwie – mówię – nie obraż się, ale czasem jesteś dla mnie ogromnym rozczarowaniem.

Dwudziestoletni Lew Tołstoj w odpowiedzi patrzy wilkiem.

– Zrywam z tobą – oznajmiam. – Myślę, że od pewnego czasu się tego spodziewałeś.

Patrzy wilkiem.

– Ale bardzo mi się podoba *Śmierć Iwana Iljicza* i mam nadzieję, że wiesz, że jestem dozgonną fanką twojej twórczości.

Patrzy wilkiem.

Rozmowa skończona. Przynajmniej wyświadczyłam mu tę uprzejmość i powiadomiłam o rozstaniu – to więcej, niż on raczył zrobić dla biednej Zofii.

Zdejmuję plakat, zwijam go starannie i wkładam na górną półkę w szafie. Ponieważ nasze zerwanie nie było zbyt gwałtowne, cytaty na ścianie zostawiam. Nawet uśmiecham się do swojego ulubionego: „Jeśli chcesz być szczęśliwy, po prostu bądź”.

Można go zrozumieć na dwa sposoby i gdybym znała języki słowiańskie, mogłabym przetłumaczyć oryginalny tekst i pozbyć się wszelkich wątpliwości. Ale nawet mi się podoba, że istnieją dwie możliwe interpretacje. Pierwsza, bardziej oczywista,

wydaje mi się zbyt prostym uproszczeniem. Nie możesz uczynić się szczęśliwym. Szczęście to nie kwestia woli, ale uczuć, biologii i okoliczności, a także wielu innych czynników. Dlatego nie odczytuję tego cytatu w ten sposób.

Oto moja interpretacja: jeśli chcesz szansy na szczęście, trwaj. Tak, życie potrafi dokopać, ale dopóki żyjesz, masz szansę na szczęście. Niektórzy powiedzieliby, że jest to czarna wizja życia, ja jednak dostrzegam tu nadzieję. Kiedy skończyliśmy *Nieszczęśliwe rodziny* poczułam się tak, jakby w piersi została dziura, której nic już nigdy nie zapełni. Ale istnieje przecież nadzieja na nowy projekt, na kolejną przygodę. Nadzieja, by iść do przodu i robić wszystko jeszcze lepiej.

Jedna rzecz z pewnością sprawiła, że poczułam się szczęśliwsza: uczciwość. Jak zauważył George, to dobry pomysł na życie. Dzisiaj jestem ze sobą bardziej szczerą niż kiedykolwiek dotąd. I to uczucie bardzo mi się podoba – świadomość, że znam samą siebie i że zna mnie ktoś jeszcze.

Uczciwość nie pozwala mi zasnąć, chociaż dawno temu zgasłam światło. Mój umysł wędruje po znanej, ale ostatnio nieodwiedzanej krainie. Rodzi się tam nowy pomysł. Nie śpię, czekam na pioruny i błyskawice.

W tym roku z okazji naszych łączonych urodzin próbujemy z Pauliem czegoś nowego. Nie będzie kolejnej imprezy na basenie. Żadnych papierowych talerzyków, serpentyn czy tortu z cukierni. W tym roku stwierdziliśmy, że mamy dosyć tego rodzaju zabawy. Uznaliśmy, że skoro kończymy odpowiednio osiemnaście i dwadzieścia lat, powinniśmy uczcić to jak dorośli. Traktujemy całą sprawę trochę ironicznie – ale tylko trochę.

Tak więc planujemy uroczystą kolację. Wspólną kolację dla obu rodzin, u nas w domu. Ma się odbyć w czwartek dwudziestego siódmego sierpnia – pośrodku między datami naszych urodzin. Nikt nie ma prawa pomagać nam w przygotowaniach. Paul zjawia się o czwartej, zaraz po zajęciach z astronomii, i razem gotujemy kolację przy ścieżce dźwiękowej, na którą po równo składają się utwory Trávisa, dla niego, i St. Vincent, dla mnie. Przed szóstą zapalam świece, chociaż na zewnątrz jest jeszcze jasno.

Pani Harlow wyjechała w jedną ze swych służbowych podróży, ale pan Harlow i Jack zasiadają do stołu wraz z moimi rodzicami. Paul i ja przynosimy jedzenie: wielką miskę różnego rodzaju sałat z sosem winegret, koszyk gorących bułeczek i, przede wszystkim, fettuccine alfredo. Ponieważ jest to również ulubione danie Paula.

– To nienormalne – wyrokuje Jack, kiedy już wszyscy siedzą na swoich miejscach. – Nie mogę uwierzyć, że sami przygotowaliście swoją kolację urodzinową.

– Z wyjątkiem ciasta – wtrąca tata. – Ciasto ja upiekłem.

A to dlatego, że zagroził mi szlabanem, jeśli sama przyszykuję również deser. Najwidoczniej deser to dla niego nieprzekraczalna granica.

– Jesteśmy dorośli – mówię do Jack. – Dorośli sami przygotowują swoje kolacje urodzinowe.

– Nie mów mi, co robią dorośli – odpowiada. – Dorośli chodzą do eleganckich restauracji i upijają się dobrymi winami.

– A skąd ty czerpiesz takie informacje? – pyta pan Harlow, ale Jack tajemniczo wzrusza ramionami i sięga po szczypcę do sałaty.

Pan Harlow źle wygląda, schudł. Chociaż może był blady i chudy jeszcze przed chemią, a ja dopiero teraz zauważyłam. Prezentuje się mizernie, ale wciąż ma na twarzy swój bez troski uśmiech. Jack i Paul mówią, że codziennie pracuje w ogrodzie.

Jemu pierwszemu podaję półmisek z makaronem, ignorując mordercze spojrzenie Jack, która zdążyła oskarżyć mnie o to, że traktuję jej tatę inaczej od czasu diagnozy. Twierdzi, że dawniej zachowywałam się znacznie rozsądniej, a ja przypominam jej, że w tamtych czasach byłam dość egocentryczna i nawet nie wiedziałam, co znaczy „prostata”. Niezależnie od spojrzeń Jack uważam, że pan Harlow zasłużył na przywilej pierwszej porcji.

Już od wielu lat nasze rodziny nie urządząją wspólnych kolacji. Spotykaliśmy się przy stole znacznie częściej, kiedy Jack, Paul i ja byliśmy mali. Rodzice siedzieli w jadalni, a my w kuchni, a potem bieглиśmy do salonu i oglądaliśmy filmy Disneya. Niedawno zaczęłam tęsknić za tamtymi spotkaniami. Powiedziałam Paulowi, że powinniśmy do nich wrócić, a on się zgodził. A czy istnieje lepsza ku temu okazja niż

nasze wspólne urodziny?

Oczywiście teraz wiele rzeczy się zmieniło – nie ma z nami Klaudie, a zamiast oglądać kolejną powtórkę *Małej syrenki* popijamy czerwone wino. Ale nowe też mi się podoba. Może nawet bardziej niż moje wspomnienia.

Tata przygotował bezę z czekoladą na gorąco i jest to danie dokładnie tak absurdalne, jak można wnioskować z nazwy. Pośrodku umieszcza jedną świeczkę, wszyscy śpiewają *Happy Birthday*, a potem zdmuchujemy razem płomień, Paul i ja. Tata krzywo kroi deser – nie da się tego zrobić inaczej – i wszyscy atakujemy chrupiące kawałki za pomocą widelców i noży.

W pewnym momencie rodzice zaczynają rozmawiać o polityce, więc rzucam serwetkę i pytam:

– Macie coś przeciwko, jeśli udamy się do salonu?

– Tash, kochanie, ile razy ci mówiłem? – odpowiada tata. – W dzień urodzin dziewczyna nie pyta, tylko informuje.

– Dobrze. Tato, mamo, panie Harlow, udajemy się do salonu.

Tata, usatysfakcjonowany, macha ręką w stronę salonu gestem łaskawego dyktatora.

Tak więc w pewnym sensie ten wieczór jest podobny do tamtych z moich wspomnień. Właśnie mam zaproponować obejrzenie któregoś ze starych DVD z filmami Disneya, gdy Paul wkłada mi do ręki kwadratową paczuszkę owiniętą w papier prezentowy w czarno-białe paski.

– Co to? – pytam. – Mój prezent?

Ja dałam mu prezent w jego urodziny, trzy dni temu – wielką torbę wypchaną jego ulubionymi przysmakami: paczkami ciasteczek z orzechami makadamia i białą czekoladą, batonikami Mr. Goodbar i trzema dwulitrowymi butlami napoju Dr Pepper. Na dno torby włożyłam dziwną książkę, którą znalazłam w Urban Outfitters, pod tytułem *Studenci – gdzie są teraz? Śmierć, niespełnienie, kryzys wieku średniego*. Pod skrzydełko z przodu wsunęłam nierówno przycięty kawałek papieru do drukarki z odręczną notką: *Wiszę ci stół do ping-ponga, oddam, jak tylko zarobię*.

Prezentu spodziewałam się najprędzej za trzy dni, w dniu moich urodzin. Jack chyba podobnie, bo mówi:

– Paul, ty wstrętny dupku, jak śmiesz.

Paul wzrusza ramionami i stuka w paczuszkę z pełnym zadowolenia uśmiechem.

– Mam od razu otworzyć? – pytam.

– Pewnie.

Siadam na sofie obok Jack, która posyła w stronę Paula zabójcze laserowe spojrzenia.

Paul, niewzruszony, rozkłada się na podłodze. Jego podstawowa pozycja.

Rozdzieram papier. W środku znajduję złożony kawałek miękkiego dżerseju. Podnoszę go i materiał się rozwija, ukazując swój prawdziwy kształt. Jest to jasnoniebieski T-shirt w moim rozmiarze. Z przodu widnieje logo Studia Filmowego Nowalijki, które zaprojektował dla nas Paul. Arbuz i słońce w jaskrawych kolorach aż świecą. Z tyłu czarne brokatowe litery układają się w słowa „Ekipa Zarlow”.

Jack klnie pod nosem, bardzo długo. Wymierza kopniaka w łydkę Paula i mówi:

– Wielkie dzięki. A ja jej kupię prywatną wyspę.

Paul opiera szyję na złożonych ramionach i posyła mi pełen nadziei uśmiech.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – pytam. – Wiesz, że to jest najlepszy prezent na świecie.

Nie przestając się uśmiechać, przenosi nadwerężony kark na podłogę.

– Nowalijki, nasze cudowne dziecko – mówi Jack. – Nasz genialny bękart.

– Nasze błogosławieństwo i przekleństwo – dorzucam zgodnie.

W takich chwilach nadal nie mogę uwierzyć, że *Nieszczęśliwe rodziny* się skończyły, że to nie jest po prostu wyjątkowo długa przerwa w filmowaniu. Chyba w to nie uwierzę, dopóki nie zaczniemy kręcić czegoś nowego.

– A więc, Tash, któregoś wieczoru postanowiłam zostać twoją naśladowczynią i spisałam listę rzeczy, które możemy poprawić – oznajmia Jack.

– Tak...? – pytam ostrożnie.

– Sądzę, że jeden z naszych celów powinien brzmieć: nie próbujemy specjalnie pozyskać kolejnych fanów. Nie zniosę presji.

Krzywię się.

– Ja też nie.

– Może nawet powinniśmy zrobić coś, co wystraszy część followersów.

Paul unosi rękę.

– Dajcie mi rolę w kolejnej produkcji. Albo lepiej – każcie mi śpiewać.

– Nie – protestuje Jack. – YouTube kwitnie dzięki ludziom, którzy robią z siebie idiotów. Musimy wymyślić coś znacznie skuteczniejszego.

– Na pewno wymyślimy – stwierdzam. – Kto wie? Może dopisze nam szczęście i skomentuje nas kilka nowych silverspunnx23 i Dziewczyn w Rogowych Okularach.

– Miejmy nadzieję.

Czy to nie zabawne, że czasem coś bardzo długo traktuje się poważnie, aż wreszcie pewnego dnia przestaje? Pewnego dnia staje się żartem. Pewnego dnia możesz się z tego śmiać i nie czuć żadnego dyskomfortu. Bezbolesna wesołość.

Już wiem, że Studio Filmowe Nowalijki wystartuje z kolejnym projektem. Doświadczyłam rozczarowań i ataków ze strony hejterów, zdarzały się chwile, kiedy podczas kręcenia *Nieszczęśliwych rodzin* brakowało profesjonalizmu. Mimo to czuję się gotowa na nową falę hejtu, kolejne rozczarowania i momenty, kiedy ja lub ktoś inny zachowa się nieprofesjonalnie.

Kilka tygodni później dzielę się z Jack i Paulem pomysłem na nowy vlog. Oboje pytają, czy na pewno jestem gotowa na taką otwartość. Ponieważ to nie będzie żadna zmyślona historyjka ani żłopanie herbaty. A kiedy zaatakują krytycy, rany mogą się okazać naprawdę głębokie.

Ale ja to wszystko przemyślałam. Dumalam nad tym długo i intensywnie. I uznałam, że na pewno nie jestem jedyną dziewczyną na świecie, której mama zaszła w bardzo późną ciążę, której przyjaciółka ma tatę walczącego z rakiem, która uwielbia jednocześnie Jane Austen i J.J. Abramsa. Która ma wspaniałych przyjaciół zajmujących się sztuką. Która denerwuje się myślą o studiach. Która tęskni za starszą siostrą. Która

identyfikuje się jako romantyczna aseksualna. Nie jest robotem, nie jest dziwadłem, nie jest „zdezorientowana”. Jest po prostu zwykłą dziewczyną.

Pośród osiemdziesięciu czterech tysięcy dwustu trojga aktualnych subskrybentów Nowalijek muszą znaleźć się tacy, którzy doświadczają przynajmniej jednej z tych rzeczy. Postanowiłam więc o tym wszystkim opowiadać, bez herbaty i bez Tołstoja. Być może nigdy nie będę prowadziła tak imponującego życia jak hrabia Lew Nikołajewicz Tołstoj. Może nie zostanę drugim Francisem Fordem Coppolą. Ale teraz, kiedy lepiej rozumiem, co to znaczy, być kimś takim jak oni, chyba wcale tego nie chcę. Chcę być po prostu... uczciwa. Będę opowiadała o tym, co akurat zaprzęta moje myśli, w filmikach umieszczanych w sieci w każdy poniedziałkowy poranek. Być może będzie to jedna wielka katastrofa. Być może wyciągnie z ciemnych czeluści internetu najgorszych trolli. Jest to przewspaniająca wizja – choć w tym momencie bardziej przerażająca niż wspaniała. Ale być może okaże się dokładnie tym, czego potrzebuję.

Włączam kamerę. Siadam na krześle. Patrzę prosto w obiektyw.

– Hej wszystkim! Wita was Tash. Oficjalnie ogłaszam powrót po długiej przerwie. Dzisiaj z radością przedstawię wam swój nowy projekt...

PODZIĘKOWANIA

To, co lubię najbardziej! Oto garstka wyrazów wdzięczności dla ludzi, którzy umożliwili powstanie historii o Tash.

Przede wszystkim wielkie dzięki superagentce Beth Phelan i całej fantastycznej ekipie z Beth Agency. Beth – dziękuję za Twoją niestrudzoną pracę, za odwagę i za entuzjastyczne poparcie dla Tash, na długo zanim mogłam wiedzieć, że jej historia trafi na półki księgarń.

Dziękuję mojej wspaniałej redaktorce Zareen Jaffery za niesamowitą wnikliwość i za to, że pozwoliła, by historia Tash była jeszcze zabawniejsza. Praca z tobą sprawia, że czuję się jak jeden z nielicznych wybrańców (ten żarcik chyba nigdy się nie zestarzeje!). Ogromne podziękowania dla wszystkich w dziale młodzieżowym wydawnictwa Simon & Schuster: niezastąpionej Mekishy Telfer, niezrównanej specjalistce od reklamy Aubrey Churchward i wielu innym, którzy pomogli tej książce przyjść na świat. Dziękuję znakomitej redaktorce Katharine Wiencke. Szczególne podziękowania składam Lucy Ruth Cummins za wspaniały projekt graficzny.

Kathryn Benson, dziękuję Ci za wsparcie podczas prac i wnikliwą krytykę. Jesteś fantastyczna. I wciąż nie mogę wyjść z podziwu, jak to możliwe, że własnoręcznie skonstruowałaś te półki na książki. Jesteś niezwykła, stanowisz dla mnie wielką inspirację. Kim Broomall, dziękuję, że postanowiłaś zaryzykować tylko na podstawie prywatnej wiadomości na Twitterze. Twoja chęć współpracy, wsparcie i inteligencja znaczą dla mnie bardzo wiele. Ogromne dzięki superkobiecie Ashley Herring Blake, która przeczytała *Milion odłon Tash* jako jedna z pierwszych i dała mi zastrzyk energii, kiedy najbardziej go potrzebowałam.

Podziękowania niech przyjmą Marci Lyn Curtis, Jennifer Longo i David Arnold – za niezwykle miłe słowa o mojej wcześniejszej książce *Lucky Few* i za wsparcie. Jestem Waszą wielką fanką. Jen Gaska, Nicole Brinkley, Nita Tyndall i Rachel Patrick – broniłyście moich książek w zupełnie wyjątkowy sposób. To wielki zaszczyt Was znać, jesteście niesłychanie twórczymi i pełnymi pasji kobietami. Dziękuję także Amandzie Connor z sieci księgarskiej Joseph-Beth za to, że pomogła mi zrealizować moje dziecięce marzenie. Moje życie i moje książki stały się lepsze dzięki bardzo wielu osobom zajmującym się literaturą młodzieżową, poznanym zarówno w realu, jak i w internecie. Dziękuję Wam wszystkim bez wyjątku.

Przyjaciele, kochani przyjaciele, dostałam od Was ogromne wsparcie. Shelly Reed, moja pokrewna duszo, nadal nie mogę wyjść ze zdumienia, kiedy wspominam, jak los połączył nas przed laty. Każda rozmowa z Tobą kończy się uśmiechem. Hilary Rochow Callais, proszę, zawsze przesyłaj mi #RockFacts. Kristen Comeaux – jak Ty to robisz, że Twoje włosy zawsze wyglądają tak cudownie? Seoling Dee, chyba już zasłużyłyśmy na naszą podróż do Paryża, *oui*? Badger *a.k.a.* Nicole Williams, *a.k.a.* Honey Badger, *a.k.a.* Badge, *a.k.a.* Badge-Badge – dzięki za to, że w największy ziąb chodziłaś po lesie, dźwigając ciężki sprzęt. To ewidentny dowód PRAWDZIWEJ PRZYJAŹNI. Katie Carroll, moja najlepsza przyjaciółko – dziękuję za to, że mnie nie zamordowałaś, kiedy kręciłam nawet nie jeden, ale aż dwa seriale internetowe. Zniosłaś bardzo wiele, jak tylko

najlepsza przyjaciółka potrafi. A pamiętasz, jak miałaś na imię Samantha i mówiłaś z brytyjskim akcentem w filmie o mafii? Cha, cha, cha, ja też pamiętam.

Szczególne podziękowania dla wszystkich, którzy brali udział w tworzeniu *Shakes* i *Weird Sisters*. Uściski niech przyjmą: Alec Beiswenger, Anna Stone, Beth Posey, Cathy Koch, Channing Estell, Cody Sparks, Ellis Oswalt, Garrett Bass, Matthew D. Whaley, Melanie White, Tim Childers i Victoria Smith – utalentowani aktorzy, których mam zaszczyt znać. Dziękuję Rebecce Campbell i Nicole Roberts za to, że poświęcały czas, przestrzeń i zdrowie psychiczne, by pomóc naszym przyjaciółom. Clare „Cleh” Thomson, jesteś najlepszym dramaturgiem i udawanym duchem, jakiego znam. Erin Wert – sama wiesz, Królowo Seriali Internetowych. Dziękuję, że wspierałaś mnie i Destiny we wszystkich naszych działaniach. I, tak, oczywiście, dzięki dla Destiny Sorii – kumpeli i współtwórczyni. Udało się. Stworzyłyśmy dwa seriale i się nie pozabijałyśmy ani nie spowodowałyśmy żadnej katastrofy (o ile mi wiadomo). To była wspaniała współpraca.

Dziękuję też wszystkim cudownym osobom stojącym za moimi ulubionymi serialami sieciowymi – ludziom z Pemberley Digital, the Candle Wasters, Kate Hackett Productions i Shipwrecked Comedy. I, rzecz jasna, Felicii Day. Gdyby Złote Tuby naprawdę istniały, przyznałabym je Wam wszystkim. To nie miało zabrzmieć złośliwie.

Lwie Tołstoju, dziękuję za wszystkie wspaniałe książki. Tash Cię kocha i ja również, chociaż Dostojewskiego bardziej, pssst.

Mamo, tato – Was też Kocham. Dziękuję, że zawsze zachęcaliście swoją dziwną latorośl, by kierowała się marzeniami. Dziękuję Mattowi i Annie Snowom, moim najgłośniejszym kibicom, a zarazem bardzo fajnemu rodzeństwu. Dziękuję całej dalszej rodzinie za miłość i wsparcie. KIDRON, hej, użyłam Twojego imienia w książce.

Wreszcie szczególne podziękowania dla wszystkich asów. Nie jesteście sami. Jesteście tym, co wspaniałe, w tym przewspaniającym świecie. Bądźcie sobą.

⟨3

Kathryn